

IZA MICHALEWICZ

ZBRODNI
PRAWIE
DOSKONAŁE


Policyjne
Archiwum



znak

IZA MICHALEWICZ

**ZBRODNI
PRAWIE
DOSKONAŁE**

Policyjne
Archiwum 

Wydawnictwo Znak
KRAKÓW 2018

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
www.panczakiewicz.pl

Opieka redakcyjna
Daniel Lis

Adiustacja
Ewdokia Cydejko

Korekta
Katarzyna Onderka

Copyright © by Iza Michalewicz
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5400-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,
ul. Kościuszki 37,
30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569),
e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

SPIS TREŚCI

PROLOG.....	7
Rozdział pierwszy	
WIDMO.....	9
Rozdział drugi	
MASA.....	68
Rozdział trzeci	
PLANTATOR TRUSKAWEK.....	105
Rozdział czwarty	
SKÓRA.....	131
Rozdział piąty	
CZŁOWIEK TYSIĄCA ŚMIERCI.....	154
Rozdział szósty	
ZAPACH OJCA.....	199
Rozdział siódmy	
STRATEGIA LWA.....	286
Rozdział ósmy	
MIĘDZY OCZY.....	334
EPILOG.....	367
PODZIĘKOWANIA.....	372
BIBLIOGRAFIA.....	374

*„Smutek jest wiedzą o tym,
do czego zdolni są ludzie
Że nie pozostało nic poza przymierzem
z kamieniem i polną zwierzyną”.*

Ewa Sonnenberg, Anatomia smutku

*Gabrielowi z miłością
oraz
wszystkim, którzy łakną i pragną sprawiedliwości*

PROLOG

Mężczyzna jest średniego wzrostu. Krępy, potężnie zbudowany. Jego głowa dość głęboko zanurza się w szerokich, muskularnych ramionach. Kiedy policjanci zakutani w kominiarki prowadzą go w kajdankach, ma na sobie szary więzienny dres, pod którym rysuje się napakowana hantlami klatka piersiowa. To Robert J. 52 lata, ostrzyżone na jeża włosy i dołek w szerokiej, mocno zarysowanej brodzie. Jest jesień 2017 roku. Media czekały na niego 19 lat. Czekali śledczy, wymiar sprawiedliwości. Czekala też matka zamordowanej w Krakowie studentki religioznawstwa, Katarzyny Zowady. Od 4 października ten syn krakowskiego poety i malarza jest podejrzany, że pod koniec 1998 roku zwabił Kasię do podkrakowskiego domu, tam zabił i zdjął z niej skórę. W styczniu 1999 roku z Wisły wyłowila ją załoga rzeczynego statku „Łoś”.

Po tym, jak zyskał twarz i własną historię, media okrzyknęły go makabrycznie „Kuśnierzem”.

Kiedy zaczynałam pracę nad tą książką, sprawa „Skóry”, bo taki przybrała na lata nieformalny kryptonim, wciąż była jedną z najbardziej drastycznych i tajemniczych spraw, z jakimi do-

tychczas mierzyły się polskie organa ścigania.

– Nie byłoby Archiwum X, gdyby nie to zabójstwo – usłyszałam od Bogdana Michalca, jednego z najciekawszych policjantów, z którymi przyszło mi zetknąć się podczas pracy nad tą mroczną opowieścią. Był rok 2015. Szef krakowskiej specgrupy, która rozwiązuje nierozszyfrowane dotąd zbrodnie sprzed lat, sprawiał wrażenie bezsilnego, choć nigdy się do końca nie poddał.

Dwa lata później, po tym jak napisałam już ostatnie zdanie historii o policjantach, dla których skrzywdzony człowiek jest ważniejszy niż paragrafy i kariera, sprawa Skóry nabrała zawrotnego tempa. Robert J. okazał się trudnym przeciwnikiem. Żył niczym pustelnik. Nie było go w mediach społecznościowych, nie korzystał z telefonu ani internetu. Rzadko wychodził z domu. Żeby doprowadzić do jego zatrzymania, trzeba było wielkiej determinacji, najnowszej techniki kryminalistycznej, ale również informacji, które przypuszczalnie nigdy nie wyjdą na światło dzienne.

Tajemnica ciągnie niczym przepaść. Jest nieodłączną częścią naszego życia. Tak samo bywa ze zbrodnią, która czasem usurpuje sobie prawo do bycia doskonałą. Potrafi gwałtownie zmienić los człowieka, nie oszczędzając ani rodziny ofiary, ani zabójcy. Ten ostatni zakłada wiele masek, dlatego latami pozostaje nieuchwytny.

Jak powiedział jeden z amerykańskich aktorów, Sean Penn, „nie żyjemy w świecie, w którym źli niszczą dobrych. To świat, w którym trudno odróżnić jednych od drugich”^[1].

I o tym też jest ta książka.

1 Paweł T. Felis, *Sean Penn się wkurza*, „Gazeta Wyborcza”, 28.03.2015.

Rozdział pierwszy

WIDMO

Tamtej nocy wrócił do domu podrapany na twarzy. Ojciec, który otworzył mu drzwi, wyczuł od niego alkohol. Zauważył, że jest niespokojny i dziwnie się zachowuje. Syn był skryty, nigdy się nikomu nie zwierzał ani na nic nie skarżył, ojciec wziął go więc pod rękę i zaprowadził do łóżka. Z zasady surowo go traktował, bywał wobec niego gwałtowny i wybuchowy. W dzieciństwie bił go paskiem za najmniejsze przewinienia, na przykład za spóźnianie się do domu.

Tym razem nie krzyczał, nic nie mówił. W ogóle nie nawiązał z synem kontaktu. Oddzielała ich gruba warstwa ciszy, w której ojcowskie pytania pozostawały bez odpowiedzi. Syn zachowywał się tak, jakby pod osłoną tej nocy jego życie pękło na pół. Następnego dnia rano przypominał pacjenta po głupim Jasiu. Biegał po domu, nerwowo czegoś szukając.

– Byłem na piwie z kolegami – oznajmił ojcu – chyba mi czegoś dosypano. Jakieś narkotyki. Nic nie pamiętam.

Ojciec ma na imię Władysław i 80 lat. Wszyscy go na osiedlu

znają, bo przez długie lata był stróżem. Dowie się od syna, że ktoś napadł go pod Domem Towarowym w Zakopanem, przy ulicy Kościuszki. I skradł mu dokumenty.

Policjantom powie po latach, że syn nie zgłosił kradzieży na policję, bo portfel z dowodem i miesięcznym biletem na Gubałówkę dość szybko się znalazł.

– Mój znajomy, Janek, kucharz z karczmy w Dolinie Kościelskiej, chodził po śmietnikach zbierać puszki. I przypadkowo wygrzebał portfel przy łąkach na Równi Krupowej. Poza pieniędzmi niczego nie brakowało. Tak, panowie... – stróż sięga pamięcią wstecz. – Słyszałem o zabójstwie kobiety. Wszyscy słyszeli. Że znaleziono ją na Równi, za bankiem. Ale nie wiem, jak zginęła.

*

Zakopane, 30 września 1993 roku. Idący z kiosku robotnik skraca sobie drogę, wracając na plac budowy przy polsko-amerykańskim banku na ulicy Kościuszki (dziś siedziba Alior Banku). Przy płocie na tyłach budynku, nazywanego historycznie willą Różeckiego, dostrzega nieruchome, obnażone ciało kobiety. Przerażony biegnie do banku i powiadamia pracowników. Dwaj policjanci, którzy akurat siedzą w radiowozie niedaleko Równi Krupowej, dostają polecenie od dyżurnego Komendy Rejonowej Policji, żeby natychmiast udać się w tamto miejsce.

Jest około godziny 16.00. Sześć stopni powyżej zera po nocnym przymrozku. Powietrze stoi w miejscu. Nie pada. Przyroda zamarła w skupieniu.

Policjanci ostrożnie, żeby nie zatrzeć śladów, podchodzą do znaleziska. Kobieta ma około 25–30 lat, włosy blond, ładny, zadarty nos filmowej gwiazdy. W jej nienaturalnie wielkich, niezwykłych oczach odbija się niebo. Zakrwawiona twarz kontra-

stuje z białą marynarką. Ktoś dźgał ją nożem po piersiach i brzuchu. Leży teraz na trawie jak pęknięta, wyrzucona na śmietnik gipsowa figura. Spodnie zsunięte do kostek. Rajstopy i majtki – do kolan. Nad zakrwawionym łonem góruje wydatny brzuch, odsłonięty przez podniesiony na wysokość piersi fioletowy sweter. Kobieta jest w zaawansowanej ciąży.

To jeszcze nie wszystko – zdaje się mówić jej ciało.

Technik kryminalny odwraca zwłoki. Policjanci widzą pocięte we wszystkie strony ostrym narzędziem uda i pośladki.

Dość szybko, bo po dwudziestu minutach, pojawiają się policjanci z psem. Dewon wacha czarną damską torebkę, znaną w odległości 25 metrów od zwłok i prowadzi do miejsca, w którym leży kobieta. Węszy kolejny raz. Biegnie w stronę chodnika. Traci trop.

Policjanci wracają do zwłok. Stamtąd pies znów rusza tropem zabójcy. Prowadzi w dół Równi Krupowej, wzdłuż ogrodzenia banku, ale po dojściu do uczęszczanej alejki poddaje się.

Jest 17.00. Nieopodal spacerują tłumy ludzi. Śledczy dochodzą do wniosku, że ofiara, której tożsamości jeszcze nie znają, musiała tam leżeć kilkanaście godzin. Jej lewy but z zakrwawioną podeszwą znajdują potem w żywopłocie oddzielającym chodnik przy ulicy Kościuszki od Równi Krupowej.

Szła więc albo była wleczona przez mordercę.

Banku w nocy nikt nie dozorował. Nikt nic nie widział. Niczego nie słyszał. Ówczesny naczelnik zakopiańskiej dochodzeniówki Janusz Szymański powie mediom, że takiej zbrodni mógł dokonać tylko psychopata. Człowiek psychicznie nie zrównoważony. Bo sposób morderstwa i rodzaj ran zadanych ofierze świadczą o znacznej dewiacji jego osobowości.

Tamtego dnia późnym wieczorem policjanci docierają do jej

rodziców. Kobieta, która nie zdążyła urodzić dziecka i umarła bez jednego pantofla, miała na imię Danuta.

– To była jedna z pierwszych spraw, jakie robiliśmy. – Karol Suder, emerytowany już policjant, wraca wspomnieniami do początku fenomenu, jakim stał się w Polsce Wydział do Spraw Przepięstw Niewykrytych, nazywany policyjnym Archiwum X. – Danuta F., nauczycielka z Nowego Targu. Ewidentne tło seksualne. Kobieta w ciąży, z gałęzią w narządach rodnych.

Rozwiązanie zagadki tego zabójstwa zajmie policjantom 11 lat. Ale będzie to jedna ze spraw, która nada sens istnieniu Archiwum X.

*

Jest 1 stycznia 1999 roku, rodzi się nowa Polska. Z dotychczasowych czterdziestu dziewięciu województw rząd klei szesnaście. W wyniku nowego podziału administracyjnego Komenda Wojewódzka w Krakowie rozrasta się do małopolskiej. Suder pracuje jako kierownik w wydziale operacyjnym sekcji do spraw zabójstw.

Do dziś nigdzie w internecie nie ma jego zdjęć. Człowiek widmo.

Nadzoruje pracę dziesięciu osób. Zajmują się przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu. Gwałty, bójki, morderstwa.

Mając świadomość, że komenda pięciokrotnie się powiększy i spadnie im na głowę dużo roboty, Suder robi coś, co się nazywa potocznie „bilansem otwarcia”. To znaczy zbiera ze wszystkich nowych powiatów, komend powiatowych i miejskich sprawy niewykryte, dotyczące zabójstw i zaginięć od 1990 roku do końca 1998. Chce wiedzieć, co w trawie piszczy. Sprawdzić, na co stać lokalnych policjantów. Co wykryli, a co pokpili. Musi całość przeczytać i przeanalizować. Niewykryta liczba to porażka

policji.

Któryś z komendantów dzielnicowych wysłał do nich młodą dziennikarkę z „Gazety Krakowskiej”.

Suder: – Naopowiadaliśmy jej różnych rzeczy na temat tych zabójstw. Tytuł tekstu na dwie szpalty ze zdjęciem brzmiał: „Nielegalny ubój”. W naszej nomenklaturze nielegalny ubój to zabójstwo w rodzinie. Myśmy jej to czysto policyjnym językiem opowiadali. Wydzwięk tekstu był taki: panowie z komendy wojewódzkiej wykrywają sprawy sprzed lat, bo te zostały wyhuśtane i spieprzone przez policyjnych z terenu, którzy, jak się okazuje, umieją tylko ustalać sprawców włamań do kurnika i kradzieży królików. I oczywiście zaczęła się awantura. Wewnętrzna walka w policji.

Suder dzwoni do powiatu: „Panie naczelniku, mam do pana gorącą prośbę. Wiem, że macie kilka niewykrytych zabójstw. Jakbyście mi to wszystko przysłali?”. W odpowiedzi słyszy: „A co to pana obchodzi. Nie jesteś pan moim przełożonym!”.

W końcu udaje się zebrać materiały. Przede wszystkim protokoły oględzin miejsc zbrodni. Suder gromadzi papierzyska. Całe sterty. Wstępne plany śledztw, bo po 72 godzinach (tyle potrafią trwać oględziny) taki plan należało wykonać. Są protokoły sekcji zwłok, postanowienia prokuratorskie o umorzeniu śledztw. I co ważne – analiza. Gdy kończyło się śledztwo i działania operacyjne, śledczy wykonywali analizę. W sumie dwadzieścia, trzydzieści kartek do każdej sprawy. Notatek policyjnych, rozpytań świadków. Wszystkiego, co się wiązało z docieraniem do prawdy.

– A co wy na to, gdybyśmy się zajęli sprawami niewykrytymi? – zwraca się do swoich zapaleńców Suder. Wysoki, szczupły, sprężysty. Wielbiciel kryminałów i zagadek pozornie nie do rozwiązania. Pasjonat.

– A są jakieś? – pada pytanie.

U Sudera w szafie było już wtedy wszystko. Jakies trzydzieści, czterdzieści spraw.

– Wiecie, co was czeka?... – zagaja. – Ponieważ to ja zaproponowałem, a nie komendant, nie będzie więc ani dodatkowych pieniędzy, ani urlopów.

Zadeklarowali, że będą harować poza normami. Całkowicie oddali się sprawie. Żadnego życia prywatnego. Dyżurny miał zamiary na wszystkich, a także ich żony, kochanki i dziewczyny i skrzykiwał całą tę zgraję, gdy trzeba było. Zjeżdżali się wówczas i harowali. Tempo pracy i życia ekscytowało. Suder nigdy nie wychodził z domu bez porządnego śniadania, bo nie wiedział, czy będzie jadł kolację. Gdy Gumiś terroryzował Kraków bombami, przez tydzień nie było go w domu. Dobrze, że już pracowali na Mogilskiej i mieli łazienki.

Spali na komendzie.

Archiwum X powstaje na razie nieformalnie, w wydziale operacyjnym krakowskiej policji, co oznacza, że wszystkie jego działania są niejawne.

Karol Suder: – Wiązała się z tym masa problemów, bo żeby prokurator się czymś zajął, musi mieć jakieś materiały procesowe: albo przesłuchanie świadka, albo notatkę urzędową, które by go dopingowały do podjęcia rutynowych czynności. To był na samym początku jeden z dość kłopotliwych elementów tej pracy. Musiałem wychodzić z prośbą do mojego starego wydziału dochodzeniowo-śledczego (gdzie kiedyś pracowałem), żeby udostępni mi kogoś, kto by na przykład przesłuchał świadka i spisał z tego protokół. W końcu, jak go dostawaliśmy do współpracy przy sprawie, to już u nas zostawał. Gdy pojawiał się problem, dyskutowaliśmy nie tylko w ramach grupy operacyjnej,

ale i z dochodzeniowcem.

Trzeba wiedzieć, że dochodzeniowiec to ktoś, kto jedzie na miejsce zbrodni i dotyka faktów. A operacyjny przyjeżdża, wymienia informacje i zaczyna myśleć. Dochodzeniowiec musi powiedzieć mu tyle, żeby operacyjny dedukował. Nie może być takiej sytuacji, w której ktoś, kto prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa, nie był na miejscu zbrodni. Tylko tam można poczuć sprawcę.

Potem następuje wyprowadzanie wniosków, opracowanie wersji i burza mózgów. Bez pomocy operacyjnego dochodzeniowca sobie nie poradzi. W ten sposób nad sprawą morderstwa spotykają się ludzie z trzech światów: operacyjny, dochodzeniowiec i szef wydziału laboratorium kryminalistycznego. Mają w swoich rękach mocne atuty: operacyjnemu ktoś coś szepnął na ucho, kryminalistyk zebrał ślady, a dochodzeniowiec dysponuje zeznaniami świadków. Tak to działa.

Z materiałem procesowym szli do prokuratury, żeby podjęta na nowo umorzona już śledztwo. I pojawiały się następne schochy. Najpierw trzeba było jeździć i przekonywać prokuratora okręgowego, potem referenta, który to dostał. I Suder słyszał: „Że się panu chce po tylu latach?!”.

Niechętnie wracano do tych spraw, bo i po co? Co z tego, że zginął człowiek i zostali ludzie, którzy po nim płaczą, skoro trzeba się ciężko narobić.

Dialog był więc taki:

- Panie prokuratorze... (to Suder).
 - Wiem, przychodzisz do mnie z ciekawą sprawą.
 - No właśnie.
 - Ale ja nie chcę. Mam już dość twoich ciekawych spraw.
- Suder rozdziela zadania: ty idziesz gadać z ludźmi, ty czy-

tasz akta. Przekopuje sterty policyjnych notatek.

– Nazwę „Archiwum X” wymyśliłem sam. Nasz naczelnik, Eugeniusz Szczerbak [komendant wojewódzki w Krakowie w latach 1999–2002 – I.M.], bardzo inteligentny facet, zainteresował się takim narzędziem, które długo było modne na Zachodzie, zwłaszcza w Holandii. Nazywa się analiza kryminalna. To program komputerowy, który wykrywa błędy uczestników całego zdarzenia, zarówno policji, jak i przestępcy. Trzeba wpisać tam całe akta, a program wyłapie nieścisłości. Jeden z kolegów od nas był na szkoleniu w Holandii. Przywiózł nowinki i tak zaferował naszego szefa, że ten postanowił utworzyć dla nas taką sekcję. Początkowo nie miał argumentów, jak te holenderskie nowości przełożyć na Polskę. Ale wpadł na genialny pomysł. Przyszedł do mnie i powiedział: „Napisz mi na kartce, co wyście tam wykryli, jakie macie sukcesy”.

Suder napisał więc odręcznie: „Z mojego Archiwum X”. Wtedy leciał ten amerykański serial o tajemnicach nie z tego świata. I zrobiła mu się taka nakładka.

A mieli już się czym pochwalić. Archiwum X prześwietlało bowiem tak zwaną ciemną liczbę zabójstw, czyli niewyjaśnione zaginięcia, nieszczęśliwe wypadki czy samobójstwa. I tak w lipcu 2003 roku przepada Agata z Zakopanego. Dwadzieścia trzy lata. Wysoka, szczupła, atrakcyjna studentka drugiego roku architektury Politechniki Krakowskiej.

Policjanci prowadzą poszukiwania. Wygląda na to, że uciekła. Miała kiedyś kontakt z narkotykami i jej kolegę aresztowali w Ameryce Południowej, więc wpadają na pomysł, że pojechała do niego w odwiedzin.

– Panie naczelniku... – Suder na to do funkcjonariusza – ... ale zostawiła paszport, dowód osobisty!

– Ależ panie Karolu, w Zakopanem nikt się takimi rzeczami nie przejmuje. Przez zieloną granicę i tyle – słyszy w odpowiedzi.

Z informacji wynikało, że do zniknięcia mogli przyczynić się dwaj jej bracia – bliźniacy. Tyle że to długo nie mieściło się w głowie tamtejszym policjantom. W końcu do Sudera przychodzi matka dziewczyny i mówi: „Panie Karolu, to bracia ją zamordowali”. A oni, że matka opowiada bzdury.

Kobieta pokonała sto kilometrów, żeby wyżalić się na śledczych z Zakopanego. Wszystko opowiedziała ze szczegółami. Nietrudno sobie wyobrazić jej emocje. Archiwum X szuka więc śladów ze specjalistami, ale dopiero dość intensywna współpraca z jednym z zakopiańskich kolegów z pionu operacyjnego przyniesie efekt. Otóż naopowiada on dziennikarzowi „Tygodnika Podhalańskiego”, że policja wie, gdzie jest ciało dziewczyny. A bracia dojdą do wniosku, że źle ją zakopali. I pojedą poprawić. W momencie, kiedy ją wyciągną z dołu i włożą do bagażnika, zatrzyma ich straż graniczna. O wszystkim zdecydował przypadek. Wopiści myśleli, że to kłusownicy.

Poszło o kamienicę w centrum Zakopanego. Bracia Grzegorz i Bartosz utrzymywali się z czynszów, jakie płaciły im sklepy mieszczące się na parterze kamienicy. Nie chcieli mieć wspólnika w dzieleniu, a potem dziedziczeniu majątku. Pierwszy zabił, drugi pomógł rozczłonkować zwłoki siostry. Grobowcem dla głowy dziewczyny, odciętej kątową szlifierką, stał się dół wykopany pod wysoką sosną, którą bracia wskazali prokuratorowi po tym, jak przyznali się do winy. Resztę ciała pogrzebali w innej części lasu.

Dzięki uporowi policjantów z Archiwum X matka, którą synowie przegonili wcześniej z domu, mogła pochować córkę w całości.

Jeszcze w trakcie śledztwa w 2003 roku policjanci zatrzymali braci na 48 godzin.

„Bezczelni, pewni siebie. I ten cynizm. Wiedzieli, że siostra nie żyje, ale po wyjściu z aresztu zjawili się u nas i zapowiedzieli złożenie skargi na zatrzymanie” – mówili wstrząśnięci śledczy dziennikarzowi „Gazety Krakowskiej”. Jeden z braci dostał wyrok 15 lat za kratami, drugi – 4.

Karol Suder: – U nas wszystko szło od strony dedukcji. Nad każdą sprawą intensywnie myśleliśmy. Dopiero potem szukaliśmy rozwiązań.

W 1996 roku, w czerwcu, w Kościelisku kobieta zgłasza zaginięcie. Że mąż, góral, był i go nie ma. Pojechał do roboty i trzy miesiące nie wraca. Ktoś z grupy Archiwum interesował się zaginięciami i ściągnął akta tej sprawy. I między innymi znalazł notatkę, że dwa, trzy dni przed tym, jak góral wyjechał do pracy pod Warszawę, na terenie posesji palono duże ognisko. Jak to? Zbieg okoliczności, taka duża watra? I przez to ognisko zainteresowali się sprawą.

Policja z Podhala mówiła: „Odwalcie się od tego ogniska. Wiemy, do czego zmierzacie. U nas nie było przypadku, żeby ktoś znieważył zwłoki. Nie ma takiej możliwości! To się nie mieści w mentalności górali”. Dlatego czekali, aż delikwent sam się znajdzie.

Suder nie odpuszcza. Współpracuje z Instytutem Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie, z sekcją profilerów. W rodzinie jest trójka dzieci w wieku szkolnym. Profilerzy opracowują dla nich związany z ojcem temat wypracowania do szkoły, bo – jak ustalił Suder – „koleżanka trochę pochodziła po domach i okazało się, że góral maltretował tę rodzinę”. Sąsiedzi dobrze wiedzieli, co się u nich działo.

W końcu Archiwum X ściąga do siebie matkę i najstarszego chłopca. A ten w pierwszych słowach przyznaje się, że to on zamordował. Ojciec bił i jego, i matkę, która leczyła się z tego powodu na depresję.

Powoli kolejne wersje tej historii zaczynają otwierać się wokół śledczych jak trujące kwiaty.

Chłopiec bierze wszystko na siebie, choć to nie on zabił. Chce uchronić matkę. Widział, ile musiała znieść upokorzenia i bólu. W końcu nie wytrzymała. Po kolejnej awanturze nafaszerowała męża lekami, żeby nie miał siły się bronić. I zabiła siebie.

Zamordowała, a wszystkie dzieci paliły. Wrzucili ciało do ogniska. Śledczy nie znajdują nawet kosteczki. To, co zostało z ojca, najstarszy wywiózł do lasu i zakopał. Miał wtedy 12 lat.

Kobieta nie była góralką. Urodziła się pod Warszawą. Nie miała więc kulturowych oporów, by spalić ciało.

Kiedy policjanci pozałatwiali już wszystko w prokuraturze, zjawili się w gabinecie Sudera w euforii sukcesu. Popijali jakieś sowieckie igristoje, gdy ktoś rzucił: „Tylko nie wygadajcie Suderowi, że jest taka sprawa – facet od dwóch lat jeździ na rowerze. I do tej pory go nie ma”.

Suder zapamiętał, że już go podkręcili. Istotnie, 35-letni góral z Białego Dunajca wsiadł na rower, pojechał do kochanki i słuch po nim zaginął. Od dwóch lat figurował w kartotece zaginionych. Suder był już na emeryturze, gdy Bogdan Michalec znalazł górala razem z rowerem pod podłogą, w domu tej kochanki.

Michalec to dziś kręgosłup krakowskiego Archiwum X. I jego mózg. Zawsze w mediach miał tylko imię i pierwszą literę nazwiska. Zamiast jego zdjęć w wyszukiwarkach internetowych

pojawiają się fotografie uśmiechniętego artysty, konferansjera i showmana o tych samych personaliach. Śledczy Michalec to skupiony, ogolony na zapałkę, dość krępej budowy mężczyzna z nieodłącznym elektronicznym papierosem na szyi.

Przyszedł do sekcji Karola Sudera w 1999 roku z małego komisariatu w jednej z dzielnic Krakowa, Borku Fałęckim. Kame-ralnego. Bliżej obywatela. „Wychowywali” go starzy, doświad-czeni milicjanci, od których nauczył się ABC kryminalistyki.

– W pierwszej kolejności trzeba być człowiekiem. To jest dla policjanta najważniejsza rola – powie mi po latach.

– Dowiedziałem się, że jest taki pasjonat i szaleniec w poli-cji, który nie wychodzi z komendy i ma sukcesy – wspomina Su-der. – Przeczytałem ze dwie, trzy jego notatki: pełna profeska. Inne podejście niż wszystko, co się wokół działo.

Zadzwoił więc: – Czy nie zastanowiłby się pan nad pracą w Archiwum X? „Taka fucha w TAKIM wydziale”. Na co Michalec: – Nie jestem zainteresowany. Ale po jakimś czasie sam się ode-zwie, a Suder go przyjmie. Nie pomyli się, choć w niektórych momentach potrzebowali rozjemców. Mieli odmienne zdania. To dobrze, bo dyskusja zawsze jest dochodzeniem do prawdy.

Jak mawiał Albert Einstein: „Bez myślenia intuicja jest ślepa”.

Bogdan Michalec: – Intuicja to podstawa. I dar. Odejście od schematu działania policji i prokuratury jest wielu nie na rękę. Może dlatego okrzyknięto mnie szaleńcem. Nasza praca jest jak wchodzenie w ciemny las. Na początku wzrok nieprzyzwyczajony do ciemności, więc potykamy się, przewracamy. Powoli jed-nak oko się przyzwyczaja i wtedy można dostrzec więcej szcze-gółów. Najistotniejsze jest uważne czytanie akt.

Akta sprawy zamordowanej Danuty F. zalegają w archiwum Sądu Okręgowego w Nowym Sączu. Notatki policjantów, zeznania świadków, oględziny pisane odręcznie albo na starej maszynie, której czcionka wypływała z upływem czasu. Ciężko przebrnąć. Ale to jest codzienna droga, którą zaczyna iść każdy śledczy z Archiwum X. Jak powiedział Karol Suder: „Ludzie wychowani na filmach kryminalnych nie wiedzą, że to żmudna praca. Bo policjant z Archiwum siedzi w swoim pokoju popołudniową porą i nie widać go spoza stosu akt”.

Tylko w ten sposób ma możliwość wrócić na miejsce zbrodni sprzed lat.

Mamy 1999 rok. Akta cofają śledczych do 30 września 1993, kiedy przypadkowy robotnik znajduje ciało Danuty. Od tamtej pory upłynęło 6 lat, a sprawca wciąż pozostaje nieznany.

Człowiek widmo.

*

Karol Suder i Bogdan Michalec czytają historię dramatu kobiety i jej rodziny strona po stronie.

Kiedy pies policyjny znajduje niedużą czarną torebkę w kształcie półksiężycy – mówią akta – śledczy poznają tożsamość ofiary. Danuta F. miała w niej dowód osobisty swój i męża, Kazimierza, 119 tysięcy złotych (przed denominacją można było za to kupić kilo cukru i mleko), magazyn „Jestem”, opakowanie po batoniku Snickers, pismo z PZU w Nowym Targu z blankietem z wpłatą za karę (mąż spowodował wypadek po alkoholu i dostał kolegium), bilety na PKS i książkę *Mówienie prawdy sobie same-mu. Jak sobie radzić z problemami życia?* Williama Backusa i Marie Chapian.

Kim byłaś? – zastanawiają się policjanci. – Jakiej wskazówki szukałaś w tej książce?

Backus to luterański pastor i psycholog. Chapien – autorka książek chrześcijańskich, psychoterapeutka. Podróżuje jako nauczycielka Biblii i mówca na chrześcijańskich konferencjach. Książka, jak zaczynają autorzy we wstępie (można jej wysłuchać w internecie), „została napisana, aby pomóc ci żyć z tą jedną osobą, z którą musisz żyć przez całe życie – a więc z samym sobą. »Terapia błędnych przekonań«, jak nazwaliśmy nasz sposób działania, polega na wprowadzeniu prawdy do twojego systemu wartości, do twojej filozofii życia, wymagań, przekonań moralnych i emocjonalnych, a także do słów, które mówisz sam sobie. Biblia mówi, że prawda czyni człowieka wolnym”.

Czy zdążyłaś przeczytać choć pierwszy rozdział o tym, czym jest owo „błędne przekonanie”? „Dlaczego czuję się tak fatalnie? – pyta człowiek przeżywający trudne chwile. W życiu każdego z nas istnieje coś, co chcielibyśmy zmienić. Twoje przekonania determinują twoje zachowanie. Większość depresji bierze się ze słów, jakie mówimy sami sobie, kiedy spotyka nas jakaś strata”.

A co spotkało ciebie? – na to pytanie śledczy spróbują znaleźć odpowiedź.

Kiedy ustalą adres zamieszkania jej rodziców w Nowym Targu, na miejscu zastaną brata, Zbigniewa. I szybko okaże się, że mąż, Kazimierz, poszukuje jej już od dwóch dni. Brat na temat siostry nie umie podać zbyt wielu informacji, prócz tego, że była skryta i niekoniecznie akceptowana przez rodzinę męża. Małżeństwem byli od kwietnia 1993.

Policjanci tego samego dnia docierają do Kazimierza, który razem z rodzicami i Danutą mieszkał w małej wiosce Rogoźnik pod Nowym Targiem. Zajmowali pokój z kuchnią na parterze z oddzielnym wejściem:

– Żona była na zasiłku – mówi – i pomagała w gospodarstwie moich rodziców. Utrzymywaliśmy się z niego, jej zasiłku,

oraz tego, co dorywczo zarobiłem, najczęściej na budowach. Danuta nie chodziła do ginekologa. Nie miała też skłonności do alkoholu. Nigdy nie było przypadku, żeby nie wróciła na noc, kiedy jechała do swoich rodziców do Nowego Targu. Ponieważ była nauczycielką, starała się o pracę w jednej z tamtejszych szkół podstawowych. 28 września o 6.30 rano wyjechała z Rogoźnika, mówiąc, że jedzie do Nowego Targu na badania w przychodni, która znajduje się w pobliżu kina. Pojechała pekaesem. Na palec założyła obrączkę, którą kiedyś dostała od swojej matki. Złotą, szeroką, bez grawerki.

Obrączka nigdy się nie odnajdzie.

Kazimierz opisze żonę dość dokładnie. Jak była ubrana (jasne džinsy, jasna marynarka), co miała ze sobą (skórzaną czarną torebkę o półkolistym kształcie, zamykaną na błyskawiczny zamek). Oraz to, że dał jej pieniądze, które miała wpłacić do PZU w Nowym Targu za spowodowany przez niego wypadek drogowy. Wzięła w tym celu ze sobą jego dowód osobisty.

Kazimierz: – Włożyła też do torebki słoiczek z moczem. Widziałem to. Dwa tygodnie wcześniej powiedziała mi, że będziemy mieli syna. Bardzo się z tego cieszyła. Wychodziliśmy z domu razem. Ja do pracy, do Czarnego Dunajca, a ona do Nowego Targu. Wsiadała do autobusu sama. Nikogo nie było na przystanku. Powiedziała, że jak da radę, to tego samego dnia wróci do Rogoźnika. Gdy nie wróciła, pomyślałem, że została u rodziców.

Początek lat dziewięćdziesiątych nie był światem telefonów komórkowych. Na wsi rzadko kto posiadał nawet stacjonarny. Kazimierz nie miał, więc gdy kolejnego dnia nie doczekał się Danuty, wsiadł w autobus do Nowego Targu i odwiedził jej rodziców: Genowefę i Jakuba. Genowefa pracowała w miejscowym Urzędzie Skarbowym. Powiedziała zięciowi, że córka przy-

sza wpłacić pieniądze za jego kolizję około 10.00 rano 28 września. Wpłaciła i od razu wyszła.

Zaniepokojony Kazimierz poszedł więc do szwagra, ale i tam jej nie zastał. Rodzice powiedzieli, że na noc też nie została. – Chciałem nawet dzwonić na komisariat – zezna Kazimierz – ale teściowa powiedziała, że to nie honor dzwonić na policję. Że może się przecież zjawi. Będą jej szukać. Szwagier odwiózł mnie swoim simsonem do Rogoźnika. Czekałem, że może przyjedzie ostatnim autobusem, ale nie przyjechała.

Nakarmił więc Kazimierz krowy i owce, a później zmęczony i zmartwiony z kurami położył się spać. Następnego dnia znów pojechał do Nowego Targu. Szukał żony po kawiarniach i lokalach na rynku. Wtedy szukali jej już wszyscy.

– Nigdy między nami nie było kłótni, przekonywał Kazimierz śledczych. – Nigdy jej nie uderzyłem. Żyła z moimi rodzicami w zgodzie. Mieliśmy wspólną kuchnię. Nie słyszałem od niej, żeby miała jakichś wrogów.

Mimo to rodzina nie miała w Rogoźniku dobrej opinii, bo – jak powiedzieli policji sąsiedzi – byli skłócenii ze wszystkimi. I z nikim nie utrzymywali kontaktów.

W notatce jednego z policjantów, zazwyczaj pisanej policyjnym żargonem, wypranym z emocji, znajdzie się tym razem miejsce na bezradność i rozpacz:

„W tym momencie oznajmiłem rozpytanemu, że jego żona została zamordowana. Stwierdziłem, że oczy zaszkliły mu się łzami i załamany głosem zapytał, czy mógłby zobaczyć swoją żonę, gdzie ona się znajduje. I czy zamordowaną na pewno jest ona”.

Dzień 30 września 1993 ciągnie się niemiłosiernie. Koło godziny 21.00 policja zaczyna przesłuchanie rodziców.

Jan, z zawodu cholewkarz, rencista, ojciec Danuty:

– Mamy dwoje dzieci: Danutę, rocznik '64, i Zbigniewa, młodszego od niej o 3 lata. Córka skończyła Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem i podjęła pracę jako nauczycielka plastyki w podstawówce w Nowym Targu. W innej podstawówce była świetliczanką. W 1991 roku podjęła pracę w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym, ale po roku ją straciła. Brała zasiłek dla bezrobotnych. Ostatni na kilka dni przed zniknięciem. Była też społecznym kuratorem przy Sądzie Rejonowym w Nowym Targu. Spokojna, lubiąca czytać książki, domatorka. Nie chodziła po dyskotekach. Nigdy nie było z nią problemów wychowawczych. Raczej pomagała osobom, które weszły w konflikt z prawem. Nigdy nie zgłaszała problemów ze swoimi podopiecznymi. Cieszyła się z tej pracy.

Genowefa, jej matka:

– Faktycznie dwa dni temu była u mnie w Urzędzie Skarbowym. Wpłaciła pieniądze za wypadek zięcia, trochę jej zostało, a ja dałam jej jeszcze na obiad. 1 października kończyło jej się bezrobocie, co ją załamywało. I to, że nie może sobie znaleźć pracy. Córka była bardzo ufna i dobra, ale unikała tematu teściów. Staralam się ją zawsze pocieszyć. Uważałam, że bywają ciężkie chwile, i to się zmieni. Wiedziałam, że zięć czasami zagląda do kieliszka. Nigdy nie była przez niego pobita, jedynie strofowana przez teściową. Chorowała na tarczycę (stąd nienaturalna wielkość oczu). Była po operacji. Leczyła się w klinice endokrynologicznej w Krakowie. Po tej chorobie, jakieś półtora roku temu, przeżyła załamanie nerwowe. Lekarze jednak mieli dobre prognozy.

Policja ustala, że ostatni raz Danuta była w Urzędzie Pracy 13 września. Pytała, czy może jest coś dla niej. Ale nie było. 29 września kupiła bilet (znaleziony później w jej torebce) na PKS

w Nowym Targu, parę minut po 14.00. Kurs Myślenice – Zakopane. Autobus przyjechał do Zakopanego planowo o 14.42, ale kierowca nie zapamiętuje Danuty. Śledczy ze zdumieniem odkrywają też, że kobieta potrafiła mieć swoje tajemnice. Na przykład przez kilka miesięcy nie mówiła matce, że jest w ciąży, dopóki ta sama nie zauważyła. Tak dzieje się wtedy, gdy emocjonalne więzi między matką a córką gdzieś zostaną nadszarpnięte. A może dziecko nie było jej męża? Danuta, jak sprawdzili policjanci, ani razu nie poszła do lekarza. Kartoteki medyczne nie odnotowały jej nazwiska.

Dopiero w lipcu, dwa miesiące przed śmiercią córki, Genowefa odkryła, że zostanie babcią. „Cieszyła się z tego, że będzie miała dziecko, nawet się do tego przygotowywała, bo kupiła już pieluchy” – zeznała matka, ale tak naprawdę nie wiedziała o własnej córce nic więcej.

Mówi się, że kobiety są psychicznie silniejsze od mężczyzn. Ale nie wtedy, gdy muszą pochować dziecko. Tamten dzień będzie więc wystawał z życia matki jak zardzewiały gwóźdź.

– Ona jest dla mnie niczym wyrwane z korzeniami drzewo – powie Genowefa dziennikarzom TVN, przygotowującym w 2006 roku reporterski cykl „Archiwum X. Śledztwa po latach”. Krótkowłosa, okrągła na twarzy, elokwentna. Smutek wygiął jej usta w podkówkę.

To ojciec zidentyfikuje zwłoki.

Jednego policjanci nie zdołają ustalić: gdzie Danuta spędziła noc z 28 na 29 września, skoro nie u rodziny? Nie u znajomych? Przyjaciół nie miała, podobnie jak wrogów. Raptem dwie koleżanki. Szkołę w Zakopanem skończyła 10 lat wcześniej.

Policja odwiedzi poradnię zdrowia psychicznego i przychodnię lekarską w Nowym Targu, ale nie znajdzie w nich ani

śladu po Danucie. Ośrodek Szkolno-Wychowawczy na Kowańcu, gdzie pracowała od 1 września 1991 roku, zdradzi, że od początku mieli z nią problemy, bo była pracownikiem na „nie”: niezdyscyplinowanym, nieodpowiedzialnym, nieobliczalnym. „Wśród pracowników ośrodka panowała opinia, że jest wariatką” – odnotują policjanci. Pracowała tam do końca 1992 roku.

Z nikim nie utrzymywała kontaktów. Miała już za sobą taki epizod, że zimą 1991 roku wyszła po pracy z ośrodka, ale nie dojechała na noc do domu. Nie wiadomo, gdzie była.

1 października 1993. Policyjna notatka. Trzech policjantów rozmawia z mieszkańcami bloków przy Alei 3 Maja w Zakopanem (ulicy prostopadłej do Kościuszki, gdzie znaleziono zwłoki).

Jedna z mieszkanek około drugiej w nocy z 29 na 30 września słyszy kobiecy głos, „nie wyrażający potrzeby pomocy ani bólu”. Głos dochodzi od pobliskiej ulicy Zborowskiego. Z kierunku baru Green. Właścicielem jest Gerard Z. Relacjonuje, że w tamtym dniu w barze pracowała jego żona, Magdalena. W rozmowie z żoną policjanci ustalają, że bar był czynny do 21.30. I przebywały w nim tylko dwie osoby: Piotr S., zatrudniony w Radiowo-Telewizyjnym Ośrodku Nadawczym na Gubałównie, i jego kolega, pracownik Urzędu Ochrony Państwa.

– W tym dniu między 18.00 a 19.00 do baru weszła blondynka, krótkie blond włosy, w białej marynarce, i zaraz wyszła. Była sama. Jestem ją w stanie rozpoznać – mówi Magdalena policjantom.

Śledczy szybko ustalają, kim był funkcjonariusz UOP. To Kazimierz S., któremu od razu pokazano zdjęcie Danuty.

– Chyba ją widziałem w barze Green... – zafrasuje się świadek. – Wczoraj około 19.00 razem z kolegą, Piotrem S., piliśmy

piwo. Siedzieliśmy tyłem do wejścia. Po półgodzinie ktoś mocniej otworzył drzwi, co zwróciło moją uwagę. Zobaczyłem tę kobietę. Weszła na środek sali i wyglądało na to, że się rozgląda, jakby czegoś szukała. Do nikogo nie podchodziła i z nikim nie rozmawiała. Pół minuty później wyszła z baru.

2 października Piotr S. (lat 28, kawaler, wykształcenie średnie techniczne) zezna, że tamtego dnia, a była to środa, od godziny 17.00 faktycznie siedział w Green Barze. Około 18.00 przyszedł kolega, Kazimierz.

Świętowali, bo kolega podżyrował pożyczkę jego bratu, za co, on, Piotr, był mu niezmiernie wdzięczny.

– Siedzieliśmy przy barze, z tym że ja nie widziałem, kto wchodził (tu policjanci okazują mu planszę z siedmioma zdjęciami kobiet, w tym jednym Danuty). Nie. Nie rozpoznaję. W barze była jeszcze koleżanka barmanki i jakichś dwóch mężczyzn.

Akta pokazują, jak policjanci wraz ze zdjęciem Danuty chodzą po Zakopanem i skrupulatnie odwiedzają ciąg lokali i sklepów od skrzyżowania Krupówki z ulicą Witkiewicza, aż do skrzyżowania ze Staszica. Widziano ją kilka razy w aptece (ale nie wiadomo, czy w dniu śmierci). Dość często też nadawała kupon totolotka w kolekturze przy ulicy Tetmajera.

Kelnerka z baru Hajduczek przy dworcu PKS w Zakopanem, patrząc na planszę ze zdjęciami, przypomina sobie, że widziała Danutę 27 września (w poniedziałek, podczas gdy kobieta wyszła z domu dzień później):

– Około 30 lat, włosy do ramion, lekko kręcone, blond. Szczególną uwagę zwróciłam na jej oczy, bo były wyłupiaste. Miała na sobie kurtkę dżinsową, spodnie, czarne buty typu czółenka. Żadnej torebki ani reklamówki. W pewnym momencie podeszła do nieznanego mi mężczyzny, moim zdaniem przy-

jezdnego, i poprosiła, aby kupił jej porcję ruskich pierogów. Powiedział, że nie ma pieniędzy. On około 25 lat. Szatyn z wąsami, włosy opadające na kark. Miał plecak i sprawiał wrażenie, jakby czekał na autobus z Zakopanego.

Kobieta postąpiła chwilę przy drzwiach wejściowych, a potem podeszła do mnie i poprosiła o wrzątek. Dałam jej szklankę wrzątku. Zapłaciła mi, usiadła przy stoliku, wypiła, oddała szklankę i wyszła. Odniosłam wrażenie, jakby była czymś przygnębiona, zmartwiona. Zachowywała się dziwnie. Po godzinie przyszła z powrotem do baru. Kierowniczką spytała ją, czy nie jest głodna, i gdy usłyszała, że tak, zaproponowała jej zjedzenie obiadu. Ale kobieta odparła, że nie ma czym zapłacić. Mimo to kierowniczką osobiście podała jej obiad: rosół z makaronem, gulasz, ziemniaki i jakąś surówkę. Zjadła wszystko i wyszła.

Kolejny raz widziałam ją koło godziny 16.00, piętnaście minut później. Podeszła do jednej z dziewczyn, która zamawiała ruskie pierogi i poprosiła, by ta kupiła jej porcję. Dziewczyna zamówiła, a ja podałam. Zjadła dwa, po czym jakby się czegoś wystraszyła – gwałtownie wstała od stołu, wywracając pierogi na blat. I szybko wyszła z baru. Nigdy jej więcej nie widziałam.

Pracownica baru Kłos, Maria S., powiedziała śledczym, że osoba okazana na zdjęciu, czyli Danuta, dwa tygodnie wcześniej oferowała jej kupno bluzy, tłumacząc, że potrzebuje pieniędzy, bo musi pilnie wyjechać. Więcej jej nie widziała.

Co planowałaś, Danuto? Byłaś w Zakopanem wcześniej niż w dniu swojej śmierci? – gorączkowo myślą policjanci. Czy twoja bezradność i zagubienie mogły sprowokować zabójcę?

Bogdan Michalec z Archiwum X, który pójdzie śladami ofiary, przez lata będzie się trzymał definicji wybitnego prawnika i kryminalistyka, Jana Sehn. A Sehn uważał, że śladem jest każda zmiana w obiektywnej rzeczywistości. Nie wolno się ograniczać

jedynie do śladów linii papilarnych. Michalec definicję Sehna połączy z kapitalnym spostrzeżeniem autora *Małego księcia* Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, że prawdziwie patrzy się tylko sercem. Oczy widzą materię, ale serce dostrzega to, co trudno jest utrwalić jako ślad. Lecz bywa od niego ważniejsze. To wszystko w połączeniu z zasadą starożytniej kryminalistyki, że brak dowodów też jest śladem, stanie się punktem wyjścia do rozwiązania zagadki tej śmierci.

Michalec będzie więc obserwował, w jakim środowisku popełniono zbrodnię, z jakimi świadkami ma do czynienia. Podobnie jak inni przed nim, postawi sobie wiele pytań.

Bywałaś głodna, Danuto? Nieszczęśliwa? Zastanawiałaś się, jak zmienić swoje życie?

Każde pytanie od razu zamieniało się w tajemnicę.

Z opowieści świadków można wysnuć wniosek, że Danuta nie dojadła, nie miała pieniędzy i rozpaczliwie szukała wyjścia z tej sytuacji.

Po rozmowie z jej matką policjanci odnotują, że dzień przed pogrzebem Kazimierz przyszedł do domu teściowej kompletnie pijany i powiedział: „Gdzie ta cipa pojechała i po co do Zakopanego?!”.

„Nie licowało to z pamięcią jego zmarłej żony” – zapisał policjant.

Matka powie w końcu, że motorem kłótni była zwykle teściowa Danuty. Miała opowiadać ludziom, jaka to trafiła się jej synowa. Pije alkohol, nic nie robi i „biesi jej syna”.

– A moja Danko – rozpacza matka – nigdy nie piła alkoholu i nie paliła papierosów.

Rodzina jej męża do tego stopnia nie przejęła się tą śmiercią, że dzień przed pogrzebem urządzili w domu chrzciny dziecka

siostry Kazimierza.

– Byli do tego stopnia bezczelni, że przyjechali do nas, czy wuj Danuty nie woziłby im gości – matce nie mieści się to w głowie. Pomyśli: a może teściowa mojej córki znalazła Kazikowi jakąś inną kandydatkę na żonę? I Danka stała się niewygodna?

Z początkiem października 1993 prokuratura zwraca się z prośbą do wszystkich, którzy 29 września widzieli kobietę w wieku około 30 lat, średniego wzrostu, włosy blond, lekko kręcone, dość tęgą, ubraną w biały żakiet, sweter koloru fioletowego w czarne wzory, jasnoniebieskie dżinsowe spodnie i czarne półbuty. Jeśli ktoś widział – proszony jest o stawienie się w Prokuraturze lub Komendzie Rejonowej Policji w Zakopanem.

Policjanci analizują też teczki pod wspólnym kryptonimem „Nierząd” – zjawiska prostytucji na terenach zakopiańskich. Ale nazwisko Danuty tam się nie pojawia.

Śledczy zataczają więc coraz szersze kręgi. Docierają do byłego chłopaka Danuty, Jana P.:

– Znałem ją od 1985 roku, chodziliśmy ze sobą rok. Mieliśmy brać ślub. Była normalną dziewczyną, może nieco za bardzo zamkniętą w sobie, co niewątpliwie utrudniało jej życie. Zerwaliśmy, bo ja nie miałem czasu pomagać jej rodzicom przy budowie domu na Kowańcu. Decyzja była wspólna.

O śmierci Danuty Janek dowiaduje się na postoju taxi (jeździ taksówką). Jest wstrząśnięty. Danka nie tylko nie nadużywała alkoholu, ale i nie zawierała łatwo kontaktów z mężczyznami. Zapamiętał, że była domatorką i nie lubiła chodzenia po lokalach. Pracuje jako taksówkarz w Nowym Targu od 1991 roku. Jeździ głównie nocą i nigdy nie widział, by Danka wychodziła z jakiegoś lokalu.

Nie usłyszy też o tym od innych taksówkarzy. A znali jej

mamę, bo pracowała na kasie w Urzędzie Skarbowym, więc i pośrednio znali Dankę. Wszyscy są zszokowani tym, co się stało. Mieli o niej jak najlepsze zdanie.

Dyrektorka podstawówki, do której chodziła Danuta, powiedziała, że dziewczyna była rzetelna, spokojna i chętna do pracy. Ale gdy odeszła ze szkoły, nie utrzymywała więcej żadnych kontaktów. Jakież było więc zdziwienie, kiedy przyszła prosić jedną z nauczycielek, by była świadkiem na jej ślubie. Do tej szkoły przyszedł też ojciec Danuty, niedługo przed jej śmiercią, prosić z kolei o przyjęcie na etat świetliczanki. Tyle że ten był już zajęty.

Dla kuzynek Zofii i Ewy Danuta była osobą właściwie nieznaną. Nie utrzymywały żadnych kontaktów poza tym, że były na jej weselu.

W Liceum Plastycznym im. Antoniego Kenara, gdzie się uczyła, śledczy dowiadują się, że była osobą dość zamkniętą.

Tomasz P. i jego żona Joanna, nauczyciele, a niegdyś koledzy z klasy Danuty, zapamiętają, że nie była zbyt atrakcyjna fizycznie, i miała nieco zwariowane usposobienie. Nie zapraszano jej więc na imprezy. Żyła jakby obok klasy. Ubierała się skromnie, bez ekstrawagancji. Nie była „puszczalska”, nie używała narkotyków, nie paliła papierosów.

Małżeństwu utkwi w pamięci jako nawiedzona koleżanka, o której zapomina się zaraz po opuszczeniu murów szkoły.

Najważniejsze godziny, tuż po odnalezieniu zwłok, uciekają. Im szybciej biegną, tym trudniej będzie złapać mordercę.

Policjanci wiedzą, że w sprawie zabójstwa Danuty F. czas staje się coraz większym ich wrogiem.

8 października przesłuchują Jacka B.

Zeznaje: „29 września, kiedy otwierałem swój sklep, zauwa-

żyłem kobietę w wieku około 30 lat, włosy blond, rozpuszczone, lekko kręcone. Ubrana była w obciste spodnie powyżej kolan, tzw. kolarzówki. W widocznej ciąży. Na nogach miała chińskie szmaciaki czarnego koloru. Twarz bardzo zmęczona, ciemne obwódki wokół oczu. Widać, że była zdenerwowana i szybko szła. Po około 5 minutach wracała tą samą drogą. Dzień później w okolicy godziny 23.00, będąc w domu, usłyszałem krótki krzyk. Otworzyłem okno i nasłuchiwałem. Na pewno był to krzyk kobiety. Przerażliwy, dochodzący od Dolnej Równi Krupowej. Moje okno w kuchni wychodzi na tę właśnie stronę. Krzyk się więcej nie powtórzył. Zamknąłem okno. Na drugi dzień, gdy policja zaczęła jeździć, dowiedziałem się, że doszło do zabójstwa.

Kiedy dziś Jacek B. wraca do tamtych wydarzeń, mówi, że wciąż słyszy ten krzyk.

– Krzyk zarzynanego człowieka – opowie mi po latach. – Mieszkałem sto metrów od tamtego miejsca, w dzień było ciepło, wszystkie okna pootwierane. I wówczas długi, straszliwy, przerażający wrzask. Ale tylko jeden. W tym czasie przechodziła pod oknami jakaś wycieczka. Tak się darli, że pewnie zagłuszyli ofiarę. Ja jestem człowiekiem dość odważnym. Gdybym usłyszał jeszcze jeden krzyk, wyszedłbym sprawdzić. I może mógłbym ją uratować. A tak pomyślałem, że nic się nie stało.

Czy B. był tym, który jako jeden z ostatnich widział Danutę? A dzień później słyszał jej krzyk? Co robiła niemal przed północą samotna, właśnie tam, przy Kościuszki w Zakopanem?

Zapamiętał jeszcze zagubienie części policjantów, którzy kluczyli ulicami, nie znając miasta (bo przyjechali z Nowego Sącza). – Odniosłem wrażenie kompletnego chaosu, pojechali nawet pod inny bank, a nie ten, gdzie zdarzyło się zabójstwo.

Prokuratura zamieszcza apel do dwóch świadków, którzy

mogli widzieć zabójcę. Prosi o kontakt kobietę, która 30 września około 7.00 rano na ulicy Chramcówki, jak ustalili policjanci, została zaatakowana przez nieznanego mężczyznę, który zranił ją w nogę. I kierowcę czerwonego fiata 125 p, który tamtego dnia około 7.30 zawoził do szpitala dwie kobiety. Jedna była ranna. Zapukała do pierwszych lepszych drzwi przerażona, że ktoś rzucił w nią hakiem i rozszarpał jej nogę. Drzwi otworzyła kobieta, która taksówką zawiozła ją do szpitala.

Ale nikt się nie zgłasza.

Jacek B.: – Panował ogólny strach, a w mieście wybuchła panika. Ludzie bali się wychodzić z domu, zeznawać. Byłem jednym z nielicznych, który odpowiadał na pytania policjantów.

Była też Stanisława M., pomoc kuchenna z Domu Wypoczynkowego Bristol.

4 października około godziny 18.40, po mszy w kościele na Chramcówkach, szła na dworzec PKS w Zakopanem. Idąc ulicą Chramcówki, zauważyła mężczyznę zmierzającego tą samą ulicą w dół. Sprawiał wrażenie pijanego. Zataczał się. Kiedy się zbliżył, usłyszała brzęk łańcucha, objanego o chodnik. Szedł przy siatce ogrodzeniowej, a ona częścią chodnika obok jezdni. W chwili gdy go mijała, mężczyzna wykonał łańcuchem koło, jak lassem nad głową, i rzucił tym łańcuchem w jej kierunku. Kobieta uskoczyła i uciekła.

„Łańcuch był nowy, świecący, cienki, z ogniwek w formie rozciągniętych kółek, długości około 1,5 metra” – zeznała. „Mężczyzna szczupły, średniego wzrostu, jakieś 30 lat, czapka z daszkiem, kurtka ciemnego koloru z czerwonymi wstawkami, jasne adidas. Byłam przerażona, schowałam się przy kiosku Ruchu. Mężczyzna poszedł dalej ulicą, nigdzie się nie spiesząc”.

Trzeci tom akt zabójstwa Danuty F. będzie nosił tytuł „De-

wiacje”. Policjanci, bezradnie kręcąc się w martwym punkcie, zaczynają sprawdzać, gdzie jeszcze na terenie kraju zdarzyło się podobne zgwałcenie ze szczególnym okrucieństwem.

Komenda Wojewódzka Policji z Kalisza pisze do KWP w Nowym Sączu, że na terenie województwa kaliskiego była sprawa, w której *modus operandi*, czyli sposób działania sprawcy, bardzo przypominał ten z Podhala: „Sprawca nie został ustalony, jednakże zebrane przez nas dane mogą naprowadzić na trop zabójcy i gwałciciela, jeżeli to ta sama osoba”.

Jelenia Góra, 3 grudnia 1993. Wydział kryminalny wykonuje tak zwane czynności sprawdzające w kierunku zabójstwa Danuty. Z notowań tutejszego wydziału informatyki wynika, że podobnego przestępstwa dopuścił się 22 marca 1992 niejaki Adam P.

„Z uwagi na wspólne cechy obu zdarzeń zwracamy się do Zakopanego z prośbą o wypożyczenie akt sprawy” – piszą policjanci.

Niestety, wszystkie tropy prowadzą donikąd.

Prokurator poddaje się 31 marca 1994 roku i umarza sprawę. Rozpatrzono kilka wersji: nieporozumienia rodzinne, zabójstwo przez osobę chorą psychicznie, analizowano też przypadki zabójstw z terenu Polski. Nic z tego.

Mężczyzna, który zamordował Danutę, atakował też inne kobiety. Mógł więc być seryjnym mordercą. A to będzie czuły punkt „archiwistów”, którzy chętnie mierzą się z rozwiązywaniem zwłaszcza seryjnych zabójstw.

*

Karol Suder nigdy nie zapomni słynnej sprawy „Inkasenta”, mężczyzny, który przedstawiał się jako pracownik elektrowni. Nazwie ją „jedną z większych porażek policji”. Był rok 1994.

Sprawca jeździł po Małopolsce i strzelał do ludzi, po czym niektórych okradał. Zabił trzy kobiety, mężczyznę i 7-letnie dziecko strzałem w głowę z przyłożenia. Praca nad tymi seryjnymi zabójstwami była dla Sudera preludium przed powstaniem Archiwum X.

– Naharowałem się przy tej sprawie, do dziś widzę wszystkie te ofiary. Wytypowaliśmy go, współpracowaliśmy z różnymi specjalistami od Ameryki po Europę. Wszystko wskazywało na to, żeśmy się nie pomylili.

Archiwum X zaczęło od skontaktowania się ze światowej sławy profilerem, Robertem Resslerem.

Ressler, twórca kryminalistycznego terminu „seryjny zabójca”, dosłużył się w amerykańskiej armii stopnia majora i w 1970 roku rozpoczął pracę w Federalnym Biurze Śledczym (FBI), gdzie był agentem przez następnych 30 lat. Kiedy dozwonił się do niego Karol Suder, Ressler od 4 lat był już na emeryturze. Miał własną firmę i pracował jako profiler. Na podstawie akt i pobytów na miejscach zbrodni typował osobowość sprawcy.

– Chciał do nas przyjechać – Suder zapamiętał, jakby to było dzisiaj. – Ale jak moi przełożeni dowiedzieli się, ile to będzie kosztowało, to powiedzieli mi, żebym sobie ten pomysł wybił z głowy. On chciał zarobić tylko sto dolców, bo to go pasjonowało. Ale jak się amerykański urząd podatkowy dowiedział, że leci do pracy, kazano mu zadeklarować zarobki. Reszta to były koszty przejazdu, kwaterunku i wyżywienia. W sumie jakieś osiem tysięcy dolarów. Kiedy z niego rezygnowałem, powiedział: „Domyślam się, skąd jesteś”. Amerykanie traktowali nas wtedy trochę jak Trzeci Świat. Zaproponował mi jednak swojego ucznia, psychologa i analityka kryminalnego Thomasa Müllera z Wiednia. Austriacy pokryli jego koszty transportu, bo nasi przełożeni

nie byli w stanie zrozumieć, że człowiek nie chce jechać samochodem, tylko koleją.

Austriak przyjechał na 3 dni. Najpierw analizował sprawę, bo policjanci chcieli, żeby im pomógł w „rozwaleniu podejrzanego, który przestał z nimi współpracować”.

Suder: – Miał nam podpowiedzieć, jak go rozgryźć.

Podejrzany, były milicjant, którego bronił słynny mecenas Jan Widacki, był jedną z 5876 wytypowanych osób. Żeby powiązać go z ofiarami, wykonano niemal trzysta prób osmologicznych, porównując jego zapach z tym pozostawionym na miejscu zbrodni. Jego los zależał od merdnięcia psiego ogona.

– Ale dostaliśmy gola w sądzie – Suder do dziś ma poczucie klęski – bo się okazało, że to jednak nie był on. Kiedy sprawa została umorzona, jeden z szefów nam polecił, żeby całe akta przekazać do analizy kryminalnej.

Po dwóch miesiącach się poddali. Przez ten czas uzbierało się z dwieście tomów samego materiału procesowego. Seryjnego mordercy nie znaleźli.

W 2001 roku niedoszły Inkasent dostał od polskiego państwa odszkodowanie w wysokości 84 tysięcy złotych za przeszło dwa lata spędzone w więzieniu. Podczas procesu okazało się, że przed badaniami nikt nie sprawdził, czy zapach tego człowieka był atrakcyjny dla psów do tego stopnia, że szkolone do pracy czworonogi wskazywały tylko na jego próbkę.

Inkasent tuż potem przestał zabijać i przeszedł do historii niczym amerykański Zodiak, który zabił pięć osób, ale twierdził, że zamordował 36. Nigdy nie poniósł kary.

*

Kraków, 2004. Karol Suder przechodzi na emeryturę. Archiwum X, które wymyślił, rozwiązało od 1999 roku trzynaście

beznadziejnych spraw. Od zabójstwa Danuty F. mijał już rok jedynasty. Archiwum mimo to nie odpuszczało.

W pewnym momencie do Sudera dzwoni Bogdan Michalec:

– Panie naczelniku, kończę Danutę F. Tak zwaną sprawę Hakowego, bo tam, na podudziu kobiety, były obrażenia od haka.

– Nikt do niej na pewno nie wróci – odparł świeżo upieczony emeryt.

– Daję sobie jeszcze dziesięć dni. A może byśmy tę sprawę nagłośnili w mediach?

– Dobry pomysł.

Michalec występuje w fabularyzowanym dokumencie kryminalnym Telewizji Polsat „Bez przedawnienia”. Bardzo szybko zabójcę Danuty media okrzykują Hakowym.

3 października 2004. Do Komendy Powiatowej w Krakowie zgłasza się Marta S. (rocznik '67), matka półtorarocznego Kacpra. Jest roztrzęsiona. Na komisariat przyjechała z siostrą. Zdumionemu policjantowi dość chaotycznie zaczyna opowiadać, że nagle, po powrocie z wakacji w Juracie, 18 września, jej mąż, Piotr S., lat 39, zaczął się dziwnie zachowywać. Był bardzo przygnębiony. Obsesyjnie słuchał Radia Maryja, choć odkąd są małżeństwem, a to już 3 lata, i mieszkają w Krakowie, nie chodził do kościoła nawet w święta.

No więc mąż kobiety lubił oglądać wszelkie programy informacyjne i tak zwane policyjna-kryminalne, jak „W11”, „Pod napęciem” i inne o zabójstwach i gwałtach. Oglądanie nasiliło się po przyjściu na świat dziecka. Wcześniej nie miał na to czasu. Najpierw meblowali mieszkanie, potem musiał za nią sprzątać i dźwigać zakupy. Nigdy po programach nie zmieniał swojego zachowania. Niczego nie komentował. Aż zniemacka doszedł do wniosku, że został powołany do nawracania ludzi.

Ostępiały policjant notował wszystko na kartkach. Kobieta rozplakała się:

– W końcu zaczęłam wypytywać, co się stało. Myślałam, że chodzi o jakieś zwolnienia w pracy. Mąż pracuje w EmiTel Kraków [operator usług radio- i telekomunikacyjnych – I.M.]. Jak się poznaliśmy, 8 lat temu, był instruktorem w Radiowo- Telewizyjnym Ośrodku Nadawczym na Gubałówce w Zakopanem. „Powiem ci wieczorem” – rzucił do mnie, ale ja nalegałam. Więc wstał, zapalił papierosa, złapał mnie za rękę i powiedział: „Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Oglądałem program »Bez przedawnienia«, w którym opowiadano o zabójstwie kobiety w Zakopanem. Boję się”.

Tu zniżył głos do szeptu.

„Obudziłem się obok jakiejś dziewczyny leżącej na łące i uciekłem. A potem dowiedziałem się, że została zamordowana. Przesłuchiwała mnie policja, jak wszystkich w tamtym barze, ja jej nie widziałem, bo siedziała za moimi plecami”.

Wszystko, co nastąpi potem, rozegra się w ciągu jednej doby.

Piotr nie komentował programu. Nie mówił, że policja źle przedstawiła przebieg zabójstwa. Skupił się na końcówce, w której była mowa, że policjanci mają nowe ślady i że sprawa została przekazana do Krakowa..

Marta połyka łyż. Cała dygoce. Słyszy swój własny głos, któremu zdaje się nie dowierzać. Jakby mówił za nią ktoś inny.

– Pocięczałam go. Mówiłam, że to może nie mieć żadnego związku ze sprawą, że się obok niej obudził. Ale stopniowo zaczęłam wyciągać z Piotra całą historię. Tym bardziej że zaczął mocno popijać, więcej palił i wyraźnie zrozumiałam, że on się boi. Był całkowicie pewny, że zabił tę kobietę. Tłumaczył mi, że

jak się przyzna, to będę musiała zmienić miejsce zamieszkania, bo ktoś z jej rodziny mógłby się mścić.

Program „Bez przedawnienia” był dzień przed naszym wyjazdem, a więc 10 września.

Faktycznie: ja się pakowałam, a on coś długo oglądał. Zapytałam, czemu dopiero teraz o tym mówi. Byliśmy przecież na wczasach. Odparł, że w drodze powrotnej widział w pociągu policjantów i bał się, że go śledzą. Przypomniałam sobie, że siedzieli z nami w przedziale policjanci w mundurach. Wtedy, w pociągu, mąż opuszczał przedział pod różnymi pretekstami. To szedł do Warszawy, to do toalety, a najczęściej zapalić. „Nie bądź za skoczona, jak po mnie przyjdą” – szeptał mi potem do ucha.

Nakłaniałam go, by poszedł na policję. Powiedział, że potrzebuje czasu na przemyślenie. Najpierw pójdzie do notariusza przepisać na mnie samochód, żebyśmy mieli z synem za co żyć.

– Opowiedz o tym ojcu. Może coś poradzi – prosiłam. Ale nie chciał. W rezultacie zrozumiałam, że się nie zgłosi. „Nie będę mogła z tym żyć” – przyznałam się. Wtedy tak na mnie popatrzył, że bardzo źle to odebrałam. Było to spojrzenie, którego się wystraszyłam. Pomyślałam, że jestem jedyną osobą, która o tym wie, a on bardzo się boi, więc może mnie uciszyć. Teraz to ja zaczęłam się bać.

Piotr powoli snuł już plany ucieczki za granicę, ale Marta zauważyła, że kontakt z nim był coraz bardziej utrudniony. Gorliwie się modlił. W pracy, mówili koledzy, któregoś dnia wyciągnął różaniec. Jego myśli przestały za sobą nadążać. Zaczynał mówić od rzeczy. Miał obsesję podsłuchów, bo w programie podano, że odkąd sprawę przejął Kraków, są nowe dowody. I lada chwila znajdą sprawcę, żeby nie czuł się bezkarny.

Następnego dnia po rozmowie z żoną pamięć Piotra oszale-

je. Powie Marcie, że dziewczyna spała na ławce, a oni z kolegami zrobili jej numer i przenieśli na trawę. Obudziła się. Bał się, że go rozpozna. Mocno zacisnął palce na jej szyi...

Nie, nie. Podszedł do jakiejś dziewczyny, chciał porozmawiać. Zaczęła krzyczeć, więc zakrył jej ręką usta...

Nie!

Wspólnie z bratem i jeszcze jakimś policjantem opijali kredyt. Chodzili po mieście od knajpy do knajpy. Ona była w barze Green, ale jej nie widział. Siedział tyłem do drzwi. Potem stała na drodze, jak duch. Osunęła się zniecacka na ziemię, więc przeniósł ją na trawę. Potem... Potem przestraszyła się. Krzyczała. Jak udusił, włożył jej coś do pochwy. Butelkę? Patyk?

Marta: – Powiedział, że chciał oddalić od siebie podejrzania. Żeby policja pomyślała, że to jakiś zboczeniec. Mnie zatkało. Przeraziłam się. Nie zadawałam więcej pytań.

Nikt nie potrafi wyobrazić sobie tego uczucia paniki, kiedy nagle okazuje się, że człowiek, z którym żyjesz, otwiera przed tobą bramy piekieł. Marta w sobie tylko wiadomym przerażeniu zabrała z domu dziecko i psa. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała:

– Idziesz opowiedzieć siostrze?

– Nie – odparła. I wyszła.

Bała się, że nie zdąży.

Do siostry pojechała taksówką. Opowiedziała o wszystkim, po czym obie kobiety, skurczone z bólu jak suche liście, zjawiły się na policji.

– Jestem świadoma tego, co robię – zwróciła się Marta do ośłupiałego policjanta. – Powiedziałam wszystko, jak na spowiedzi. Zdaję sobie sprawę, że dotyczy to mojego męża, ojca mojego dziecka. Jednak decyduję się na te zeznania, choć jest mi

bardzo ciężko.

Policjant pochylił się nad kartką papieru i zapisał:

„Z urzędu stwierdza się, że świadek rozplakał się i jest bardzo zdenerwowany”.

– Gdybym tego nie zrobiła – szlochała Marta – czułabym się współwinną. Nie potrafię tego zataić, zdusić w sobie. Piotr mi powiedział, że dopiero z tego programu dowiedział się, że ta dziewczyna była w ciąży.

*

Policjant, który odebrał zeznania kobiety, też oglądał program „Bez przedawnienia”. Dlatego wykaże się dużym rozsądkiem, choć pozornie trudno było w to wszystko uwierzyć.

Podniesie jednak słuchawkę i zadzwoni do Krakowa, na Mogiłską. Tam, gdzie swoją siedzibę ma Archiwum X. Jeszcze tego samego dnia, 3 października 2004, tuż przed godziną 16.00, Bogdan Michalec i inni członkowie grupy zapukają do drzwi mieszkania małżeństwa S. w Krakowie.

Piotr S. otwiera drzwi, pokazują mu blachy i przeszukują mieszkanie. Podejrzanego o zabójstwo zabierają na przesłuchanie. S. nie protestuje. Nie będzie składał do sądu zażalenia na zatrzymanie, prosi tylko, by powiadomić żonę. Jest przeziębiony i leczy się na nadciśnienie.

Wieczorem policjanci znów słuchają Marty S.

– Kiedy się poznaliśmy w ośrodku radio-telewizyjnym na Gubałówce, Piotr był kawalerem – relacjonuje kobieta. – Mieszkał u rodziców w Zakopanem. W Krakowie mieszkamy razem od czasu ślubu w 2001 roku.

Piotr S. nigdy wcześniej nie był leczony psychiatrycznie. Na tamtą chwilę zarabiał miesięcznie 3,5 tysiąca złotych. Stan po-

siadania: roczny samochód marki Golf. Nie był wcześniej karany. W latach osiemdziesiątych cierpiał na dyskopatię, więc był u neurologa.

Na wszelki wypadek nie przyznaje się do winy, bo nie jest całkiem pewien, co się stało tamtej nocy.

– Pamiętam wycinkowo, że w tamtym czasie brałem pożyczkę w banku na swoje nazwisko, ale miał ją otrzymać mój brat, Janusz – zaczyna. – On załatwił żyranta, swojego kolegę, oficera UOP o imieniu Kazimierz. Nazwiska nie znam. Brat go znał, bo w tamtym okresie pracował jako palacz w delegaturze UOP w Zakopanem. Poszliśmy do Domu Turysty, żeby świętować transakcję. Janusz poszedł, a my przenieśliśmy się do drink-baru o nazwie Green. Teraz tego baru już tam przy Zborowskiego nie ma. Jest agencja towarzyska. Potem byliśmy jeszcze w dwóch miejscach. W ostatnim nie wiem, czy byłem sam, czy z Kazimierzem. Dużo wypłem.

Jak szedłem do lokalu o nazwie Dworek [niedaleko banku, pod którym znaleziono ciało – I.M.], przy Kościuszki stała jakaś dziewczyna. Podszedłem i chciałem z nią porozmawiać, ale zaczęła krzyczeć. Powiedziałem jej, że nic jej nie grozi, i chciałem iść chyba w inną stronę, ale nie pamiętam, co się stało. Rozmawiałem z nią na ławce przy Kościuszki. Chyba o życiu. Żaliłem się na życie. Nie pamiętam, co do niej mówiłem. Potem zasnąłem na tej ławce. Jak się ocknąłem, zobaczyłem, że ona leży na tej samej ławce, a ja mogłem jej coś zrobić. Dusić albo co innego złego.

Szło jakichś dwóch pijanych młodych mężczyzn. Powiedziałem: zrobimy kawał tej dziewczynie i przeniesiemy ją na łąkę. Pamiętam, że ją chyba przenieśliśmy w trójkę, nie jestem w stanie powiedzieć, czy ta dziewczyna żyła.

Pamiętam, że potem ktoś (być może ja, nie wypieram się

tego) wkładał tej dziewczynie butelkę do majtek.

Dziewczyna nie ruszała się. Nie broniła. To była chyba butelka po piwie. Znaleźliśmy ją na łące. Potem poszedłem, ale wróciłem, bo pomyślałem, że na tej butelce będą odciski palców. Wyjąłem więc i w to miejsce włożyłem patyk. Butelkę wyrzuciłem gdzieś po drodze. Postanowiłem nie iść do domu, tylko dalej chlać. Oprócz butelki wyrzuciłem chyba dokumenty wraz z notatnikiem. Uznałem, że i tak mi nie będą potrzebne, bo jak policja znajdzie na nich moje odciski palców, to mnie zamkną. Rano się obudziłem, nie pamiętam gdzie, i poszedłem do banku zastrzec karty. W międzyczasie znalazły się dokumenty, ktoś je dał mojemu ojcu.

Janusz, brat Piotra, rzeczywiście w tamtym czasie potrzebował pieniędzy:

– W roku 1993 prowadziłem własną działalność gospodarczą, cukierenkę w Kościelisku, w wynajętym lokalu. Żeby funkcjonowała, musiałem wziąć pożyczkę, ale nie miałem zdolności kredytowej. Piotr wziął dla mnie tę pożyczkę na siebie w Banku Śląskim. Żyrantem był mój znajomy z UOP w Zakopanem.

Śledczym jednak wówczas coś ewidentnie umknęło. Nie przejrzeliby okolicznych śmietników? Czy był z Piotrem ktoś jeszcze?

– Czy pamięta pan, aby Piotrkowi zaginęły dokumenty? – spytają po latach policjanci z Archiwum X ojca Piotra.

– Tak, przypominam sobie taką sytuację. Piotrek powiedział mi, że był na piwie z kolegami. Nie powiedział z kim. I dodał, że chyba mu ktoś tam dosypał do piwa jakiegoś narkotyku, bo stracił orientację. Pamiętam, przyszedł do domu i był podrapany po twarzy. Nie kojarzę już, jak wyglądało jego ubranie. Czuło było od niego alkohol. Nie było z nim kontaktu. Dziwnie się za-

chowywał, w związku z czym zaprowadziłem go do pokoju. Następnego dnia powiedział, że nie ma dokumentów i że został napadnięty przez chuliganów pod Domem Towarowym w Zakopanem przy Kościuszki. Napastnicy mieli mu zabrać dokumenty. Na policję nie zgłosił, bo znalazł je mój znajomy w śmietniku, przy chodniku przy łąkach na Równi Krupowej. To był przypadek. Zbierał puszki.

Piotr S.: – Następnego dnia wszyscy mówili o zabójstwie kobiety i świtało mi, że mogłem być w to zamieszany. Jak wróciłem do domu, to zadzwonił jakiś oficer policji i zapytał, czy byłem z tym Kazimierzem z UOP-u w Green Barze. Powiedziałem, że tak. Poszedłem na policję, a tam mnie pytali, czy widziałem kobietę ze zdjęcia. Nie kojarzyłem, żeby ta dziewczyna z ławki była tą ze zdjęcia. Oficer mi powiedział, że ten Kazimierz chyba widział w barze tę kobietę. Ale ja nie widziałem. Wtedy miałem niepokój i nadużywałem alkoholu. Potem policja więcej nie przychodziła w tej sprawie. Z nikim też nie rozmawiałem na temat tego zabójstwa. Chyba brakło mi odwagi.

Janusz, który również był z nim wtedy, zezna, że wypili po cztery piwa i rozeszli się do domów. Tylko Piotr został. On, Janusz, nie mógł imprezować po nocach. Pracował w cukierni od pierwszej do siódmej rano, a od 13.00 rozwoził wypieki po sklepach. Wieczorem musiał odpoczywać.

Doświadczeni policjanci zwykli mawiać, że zabójca w większości przypadków znajduje się w pierwszych tomach akt sprawy. Tak było i z Piotrem S.

4 października 2004 roku prokurator na nowo podejmuje śledztwo. Tego samego dnia przedstawia Piotrowi S. zarzut zabicia Danuty i wspólnie z policjantami z Archiwum X zaczyna przyglądać się całemu jego życiu.

Piotr miał dwóch braci bliźniaków: Janusza i Andrzeja. W

podstawówce uczył się bardzo dobrze i nie sprawiał żadnych kłopotów.

Piotr D., kolega ze szkoły:

– Chodziliśmy razem do podstawówki, ale do różnych klas. Piotrek brał udział w szkolnych olimpiadach. Od niego wiem, że w wojewódzkiej olimpiadzie z fizyki zajął trzecie miejsce. To był umysł ścisły.

Przypominam sobie zdarzenie, które opowiadali mi jego koledzy z klasy. Podczas jednej z klasówek z matematyki pozwolił wszystkim ściągnąć od siebie zadania. Tyle że kiedy zbliżał się koniec lekcji. Piotrek oznajmił: „Ale tu jest błąd, wszystko jest źle”. Po czym sam szybko rozwiązał zadanie, dostał 5, a reszta dwójki. Nie pamiętam, czy koledzy byli pełni podziwu, że rozwiązał to tak szybko, czy też przedstawiali mi to zdarzenie jako rodzaj celowej złośliwości.

Ze szkoły pamiętam go jako dobrego ucznia, ale mającego jakąś taką nerwowość. Jak graliśmy w piłkę, to zachowywał się tak, jakbyśmy walczyli o przysłowiowe „złote gacie”. Strasznie przeżywał każdą utratę piłki. Nie był jednak agresywny i nie faulował. Tę nerwowość było widać po jego chodzie – takim przyciężkim. Zapamiętałem go jako chłopaka rzeczowego, konkretnego, który nigdy nie konfabulował.

Janusz, jeden z braci Piotra: – Nasze relacje nie były szczególnie bliskie. Wynikało to z charakteru Piotrka i tego, że był zamknięty w sobie. Izolował się. Często zamykał się sam w pokoju i siedział nad książką. Z moim bratem Andrzejem zawsze i chętnie chodziliśmy do osiedlowej świetlicy, a Piotrek nie lubił tam chodzić. Był jakby „osobno”. Nie sprawiał kłopotów wychowawczych. Najlepiej też z naszej trójki się uczył.

W 1980 roku Piotr S. poszedł do Zawodowej Szkoły Łączno-

ści w Krakowie, potem do technikum. Równolegle zaczął pracować w radio-przekazniku na Gubałówce. Technikum Łączności skończył zaocznie, z wynikiem bardzo dobrym. Choć dość przystojny, o pociągłej twarzy i efektownie wykrojonych ustach, lekko się zaciął, wstydził dziewczyn i z żadną nie chodził. Interesował się tylko nauką, kupował książki na temat komputerów. Bardzo skryty. Nigdy nie zwierzał się ani matce, ani ojcu.

Piotr D.: – Kiedy byliśmy w podstawówce, jako jeden z pierwszych miał komputer. Dlatego często bywałem u niego, w domu. Był bardzo dobry z informatyki. Nigdy jednak nie chciał chodzić z nami na dyskoteki. Jeździliśmy do Domu Wczasowego Hyrny lub do Kościeliska, ale w końcu przestaliśmy mu te wypadu proponować. Nie wiem, z czego to wynikało, ale dziewczyny i seks go nie interesowały, choć chłopcy między sobą o tym gadali.

Marta, żona Piotra, powie śledczym, że była pierwszą kobietą w jego życiu.

Poznali się 10 lat wcześniej. Był rok 1994.

– Wypoczywałam w Zakopanem na Gubałówce w ośrodku telewizyjnym z moją siostrzenicą. Jakiemuś pracownikowi ona się spodobała, a Piotrek zszedł zobaczyć, która to dziewczyna. Kiedy go poznałam, był pijany i miał na nogach czarne skarpety. Był też namolny i nie chciał opuścić pokoju. Nie mogłam zamknąć drzwi. Następnego dnia, już trzeźwy, przyszedł nas przeprosić. I wtedy mi powiedział, że chciał tylko zobaczyć dziewczynę, która spodobała się jego koledze.

W ten sposób, chcąc nie chcąc, złapał Martę na haczyk. Im bardziej jej unikał, tym mocniej Marta nalegała na kontakty. Była ciekawa, dlaczego nie miał dziewczyn.

– Chcę żyć inaczej – mówił jej. – Interesują mnie sprawy teo-

logiczne.

W końcu Marta odpuściła. Przez 2 lata panowała między nimi cisza, aż do chwili, gdy przerwał ją dzwonek telefonu. Piotr zaproponował spotkanie. Kolejne miesiące widywali się głównie w weekendy i w trakcie urlopów. Raz ona jeździła do Zakopanego, raz on do niej, do Krakowa.

Dwa razy pojechali razem na wczasy nad morze. Do Ustki i Łeby. Bywali też w Ustroniu Morskim i Juracie. Miesiące przerodziły się w lata. 4 października 2000 roku wzięli ślub.

- Czy Piotr był religijny? - zapytają policjanci ojca. Już wiedzą, że przed ślubem nie współżył ze swoją dziewczyną. Wołał się przytulić, i to też jej się w nim podobało.

- Jak najbardziej. Do 28 roku życia był lektorem w starym kościółku w Zakopanem. Wcześniej służył tam jako ministrant.

Opiekował się nim ksiądz Zbigniew Wiśniewski (już nie żyje). Często mi mówił, że Piotrek jest jego prawą ręką.

Piotr D., kolega z podstawówki: - Razem byliśmy ministrantami. Z tym że ja po ślubie przestałem służyć, a on nadal był ministrantem. Ale nie fanatykiem, o tym nie może być mowy. Ksiądz Wiśniewski, stary kustosz zakopiańskiego kościółka, miał na niego duży wpływ. Czasem pomagaliśmy mu dojść do kościoła, bo miał problemy z chodzeniem. Piotrek nigdy nie mówił, że chciałby zostać księdzem. Ta religijność była odpowiednia do wieku, w jakim się znajdowaliśmy.

Dlaczego miałyby zabić kobietę w ciąży? Co było w jego osobowości nie tak? Jaką nosił w sobie wadę albo tajemnicę? Przecież był życzliwy. Krążył po całym Zakopanem i naprawiał ludziom sprzęty RTV. Po tej zbrodni nikt nie wierzył, żeby to on właśnie zabił. Ludzie opowiadali to odważnie dziennikarzom z całej Polski.

18 października 2004 roku policja jedzie do miejsca pracy Piotra – Krajowego Centrum Nadzoru (wówczas) Telekomunikacji Polskiej EmiTel – i przeszukuje jego biurko i szafki. Przy okazji policjanci dowiadują się, że Piotr był postrzegany jako pracownik doświadczony, wartościowy, koleżeński i uczynny. Nikt nie zauważył u niego niczego niepokojącego. Nigdy wcześniej nie zdradzał też nadmiernej religijności. Nadzorował wszystkie nadajniki RTV na terenie Polski, wraz z monitorowaniem nieprawidłowości ich pracy i usterek. W razie gdyby wystąpiły, miał podejmować próbę ich usunięcia komputerowo przez system, jeśli nie – wysyłał ekipę techniczną. Czasem potrzebował wsparcia kogoś zajmującego wyższe stanowisko. Praca Piotra wymagała wiedzy i dużego doświadczenia, w tym informatycznego.

Coś jednak musiało być nie tak.

Podczas jednego z przesłuchań, które prowadził Bogdan Michalec z Archiwum X, nagle w Piotrze otworzyła się przestrzeń, dotychczas niedostępna dla nikogo.

– Pamiętam, że kiedyś mieliśmy zbiórkę ministrancką w dawnej organistówce, starym budynku przy kościele... – zaczął Piotr, jękając się co drugie słowo – ... tam, gdzie odbywały się katechezy. Oglądaliśmy film z projektora. Na sali było ciemno. Jeden z księży wziął mnie wtedy na kolana i w pewnym momencie wsunął mi rękę do spodni, a potem do majtek... dotykał po genitaliach. Coś mi tam robił. Zgłupiałem. Nie wiedziałem, o co chodzi. Pamiętam, że mnie strasznie bolało. To się zdarzyło, zanim w ogóle zacząłem się masturbować. Nie chciałem o tym nikomu mówić, bo bałem się sypanąć księdza.

– Rozmawiałeś z kimś wcześniej na ten temat? – dopytywał policjant.

– Nie. Pan jest pierwszą osobą.

- To był jedyny kontakt z księdzem?
- Potem jeszcze się widzieliśmy. Po zakończeniu zawodówki. Opowiem później.

*

Jest rok 1987. Piotr z kolegą. Piotrem D., jadą do Krakowa na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. W toalecie, w przejściu podziemnym koło dworca, spotykają katolickiego księdza, lat około 50. Piotrek mówi koledze, że zna duchownego z internatu szkoły zawodowej, gdzie się uczył.

Chłopcy mają w planie trochę pokręcić się po Krakowie, a potem ruszyć na Błonia, żeby zająć dobre miejsca podczas papieskiej mszy.

Ksiądz proponuje nocleg. Mieszka przy ulicy Stradomskiej, w sercu miasta. W kamienicy po lekkim skosie od kościoła Nawrócenia św. Pawła. Chłopcy będą mogli pójść przy okazji na Rynek Główny. W pobliżu Wawel i Wisła.

Piotr D. zapamiętał, że było to mieszkanie na pierwszym lub drugim piętrze. Pokój z łazienką.

- Ten mężczyzna, ksiądz, miał taki ołtarzyk. Nikogo w domu nie było. Przypominam sobie, że gdy poszedłem się do łazienki wykąpać, okazało się, że nie ma tam klamek. Zrezygnowałem z kąpeli, bo ten ksiądz ciągle się kręcił w pobliżu. Mówił o sobie, że jest księdzem, nie pracuje w żadnej parafii, bo jest chory, i dlatego sam mieszka. W tym jego pokoju był ołtarzyk. Odprawił mszę, wkładając na głowę nakrycie biskupa. W nocy dobierał się do mnie i Piotra. Spaliśmy na rozłożonych trzech materacach: ksiądz od ściany, potem Piotrek i ja. Z tego, co słyszałem z odgłosów i ruchów, ten ksiądz odbył z Piotrkiem stosunek seksualny. W jakiej formie - nie pamiętam. Potem powiedziałem Piotrkowi, że ten ksiądz się do mnie dobierał. Ale on twierdził,

że spał i niczego nie czuł.

Byłem zaszokowany tym zdarzeniem. Nie spałem całą noc. Wstydziłem się tego, co się stało. Po raz pierwszy zetknąłem się z sytuacją, żeby dobierał się do mnie mężczyzna, i do tego podając się za księdza. Nie mieliśmy nawet 18 lat.

Przesłuchiwany przez policjantów świadek panicznie odmawia ścigania księdza. Sprawa jest dla niego zbyt wstydliva mimo upływu lat. Nie chce niepotrzebnego rozgłosu ani grzebania w czeluściach pamięci. „Proszę o utajnienie tych informacji – mówi – aby nikt postronny się o nich nie dowiedział”.

Z pewnością molestowanie w dzieciństwie będzie dla Piotra jak dotyk diabła: całkowicie zaburzy okres jego dojrzewania, w którym przytulał się do nagich kobiet w kolorowych czasopiśmie przynoszonych do domu przez ojca.

Zniszczy zaufanie do ludzi. Zamknie go w sobie. Nauczy lęku przed kobietami i odbierze poczucie własnej wartości. Niczym kamyk po latach nagłe uruchomi niespodziewaną, lawinę.

Drugim krokiem w przepaść stanie się alkohol. Marta zapytana o życie intymne powie, że Piotr „gdy dużo wypił, zachowywał się dziwnie: nie chciał się kłaść, mówił do siebie, zasypiał z papierosem. Gdy miał ochotę na seks, to prosił, by szybko dochodziło do współżycia, bez gry wstępnej, bo podniecenie szybko mu przechodziło”.

Janusz, jego brat, przyzna, że gdy Piotr wypił alkohol, mówił od rzeczy. Nikogo to nie dziwiło, bo po alkoholu ludzie różnie się zachowują. Ale z nim było trochę inaczej.

– Pamiętam, że mówił niestworzone rzeczy – wspomina Janusz. – Coś o „czerwonych”, czyli komunistach, o UFO i Marsjanach. To, co mówił, nie trzymało się kupy. Miał słabą głowę. Często wybuchał śmiechem bez powodu albo śmiał się z rzeczy,

które innych nie śmieszyły. Na imprezie u koleżanki mojej żony (kiedy ja byłem w wojsku) Piotrek strasznie się upił i wyrąbał siekierą drzwi, bo go zamknęły w pokoju, a on chciał wyjść. Tak długo rąbał, aż wyszedł. Ale żona powiedziała mi o tym dopiero w 2004 roku, po jego zatrzymaniu.

Żona Janusza: – Piotr bardzo się zmieniał po alkoholu. Nie był agresywny, ale zachowywał się bardzo głośno. Wtedy też mówił w dziwny sposób, zdania były nielogiczne, nie powiązane ze sobą. Od razu pojawiała się określenie „czerwoni atakują”. Zawsze mówił na nich „oni”. I ci „oni” ciągle w czymś mu przeszkadzali. Ale kim byli – nigdy się nie dowiedziałam.

Piotr D., który przyjaźnił się z Piotrem: – Po alkoholu się z nim nie spotykałem. Wynikało to z krążącej opinii, że lepiej z nim wypić dwa, trzy piwa, a potem uciekać, bo wtedy Piotrek wariuje. Po alkoholu stawał się podobno agresywny. Widziałem, jak kiedyś w sklepie kupował piwo, ale był już „chwycony”, i do kasjerki podeszła matka Piotrka: „Jak mu pani sprzeda, to zadzwonię na policję, bo on już jest pijany” Starła się go pilnować. Miał też taki tik nerwowy, że w pewnych momentach poruszał głową na bok łub ją przekrzywiał. Nie wiem, na jakim tle to było.

– Robiłem wiele złego wielu dziewczynom. Robiłem im krzywdę tym... hakiem – powie Piotr podczas kolejnego przesłuchania policjantom z Archiwum X.

– Ile było tych dziewczyn?

– Wiele.

– Jedna? Dwie?

– Więcej.

– Ile więcej?

– Dużo.

– Co to znaczy dużo. Więcej niż palców u rąk?

– Tak. Chcę o tym wszystkim powiedzieć, ale boję się przyznania do winy. Boję się, że jestem Hakowy. Chcę się też wyświadczyć. W ogóle się zastanawiam, czy to coś złego, że ktoś ma zbyt duży popęd seksualny.

– Opowiesz o tym? Skąd znasz określenie „Hakowy”?

– Czytałem w gazecie. To ja jestem tym Hakowym. Byłem w wielu miastach: Zakopanem, Krakowie, Juracie, Rzeszowie. Chcę wziąć udział w wizji lokalnej i pokazać policji miejsca związane z wydarzeniami tamtej nocy. A w szczególności ławkę, na której leżała dziewczyna. I tę ławkę.

Na krótkich fragmentach filmu z wizji lokalnej, które można obejrzeć w cyklu TVN „Archiwum X. Śledztwa po latach”, widać Piotra S. zachowującego się jak ktoś, kto ma problemy z koordynacją mowy. Mężczyzna wyrzuca z siebie wyrazy, przecinając je natrętnie krótkim „yhy” Ni to chrząknięciem, ni jękaniem. W niczym nie przypomina chłopaka z dawnych lat: zgarbiony, lekko łysiejący, zaniedbany. Nosi w sobie jakiś bliżej nieokreślony chaos. Pokazuje, gdzie spotkał dziewczynę (siada na ławce), mówi, że krzyczała, ale że nic jej nie zrobił.

Policjanci jednak dochodzą do wniosku, że posiada informacje, które mógł znać tylko sprawca. Kolejny raz mówi:

– Wróciłem do domu po jakieś narzędzie, poszedłem do tej dziewczyny leżącej na łące i zacząłem ją tym narzędziem dźgać. Przyszło mi do głowy, żeby zrobić numer policji i żeby pomyśleli, że mają tutaj Kubę Rozpruwacza. Potem przeskoczyłem przez płot. Narzędzie wyrzuciłem gdzieś do kosza na śmieci.

Po programie ruszyło mnie sumienie i postanowiłem wyprostować sprawę. Chciałbym powiedzieć, że żał mi tej kobiety, jej rodziny, mojej rodziny i proszę o przebaczenie.

W tym miejscu Piotr zaczyna płakać.

– Skąd w ogóle pomysł używania takiego narzędzia? – pytają policjanci.

– Przeczytałem o Kubie Rozpruwaczu w jednej gazecie, kryminalnej. W pracy na Gubałówce. Dyżur wtedy miałem. Chyba na „d” był jej tytuł.

– „Detektyw”?

– Nie pamiętam. Wtedy w pracy planowałem, co będę robił. W ogóle od czasu, gdy byłem mały i byłem ministrantem, chciałem być taki sam, jak Pan Jezus.

Ale żadnego narzędzia zbrodni, podobnie jak i haka, którym mógł zadać cios Danucie, śledczy nigdy nie odnajdą. Zauważą natomiast podczas przesłuchań, że Piotr zachowuje się dość dziwnie, i zaczną mieć wątpliwości, czy jest poczytalny.

7 października 2004 prokurator z Prokuratury Rejonowej prowadzący sprawę – Krzysztof Knapik – powołuje biegłego psychiatrę, doktora Stanisława Teleśnickiego, na okoliczność „czy podejrzany miał zdolność rozpoznania tego, co zrobił, i świadomego tym kierowania” oraz „jaki jest jego stan psychiczny i czy pozwala mu na udział w czynnościach procesowych”.

Lekarze obserwują Piotra S. na terenie Aresztu Śledczego w Krakowie.

Zauważają, że chętnie przychodzi do gabinetu, tak samo odpowiada na pytania, podczas rozmowy pochrząkuje i tikowo mruga okiem. Mówi, że nigdy wcześniej nie miał kontaktu z psychiatrą, tak jak pociągu seksualnego do mężczyzn i dzieci. Atmosferę w domu określa jako niezbyt dobrą, często dochodzi do konfliktów między nim a żoną, z błahych powodów. Uważa, że „syn jest jakiś dziwny, może genetycznie odziedziczył to po mnie”.

Przyznaje, że w dzieciństwie ksiądz próbował go wykorzystać seksualnie, zwabiając do mieszkania.

„Przeżywa to jako wykorzystanie seksualne z przemocą” – notuje doktor Teleśnicki, psychiatra.

Pamięta jakieś spotkanie na Równi Krupowej. Że była tam kobieta.

„Skusiło mnie chyba ciało tej kobiety” – powie lekarzowi.

Dusił ją za domem, a potem ugodził nożem.

Nie wie, skąd wziął nóż. Lekarze z kolei nie stwierdzili na ciele ofiary śladów duszenia.

11 października 2004 roku Piotr S. zgadza się na badania wariograficzne. Ma nadzieję, że to pomoże mu przypomnieć sobie szczegóły zbrodni. I kto jeszcze przy niej był.

Bo wydaje mu się, że był. W trakcie przesłuchań wymienia kilka imion, mówi „my”: „przenieśliśmy”, „zrobiliśmy”, „zaskoczmy”.

Specjalista, Jacek Bieńkuński, poligrafer z wieloletnim doświadczeniem, współpracujący często z Archiwum X, stosuje wobec niego badanie na tak zwany kompleks winy, by ustalić, czy Piotr przyznaje się do zbrodni, których nie popełnił.

Pracuje na amerykańskim sprzęcie firmy Lafayette. Kupił go w 2003 roku jako pierwsza osoba prywatna w Polsce. Wcześniej poligraf tego typu posiadały jedynie służby mundurowe.

Wyjaśnia: – Żeby takim urządzeniem dysponować, należało uzyskać zgodę departamentu stanu kontroli eksportu USA. Wariograf nie ma nic wspólnego z wykrywaniem kłamstw. Badania poligraficzne są jedną z metod pracy wykrywczej, którą zajmuje się kryminalistyka, ponieważ ich celem jest ustalenie, czy w systemie nerwowym badanej osoby są lub nie są zarejestrowane tak zwane ślady pamięciowe, związane z zarzucanym czynem, a

nie, jak medialnie przyjęto „wykrywanie kłamstwa”.

Zdarzenie takie jak zabójstwo rodzi olbrzymie emocje, więc mózg człowieka reaguje na odpowiednie bodźce. Urządzenie rejestruje parametry oddechu (cykl oddechowy jest mierzony z klatki piersiowej za pomocą tak zwanych rurek pneumografu: jedna rurka na klatkę, druga na przeponę). Następnie zakłada się na ramię mankiet, który rejestruje pracę serca (czyli ciśnienie i tętno krwi). Trzeci czujnik – na palec wskazujący i serdeczny. Rejestruje, mówiąc fachowo, reakcję elektrodermalną (to znaczy elektryczny opór skóry zależny od stopnia jej nawilżenia, wywołanego przez pot).

Bodźcami, które mają powodować określone zmiany psychofizjologiczne, są pytania testowe. Opracowuję je na podstawie materiałów, które są w sprawie: protokołów z przebiegu oględzin miejsca zdarzenia i ujawnionych śladów kryminalistycznych, zeznań świadków lub wyjaśnień podejrzanych. Czytam też akt oskarżenia i wyrok sądu. Na tej podstawie określam dobór stosownych technik badawczych i treść pytań testowych, na które badany udziela odpowiedzi „tak” – „nie” lub tylko słucha zadawanych mu pytań, czyli tak zwane testy milczących odpowiedzi. Opinia taka stanowi dowód w sprawie karnej, ocenianej przez niezawisły sąd. Jeśli liczysz na to, że zdołasz oszukać to urządzenie, to lepiej wstań z fotela i idź swoją drogą, mówię każdemu.

Wyniki badań nie wykluczały roli Piotra w zabójstwie, ale część testów wyszła nieprawidłowo. Wskazywały, że może on cierpieć na tak zwany kompleks winy – przypisywanie sobie czynów, których nie popełnił. W związku z tym – napisał ekspert – konieczna jest ocena zdrowia psychicznego badanego.

15 października psychiatra, doktor Stanisław Teleśnicki, uznaje, że Piotra S. trzeba umieścić na obserwacji w zamknię-

tym zakładzie psychiatrycznym.

3 listopada syna w areszcie odwiedza ojciec.

Janusz S. (w sądzie): – Brat był najdłużej lektorem. My, kiedy zaczęliśmy się interesować dziewczynami, zerwaliśmy z tym. Ja – i całe nasze otoczenie – nie potrafimy zrozumieć, co się stało. Że on, który nie przejawiał zainteresowania kobietami, jest podejrzany o taki czyn. Zdarzało mi się spotkać z opiniami moich znajomych, którzy po raz pierwszy mieli z nim kontakt, że mój brat „jest nienormalny”.

Żona Janusza zapamięta takie zdarzenie, wtedy gdy doszło do zabójstwa, że spotkały z koleżanką Piotra idącego Krupówkami. Był podпиты. Po dwóch piwach pojawiały mu się takie pianki w kącikach ust. I takie też mu wtedy wystąpiły. Miał na sobie garnitur i granatową, pikowaną kurtkę na stojącej. W ręce trzymał aktówkę, którą wcześniej kobieta widziała tylko w domu. Ale najdziwaczniejsze było jego zachowanie. Zachowywał się głośno, i tak, jakby mu nie zależało, co pomyślą o nim ludzie. Mogło być około 14.00. W sklepie obuwniczym Piotr zapytał, czy są buty siedmiomilowe, a w kwaciarni – czy jest roślina, „która żżera” Był zdziwiony, gdy sprzedawczyni przyniosła mu z zaplecza rosziczkę.

– Jestem pewna – powie żona Janusza – że rozpoczęcie tego okresu „dziwactwa” zbiegło się z zabójstwem tamtej kobiety.

Policja od kolegi Piotra, Kazimierza S., pracownika UOP-u, z którym tamtego fatalnego wieczoru spędzali czas w Green Barze, pobiera wymaz na badania DNA. Ale badania wykluczają go z obecności na miejscu zabójstwa.

Przed świętami Bożego Narodzenia 2004 roku Piotr trafia na oddział psychiatryczny szpitala Aresztu Śledczego w Krakowie. Dostaje leki o działaniu przeciwpsychotycznym. Po obser-

wacji biegli dochodzą do wniosku, że cierpi na „przewlekłe psychotyczne zaburzenia psychiczne o obrazie zespołu urojenowego”. Trudno im określić czas ujawnienia się tych zaburzeń. Atakowanie kobiet, zdaniem specjalistów, miało „psychotyczną motywację”.

Podczas badania psychologicznego mówi: „Mam zły paragraf, więźniowie nienawidzą takich ludzi”, „Mam psychozę strachu”. Psycholog odnotowuje, że S. bardzo żałuje tego, co zrobił: „To jakby moja podświadomość wykonała, ktoś mnie zaprogramował”.

Sporo czytał o Kubie Rozpruwaczu i chciał być taki sam.

„Tej dziewczynie nie chciałem nic zrobić, tylko dotykać ją w kroku. Byłem nieśmiały do kobiet”. Myślał, notuje psycholog, że będzie księdzem i sam sobie odpuści winę. W zasadzie nie wie, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Nie może sobie tego poukładać.

Biegli orzekają: „Piotr S., dokonując czynu, miał zniesioną zdolność rozumienia go i pokierowania swoim postępowaniem. Nie nadaje się do udziału w procesie i wymaga przebywania w stanie zamkniętym. W przeciwnym razie może powtórzyć to, co już zrobił do tej pory”.

Seksuolog, który go bada, stwierdza, że w jego zachowaniu należy rozpoznać usiłowanie bądź dokonanie zgwałcenia psychopatycznego. Ale to traci na aktualności, jeśli biegli rozpoznają psychozę.

A rozpoznali.

„Trudno jest ustalić, które z jego wspomnień odnoszą się do realnych doświadczeń, a które są wynikiem jego choroby” – pisze Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie.

Kiedy Piotr przebywa w areszcie, żona odwiedza go dwa razy, po czym występuje o rozwód.

Jest przekonany, że to „z powodu korzystniejszych rozliczeń finansowych”.

W tamtym czasie umierają też jego rodzice. Ojciec na raka prostaty, matka – na niewydolność oddechową.

Z więzienia na Montelupich pisze do rodziny Danuty krótki list z przeprosinami, który mężowi i matce ofiary przeczytają dopiero po 2 latach od aresztowania dziennikarze TVN-u:

„Przepraszam was za zamordowanie okrutnie waszej ukochanej mamusi, żony, córki, siostry, kuzynki, cioci. Stało się tak, ponieważ mam chory mózg. Jak wielki ból wam zadałem, odczuwam teraz, będąc w areszcie, gdyż niedawno się ożeniłem i urodził mi się syn. Chyba Archiwum X specjalnie do tego dopuściło, bym poczuł, co znaczy utrata rodziny. To dzięki żonie miałem odwagę się przyznać, wcześniej się bałem. Tak wiele osób cierpi z powodu moich czynów, będę się leczył i nikt już nie będzie cierpiał z mojego powodu. Żałuję, że nie leczyłem się wcześniej. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem chory. Teraz pozostaje mi tylko modlitwa za śp. Danutę i by Pan Bóg mi wybaczył. Jeszcze raz bardzo przepraszam za ten czyn i życzę państwu błogosławieństwa Bożego”

29 czerwca 2005 roku prokuratura umarza wobec Piotra S. śledztwo w sprawie zamordowania Danuty, uzasadniając, że nie popełnił przestępstwa, bo w chwili zabójstwa „miał zniesioną zdolność rozumienia go i pokierowania swoim postępowaniem”.

Dla prokuratora ważne jest, że w przeprowadzonym eksperymencie śledczym wskazuje miejsce, gdzie spotkał Danutę i gdzie pozostawił jej zwłoki.

„Miejsca były wskazane bezbłędnie”.

Matka Danuty, Genowefa, dwukrotnie zażala się do Sądu Apelacyjnego na decyzję prokuratora.

Pisze: „Morderca odegrał doskonałą rolę aktorską. Przez 11 lat cieszył się dobrym zdrowiem, co odzwierciedlają okresowe badania lekarskie. Czy lekarz podbijający zdolność do pracy nie zauważył u niego zaburzeń psychicznych z kręgu zespołu omamowo-urojeniowego? Skąd tak szybko nasilił się stan choroby po aresztowaniu, że zabójca nie mógł brać udziału w procesach sądowych? Dziwi mnie, że sąd nie zauważył, że to my, rodzice, ponieśliśmy największą tragedię, bo utratę najbliższych osób w tak niehumaniczny sposób, i nie mamy prawa odwoływać się od tego wyroku. Ale pomimo to, gdzie tylko będę mogła, to się odwołam. Nawet poza granicę naszego państwa. Sąd nie określił z góry czasu pobytu Piotra S. w zakładzie psychiatrycznym i jak sam pisze, podejmie decyzję o zwolnieniu, jeśli dalsze jego pozostawanie w zakładzie okaże się niekonieczne”.

Matka wnosi też o ponowne przebadanie zabójcy. Ale nic z tego.

9 listopada 2005 Regionalny Ośrodek Psychiatrii Sądowej w Branicach przy ulicy Szpitalnej 18 otrzymuje sądowy nakaz przyjęcia Piotra S. na oddział. I kilka dni później przyjmuje.

Z Piotrem nie ma już dobrego kontaktu. Jest rozkojarzony, nieufny, podejrzliwy i dziwaczny. Personel dostrzega, że izoluje się od pacjentów i ujawnia cechy choroby psychicznej – zespołu paranooidalnego. Lekarze orzekają więc po raz kolejny, że powinien pozostać w ośrodku.

Kiedy zadzwoniłam tam w sierpniu 2016 roku, powiedziano mi, że Piotr nie jest już ich pacjentem.

Ale dlaczego? I gdzie dzisiaj przebywa: w innej placówce?

Na wolności? Kto go odwiedzał? Dyrektor Wiesław Godecki nie chciał na te pytania odpowiedzieć.

Tym samym ślad po Piotrze całkowicie się urywa.

*

Profesor Jolanta Antas, która pierwsza w Polsce rozpoczęła badania językoznawcze nad mową ciała, zwłaszcza nad gestami i ich rolą w procesie komunikowania się ludzi, na potrzeby dokumentu „Archiwum X. Śledztwa po latach” TVN-u przeanalizowała dokładnie nagranie z wizji lokalnej. I po konstrukcjach wyprawki i sposobie obrazowania tego zdarzenia wywnioskowała, że „na sto procent Piotr S. nie był na miejscu zbrodni sam”.

Z kim więc był? Kogo chciał chronić? Był tylko świadkiem czy zabił?

Psychiatra, doktor Stanisław Teleśnicki, mówi w tym samym dokumencie, że mechanizm polegający na tym, że ktoś utożsamia się ze sprawcą, jeśli był w tamtym miejscu i czasie – jest możliwy.

„Jednym z aspektów choroby Piotra S. jest utożsamianie się z innego rodzaju funkcjami, aniżeli rzeczywiście spełnia. W związku z tym mógł przejąć na siebie tę winę”.

Podinsp. Marek Kowalik, policjant, który pracował przy tej sprawie, 13 lat temu powiedział w mediach, że sprawa zabójstwa Danuty zostanie z nim do końca życia. I że nie jest dla niego zamknięta: – Nadał wierzę, że sprawca jest na wolności.

Ponieważ po wnikliwym przeczytaniu akt tej sprawy mam podobne wątpliwości, postanawiam odnaleźć Kowalika w Zakopanem. Dziś już na emeryturze, jest współwłaścicielem jednego z tamtejszych ośrodków szkolenia kierowców. W policji pracował przeszło 20 lat. Był jednym z tych, którzy przyjechali na miejsce zbrodni.

- Jest pan jedynym policjantem, który powiedział, że prawdziwy sprawca nie poniósł kary.

- I nie zmieniłem zdania, proszę pani. Nie mam już na tę sprawę żadnego wpływu, nie mam materialnych dowodów...

- Na jakiej więc podstawie pan to mówi?

- Jeżeli sprawca w ciągu siedmiu dni od zabójstwa nie zostanie ustalony, to właściwie jako policjanci możemy sobie dać spokój. Taka jest stara policyjna zasada. Skoro po tygodniu wiem tyle, co pierwszego dnia, muszę zrobić coś innego. Mianowicie bardzo dokładnie i szczegółowo udokumentować każdą rzecz, tak żeby moi przełożeni nie mogli się do niczego przyczepić. Z tego też względu cała ta sprawa była drobiazgowo prowadzona, a dokumenty z pierwszych sześciu miesięcy śledztwa można było pokazać w szkole policyjnej jako wzór do nauki, jak należy prowadzić postępowanie.

Ja człowieka, który się przyznał i siedzi teraz w domu wariatów, znam prywatnie. I znałem go już wcześniej. Jestem instruktorem nauki jazdy, a on u mnie robił prawko. Spędziłem z nim wiele godzin w zamkniętej skorupie, rozmawiając na różne tematy. Ten człowiek nie był zdolny do popełnienia takiej zbrodni. Nie było w nim agresji. Całe życie to wobec niego tę agresję stosowano.

- Kto to robił?

- Ojciec, który był alkoholikiem i go bił, a potem brat się nad nim znęcał. Ten, który jest w Szwecji.

- Andrzej. W ogóle nie był przesłuchiwany. Nie występuje w aktach.

- Bo zaraz po tym zdarzeniu wyjechał z Polski i nigdy nie wrócił. Pytanie dlaczego? Swoją drogą. Piotrek to dobry człowiek. Być może choroba się w nim rozwijała, ale trzeba wie-

dzieć, że on był niesamowicie zestresowany, nerwowy, miał tiki, a jednocześnie był łagodną osobą.

- Był w dzieciństwie molestowany przez księdza, między innymi w Zakopanem.

- Tego nie wiedziałem, ale to mnie wcale nie dziwi. Był człowiekiem podatnym na wpływy, na silniejszą osobowość. Przestałem się tym interesować, odkąd Piotrek został osadzony, a sprawa odłożona ad acta.

- I co pan wtedy pomyślał?

- Że brak dowodów czasami powoduje, że zbrodnia bywa doskonała. Mimo że Piotr wylądował w zakładzie zamkniętym, sprawiedliwości nie stało się zadość. I pamiętajmy, że kobieta nie została zgwałcona. Moje odczucia były takie, że człowiek, który to zrobił, zaprosił ją do domu, wychodząc z założenia, że dojdzie do współżycia. Choć musiał widzieć, że jest w ciąży. Danuta była dość bezwolna i może mu nie wyszło. Mogła go ośmieszyć, więc wpadł we wściekłość. Brat Piotra mieszkał w bloku po drugiej stronie ulicy, gdzie był bank. Tym samym, co Piotr i jego rodzice. Później gdzieś mi wypłynęło, że siedział z nim na tym piwie. Potem szybko wyjechał za granicę. Kiedy TVN kręcił odcinek „Archiwum X. Śledztwa po latach”, dziennikarz rozmawiał z nim przez telefon. Odgrzązał się, że zrobi wszystko dla wyjaśnienia sprawy. Ale nawet palcem nie kiwnął.

- Dlaczego więc Piotr się przyznał?

- Był najslabszym ogniwem tej rodziny. Zdominowany, poniewierany przez wszystkich. Podejrzewam, że mógł być świadkiem całego zdarzenia. Mogło być tak, że sprawca zmusił go do pomocy w usunięciu zwłok i przeniesienia ich na Równię Krupową. Mógł to widzieć, co na pewno było dla niego Szokiem. Szokiem też było dla niego, że zobaczył w telewizji mnie. Czło-

wieka, z którym tyle czasu jeździł i rozmawiał. Ale nigdy na ten temat. Nie wiedział, że się tą sprawą zajmowałem. To wszystko razem mogło na niego zadziałać. A dlaczego nie on? Bo jego wyjaśnienia, składane podczas wizji lokalnej, odbiegają od rzeczywistości. Byłem na miejscu zdarzenia pół dnia, ale do dziś mogę pani powiedzieć, w którym miejscu leżały zwłoki, jak były ułożone, jakie miały rany, choć tego nie zrobiłem. Byłem tylko dochodzeniowcem.

Ktoś, kto popełnia takie przestępstwo, pamięta je w najdrobniejszych szczegółach. Sprawcy nawet po latach potrafią przypomnieć sobie drobiazgi, o których nawet dochodzeniowiec nie wiedział, bo wiedzieć może tylko sprawca. Tymczasem on nie znalazł szczegółów. Non stop zasłaniał się niepamięcią. Niemożliwe. To działa jak film na video. Podczas wizji lokalnej opowiadał bzdury. Powiedział między innymi, że zwłoki pomagał mu przenieść nieznany mężczyzna, z ławeczki przy chodniku asfaltową ścieżką pod płot. Bzdura! Ofiara była ciągnięta wzdłuż płotu, w żywopłocie znalazł się jeden but, drugi był na jej nodze. A na trawniku został ślad wleczenia zwłok.

Druga rzecz: opowiadał, że w narządy rodne włożył jej butelkę po wódce i kopnął. Nie było żadnej butelki! Było natomiast co innego: ktoś nożem wyciął jej trzeci otwór pomiędzy pochwą a odbytem. Piotr tego nie wiedział. No to jak: sprawca i nie wiedział?

Policjanci z Archiwum X poszli po linii najmniejszego oporu: przyznał się, hurra, mamy sprawę załatwioną. Zresztą ja im to wszystko sygnalizowałem, ale popatrzyli na mnie, jakbym to ja, a nie Piotrek, miał schizofrenię. Po co rozgrzebywać coś, co może śmierdzieć, skoro można przyklepać i zrobić z tego sukces.

- Wiem, że nikt więcej nie zaatakował.

- Bo nie było żadnego „Hakowego”! Ani wcześniej, ani później nikt nie atakował kobiet hakiem. Nie znaleziono w ogóle takiego narzędzia zbrodni. Danuta miała narządy rodne wydłubane patykiem, a na udzie prawej nogi zabójca wyciął jej kawałek ciała. I zabrał. To dziennikarze wymyślili „Hakowego”.

- Dlaczego więc kobiety opowiadały, że zostały napadnięte przez mężczyznę, który wywijał łańcuchem z zaczepionym na końcu hakiem?

- Przyszła tylko jedna, która powiedziała, że rano do jej drzwi zapukała kobieta. Miała mieć zranioną nogę, więc ta wsaadziła ją do taksówki i zawiozła do szpitala. Sprawdziliśmy to. Żaden taki kurs nigdy nie był zrobiony w Zakopanem. I w szpitalu też nie było jakiegokolwiek śladu, że ktoś zgłosił się z raną szarpaną nogi.

- Była jeszcze jedna kobieta, która zeznała, że idąc Chramcówkami, została zaatakowana przez mężczyznę wymachującego łańcuchem jak lassem. I też mówiła o haku. Ale zdołała uskończyć i uciec.

- Odpowiem pani tak: w 1992 roku na Gubałówce miało miejsce zabójstwo. Mężczyzna zastrzelił swoich sąsiadów i uciekł do lasu. Powiesił się dzień po zabójstwie. A myśmy jeszcze trzeciego, czwartego i piątego dnia potem, kiedy ten człowiek już wisiał w lesie, przesłuchiwali pod przysięgą świadków, którzy widzieli go na Krupówkach. Pożyczyli mu pieniądze, a nawet byli z nim na pogrzebie znajomych.

- Niewiarygodne!

- Każdorazowo, kiedy zdarzają się takie sprawy, pojawia się cała grupa fałszywych świadków, którzy chcą być ważni, zaistnieć, i opowiadają takie bzdury, że aż trudno w to uwierzyć. Przez dwadzieścia parę lat pracy w policji nasłuchiwałem się wie-

lu takich idiotyzmów, które kosztowały nas niesamowite pieniądze, pracę ludzi, i do niczego nie prowadziły, poza tym, że na manowce. Ale ponieważ nie można było tego jednoznacznie wykluczyć, to trzeba było się zająć. Powiem pani więcej. Przyszła do nas kobieta, która powiedziała, że ten sprawca zaatakował ją w okolicach Pieniżkowic, zażądał od niej pieniędzy i jedzenia. I spał w stogu siana. Na podstawie jej zeznań ściągnięto do Pieniżkowic cztery tysiące policjantów, z Katowic, Bielska-Białej, Krakowa, Zakopanego, Nowego Targu i Nowego Sącza. Otoczyli cały ten leśny kompleks i przeszukiwali przez półtora dnia. A gość w tym czasie już od czterech dni wisiał w lesie. I nie można było kobiecie nic zrobić.

- Nawet sprawy za składanie fałszywych zeznań?

- Nikt nie chciał w obawie, że ludzie następnym razem już nie będą zeznawać.

- Do dziś nie znalazł się żaden świadek, który by powiedział, gdzie Danuta była od wtorku do środy, kiedy to wsiadła w autobus jadący przez Nowy Targ do Zakopanego.

- To jeszcze nie wszystko. Dla mnie największym Szokiem i elementem, którego do dziś nie umiem zrozumieć i zadaję sobie pytanie, jak to się stało, jest to, że wykształcona i inteligentna kobieta wyszła za męża za prostego chłopca, mającego cztery klasy podstawówki. Nic nie umiała zrobić w polu, w gospodarstwie, teściowa ciągle miała do niej pretensje, bo na pole to mogła im przynieść co najwyżej herbaty.

- Czyli zbrodnia doskonała istnieje, jeśli pomaga jej przypadek?

- No chyba że udałoby się pani zdobyć rzeczowe, konkretne dowody. Ale po 25 latach w to wątpię. Nie ma już żadnych śladów. Sądzę, że faktycznemu zabójcy to nie daje spokoju. Życie

to nie książka. Może dlatego lubię czytać kryminały, bo w nich prawda zawsze wychodzi na jaw, policjanci wygrywają, a sprawiedliwości staje się zadość.

A w życiu niestety nie zawsze tak bywa.

Rozdział drugi

MASA

Rok 1999. Do Komendy Wojewódzkiej w Krakowie przychodzi telegram. Policja z Łososiny Dolnej (powiat nowosądecki) prosi o pomoc w odnalezieniu matki z dwójką dzieci. Typowa sprawa poszukiwawcza. Mieszkanca małej wsi Michalczowa, Władysława O., 27 sierpnia, a był to piątek, wyszła z domu i rozplynęła się w powietrzu.

Miała 44 lata, 165 centymetrów wzrostu, krótkie blond włosy. Ubrana w czarny sweter, biały podkoszulek z krótkim rękawem i ciemną spódnicę we wzory. Na nogach czarne tenisówki.

Nie była piękna: braki w uzębieniu, wąskie, lekko skośne niebieskie oczy, nieduży figlarny dołek w brodzie.

Największą jej urodę stanowiły dzieci.

Z pierwszego małżeństwa: Danuta (1976), Lucyna (1978) i Piotr (1982). Z drugiego Czesław (1989) i Kamil (1990). To z dwójką najmłodszych bezpowrotnie wyszła z domu. Chłopcy, jeden jasno-, drugi ciemnowłosy, krótko ostrzyżeni, w letnich koszulkach i sportowych butach.

Informacja o zaginięciu Władysławy i dwóch najmłodszych chłopców stosunkowo szybko, bo już po kilku tygodniach, dociera również do policjantów z Archiwum X.

Bogdan Michalec: – Zastanawialiśmy się, dokąd mogła udać się matka z dziećmi, która w sierpniu nie wzięła ani ubrań, ani lekarstw (jedno z dzieci chorowało na padaczkę). Co się mogło stać?

Ostatnia widziała ją sąsiadka, Kazimiera.

Spotkała Władysławę w dniu zaginięcia, o 8.00 rano, i zapamiętała, że kobieta szła w stronę sklepu. Półtorej godziny później Władysława odwiedziła ją w domu. Kazimiera miała telefon stacjonarny. Władysławie wyłączyli rok wcześniej, więc gdy potrzebowała, korzystała z uprzejmości koleżanki. Przyszła zajrzeć do książki telefonicznej i spisać potrzebne telefony na wypadek śmierci swojej ciężko chorej matki, Rozalii. Wiedziała, że umrze łąda dzień, i chciała wszystkich powiadomić. Jeszcze do niedawna Rozalia mimo swoich 78 lat czuła się dobrze, miała w Młodowie koło Piwnicznej krowę, pole i sama pracowała na roli. Kiedy trafiła do szpitala, lekarz wyjaśnił rodzinie, że następuje u niej zanik tkanki mózgowej. I nic już się nie da zrobić. Siostra Władysławy, Michalina, zabrała ją do domu, do pobliskich Witowie.

Kazimiera nie zauważyła w zachowaniu kobiety niczego nadzwyczajnego. Powie jeszcze policjantom, że dbała o dzieci, i „nie były puszczane samopas” Żadne z nich nie posiadało paszportu, ustalą policjanci. Nie mogli zatem wyjechać z kraju.

Dzień po tym, jak Władysława z dziećmi zniknęła, około godziny 21.00 jedna z córek – Lucyna – przyjeżdża do matki, do Michalczowej, pożyczyć antybiotyk dla swojego chorego dziecka. Białe drzwi, odcinające się charakterystycznie od czerwonej

cegły budynku, otwiera Piotr.

– Mama jest u babci, pojechała z braćmi do Młodowa – mówi i wpuszcza siostrę za próg. Razem przeszukują szafki w kuchni, gdzie matka trzymała leki. W domu panuje porządek i cisza, lekko przetykana dźwiękami telewizora. Lucyna wraca do domu z kwitkiem. Ostatni raz widziały się na imieninach, 22 sierpnia. Przez brak telefonu nie było z Władysławą codziennego kontaktu.

Po upływie doby rodzina zaczyna się niepokoić.

Kiedy 28 sierpnia, w sobotę, umiera babcia Rozalia, jedna z sióstr postanawia zawiadomić matkę. W niedzielę rano zajeżdżają z mężem do Michalczowej, ale dom wygląda na opuszczony. Nikt nie reaguje na pukanie do drzwi.

Danuta prosi wujka, żeby pojechał z nią znów do matki. Około 19.00 jest tak jak rano: cicho i ciemno. Obchodzą dom. Zauważają, że pies jest wystraszony i głodny.

Pół godziny później po raz kolejny wsiadają do samochodu. Tym razem z Danutą jedzie mąż jej siostry. Kobieta puka do drzwi, ale dom pozostaje martwy. Idzie więc naprzeciwko, do sąsiadki, a ta mówi, że matka była u niej dwa albo trzy dni wcześniej i nie wspominała, że ma gdzieś jechać. Nie widziała jej też idącej do autobusu.

Danuta czuje delikatne ukłucie w sercu. To taka chwila, kiedy człowiek intuicyjnie wie, że stało się coś niedobrego, ale rozpaczliwie to od siebie odpycha.

Córka Władysławy przyjeżdża więc do Michalczowej raz jeszcze. Zbliża się 22.00. Dom spowity ciemnością i ciszą, stoi nieprzenikniony w wieczornej mgle.

Może matka rzeczywiście jest z braćmi w domu babci, w Młodowie, tam gdzie Młodowski Potok wpada do Popradu?

Dzwoni do sąsiadów babci. Sąsiedzi idą pod posesję, ale światła w domu pogaszone. Nikogo nie ma. Niepokój Danuty wzrasta. Władysława nie zjawiała się pożegnać matkę. Nie odmówiła z rodziną tradycyjnego różańca za zmarłą.

Rozalia odeszła więc bez ostatniego dotyku córki.

Jadą więc na drugi dzień, ostatni raz. Danuta, Lucyna i ich mężowie.

Mąż Danuty przystawia do okna drabinę i widzi, że ktoś leży na wersalce. Mężczyźni dostają się do domu przez okno w suterenie. Lucyna zostaje na zewnątrz. Jest w szóstym miesiącu ciąży. Odkrywają, że w pokoju na strychu leży Piotr. Nieprzytomny. Obok stoi pusty flakonik po kroplach uspokajających vupral i do połowy opróżniony słoiczek z przeciwpadaczkowymi tabletkami amizepin. Mąż Lucyny dotyka szyi i bada mu puls. Danuta biegnie do sąsiadki dzwonić po pogotowie. Czekają pół godziny.

W tym czasie przetrząsają dom. W lodówce winogrona, kawałek arbuza, czekolada, a w koszu skórki po arбуzie i dwie puszki po piwie. Na klatce schodowej wisi przywiązany kabel antenowy, na którego końcu nie ma pętli. Na schodach przewrócone krzesło.

Siostry sprawdzają, czy Piotr nie ma innych obrażeń. Na przedramieniu lewej ręki trzy-cztery płytkie nacięcia po żyłce. W karetce odzyskuje przytomność, a w szpitalu, kiedy czekają na lekarza, szepcze kilka razy do Danuty nazwisko swojego ojczyma. I nie mówi nic więcej.

Czesław O., ojczym Piotra, drugi mąż Władysławy, w chwili zaginięcia swojej żony i synów miał 73 lata. Dzielili ich spora różnica wieku – niemal 30 lat, do tego widoczna, bo Czesław kochał żonę bez wzajemności.

Poznali się przez ogłoszenie matrymonialne.

Po drugim rozwodzie mieszkał kilkanaście lat samotnie w Michalczowej. Szukał kobiety, która na starość da mu jakieś wsparcie. Napisał więc do tygodnika „Przyjaciółka”, a po jakimś czasie otrzymał list. Władysława pisała, że ma troje dzieci i szuka kogoś, kto jej pomoże je wychować. Był rok 1987. Pojechał do niej. Mieszkała z matką w Młodowie. Zobaczył, że jest młoda, i pomyślał, że nie będzie chciała wyjść za kogoś takiego jak on. Ale zgodziła się na małżeństwo pod warunkiem, że Czesław zaopiekuje się jej dziećmi. Pomagał rodzinie. Pracował w polu, kupował dzieciom ubrania. Kiedy Władysława zaszła w ciążę, wyprowadzili się do Michalczowej. Był rok 1988. Do urodzenia pierwszego dziecka wszystko dobrze szło. Czesio przyszedł na świat w 1989 roku. Czesław przywiózł Władysławę z synem do domu. Powiedziała mu wtedy, że będzie spała z dzieckiem, a on ma iść na górę. Pokoje tam nie były wykończone, ale poszedł. Myślał, że chodzi o wygodę dziecka. Tymczasem Władysława nie chciała się już do niego przytulać, nie pozwalała się pocałować. Przestali ze sobą sypiać. Konsekwentnie go odtrącała. Nalegał jednak na wzięcie ślubu. Myślał, że może to coś zmieni.

Pod koniec 1989 roku Czesław zauważył, że Władysława znów jest w ciąży, chociaż ze sobą nie sypiali. Zapierała się, że to nieprawda. Wrzeszczała i wyzywała go. W końcu wyrzuciła z domu. Poszedł spać na sianie na stryszku w stajni. Przemieszkał tam całą zimę na przełomie 1989 i 1990 roku. Gdy jej nie było, szedł do domu się umyć albo zrobić sobie na szybko coś do jedzenia.

Mimo wszystko ją kochał.

Kamil urodził się w czerwcu 1990 roku. Przed jego urodzeniem Czesław poszedł do domu i powiedział: „Władziu, wszystko jedno z kim go masz, nie chcę, żeby był sierotą. Weź ze mną

ślub, dam dziecku swoje nazwisko”. Kupił tanie srebrne obrączki, bo niczego nie chciała. Myślał, że po ślubie zmądrzeje i weźmie go do siebie. Gdy Kamil przyszedł na świat, poszedł do urzędu w Nowym Sączu i powiedział: „To mój syn”. Cały czas mieszkał na strychu. Załatwił jednak wszystko na chrzest Kamila. Był w domu na uroczystości i wspomina to jako jedyny przyzwoity gest ze strony Władysławy. Po chrzcinach znów poszedł spać do stajni.

Władysława, mówił policjantom, nie raz go biła. Chciała, żeby odszedł z domu.

„Mało ci jeszcze wpierdoliłam?! ” – wrzeszczała, a dzieci na to patrzyły. Dziewczyny stawały się przy matce bardzo wulgarne. Mówiły, że odwiedza ją sąsiad. Do Czesława pyskowała: „Chuj cię to obchodzi, co robię. Moim tyłkiem rządził nie będziesz”.

Tylko Piotrek był zawsze spokojny. Patrzył na wszystko, ale nigdy nic nie mówił.

Po groźbach, że go zabije, jak nie opuści strychu, Czesław, tak jak stał, poszedł do Nowego Sącza na dworzec PKP. Przez kilka miesięcy tam mieszkał. Żył ze zbierania butelek. Władysława miała prawo do odbierania jego renty, nie cofnął go, mimo to podała go o alimenty. Sąd odrzucił, bo przecież brała rentę. Na dworcu żył prawie 2 lata. Dopiero komendant dworcowego komisariatu powiedział mu, że w Sączu jest dom dla bezdomnych imienia Brata Alberta. Przebywał tam do czerwca 1998 roku. Potem wspólnie z kolegą wynajęli mieszkanie w Nowym Sączu.

Podczas gdy Czesław mieszka w schronisku, odwiedza dom w Michalczowej. Scysje, zatargi, wzajemne składanie na siebie doniesień na policję. Nowosądeckie Towarzystwo Pomocy imienia Brata Alberta wystawia mu jednak zaświadczenie, że w cza-

sie, gdy przebywał pod ich dachem, „utrzymywał stały kontakt z dziećmi, odwiedzał je, zaopatrywał w odzież, przybory szkolne i inne potrzebne rzeczy. Nie używał alkoholu. Nie sprawiał żadnych kłopotów wychowawczych. Był osobą bezkonfliktową w kontaktach koleżeńskich. Pomagał kadrze w problemach z prowadzeniem schroniska”. Podpisano: Robert Opoka, kierownik.

Danuta zapamiętała, że ojczym był dla nich z początku bardzo dobry. Przynosił cukierki i smakołyki. Nazywali go wujkiem, a nawet trochę lubili. Kiedy Władysława podjęła decyzję o wyprawdzie do Michalczowej, Danuta odmówiła.

Miała 12 lat i została z babcią. Czuła się u niej naprawdę dobrze, choć dom stał w górach, przy szlaku turystycznym, i trudno było do niego dojść. A w Michalczowej – przy drodze. Dzieci miały blisko do szkoły. Kiedy Władysława zaszła z ojczymem w ciążę, odniosła wrażenie, że mama nie jest z tego powodu zadowolona. A on przyjechał do Rozalii do Młodowa i wyglądał na szczęśliwego z narodzin syna. Wcześniej bywał u teściowej raz, dwa w miesiącu. Po urodzinach Czesia już rzadziej.

Władysława stała się mężowi niechętna. Nie rozmawiała z nikiem o swoich problemach, a i jej zainteresowanie dziećmi było powierzchowne.

Po roku stosunki między małżonkami zaczęły się psuć. Od urodzin Kamila większość obowiązków związanych z Czesiem spadła na Lucynę.

Danuta z kolei nigdy nie widziała, żeby matka wyrzucała ojczyma. Był dziwakiem i wszystkie te jego zachowania były na pokaz. O tym, że ciągle się kłóca, opowiadała Lucyna, jak przyjeżdżała do babci. Zawsze wtedy płakała. Ale była bardzo przywiązana do matki. Ojczym, konfliktowy, traktował dzieci jak przedmioty. Danuta miała 14 lat, kiedy ojczym w jej obecności wyrażał się o Władysławie bardzo wulgarnie. Zarzucał jej róż-

nych kochanków. Mówił takie rzeczy, których dzieci w ogóle nie powinny słyszeć. W ostatnim czasie podejrzewał nawet męża Danuty, że sypia z teściową.

28 sierpnia, dzień po zniknięciu Władysławy, Czesław pakuje do reklamówki swoje zdjęcia z Kamilem i Czesiem, fotografię parowozu stojącego na dworcu PKP w Nowym Sączu i mężczyzny prowadzącego dwa duże psy (chłopcy bardzo lubili stare zdjęcia), słodycze i tenisówki. Chce dzieciom coś podarować przed rozpoczęciem roku szkolnego. W domu zastaje Piotra, który ogląda telewizję. – Matki nie ma, pojechała do Młodowa – słyszy od pasierba. Zostawia więc rzeczy i wychodzi.

Pogrzeb Rozalii odbywa się w poniedziałek, 30 sierpnia. Władysławy nie ma już czwarty dzień.

Mąż Lucyny, Bogdan: – Już na pogrzebie zaczęło się mówić, że coś się musiało stać, skoro córka nie przyszła na pogrzeb matki. Pojechaliśmy do Starego Sącza do kobiety jasnowidza. Zabraliśmy zdjęcia. Powiedziała, że teściowa wraz z dziećmi została porwana w Krakowie na Plantach i jest w ciężkim stanie. Ale dzieciom nic się nie dzieje.

Danuta odwiedza brata w szpitalu. Piotr znów powtarza nazwisko ojczyma.

– Co ci zrobił? – pyta przerażona.

– Nic mi nie zrobił – Piotr jest smutny i wygląda na udręczonego. – Przyszedł i powiedział: „Nareszcie skończyłem z tą kurwą, już nie będzie się nade mną znęcać”.

Danuta zaczyna płakać, a lekarz radzi jej iść na policję i złożyć zawiadomienie.

Czesław tymczasem jedzie na rozpoczęcie roku szkolnego swoich dzieci do Michalczowej. Ponieważ chłopcy się nie pojawiają, idzie do domu. Zastaje drzwi zamknięte. Dzwoni więc do

siostry swojej żony, Michaliny, i dowiaduje się, że ta wraz z dziećmi zaginęła. Michalina mówi mu też o pogrzebie Rozalii i samobójczej próbie Piotra.

Piotr wychodzi ze szpitala 6 września. Odbiera go ojciec, Adam P., pierwszy mąż Władysławy.

– Czekaliśmy półtorej godziny na wypis – wspomina. – „Dlaczego chciałeś się zabić?”. Odpowiedział: „Bo nie ma mamy”. „Nie wiesz, co się stało?”. „Nie wiem”. Powiedziałem mu, że nie ma się co żałować, że mama niedługo wróci. Piotr milczał.

Danuta zabiera chłopca do siebie. Dzień później jadą razem do Michalczowej. Wchodzą do domu tak samo. Okno. Suterena.

Piotr zabiera książki, zeszyty, piłkę, buty, kurtkę, kołdrę i poduszkę, bieliznę pościelową. Danuta i Lucyna rzeczy mamy: buty, dwa płaszcze, skórzaną kurtkę, futerko. Jej listy, albumy ze zdjęciami, sześć szklanek, tackę i drobne rzeczy. Lucyna zdejmuje z okna firanek, którą sama mamie kupiła. Biorą też magnetofon Kamila (dostał w prezencie od chrzestnej). Boją się, że ktoś może włamać się do domu. Wszyscy w okolicy wiedzą przecież, że nikogo tam nie ma. Na początku września Danuta zabiera też do siebie psa i dwie kury, bo nie ma kto dawać im jeść.

W tamtym czasie policjanci przeszukują obojście zmarłej Rozalii. Wykorzystują psa szkolonego do odszukiwania ludzkich zwłok. Ale pies niczego nie znajduje.

Piotr uspokaja się i wraca do szkoły. Uczy się w trzeciej klasie Liceum Ekonomicznego w Nowym Sączu. Siostry wciąż chodzą po wsi pytać, kto jeszcze widział Władysławę. Kilku sąsiadów mówi, że tamtego dnia szła z dziećmi na przystanek autobusowy.

Uciekła? Zabiła siebie i dzieci? Gdzie jesteś, mammo, zastana-

wia się rodzeństwo. Bo choć Władysława była nerwowa i porywcza, stanowiła dla nich w życiu najważniejszy punkt odniesienia. Danuta 23 września prosi prokuraturę o wszczęcie postępowania przeciwko ojczymowi, który doprowadził jej brata do próby samobójczej. Czesław żali się w tym czasie „Gazecie Krakowskiej”:

„Żona nigdy, przez całe życie, nie sfotografowała się ze mną. Nie mamy ani jednego wspólnego zdjęcia. Nawet z tego wyżebranego przeze mnie ślubu. Wstydziała się. Nigdy nigdzie razem nie poszliśmy”.

Dziennikarz opisuje historię Czesława wyrzuconego z własnego domu. I że z Władysławą nie udało mu się porozmawiać, „gdyż nagle wzięta jedno z dzieci w wieku szkolnym i wyjechała w Polskę”.

25 września policjanci przesłuchują Piotra. Zauważają, że jest podobny do matki: wąskie, ładnie wykrojone usta, z kącikami opadającymi w dół. Dołek w brodzie. Krótkie włosy, długi, bocianowaty nos, wysoki, szczupły.

– Mieszkam w Michalczowej, ale nie jestem tam zameldowany. Faktycznie nie posiadam żadnego miejsca stałego zameldowania. Kiedy ojczym nas odwiedzał, witał się tylko z Kamilem i Czesiem, natomiast ze mną i z matką nigdy. Za każdym razem między nim a moją matką dochodziło do kłótni. Na przykład, jak Czesio był chory i nie chodził do szkoły, to ojczym myślał, że matka nie puszcza go specjalnie. Innym razem wykrzykiwał mamie, że wzięła ją z dziećmi i musi nas żywić. Albo że mama ma kochanków. W korytarzu pchnął ją na szafę. Do mnie krzyczał: „Gówniarzu, wywalę was z domu i będziecie spali na przystanku!”.

27 sierpnia mama powiedziała, że pojedzie do Młodowa do domu matki, która była ciężko chora i przebywała u cioci w Wi-

towicach. Wzięła Czesia i Kamila i pojechała po nasze ubrania, które zostały jeszcze z wakacji. Były potrzebne, bo zbliżał się rok szkolny. Wychodziła z domu koło południa. Autobus do Nowego Sącza miała o 11.54. Byłem przed domem i widziałem, jak wychodziła z braćmi. Powiedziała: „wrócę w sobotę wieczorem”. Wtedy dała mi sto złotych na bilet miesięczny, a za resztę miałem sobie kupić przybory szkolne.

Tamtego dnia, w piątek, pojechałem autobusem do Łososiny Dolnej do przychodni na zmianę opatrunku, bo skaleczyłem sobie palec na frezarce. Potem do Nowego Sącza kupić rzeczy do szkoły. Biletu miesięcznego nie, bo uznałem, że jest na to jeszcze czas. Około 16.00 byłem z powrotem w Michalczowej. Przyjechał ojczym, pytał o matkę. Jak odpowiedziałem, że pojechali do Młodowa, to on na to: „Na dzieci do szkoły nie ma, a na jazdę do kochanków to pieniądze ma!”. Zostawił czekolady, tenisówki i jakieś zdjęcia dla Czesia i Kamila, i wyszedł. Następnego dnia, w niedzielę, znowu przyjechał. Obszedł mieszkanie i wychodząc, powiedział: „Ta kurwa nie będzie mi już przeszkadzać”. Odczułem, że mówi to z zadowoleniem.

Tydzień przed zaginięciem mamy przyjechał i krzyczał, że daje na nas pieniądze, a ona przepija i wydaje na kochanków. Że urządzi w domu libacje. A moja mama nie pije. Ma kłopoty z trzustką i z nerkami i boi się, że coś jej się może stać. Kiedy ojczym wyszedł, mama płakała. Wiele razy do mamy krzyczał.

W niedzielę rano poszedłem do kościoła w Michalczowej. Wieczorem byłem przekonany, że ojczym ją zamordował, a braćci gdzieś ukrył. Bo bardzo ich kochał. Kiedy przyjechał ostatni autobus z Nowego Sącza, którym mogła wrócić mama, ale z niego nie wysiadła, wziąłem kabel od telewizora, zaczepiłem go o barierkę schodów, stanąłem na krzesło i chciałem się powiesić. Kiedy założyłem sobie pętlę na szyję i odepchnąłem to krzesło,

kabel się zerwał.

Wtedy wziąłem tabletki brata Kamila, amizepin, krople vupral, i leki na obniżenie ciśnienia (od babci). Wszystkich około piętnastu. Potem wypiliśmy pół butelki tych kropli, bo myślałem, że tyle wystarczy, i położyłem się do łóżka. Obudziłem się, kiedy ktoś mnie klepał po buzi.

Chciałem umrzeć. Doszedłem do wniosku, że nie mam dla kogo żyć, bo zostałem sam. Mój prawdziwy tata mnie nie odwiedzał. Poprzednio widziałem go 2–3 lata przed tym, jak chciałem odebrać sobie życie. Odwiedził mnie, kiedy wyszedłem ze szpitala. Dał mi 50 złotych, mojej siostrze Danucie 100 i powiedział, żebym się nie załamywał, że mama na pewno się odnajdzie. Dodaje, że jeden z moich przyrodnich braci, Kamil, jest chory na epilepsję i musi zażywać leki. Mama zawsze brała leki, jak jechaliśmy do Młodowa. Tym razem pewnie też zabrała ze sobą, ale ja nie widziałem, bo byłem przed domem.

Michalina, siostra Władysławy, ma dla jej męża, Czesława, więcej empatii. Bo ten często do niej przyjeżdżał, kiedy Władysława i synowie zaginęli. Mówił, że ich szuka. Zawsze nosił przy sobie ich zdjęcia i rozpaczał, nie wiedząc, co się stało z jego dziećmi. Kiedy dowiedział się, że Rozalia choruje, przyjechał ją przeprosić, jeśli kiedyś coś złego jej powiedział. Ale i ona bywała dla niego złośliwa. Leżała już w ciężkim stanie, ale go poznała. Rozmawiali. Lucyna i Danuta, siostry Piotra, podejrzewały, że jeżeli ktokolwiek coś zrobił ich matce i braciom, to ojczym. Michalina tłumaczyła im, że jego rozpacz jest autentyczna, ale nie chciały jej słuchać.

Zawsze były za matką.

*

Inspektor Karol Suder, wówczas jeszcze szef Archiwum X, które

wciąż w strukturach policyjnych działa nieformalnie, po przeczytaniu wszystkiego, co zebrała miejscowa policja, nabiera podejrzeń, że przypadek Władysławy to nie jest zwykłe zaginięcie. Rzuca więc do Michalca, swojego najzdolniejszego oficera: „Bogdan, jedź do Michalczowej i znajdź tego sprawcę”.

Wtedy, pod koniec lat dziewięćdziesiątych nie było w zwyczaju wszczynać sprawę o zabójstwo, skoro zgłoszono zaginięcie. Bo zaginięcie było zaginięciem (często tłumaczonym wyjazdami za granicę), a zabójstwo – zabójstwem.

Archiwum X burzy ten schemat myślenia. My, ludzie, jesteśmy tak skonstruowani, że nie godzimy się z tym, że życie i śmierć często bywają dziełem przypadku. A tak po prostu jest.

Michalec jest wrogiem wielotorowości prowadzenia śledztwa. Bo to zmierza do zaciemnienia obrazu. – Jeśli ktoś nie nadaje się na detektywa, to nie musi w tym fachu pracować – irytuje się. – Ale kryminalistyka szczyti się wielotorowością. Ja jestem wielokierunkowy tylko na samym początku, kiedy próbuję ustalić, co mogło się stać. Potem już ufam intuicji i idę w jednym kierunku. Nie będę na próżno trwonił energii.

Michalec jedzie więc do Michalczowej, lecz za pierwszym razem zastaje pusty dom. Cisza tego domu, przycupniętego pośród niewielkich, zielonych wzgórz Beskidu Wyspowego, przywodzi mu na myśl samotność i opuszczenie. Nie ma w niej nic dobrego.

Ponieważ Piotr rzuca na ojczyzna podejrzenie, że maczał pałce w zniknięciu matki i jego próbie samobójczej, 27 września prokurator rejonowy z Nowego Sącza postanawia o przeszukaniu domu Czesława.

Kolejny raz policjanci z Archiwum X jadą już we trzech (w tym specjalista od śladów biologicznych). Biorą ze sobą psa. Jest

wieczór, na dworze 15 stopni Celsjusza. Pochmurno, ale wciąż jasno. Wchodzą do domu i zatrzymują się w kuchni. A tam marynowane grzyby stoją rzędem w słoikach, a czyste talerze i szklanki suszą się na ociekaczu.

Na starej węglowej, pokrytej brązowymi kaflami kuchence przytula się do siebie kilka garnków i słoik z kompotem. Obok wbudowany szabaśnik. To tu Władysława piekła lub przechowywała w cieple to, co ugotowała dla rodziny.

Kuchnia jest przedziwnie wysprządana, co wzmaga czujność policjantów.

Spryskują luminolem podłogę pokrytą wykładziną. I wtedy linoleum zaczyna świecić na niebiesko. A to oznacza, że wcześniej ktoś z podłogi zmywał krew.

Luminol to wykorzystywany w kryminalistyce związek chemiczny z dodatkiem substancji utleniającej. Żelazo, które znajduje się w hemoglobinie, działa jak aktywator. Dlatego po zgaszeniu światła krew nabiera niebieskiej świetlistości. Niczym efekt stroboskopu w dyskotecie.

Policjanci dyskretnie zaczynają krążyć po domu, ale niczego szczególnego nie znajdują.

Już mieli się oddalić, kiedy jeden z nich, Jerzy Kordek, który był mistrzem w badaniu DNA z włosów, obszedł dom szerokim lukiem i zatrzymał się na chwilę za potrzebą.

To jest sytuacja, którą Michalec za Jungiem nazywa synchronicznością. A inni losem, zbiegiem okoliczności czy dziwnym trafem, które pomagają człowiekowi w dążeniu do poznania prawdy.

Carl Gustaw Jung, szwajcarski psycholog, wspólnie z noblistą, bzykiem Wolfgangiem Paulim w 1930 roku zauważyli, że obok rzeczywistości istnieje jakby „nadrzeczywistość”. Coś, co

góruje nad związkami przyczynowo-skutkowymi. To właśnie nazwali synchronicznością. Zdarzeniem, w którym pojawia się szczelina w strukturze tego, co zwykliśmy traktować jako rzeczywistość, i przez tę szczelinę zaczyna „krwawić” natura wyższych wymiarów, spoza granicy czasu. I jest to coś, czego nie da się objąć rozumem.

Bo gdyby Kordkowi nie dokuczył pęcherz, być może szukaliby Władysławy jeszcze długo.

Wrócił: – Kopnąłbym w tym sadzie, bo ziemia w jednym miejscu jest jakaś wzruszona.

Pies, wyprowadzony do ogrodu, zachowuje się tak, jakby wyczuł zapach zwłok.

Kiedy odnajdują Władysławę, ma na sobie kwiecistą sukienkę, rajstopy, szary sweterek, a na głowie worek foliowy, umocowany przy szyi taśmą samoprzylepną. I okręcony żyłką.

Pod ciałem matki policjanci odkrywają zwłoki dwojga dzieci. Gliniasta, ciężka ziemia odsłania ciała chłopców, podobnych do siebie niczym anioły z obrazów Rafaela. Leżą w dość płytkim, prostokątnym dole z podkurczonymi nogami.

W trumnie wykopanej w ziemi, poza ciałami matki i dwojga dzieci, policjanci znajdują między innymi młotek i zakrwawioną flanelową koszulę w szaro-czerwonej kratę.

Wszystko fotografują i filmują. Przerywają oględziny dopiero, gdy zapada zmrok.

Jest godzina 21.00. Dzielą się na dwie grupy. Pierwsza jedzie do Piotra, który mieszka u siostry w Żbikowicach.

Piotr w tym czasie ogląda telewizję ze szwagrem, Stanisławem. W pewnym momencie ktoś puka do drzwi. Trzej mężczyźni po cywilnemu. Jeden z nich podchodzi do chłopaka:

– Piotr? – tu pada nazwisko chłopca.

– Tak – odpowiada, a jego twarz staje się biała jak kartka papieru.

– Coś ty zrobił! – krzyczy Stanisław, ale policjanci go uciszają. Mówią tylko, że w Michalczowej znaleziono zwłoki.

Piotr bez słowa i najmniejszego oporu podaje ręce do kajdanek.

– Trudno opisać reakcję mojej żony, gdy wróciła do domu – powie polem Stanisław. – Nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Nie wiem. Po prostu nie wiem. Myślałem, że może jest chory psychicznie.

Stanisław, mąż Danuty, pracuje jako policjant w Łososinie Dolnej. Od 1997 roku był dzielnicowym w Michalczowej. Jego komisariat często prowadził sprawy dotyczące rodziny O. Na okoliczność uszkodzenia przedmiotów, znęcania, gróźb karalnych. Na komisariacie mówiło się o małżeństwie, że są pieniaczami. Nigdy nie dążyli do zgody.

Gdy znaleźli Piotrkę nieprzytomnego, Stanisława ogarnęło przeczucie, że ma coś na sumieniu. Przyszło mu wówczas do głowy, że to on mógł zabić matkę. Powiedział o tym żonie, jej siostrze Lucynie i jej mężowi. Pojechali razem przeszukać dom. Chcieli znaleźć jakieś ślady. Szukali czegokolwiek, co pozwoliłoby rozjaśnić sprawę. Ale kobiety mówiły: gdzie tam Piotrek, on taki spokojny, to niemożliwe!

Druga grupa policjantów w tym czasie zatrzymuje Czesława, który żąda kontaktu z adwokatem. Wałkują go niemal do pierwszej w nocy.

Tymczasem Piotra przesłuchuje Michalec. Chłopak nie wytrzymuje napięcia. Przyznaje się od razu.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo miałem dość takiego życia. Uważam, że matka mnie nie

kochała, wszystkie swoje niepowodzenia wyładowywała na mnie. Trwało to od 3 lat.

– Na czym polegało?

– Biła mnie, kiedy chciałem zagrać z kolegami w piłkę. Jeśli któryś z braci zapłakał w pokoju, to była moja wina. Biła mnie ręką, paskiem, kablem od piecyka elektrycznego. To się zdarzało prawie codziennie. Kiedyś Kamil wybiegł na ulicę, to matka zbiła mnie kijem po nogach aż do krwi za to, że go nie przypilnowałem.

– Zaplanowałeś wszystko?

– Nie. Wziąłem młotek z kuchenki gazowej w kuchni. Było około 11.30. Dołek kopałem kilka dni, nikt się tym nie interesował. Wykopałem go w miejscu dawnych grządek, koło ścieżki prowadzącej do wiśni. Kamil poszedł do tego dołka, ponieważ gniótł mrówki. Poszedłem za nim. Był już w środku. Z góry uderzyłem go w tył głowy. Jęknął. Trochę lala się krew. Następnie poszedłem pod dom i powiedziałem Czesiowi, że Kamil go woła. Uderzyłem go koło jabłoni, tym samym młotkiem, w tył głowy. Upadł. Nie krzyczał. Zostawiłem go i poszedłem do domu. Matka akurat była w kuchni, schylona sięgała po pastę do butów. Bez słowa uderzyłem ją tym młotkiem dwa razy w tył głowy. Upadła, jęcząc. Jak leżała, to jeszcze raz uderzyłem ją młotkiem w lewą skroń. Krew się lała, więc włożyłem jej głowę do reklamówki. Potem ciągnąłem ją, łapiąc pod pachy. Nogi mamie zwiślały swobodnie. Najpierw uderzały o schody, następnie wlokły się po trawie. Raz odpoczywałem. Mama była bardzo ciężka.

Kiedy zawlókł ciała do dołu, wrzucił tam też biały worek na zboże. Wziął go z domu, bo reklamówka, w którą zawiązał głowę matki, zaczęła przeciekać.

– Nie bałeś się, że zobaczą cię sąsiedzi? – cierpliwie pyta Mi-

chalec.

– Bałem się.

– Zgłaszałeś komuś problemy w domu?

– Nie. Uważałem, że to rodzinna sprawa. Gdy odwiedzali nas jacyś ludzie (np. siostra ze szwagrem), to matka wstydziła się zachowywać tak, jak wtedy, gdy byliśmy sami. Była wtedy dla mnie łagodniejsza niż zwykle. Upominała mnie zamiast bić. Nie zwierzałem się nikomu obcemu. A siostróm wstydziłem się powiedzieć.

– O której zaczęłeś zakopywać ciała?

– Gdzieś koło dwunastej. Potem zmyłem krew z kuchni ścierką do podłogi, ścierkę wykręcałem do sedesu. Zwinąłem wykładziny, bo były poplamione krwią. Przebrałem się, umyłem i pojechałem do Nowego Sącza pekaesem o 13.44. Kupiłem sześć piw, soki, trochę jedzenia, dezodorant, wybielacz ace. Pie-niądze znalazłem w mamy torebce. Było tam 270 złotych. Po powrocie długo oglądałem telewizję. Nie mogłem spać.

– Po co kupiłeś dezodorant i ace?

– Żeby zlikwidować zapach krwi.

Następnego dnia Piotr grał samotnie na podwórku w piłkę. Wreszcie nikt się nad nim nie wytrzymał, że ma astmę i nie wol-no mu biegać. Potem oglądał telewizję.

– Około 1.30 w nocy, w sobotę, wypięłem amizepin, leki na obniżenie ciśnienia, popięłem to buteleczką vupralu. I zasnąłem – opowiada Michalcowi. – Kiedy się obudziłem, wziąłem kolej-nych dziesięć tabletek amizepinu i tak spałem do poniedziałku.

Policjanci podczas przesłuchania dają mi do jedzenia bułki i coca-colę. Piotr mówi, że w nocy próbował się powiesić, ale ka-bel się zerwał. Dlatego wziął kolejną dawkę leków.

Miał wyrzuty sumienia i chciał ze sobą skończyć. Nie mógł

spać. Coś mu mówiło, że zrobił straszną rzecz. Że od normalnego świata dzieli go już przepaść nie do przeskoczenia.

– Obudziłem się w poniedziałek rano, gdy mąż Danki bił mnie po twarzy. Potem przyjechało pogotowie i zabrało mnie do szpitala. Zrobili mi płukanie żołądka. Rozmawiałem tam z psychologiem, ale nie przyznałem się do zabójstwa. Psycholog tylko pytał, czy sobie poradzę. Reszty rozmowy nie pamiętam.

Podejrzenia na ojczyma skierował celowo. Nienawidził go, bo obchodził się nie tak, jak należy z jego matką. Ciągłe ją za-skarżał do sądów, że go bije. To nie była prawda. Miał już dwie żony i kilka kochanek. Wszystkie wyrzucił z domu.

I z Władysławą chciał zrobić tak samo.

Lucyna o tym, że jej matka i bracia nie żyją i zostali odnalezieni w ziemi obok domu, dowiaduje się z lokalnego radia Echo. Jest w Szoku.

– Miałam 10 lat, a brat 6, kiedy zamieszkaliśmy w Michalczowej – mówi policjantom, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. – Pięć pokoi, kuchnia, łazienka. Wyprowadziłam się w 1997 roku, po ślubie, do Łososiny Dolnej, do domu męża. Wcześniej nie widziałam, żeby brat był fizycznie karcony przez mamę.

Adamowi, ojcu Piotra, o tym, że Władysława i jej dzieci nie żyją, mówią policjanci z pobliskiej Piwnicznej. Jedzie na policję do Nowego Sącza, ale nikt nie chce z nim rozmawiać. O okolicznościach sprawy, podobnie jak Lucyna, słyszy więc w lokalnym radiu. Na drugi dzień po znalezieniu zwłok piszą też o tym gazety. Adam jest wstrząśnięty. Nie mieści mu się w głowie, że jego syn zrobił coś takiego. Nie wytrzymuje i dzwoni do jednej ze swoich córek, Danuty.

– Długo jej nie mogłem zrozumieć, taki był płacz po drugiej

stronie słuchawki – zezna później w sądzie. – „Tatuś, Piotrek się przyznał, że to on zrobił. To nie do wiary! To niemożliwe!” Ja sam do dziś nie mogę uwierzyć, że on zrobił to z własnej woli. Może mu odbiło? Musiał chyba zwariować. Zawsze był grzecznym dzieckiem. Nie zauważyłem u niego żadnych odchyłeń od normy. Dziwiło nas, że przez miesiąc wytrzymał presję tego, że zabił. I ciągłych pytań o matkę. Przecież człowiek to nie kot czy pies.

Choć to wszystko jeszcze do niej nie dotarło, Danuta, najbardziej związana z Piotrem, będzie myślała o tym, co się stało, dniami i nocami. Przeanalizuje całe ich wspólne dzieciństwo. Miesiąc po miesiącu. Rok po roku. Będzie niemal pewna, że gdyby brat wychowywał się w normalnej rodzinie, nie doszłoby do tego, co się stało.

Jako dziecko mieszkała z siostrą Lucyną, Piotrkim i matką u babci w Młodowie. Gdy urodził się Piotrek, miała 6 lat, a Lucyna 4. Ojciec czasem z nimi pomieszkiwał. Kiedy był trzeźwy – był normalny. Pomagał w domu, pracował w gospodarstwie. Częściej jednak dzieci zapamiętają jego późne powroty do domu po pijanemu. Groził wówczas żonie i teściowej pobiciem, podpaleniem domu. Albo wzywały policję, albo uciekały z domu. Wtedy trójka dzieci zostawała w domu sama, bez opieki. Pamięć Danuty zachowała taką scenę: w środku nocy ojciec przyszedł pijany i zaczął bić matkę. Przyparł ją do ściany. Babcia uciekła. Obie z siostrą płakały, a Piotrek wziął nocnik i zaczął uderzać nim ojca, powtarzając „zostaw mamę”.

Mógł mieć wówczas ze 2 lata. Ledwo co zaczął chodzić.

Druga scena to wiosenny dzień. Babcia w piwnicy obiera ziemniaki. Ojciec przychodzi pijany ze swoim bratem. Zaczynają się kłócić. Szklanką rozcina bratu twarz. Ten bierze wówczas pieluchę i przykładą ją sobie do twarzy, żeby zatamować krew.

Władysława szybko chwytła malutkiego Piotra na ręce i ucieka w pole. Dziewczynki biegną za nią. Ojciec ich goni, więc w pewnym momencie kobieta rzuca synka w trawę, bo wie, że on dziecku nic nie robi. Sama ukrywa się w zaroślach. Około godziny Piotr leży sam w trawie i płacze.

Danuta zapamięta też, że ojciec ciął sobie przy nich ręce żyłką. Był bardzo silnym mężczyzną, kiedyś ćwiczył boks. Władysława wiedziała, że jest zdolny do wszystkiego, i bardzo się go bała. Kiedy nie było go w domu, mieli spokój. Ze strachu przed mężem zdarzało się, że zostawiała dzieci u sąsiadki, a sama nocowała na dworcu. Bo Adam ostrzył przy nich nóż i mówił, że jak matka przyjdzie, to on jej pokaże. Nigdy nie pomagał finansowo. Gdyby nie babcia Rozalia, pewnie nie daliby sobie rady.

Adam poznał Władysławę w 1976 roku. Po pół roku wzięli ślub i zamieszkali u jej matki w Młodowie. Ale zięć nie mógł dogadać się z teściową, która buntowała też córkę. Nie dawał rady jednocześnie zająć się gospodarstwem i pracować na kolei, o co obie miały pretensje.

Urodziły im się dwie córki, a w 1982 roku syn – Piotr.

To wtedy Władysława zostawiła dziecko w Ośrodku Zdrowia w Piwnicznej pod opieką doktora Jana L. Przekazała mu dziecko w gabinecie ze słowami: „Jak to jest twoje dziecko, to je sobie chowaj”. Lekarz wówczas zadzwonił na policję i Władysławę zmuszono do odebrania chłopca z ośrodka.

Jej mąż dowie się o tym porzuceniu jakoś po miesiącu, od kolegów z pracy, którzy pochodzili z Młodowa. Kiedy wróci z delegacji z Krakowa, zapyta Władysławę, dlaczego tak zrobiła.

– Czy to mój syn? – drążył. Ale kobieta milczała. Od tamtej pory żyją w jednym domu, ale w separacji.. Kłóćą się przy dzie-

ciach, a one widzą tę niezgodę i przepaść, która między nimi narasta. Ojciec wciąż przynosi do domu pieniądze i pracuje na gospodarstwie. Robi to dla dzieci. Dostaje jednak 10 miesięcy w zawieszeniu za znęcanie się nad teściową. Awantury wybuchały o byłe głupstwo. W 1986 roku się rozwodzą.

Kiedy ojciec wyprowadza się z domu. Piotrek ma 4 latka.

– Przez cały ten czas traktowałem go jak syna. Tylko w czasie sprawy rozwodowej (orzeczenie było o mojej winie) wniosłem o zaprzeczenie ojcostwa. Sąd nie zezwolił jednak na badania genetyczne. Piotr przez cały ten czas mówił do mnie „tato”. Nie było takich sytuacji, by Władysława mówiła dziecku, że nie jest moim synem. Traktowałem dzieci po równo. Mogę śmiało powiedzieć, że kochałem Piotra i nadał Kocham jak syna. Jaka jest prawda o tym, co zrobił, dowiem się pewnie na tamtym świecie.

Danuta przypomina sobie, że Piotrek od dziewiątego do czternastego roku życia był gadułą. Spędzał z siostrami wakacje, ferie, u babci – Wigilię i Wielkanoc. Opowiadał o szkole albo o tym, co wyczytał w książkach. A uwielbiał czytać. Miał też duże poczucie humoru. Mówił, że chce być inżynierem górnictwa naftowego. Napisał nawet list do gminy z prośbą o udostępnienie koparki do badań naukowych. Przez wakacje potrafił dwa razy przeczytać książkę do historii. Lubił matematykę. Był najlepszym uczniem w klasie. Zdobywał nagrody w konkursach ekologicznym, strażackim i ortograficznym. Kiedy miał 12 lat, dorwał książkę *Milczenie owiec*. Była na półce Danuty, która pożyczyła ją od koleżanki. Choć nie dla niego w tym wieku, bardzo mu się spodobała. Przeczytał ją kilkanaście razy, niemal nauczył się jej na pamięć.

Piotr był też ministrantem. Na zdjęciu stoi obok biskupa Życkińskiego podczas konsekracji kościoła w Michalczowej w 1994

roku.

Szkolny kolega Piotra: – Przez 8 lat chodziliśmy do jednej klasy Szkoły Podstawowej w Michalczowej. Ponieważ mieszkaliśmy w sąsiedztwie, często się odwiedzaliśmy w domach i bawiliśmy razem. Poza mną Piotrek nie miał żadnych kolegów. W naszym miejscu zamieszkania nie było rówieśników i w zasadzie byliśmy na siebie skazani.

Piotrek był ze mną szczery. Chciał zostać kierowcą, ale ponieważ cierpiał na astmę, nie mógł wykonywać pracy fizycznej i dlatego poszedł do „ekonoma”. Do matki odnosił się spokojnie. Czasami opowiadał mi, że dostawał od niej łanie. Ale nigdy się nie skarżył na sytuację w domu ani na rodzeństwo. Jego hobby to było czytanie książek. Zawsze czytał. Kiedy w szkole zadawano lektury, on już je znał. Lubił książki przygodowe i kryminały.

Gdy skończył podstawówkę, nagle stał się innym człowiekiem.

Kuzynka Piotra, Joanna, opisuje go jako samotnika. Spokojny, uczynny, ale było w nim coś innego. Jakaś dziwność, zamyślenie. Niesamowicie skryty. Nigdy nie zwierzał się ze swoich spraw ani sytuacji rodzinnej. Kiedy się z nim rozmawiało, nie patrzył rozmówcy w oczy. Wzrok zawsze odwrócony. U babci Rozalii przy stole miał swoje miejsce. Jadł niespiesznie. W każdej wolnej chwili czytał *Milczenie owiec*. Ta książka bardzo go pochłonęła. Zawsze ją miał przy sobie, nawet podczas posiłków. Poirytowany, kiedy mu się przeszkadzało czytać. Wyglądało, jakby żył w swoim świecie.

Nie lubił psów ani kotów. Po jakimś czasie padały, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Był ulubionym wnuczkiem babci Rozalii. To ona kilka lat wcześniej powie Joannie, że Piotr nie lubi zwierząt.

Śpi przy zapalonym świetle, gra w piłkę, karty, jeździ rowerem i chodzi po lasach. Zazwyczaj sam. Wiosną przynosi do domu pąki drzew i krzewów i czeka, aż się rozwiną.

Emigracja wewnętrzna chłopca z czasem się pogłębia. Częściej bywa u babci Rozalii. Pomaga jej w pracach polowych i w domu. Pod koniec jej życia stara się nią opiekować, ale upilnować już nie daje rady. Staruszka nocą pali w piecu, a do butów nalewa wodę.

Piotr staje się zamknięty w sobie, znika jego wylewność. Kompletnie przestaje rozmawiać. Na pytania odpowiada zdawkowo. Nie ma już planów na przyszłość, a pomysł z liceum ekonomicznym wychodzi od matki. Matka, jak zapamiętały córki, choć cieszyła się, że syn chce się uczyć, nie dawała mu tego odczuć. Nie wysyłała sygnałów, że jest dla niej ważny, choć bardzo tego potrzebował.

Danuta też zauważyła, że brat zaczął cierpieć na bezsenność. U babci obserwuje, jak nie może zasnąć. Matka skarży się, że nocami Piotr łązi po domu. W drugiej klasie liceum zaczyna się jąkać dużo bardziej niż przedtem. Wcześniej tylko się zacinał. Potem nie mógł już wypowiedzieć pierwszej sylaby zdania. Przeszkadzało mu to w szkole i w życiu. W domu nikt nie robił z tego problemu, tylko czasem Kamil i Czesio się z niego naśmiewali. Parę razy Danuta jest świadkiem, że naśladowali jego jąkanie. To były takie dziecięce przekomarzania. Kiedy Piotrek zwracał chłopcom uwagę, że coś robią źle, Czesio najczęściej odpowiadał: „Aaa ty się jjjjąkasz”. Czasem Piotr kłócił się z dziećmi, kiedy zabrali mu zeszyt czy jakąś czekoladę. Podkładał więc dziecku nogę, łapał za rękę, czasami nawet uderzył. Nie robił tego mocno, ale dzieci płakały i leciały na skargę do mamy. A ona przeważnie stawiała w ich obronie, mówiąc, że Piotrek jest od nich głupszy. Skarżyła się, że robi się krnąbrny i jej nie słu-

cha.

Wychowawczynie z Liceum Ekonomicznego w Nowym Sączu, Elżbieta G., zwróci uwagę na Piotra dopiero po jakimś czasie nauki w pierwszej klasie. Nie będzie się wyróżniał niczym szczególnym poza liczbą nieobecności – w pierwszym semestrze 103 godziny opuszczone i usprawiedliwione.

Okaże się potem, że kiedy Piotr poszedł do pierwszej klasy liceum, we wrześniu w ogóle nie chodził do szkoły, bo musiał na nią zapracować. Zbierał wtedy owoce w sadzie w Michalczowej i pomagał je matce sprzedawać.

Wychowawczynie: – Do szkoły przyjeżdżała Władysława, raczej prosta kobieta, mająca kłopoty zdrowotne z młodszymi dziećmi. W mojej ocenie była trochę nerwowa. Usprawiedliwiała go, mówiąc, że albo musiał opiekować się młodszymi dziećmi, albo chorował.

Podczas wycieczki klasowej dowiedziałam się, że jego matka rozwodzi się, a ojczym, który z nimi nie mieszka, czasem przychodzi do domu i wtedy wybuchają awantury. Odpowiadał na moje pytania krótko i konkretnie. Raczej odpowiadał niż sam zadawał. Ale był koleżeński i lubiany, pomagał każdemu, kto o tę pomoc poprosił. I delikatny: nikt nawet nie ośmielał się być wobec niego niegrzeczny.

W drugiej klasie Piotr zaczął się mocno jąkać. W pierwszej to były epizody, lekko się zacinał, ale w drugiej już nie mógł wystartować z odpowiedzią. Inni nauczyciele też to zauważyli. W połowie drugiego semestru zapytałam jego matkę, z czego to wynika. Odpowiedziała: „Tak, tak, on jest ostatnio bardzo nerwowy”. W ten sposób trochę zbyła mnie z tą odpowiedzią. Piotr był zdolnym uczniem, mimo że oceny o tym nie świadczyły.

W pierwszej i drugiej klasie miał po około dwieście nieobec-

ności.

Na początku trzeciej klasy, kiedy zaginęła matka Piotra, młodzież zauważyła, że zaczął się lepiej uczyć. Był spokojny, smutny, ale w granicach normy. O tym, że został zatrzymany pod zarzutem morderstwa matki i braci, wychowawczyni dowiaduje się od wicedyrektor. To dla niej ogromny wstrząs. Nie opanowuje łez. Idzie do swojej klasy na język angielski i mówi uczniom, co się stało. Do dziś trudno jej opisać to, co zobaczyła. Młodzież była zszokowana. Część płakała, inni patrzyli na nią z niedowierzaniem. Podczas lekcji z pedagogiem młodzież mówiła, że to niemożliwe, żeby Piotr to zrobił. Że ktoś go szantażuje, żeby się przyznał. Choć nie miał w klasie bliskiego przyjaciela. Dziewczyny też nie.

Joanna, bratanica Władysławy, zauważy, że na tydzień przed zaginięciem ciotki Piotr szybko wraca od babci do domu. Tłumaczy kuzynce, że kopie „odkrywkę”, żeby zobaczyć warstwy gleby. Że mu to potrzebne do szkoły. Dla Joanny to nieco dziwne, bo są wakacje. Ma sporo czasu, żeby to skończyć, i nie musi się tak spieszyć. Pyta więc, gdzie kopie. Za sadem, na łączce.

Potem Władysława jej powie, że Piotr kopie „dołek na śmieci”.

– Nie miał źle, rodzina naprawdę dobrze go traktowała. – Joanna będzie długo analizowała, dlaczego „najukochońszy Piotruś” zabije swoją matkę i braci. – Któregoś razu powiedział, że matka gdzieś jedzie, „a on musi zostać z tymi bękartami”. I dodał, że nie traktuje ich jak braci, bo są z innego ojca. Wcześniej nigdy nic takiego nie mówił. A to powiedział ze złością.

*

Co wydarzyło się pod koniec podstawówki, że zmieniło Piotra bezpowrotnie? Złamało mu serce i z czynnego, otwartego i ga-

datliwego chłopca przeobraziło w wycofanego z życia milczka? Od tamtej pory był jak dziki kot: nieufny i chodzący własnymi drogami.

– Miałam wrażenie, że jedynie z przymusu tolerował dzieci – powie Danuta.

A matka lubiła dominować. Chciała, żeby dziecko było posłuszne i wykonywało polecenia. Gdy siostry lub Piotrek czegoś nie zrobili, zaczynały się wymówki. Wobec chłopca czasem były wulgarne. Władysława klęła, gdy się zdenerwowała. Traktowała go instrumentalnie. Robił w domu wszystko. Nigdy nie narzekał. Siostry uważały, że matka go tymi obowiązkami przeciąża. Mawiała: „Dzieci i ryby głosu nie mają”.

Piotr z matką niewiele więc rozmawiał. Odzywał się tylko tyle, ile musiał.

Wielu młodych ludzi wychowanych w dysfunkcyjnych rodzinach nie wkracza na drogę przestępstwa, nie stają się też zabójcami. Ale w życiu tych, którzy jednak dopuścili się morderstwa, „musi nastąpić wydarzenie, które zmieni zabójcę potencjalnego w faktycznego”^[2]. Może to być jakaś gwałtowna, niekorzystna zmiana, upokorzenie od kogoś doznane, czy uczuciowy zawód. Edmund Kemper, amerykański seryjny morderca i nekrofil, który odebrał życie dziesięciu osobom, po raz pierwszy zamordował po gwałtownej kłótni z matką. Wcześniej zabił domowe koty.

Policjanci będą drażnić, analizować i stawiać Piotrowi kolejne pytania. Będą chcieli objąć rozumem to, co niewyobrażalne. Dotrzeć do jądra ciemności. Aż wreszcie się do niego zbliżą.

– Gdy byłem w ósmej klasie, matka powiedziała mi, że nie

2 Arkadiusz Czerwiński, Kacper Gradoń, *Seryjni zabójcy*, Muza, Warszawa 2001, s. 322.

jestem synem mojego ojca, tylko doktora Jana L. – Piotr zaczyna jąkać się coraz bardziej. – Powiedziała mi to spokojnie, ale miałem do niej żal, że tak późno. W drugiej klasie liceum z kolei powiedziała, że doktor L. zwariował, bo rodzina go oszukała, a on popadł w alkoholizm. Nie widziałem go na oczy.

I choć Piotr będzie zapewniał, że ta wiedza nigdy nie była dla niego powodem do kłótni z matką ani tym bardziej nie miała wpływu na to, co zrobił, to jednak nie zdoła ukryć cienia, którym położy się na jego życiu.

Tamtego dnia bracia zaczęli się bić. Próbował ich rozdzielić. Matka złała go kablem od piecyka.

Tamtego dnia nie chciała przyjąć do wiadomości, że żadnego z braci nie uderzył, tylko sami się między sobą szarpali. Wybiegł więc do stodoły, rozplakał się i postanowił ich zabić.

Tamtego dnia czytał książkę pożyczoną od kuzynki. Szpiegowski thriller *Manuskrypt Chancellara* Roberta Ludluma. Gdy już zabił matkę i braci, do końca zostało mu 20 stron.

Tamtego dnia, kiedy coś w nim pękło, już nie myślał o lęku. Ani nawet o poczuciu winy. Myślał tylko o zemście. Za te małe okrucieństwa, setki zniewag, aluzji i niepomszczonych upokorzeń. Za to odrzucenie, niekochanie i samotność, które kiełkowały w nim od środka niczym nasiona zanurzone w brudnej wodzie.

Książkę dokończył czytać już w domu Danuty. Dostał tam własny pokój. Na komodzie siostra postawiła zdjęcia dzieci. Ale Piotrek nie mógł na nie patrzeć. Początkowo spięty i zamyślony, gdy jednak zauważył, że nikt go nie podejrzewa, wykorzystał naiwność rodziny.

Był dzieckiem bardzo rozpieszczonym. To, co jemu uchodziło na sucho, siostrom by nie uszło. Danuta po długim namyśle

ocenia charakter Piotra jako mściwy:

– Kiedyś chciał uderzyć mnie kawałkiem drewna, ale mu uciekłam. To uderzył mnie, gdy spałam. Matka często go usprawiedliwiała, że „jest malutki, chorowity, a my jesteśmy starsze”. Dostawał od niej więcej prezentów i czułości. Pamiętam, że był skąpy. Nie dzielił się prezentami. Obie z siostrą nazywałyśmy go chytrusem.

Lucyna przyzna, że matka nie krzywdziła i nie odrzucała Piotrka. On po prostu za bardzo przeżywał sytuacje, kiedy ktoś nie stanął po jego stronie. Nadwrażliwy. Uważał się wtedy za odtrąconego.

– Był samolubem i egoistą. Potrafił na przykład sam zjeść w kącie kupione cukierki.

Kiedyś matka go faworyzowała i pozwalała na wszystko, bo był chorowity. Sądzę, że stracił tę pozycję po przyjściu na świat braci i nie umiał sobie z tym poradzić.

Brat Władysławy, Kazimierz, potwierdza, że Piotr był oczkiem w głowie swojej matki. Uczył się dobrze, spokojny, bez nałogów. Nie miał zbyt wielu kolegów, ale i nie sprawiał kłopotów wychowawczych.

– Moja mama, Rozalia, uważała go za cudowne dziecko. „Bóg go z nieba córce zesłał, taki to dobry chłopiec”, mawiała. Gdy się Piotra o coś poprosiło, nigdy nie odmówił. Zauważyłem jednak, gdy byłem u siostry, że Piotr, jak szedł po podwórku, to to, co mu się nawinęło pod nogi, kopnął. Czy to była kura, czy kot.

Michalina, siostra Władysławy: – Piotrek topił młode koty, a myszy wieszał na sznurkach.

Jedna z sąsiadek powie, że jeśli chodzi o zabijanie, to Piotrek miał do tego rękę. Kiedy trzeba było zabić kaczki, zawsze go wolała.

Władysława poskarży się jednej z córek, że Piotrek niszczył stodołę, uderzając młotkiem w pustaki. Uderzenia musiały być silne, bo dziury były widoczne, a pustaki są przecież bardzo grube. Dlatego policjanci z Archiwum X dojdą do wniosku, że Piotr ćwiczył cios. Przygotowywał się do tej zbrodni.

Maria, siostra Kazimierza, Michaliny i Władysławy: – Nigdy w jego spojrzeniu nie dostrzegłam prawdziwości. Zresztą rzadko patrzył w oczy. Zawsze jakoś tak trzytrzymał spuszczoną głowę. Jest człowiekiem o kamiennym wyrazie twarzy.

Człowiek maska.

Danuta zapamięta, że ojczym traktował Piotra inaczej niż młodszych chłopców. Kiedy podrośł, kilkakrotnie mu groził, że wyrzuci go z domu razem z mamą i będą mieszkać na przystanku.

Kiedy Czesław poznał Piotra, ten był małym chłopcem. Władysława od razu przyznała mu się, że córki są jej męża, a Piotr jest synem lekarza Jana L. z pobliskiej przychodni. Czesław zapamięta też, że Władysława częściej karciła dziewczyny niż jego. Piotr był pupilem całej rodziny.

Mąż Danuty, Stanisław, w pewnym momencie pojedzie do biologicznego ojca chłopaka, gdy czas od zaginięcia Władysławy zacznie się nieznośnie wydłużać. Ale szybko wróci. Powie siostrze, że to alkoholik, lump i że się z nim nie dogadał. Na temat ich matki nie wiedział zupełnie nic.

Po tym, jak Piotr przyzna się do zabójstwa, prokurator zwróci się natychmiast do oddziału Psychiatrycznego Szpitala Miejskiego w Gorlicach z prośbą o wydanie dokumentacji lekarskiej Jana L. Ma ją na swoim biurku trzy dni później. Rozpoznał: zespół otępienny, depresję, alkoholizm i padaczkę.

Adam wnosi do sądu prośbę o wykonanie badań DNA, które

mogłyby dać odpowiedź, kto faktycznie jest ojcem Piotra: on czy Jan L. „To w dużej mierze mogło wpłynąć na załamanie psychiczne Piotra i że dopuścił się tej zbrodni” – uważa ojciec i tak też pisze w uzasadnieniu.

Z tą samą prośbą zwróci się również Piotr. Z dokumentacji szpitalnej L. można wyczytać, że na oddział przywieźli go synowie. Jest uzależniony od alkoholu, morfiny i relanium.

W chwili przyjęcia ma we krwi ponad dwa promile. Umiera 1 kwietnia 2000 roku.

Początkowo Piotr nie chce brać udziału w wizji lokalnej. W końcu się zgadza, pod warunkiem że nie będzie musiał demonstrować ciosów, jakie zadał matce i rodzeństwu na przygotowanych do tego manekinach.

Policyjna kamera pokazuje szczupłego chłopaka w ciepłej koszuli w kratę.

– ... wtedy odciąłem wiszący kabel.

– Gdzie był? Proszę wskazać.

– Tu był, zwiślał z balkonu.

– Jaki to był kabel?

– Antenowy.

– Jak go pan odcinał, z zewnątrz, stąd? (stoją w pokoju)

– Stąd.

– W jaki sposób? Otwierał pan okno?

– Tak. No... no... nożem go odcinałem (jąka się).

– I co potem?

– I poszedłem tutaj (przechodzi do drugiego pokoju) i tu go przywiązałem (pokazuje na górną poręcz schodów). Potem przyniosłem krzesło, stanąłem na tym krześle i próbowałem, czy kabel się nie urwie. Ale urwał się.

– Dlaczego chciałeś popełnić samobójstwo?

– Bo po prostu do mnie dotarło na drugi dzień, że już nie da się tego odkręcić i cofnąć. I nie ma już dla mnie przyszłości.

Kamera śledzi twarz Piotra. Jak spokojnym, przyciszonym głosem opowiada, że najpierw wyprowadził przed dom młodszego Kamila i zabił go.

– W tym miejscu (kamera pokazuje wokół drzewa owocowe) uderzyłem go dwa razy młotkiem w tył głowy.

– Brat szedł?

– Tak.

Wrócił po Czesława, wyprowadził, zabił. Drzwi zamknął na klucz, włożył młotek za pasek, poszedł do kuchni i czekał na matkę, aż obróci się tyłem. Uderzył ją w głowę młotkiem. Wstała, to bił jeszcze. Trzykrotnie upadała na ziemię i wstawała. Przewróciła się na plecy. Uderzył ją jeszcze raz w lewą skroń. Następnie wziął z tyłu pod rękę i zawłókł do sadu.

– Jak ułożyło się ciało mamy, kiedy je wrzuciłeś do dołu?

– Wzdłuż.

– A brat Kamil był pod nią?

– Pod nią.

– Jak leżała matka? Na wznak, twarzą do góry?

– Do góry.

Prokurator, obserwując to wszystko, zarządza przeprowadzenie wywiadu środowiskowego na temat Piotra. Jest 11 października 1999 roku. Z uwagi na charakter i okoliczności zbrodni zadaje sobie również pytanie, czy chłopak jest w ogóle poczytalny.

W opinii psychiatrycznej, sporządzonej na terenie szpitala Aresztu Śledczego w Krakowie, lekarze dochodzą jednak do wniosku, że nie są w stanie określić poczytalności Piotra.

„Obraz psychopatologiczny nie jest jasny, przy równie niejasnej motywacji”.

Ale wyraźnych zaburzeń osobowości nie dostrzegają. Uznają, że należy go poddać obserwacji psychiatrycznej w warunkach szpitalnych.

5 listopada 1999 sąd kieruje więc Piotra na zamkniętą obserwację.

Lekarze odnotują, że polecenia spełniał, na badania przychodził, leki przepisane zażywał, posiłki zjadał. Był w dość dobrym kontakcie z personelem, przeciętnie aktywny na oddziale.

Zapisują lo, co niewytłumaczalne:

„Moja matka i ja nie rozumieliśmy się. Wszystkiego mi zabraniała. Kochałem ją, ale chciałbym, żeby rozumiała moje potrzeby”.

Piotr pisze stamtąd list do siostry, Danuty:

„Tutaj, w Krakowie, przebywam z bardzo inteligentnym człowiekiem, który namawia mnie, żebym się zmienił, a nie próbował się zabić. Wiedz, że Adam R, twój ojciec, nie jest moim ojcem. Trzy lata temu mama mi o tym powiedziała. Moim ojcem jest doktor L. Gdyby dało się cofnąć czas...”.

Do ojca (Adama): „Nie wiem, jak coś takiego mogło mi przyjść do głowy. Ale jestem przecież skończonym idiotą, durniem, głupcem, i niewiarygodnym egoistą i nie zasługuję na nic lepszego od tego, co mnie teraz spotyka. Nie wiem, co mnie wtedy opętało, jaki diabeł wstąpił we mnie, że to zrobiłem. Gdy przypominam sobie tamte chwile, chcę umrzeć. To, co mnie trzyma na tym świecie, to Bóg i wy: ty, tato, i Danka. Nie wiem, czy jest szansa dla takiego zbrodniarza i grzesznika, jak ja. Robią mi teraz różne testy na oddziale psychiatrycznym, czy jestem poczytalny. Biorę leki nasenne i dzidki nim jakoś wytrzy-

muję. Dziękuję, że pamiętacie o mnie. Nic mi nie potrzeba, ale jeśli możesz, przyslij mi herbatę, kawę i cukier”.

W jednym z testów Piotr uzyskuje profil z „zaznaczającą się dolinką paranoidalną”. Świadczy to o pewnym rozdzieleniu jego myśli i uczuć, chłódzie emocjonalnym, dość znacznym poziomie agresji wobec siebie, ale również tej ukrytej. Lekarze dochodzą do wniosku, że chłopak jest mało odporny na stres, nadmiernie egocentryczny, zaprzątnięty swoimi przeżyciami. Szuka możliwości przystosowania się do rzeczywistości, lecz ich nie znajduje.

„Wypowiada się w miarę pozytywnie o członkach rodziny i otoczeniu, ale analiza jego podświadomych nastawień wskazuje na dość głęboką urazę w stosunku do najbliższych. Pomimo dobrej sprawności intelektualnej jest mało zaradny w rozwiązywaniu problemów życiowych.

Długotrwałe napięcia związane z trudną sytuacją domową mogły spowodować nagromadzenie się negatywnych nastawień do otoczenia, najbliższych, uwolniły nagromadzone, a dotychczas ukryte mechanizmy złości i frustracji. Jest możliwe, że on sam nie rozumie w pełni tego, co zrobił, jak i nie do końca uświadamia sobie motywy, jakie nim kierowały”.

Bardziej racjonalnych motywów psycholog nie widzi. Uważa, że zabójstwo było raczej odreagowaniem nienawiści, krzywdy i wrogości.

20 lipca 2000 roku w akcie oskarżenia prokurator napisze: „Przedstawione mu zostały zarzuty popełnienia trzech zabójstw, zasługujących na szczególne potępienie. Popełnione przestępstwa stanowiły dramatyczne ujawnienie trudności w rozwiązywaniu konfliktów emocjonalnych”.

Kolejny list, wysłany do Danuty już z Zakładu Karnego w Nowym Sączu, omija cenzurę. Prokurator natychmiast wyjaśnia, że ewidencjonowane są tylko listy Piotra do urzędów. Mąż Danuty przywozi więc list do siedziby prokuratora i dołącza go do akt sprawy.

„Kochana Danusiu, nie będę tłumaczyć się z tego, co zrobiłem, bo teraz rozumiem, że nic nie może mnie usprawiedliwić. Ale nie mogłem znieść upokarzania mnie przez matkę i bicia. Oraz całego tego marnego życia. Teraz wiem, że jeśli ktokolwiek miał zginąć, to tylko ja. Wiem, że zasłużyłem na to, co teraz przeżywam, a jeśli dałoby się cofnąć czas, zabiłbym tylko siebie. Przepraszam, że żyję, bo to wszystko przeze mnie, i nie proszę cię o zrozumienie. Przepraszam i żałuję”.

Piotra irytuje zainteresowanie mediów jego osobą. 28 listopada 2000 pisze z więzienia do sądu, że nie zgadza się na filmowanie i nagrywanie swoich zeznań (przed Bożym Narodzeniem w Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu ma zapadść ostateczny wyrok):

„Nie będę odpowiadał na żadne pytania, jeśli w czasie mojego konwojowania i trwania rozprawy pojawi się choć jeden dziennikarz radiowy czy operator telewizyjny. Nie będę również udzielał żadnych wywiadów dla prasy. Jeśli w mediach znajdą się moje fotki lub wypowiedzi, to będę dochodził swych praw na drodze sądowej i nie będę wahał się obarczyć winą Sąd Okręgowy. Żądam odpowiedzi, czy moja osobista tragedia będzie mieć spokojny koniec”.

21 grudnia 2000 zapada wyrok. Piotr dostaje karę 25 lat pozbawienia wolności.

W jego imieniu apeluje obrońca, adwokat Władysław Michalik z Nowego Sącza. Pisze, że należało go poddać dodatkowym badaniom neurologicznym, tomografii głowy i EEG, ponieważ

„biegli psychiatrzy przedwcześnie wykluczyli występowanie u niego psychotycznego procesu chorobowego”.

Adwokat argumentuje, że u Piotra w chwili morderstwa zaczęła rozwijać się schizofrenia. W literaturze psychiatrycznej opisane są przypadki, gdy schizofrenia rozpoczyna się od czynu karalnego, tak zwanego *delictam initiale* [niewykluczone, że w ten sposób rozpoczęła się u zabójcy kobiety w ciąży. Piotra S. – I.M.].

Mówi się też o nieoczekiwanym działaniu pod wpływem nagłego pomysłu, nazywając je „paragnomenem”, który wyprzedza na wiele tygodni lub miesięcy wybuch choroby.

To tak zwany okres pozornego zdrowia.

Zachowanie Piotra – utrzymuje adwokat – pozwala na podejrzenie, że występują u niego osiowe objawy schizofrenii, autyzm (zamknięcie w sobie i oderwanie od rzeczywistości) oraz rozszczepienie emocjonalne (kocha matkę, ale jednocześnie jej nienawidzi). Powołuje się na etiologię choroby (że może być dziedziczna lub że Piotr ma do niej predyspozycje). Za przykład podaje biologicznego ojca Piotra, który cierpiał na psychoorganiczny zespół otępienny, padaczkę, alkoholizm, a jeden z jego synów (miał ich jeszcze dwóch) po śmierci ojca popełnił samobójstwo.

Matkę obrońca określa jako „schizofrenną”, która „przez swą nadmierną opiekuńczość, wynikającą z utajonej wrogości, nie pozwalała dziecku dojrzeć emocjonalnie” (powołuje się na zeznania świadków, w tym siostry, a także biegłych psychiatrów).

– Dół na śmieci nie świadczy o tym, że zbrodnia była zaplanowana – ciągnie adwokat podczas apelacji. – Oskarżony wykonał go na polecenie matki, co również potwierdził jeden ze

świadków.

Jednak Sąd Apelacyjny pozostaje niewzruszony i podtrzymuje wyrok 25 lat za kratami.

Piotr napisze jeszcze do rodziny: „Wiem, jestem potworem, że to zrobiłem. Wiem, jak ciężkie mnie czeka zadanie, ale myślę, że Bóg mi pomoże. Proszę go o to co wieczór i modłę się za mamę i braci, żeby mi wybaczyli”

Jedna z siostr Piotra nie uwierzy, by w 17-letnim chłopaku wszystko zrodziło się z czystego zła czy wybryku. Raczej był to krzyk rozpacz.

– Czasami śni mi się matka – powie – która mi przekazuje, że wybaczyła synowi to, co zrobił. I wiem, że on bardzo cierpi, będąc tam sam na sam ze swoimi myślami.

W maju 2016 roku wysyłam Piotrowi list. Przebywa w Zakładzie Karnym na ulicy Kleczkowskiej we Wrocławiu. Chciałabym po latach zapytać go o wiele spraw związanych z tym, co zrobił.

I jak dziś wygląda jego życie, kontakty z rodziną, jaką ma refleksję na temat swojej przeszłości. Jak widzi siebie po wyjściu z więzienia.

„Nie chcę więźnia oceniać ani atakować – tłumaczę dyrekcji ZK – otrzymał już odpowiednią karę, i moim zadaniem będzie raczej próba zrozumienia go niż ponownej stygmatyzacji”.

Bo cały czas próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ta zbrodnia wzięła się z braku miłości.

Ale Piotr nie zgadza się na rozmowę.

Jak pisał bard i poeta Jacek Kaczmarski: „W nas jest raj, piekło i do obu szlaki”.

Którymkolwiek z nich podąża dzisiaj Piotr, chce na tej drodze pozostać już całkiem sam.

Rozdział trzeci

PLANTATOR TRUSKAWEK

Na przystanku niedaleko urokliwego zalewu w Cedzynie, w pobliżu Kielc, mężczyzna czeka na autobus. Jest ciemno. Deszcz pomieszany z wiatrem zacina nieprzyjemnie. W pewnym momencie widzi na jezdni innego. Nie będzie potem umiał opisać jego wyglądu. Zmrok zatrze kontury, kolory, kształty i nie pozwoli, by utkwiły w pamięci świadka. Wiadomo jedynie, że patrzył w kierunku zagajnika, z którego w pewnym momencie dał się słyszeć przerażony głos kobiety.

– Puść mnie! – krzyczała, a krzyk, choć krótki, roznosił się echem po lesie.

– Andrzej, bierz ją! – wrzasnął ten stojący na jezdni.

Głos kobiety stawał się bardziej stłumiony, a mężczyzna zaczął śpiewać, żeby ją zagłuszyć.

– Początkowo chciałem tam pobiec – zeznał świadek policjantom. – Ale byłem sam i bałem się, że mogę oberwać.

Poboczne lizały światła tirów. Potem wszystko ucichło.

Jest 19 września 1991 roku, godzina 21.20. Ciemność z gra-

natu przechodzi w czerń. W pewnej chwili jeden z mieszkańców Cedzyny słyszy strzały, a tuż potem potężną detonację. Biegnie w stronę leśnego parkingu. Nazywany przez miejscowych postojem „pod grzybkiem”, przycupnięty na brzegu lasu, służy turystom do złapania oddechu przed dalszą drogą. Drewniane ławki, kilka stołów, zadaszenie w kształcie kapelusza. Niektórzy tu jedzą, inni śpią w samochodach, żeby zaoszczędzić na noclegu. Teraz płonie na nim samochód. Eksplozję widzi też przypadkowy kierowca. Ma radio CB, więc dzwoni po straż pożarną.

Strażak z Kielc zapamięta słowa dyspozytora:

– Około 22.00 powiedział, że pali się las w Cedzynie, za krętem drogi, tuż koło Radlina. Pojechaliśmy jednym beczkowozem. Było nas pięciu. Dotarliśmy na miejsce mniej więcej o 22.15. Około 80 metrów od szosy Kielce – Lublin zobaczyliśmy ogromną łunę. Zostawiliśmy wóz i poszliśmy w głąb lasu z latakami, żeby rozpoznać teren. Płonął samochód. Nie dalo się nawet ustalić jego koloru. Podchodząc bliżej, natknąłem się na zwłoki kobiety. Były obnażone od pasa w dół.

Kobieta leżała na wznak, z bezwładnie rozrzuconymi nogami. Biała bluza z długim rękawem, którą miała na sobie, przykrywała jedynie piersi. One sprawcy najwyraźniej nie interesowały, więc jej ciało jasno mówiło: gwałt. Prawa ręka uniesiona, jakby chciała podtrzymać głowę. Twarz, czego nie zmieniła nawet śmierć, wciąż należała do atrakcyjnej blondynki o pełnych, wydatnych ustach. Teraz była pokryta krwią. Musiała dostać silne uderzenie w nos, bo wyglądał na złamany. Jakby sprawca wziął sobie jej ciało, niczym trofeum. We włosach łuska. Kaliber 9 milimetrów, jak ocenią później specjaliści od balistyki. Dobita strzałem w prawą skroń.

Strażak przez radiostację powiadomił pogotowie i policję.

– Beczkowóz nie wjeżdżał do lasu. Rozwinęliśmy tylko węże

gaśnicze i gasiliśmy z drogi małym strumieniem, by nie pozacierać śladów – zapamiętał. – W trakcie gaszenia doszedłem do wniosku, że samochód musiał być obłany przed podpaleniem benzyną. Płomień był dość wysoki, koloru niebieskiego i trudny do ugaszenia. Po chwilowym przygaszeniu buchał na nowo z takim samym nasileniem. Tak palą się opary benzyny, na które działa się wodą. W trakcie gaszenia nastąpiła eksplozja wewnątrz samochodu. Mógł to być pojemnik z dezodorantem.

Policja dotrze na miejsce 15 minut później. Tam oprócz strażaków zastanie też pogotowie. Jednocześnie na żer wyruszają też dziennikarze miejscowej gazety, którzy przez CB radio podsłuchują policję i na bieżąco wiedzą, co się dzieje. Potem zrobią okładkę z wizerunkiem zamordowanej, brutalnie zgwałconej dziewczyny.

Pies tropiący, z którym przyjechali policjanci, doprowadzi ich do miejscowości Niestachów. Tam zgubi trop. Przestępcy poruszali się jak żołnierze w czasie akcji specjalnych: bezszelstnie, nie pozostawiając żadnych śladów. „Mogły to być dwie osoby” – odnotował tamtego wieczoru jeden z policjantów.

W niedalekiej odległości od zamordowanej kobiety śledczy natykają się na dwa kolejne dala. Pierwszy mężczyzna leży na wznak. Strzał w głowę i klatkę piersiową. Na jego twarzy został fragment spalonej tkaniny. Nieopodal ciała łuska kaliber 9 milimetrów. Drugi – w głębi lasu, jakieś 20 metrów od poprzedniego. W pozycji na brzuchu, postrzelony dokładnie tak samo. Cztery metry od niego nieduża siekierka. Prawdopodobnie chwycił ją w ostatniej chwili, ale nie zdołał się obronić. Przy doszczętnie spalonym moskwiczu policjanci znajdują pusty 20-litrowy kanister na benzynę, metki w języku rosyjskim, skórki po arbusie, półlitrową butelkę z napisem „Russkaja wódka”, łom, łyżkę do opon, zegarek marki Orient, pantofel ze skóry, pukiel włosów,

grzebień, pęk kluczy, talon na paliwo i dwie kartki zapisane cyrylicą. Żadnych dokumentów.

Oględziny zaczynają w nocy. Jest chłodno. Dziesięć stopni powyżej zera. Słaba widoczność. Cień lasu kładzie się głęboko na miejscu zbrodni. Śledczym i prokuratorowi pomagają więc światła strażackich wozów. Niestety, ewentualne ślady pozostawione przez sprawców wypłukała deszczówka i woda z węży strażaków. Policjanci zaczynają więc szukać świadków wydarzeń tamtej tragicznej nocy.

„Każdy kielczanin znalazł zapewne pierwszy lasek za miastem, przy drodze szybkiego ruchu, gdzie wyskakiwało się na szybki numer z panienkami” – wspomina jeden z komisarzy, którzy wówczas byli na miejscu. „Nikt tego miejsca nie kojarzył z dziwkim odludziem. Samochody jeżdżą obok bez przerwy i gdy pojawiłem się tutaj po dwóch dniach, o tej samej porze dnia, kiedy naszym zdaniem popełniono zbrodnię, to samochody jechały całymi kolumnami jeden za drugim. Ogłosiliśmy w prasie i radiu komunikat o poszukiwaniu świadków i okazało się, że w tym czasie w pobliżu było mnóstwo ludzi i słyszeli strzały” [3].

Jeden ze świadków wraca z pobliskiej działki i widzi, że na parkingu stoi jasny moskwicz na rosyjskich numerach. Wydało mu się też, że obok stał jeszcze jeden samochód, koloru ciemnego, może czerwonego, typu łada.

Trzech mężczyzn z kolei, którzy przyjechali na ryby nad pobliski zalew w okolicy tamy, słyszeli strzały. Inny świadek zapamięta, jak mężczyzna krzyczał do kogoś: „Łap ją!” A mieszkaniec pobliskiego Radlina, który przejeżdża obok kempingu, widzi moskwicza w kolorze piasku pustyni, średniego wzrostu blon-

3 Zespół reporterów „Delta”, *Mafia w Polsce*, Polrend, Kraków 1993, s. 25–26.

dynkę i dwóch mężczyzn rozmawiających z dwoma innymi mężczyznami, stojącymi obok bordowego poloneza (świadek zeznaje, że miał ciemne szyby i mógł w nim jeszcze ktoś siedzieć). Jednego z mężczyzn, o nieco przydługich włosach, określa „w typie Cygana”

Na miejsce zabójstwa dwa dni później przyjeżdża również dziennikarz „Gazety Wyborczej” Przeczesuje pogorzelnisko patykiem i znajduje fragmenty prawa jazdy, jakichś rachunków i franków szwajcarskich. Wkłada do pudelka po papierosach i idzie na pobliski kemping pytać, czy ktokolwiek znalazł lub widział dziewczynę ze zdjęcia. Nikt. Jedzie więc na komendę policji w Kielcach i oddaje wszystko, co znalazł. Policjanci rozpytują w pobliskich hotelach i na kempingach, w tym 42-osobową grupę Rosjan, która właśnie wróciła z bazaru w Starachowicach. Wyciągają też spis wszystkich gości pobliskiego hotelu Świętokrzyski. Bez powodzenia.

Cztery dni po zabójstwie prokuratura zwraca się do konsulatu ZSRR w Krakowie z prośbą o pomoc w identyfikacji zwłok. Podaje dane jednego z zamordowanych mężczyzn, a jest nim niejaki Władimir Sz., numer prawa jazdy kobiety (o nieznanym tożsamości) i numer silnika oraz rejestracji moskwicka. Policjanci jadą do radzieckiego konsula. Dowiadują się, że moskwick był samochodem prywatnym, na co wskazuje pierwsza litera w rejestracji samochodu, i był zarejestrowany w Cherso- niu – pięknym naddnieprzańskim mieście na południu dzisiejszej Ukrainy, oddalonym półtora tysiąca kilometrów od Polski. Obwód chersoński przytula się dwoma ramionami do mórz Czarnego i Azowskiego.

Wstępnie ustalono, że samochodem jechali Władimir Sz. i jego żona Żanna. Dopiero później okaże się, że to nie Żanna, ale Natalia R, 24-letnia sprzedawczyni ze sklepu z zegarkami, bę-

dzie ofiarą zabójstwa.

Wydział Wiz i Rejestracji Urzędu Spraw Wewnętrznych Obwodu Chersońskiego powiadamia polskich śledczych, że pozwolenie na wyjazd do Polski dostały trzy osoby: właśnie Natalia, potężnie zbudowany, ciemnowłosa i przystojny czterdziestolatek – Władimir (syn Dymitra), i starszy od niego o rok, poważniejszy, też Władimir (syn Aleksandra), nie spokrewnieni.

Ten pierwszy pracował jako dyspozytor w chersońskiej bazie samochodowej. Miał za sobą karierę bokerską w czasie służby wojskowej, zdobył nawet tytuł mistrzowski podczas Spartakiady Armii Zaprzyjaźnionych.

Milicja z Chersonia całkowicie wyklucza, jakoby zabili Polacy. Raczej sądzą, że to międzyukraińskie porachunki, choć nikt z zamordowanej trójki nigdy nie był karany.

12 października 1991 w Wydziale Kryminalnym tamtejszego Urzędu Spraw Wewnętrznych rozpoczynają się przesłuchania rodzin ofiar. Żanna Sz. (rocznik 1952, Ukrainka), gospodyni domowa, żona młodszego Władimira, syna Dymitra, mówi, że jej mąż zabrał ze sobą kanistry z benzyną, które malował na czerwono.

Lokalni milicjanci zadają dziwne pytania:

– Czy wiadomo pani, że mąż i znajomi zabrali do Polski na sprzedaż rtęć? Jeszcze jeden samochód?

Kobieta jest skołowana. O niczym takim nie wie, a samochodem jechali tylko jednym. I nigdy, ale to nigdy nie widziała u męża broni palnej.

– Znajomy spotkał go na granicy – mówi Żanna – i chwilę z nim rozmawiał. Był 14 września. Do Polski powinni więc dojechać najpóźniej szesnastego.

Syn Władimira i Żanny, Ilija, rocznik 1975, uczeń Chersoń-

skiego Technikum Mechaniki Okrętowej, pytany przez śledczych mówi, że ponieważ matka bardzo przeżywała długą nieobecność i milczenie ojca, wymyślił, że ktoś go widział na rynku w Polsce. I że on żyje. Co nie było prawdą.

– 24 września dowiedziałem się od tutejszego wydziału karnego w Chersoniu, że mój ojciec został zabity w Polsce – kończy chłopak.

– Pamiętacie, jakie uszkodzenia były w samochodzie, którym jechali? – pytają milicjanci.

– Na prawych tylnych drzwiach było wgniecenie, które ojciec sam wyklepał i zaszpachlował – odparł Ilja. – Uszkodzony był też przedni i tylny zderzak, a głowica silnika spawana.

Milicjanci z obwodu chersońskiego przesłuchują matkę Natalii, Jelizawetę, emerytkę, rocznik 1937:

– Natalia urodziła się 19 kwietnia 1967 roku w Chersoniu – zeznaje matka. – Skończyła technikum handlowe i pracowała w sklepie jako sprzedawca. Towarzyska i wesoła, nie była mężatką. Pięć lat temu dowiedziałam się, że Natalia spotyka się z mężczyzną starszym i żonatym o nazwisku Sz. Chodziłam do niego i prosiłam, żeby zostawił moją córkę, ale nie chciał słuchać.

Jego żona też o tym wiedziała, ale powiedziała, że między jej mężem a moją córką panują stosunki czysto przyjacielskie. O wyjeździe do Polski dowiedziałam się od Nataszy na dwa dni przed. Wcześniej przynosiła do domu różne przedmioty, na przykład lalki, i mówiła, że kiedyś pojedzie do Polski. Około miesiąca przed wyjazdem widziałam w jej szafce paszport. 6 września rano zaczęła pakować dwie torby. Wyjaśniła mi, że samochodem pojedą do Odessy, a potem pociągami do Warszawy. Zrozumiałam, że stara się mnie uspokoić, a w rzeczywistości pojedzie samochodem razem z Władimirem. W torbach miała

kilka budzików, komplet bielizny dla niemowląt, lalkę, chiński dwulitrowy termos w kolorze wiśni, bieliznę, odzież, kilka kompletów ciepłej bielizny męskiej w kolorze jasnobrązowym. W uszach nosiła złote kolczyki w kształcie rombików, a na palcu złotą, grawerowaną obrączkę. Nie mówiła, kiedy wraca, ale sądziłam, że będzie tam jakiś tydzień. 13 września przysłała nam telegram, że jest kolejka na granicy i wyjazd się opóźnia, więc żebyśmy się nie martwili.

Aleksander, brat Natalii: – O jej wyjeździe wiedziałem miesiąc wcześniej. Wiozła oprócz zegarków zabawki dziecięce „kuroczka”, nalewkę z korzenia żeń-szenia, zamki do drzwi „cepeczka”. Wszystko po pięć, sześć sztuk.

Kierowniczka sklepu z zegarkami Czasy, w którym pracowała Natalia, Walentyna S.:

– Znałam ją 5 lat. Wiedziałam, że wybiera się do Polski, bo kupowała w sklepie zegarki Rakieta po kilka sztuk, w cenie po 50 rubli za jeden, rniała też pięć zegarków damskich Lucz i Czajka [dzisiaj już kolekcjonerskich i kultowych – I.M.].

24 września do Jelizawety zadzwoni telefon, że jej córka, Natalia, zginęła w Polsce.

Tak los odpłacił się jej za miłość do przystojnego, żonatego boksera.

Jewgienija Sz., żona tego starszego, Władimira Aleksandro-wicza, zapamiętała, że jej mąż przygotowywał się do wyjazdu przez całe lato i kupował na handel w Polsce różne produkty.

– Miał ze sobą dwie torby – wspomina kobieta – a w nich: około dwudziestu termometrów, elektryczne zapalniczki do kuchenek (15–20 sztuk), zamki do drzwi, dziecięce rajtuzy, żyrandole, długopisy, trzy czajniki elektryczne, maszynkę do golenia, nożyczki, dziewięć różowych ręczników frotte i jeden fioletowy

z dużymi różowymi kwiatami, około 10 sztuk kabli telewizyjnych, czerwone, kwadratowe budziki i białe, okrągłe. Wszystkich może z piętnaście. 10 sztuk ekspresów do gotowania kawy, trzy elektryczne naczynia do gotowania, damskie pantofle, zabawki, długopisy kulkowe. Wołodzia mógł też mieć ze sobą około 130 dolarów i około 900 rubli. Złota nie miał. Nigdy nie słyszałam, żeby był komukolwiek coś dłużny albo miał wrogów. O tym, że pojechała z nimi Natalia, dowiedziałam się dopiero, kiedy zginęli.

Żanna, żona Władimira Dymitrowicza: – Wiosną 1990 kupiliśmy z mężem moskwicza. 6 września 1991 około szóstej rano mąż wyjechał z wioski Taginka, gdzie zaczęliśmy budować dom, i więcej go nie widziałam. To, że w samochodzie była z nimi również kobieta, to dla mnie niespodzianka. Z jej ojcem jeździłam później do Polski zabrać ich ciała.

Żanna zeznaje dodatkowo, że w samochodzie męża były wmontowane telewizor marki ZSRR i japoński magnetofon. Kobieta nie ma pojęcia, od kogo mąż kupił zaproszenie do Polski. Wywoził na handel drobnicę: kola pływackie dla dzieci, zabawki elektryczne, noże do jabłek, naczynia stołowe, ekspres do kawy Minutka.

Policjanci po nitce do kłębka dochodzą do tego, kto zaprosił obu Władimirów i Natalię do Polski. To Adam O. z Katowic, pracownik Wydziału Obróbki Ciepłej huty Baildon. Często przebywa na targowisku przy ulicy Pukowca, gdzie rozmawia z handlującymi tam obywatelami radzieckimi. I oni często, proszą go o załatwienie zaproszenia na ponowny przyjazd do Polski bądź zaproszenia dla swoich znajomych. O. dostarcza je osobiście lub przysyła pocztą. Wypisuje je w notariacie na specjalnym druku, a notariusz potwierdza zgodność osoby na zaproszeniu z jej dowodem osobistym. Czas wykonania takiego zaproszenia to 3–5

godzin. O. płaci 10 tysięcy ówczesnych złotych za jedno zaproszenie.

– Za taką przysługę obywatele radzieccy rewanżują mi się w różny sposób, ale najczęściej dostają za to butelkę wódki, konserwy turystyczne, czekolady, ubrania dla dzieci – relacjonuje O. – Najwięcej zaproszeń wystawiam dla osób mieszkających na terenie Ukrainy. Przypominam sobie, że wystawiałem zaproszenia dla ludzi z miejscowości Chersoń, ale nazwisk nie pamiętam.

Często obywatele ZSRR przyjeżdżają do niego do domu na kilka godzin, pomaga im sprzedawać towary, które ze sobą przywieźli. Zamordowanej trójki jednak sobie nie przypomniał.

Jeden z policjantów biorących udział w rozwikłaniu tej zagadki mówi dziennikarzom w 1991 roku:

„Żadna ze spraw, które prowadziłem do tej pory, nie skończyła się potrójnym zabójstwem, na dodatek dokonanym z taką premedytacją. Jestem przekonany, że oni nie byli zwykłymi handlarzami, jakich setki i tysiące przewijają się przez polskie bazyry i targowiska”^[4].

Policjant wysnuł też wniosek, że być może Ukraińcy zostali namierzeni przez szajkę wymuszającą okup od handlarzy z wschodniej granicy.

Miesiąc od zbrodni w Cedzynie, 16 października 1991, ginie właściciel kantoru ze Stalowej Woli, Zenon P. Na ławce przed blokiem czekało na niego trzech mężczyzn, wiek około 30 lat. Jeden z nich, w czarnej skórzanej kurtce, podszedł do mężczyzny, strzelił, wyrwał mu teczkę i skopał po twarzy i klatce piersiowej. Cała trójka uciekła. W pościg za nimi ruszyli naprawiający w pobliżu swój samochód policjant i jego szwagier, a także grupa młodzieży. Jeden ze sprawców uderzył policjanta metalo-

4 Tamże, s. 31.

wą rurką w głowę. Sprawcy pokonali po drodze wszystkie możliwe ploty i ogrodzenia, aż w końcu udało im się zbiec.

Policjanci analizują *modus operandi* napastników i dostrzegają podobieństwa ze sposobem, w jaki zginęła Natalia (takie same obrażenia głowy i klatki piersiowej). Do tego strzały padły z lufy kaliber 9 milimetrów. Z bliskiej odległości.

15 listopada 1991 na naradzie spotykają się Komenda Główna i dwie wojewódzkie (z Kielc i Tarnobrzegu). Robią burzę mózgow: czy zabójstwo w Cedzynie można w jakikolwiek sposób powiązać z tym w Stalowej Woli?

Niestety – za zabójstwo właściciela kantoru nikt nie ponosi kary.

Na początku czerwca 1992 strona polska występuje do ukraińskiej z prośbą o pomoc w ustaleniu motywów zabójstwa. W sierpniu prokurator zawiesza śledztwo i wskazuje na kilka motywów zbrodni. Główny: zabójcy to byli obywatele Związku Radzieckiego. Porachunki osobiste połączone z okradzeniem. Trójka Ukraińców zbyła wszystkie przedmioty na targu w Kielcach, jednak nie znaleziono przy nich pieniędzy. Mimo zawieszenia w oczekiwaniu na reakcję strony ukraińskiej prokuratura nie przerywa czynności operacyjno-śledczych. W tym czasie ukraińskie służby z Chersonia sprawdzają, czy obaj Władimirowie, którzy pracowali w zakładzie Dniepr, nie ukradli tak zwanej czerwonej rtęci (materiału, który miałyby służyć do produkcji broni jądrowej, a którego istnienie Amerykanie wykluczili w 1994 roku; w rzeczywistości pod tą nazwą mogły się kryć uran lub pluton). Jednak ze sprawdzenia policji wynika, że w zakładzie w tych latach czerwonej rtęci nie było.

Śledztwo przypomina dreptanie w miejscu. W końcu w 1993 roku, w marcu, prokuratura decyduje się na umorzenie.

Do sprawy Cedzyny, jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych przesłuchiwani są też członkowie gangu Krakowiaka (Janusza Treli). Trela w latach 1992–1996 kierował ponad stuosobową grupą przestępczą, działającą w całej Polsce. 18 stycznia 1999 zatrzymano 18 członków grupy, którym przedstawiono siedem zbrodni i kilkadziesiąt innych zarzutów. Kradzieże samochodów, przebijanie numerów, wywóz aut do Rosji i na Ukrainę. Członkowie gangu byli podejrzani między innymi o zabójstwo właściciela kantoru w Stalowej Woli, małżeństwa z Sosnowca i mistrza kick-boxingu Andrzeja Firsta.

First, fantastyczny, uwielbiany zawodnik, trener polskiej kadry juniorów i drugi trener kadry seniorów, 23 listopada 1996 roku wrócił ze zgrupowania reprezentacji Polski. To były czasy, gdy sportowcy na własną rękę szukali środków na utrzymanie i treningi. First pracował w ochronie krakowskiego klubu Pasja. Po pracy tamtego dnia kolega podwiózł go do domu. Sprawcy czekali na niego na klatce schodowej bloku przy ulicy Stachiewicza, gdzie mieszkał z rodzicami.

– O co poszło? O pomówienie, że Andrzej rzekomo miał być ochroniarzem jednego z ludzi z krakowskiego półświatka. To było kompletną bzdurą. Krakowiak chciał dać nauczkę temu człowiekowi poprzez atak na Andrzeja. Co więcej, ten gość chodził po Krakowie i się chwalił, że Andrzej jest jego ochroniarzem, co nie było prawdą – opowiadał „Gazecie Krakowskiej” w listopadzie 2015 roku brat sportowca, Mirosław First, w dziewiętnastą rocznicę jego śmierci.

Ponieważ sportowiec się bronił, dostał nożem.

„Krakowiak zlecił to przestępstwo Ukraińcowi Markowi J., który z kolei wynajął innych Ukraińców. Markowi J. sąd apelacyjny obniżył karę z 13 do 6 lat więzienia, uznając, że nie można mu przypisać podżegania do zabójstwa, a jedynie zlecenie pobi-

cia. Za ten czyn Krakowiak dostał 6 lat więzienia” – pisał dziennikarz „Gazety Krakowskiej” Artur Drożdżak.

Bezpośredni sprawcy zabójstwa do dziś pozostali bezkarni.

Zenon R, właściciel kantoru w Stalowej Woli, nie zginął od noża, ale z tej samej broni, co Ukraińcy na parkingu w Cedzynie.

Akta gangu Krakowiaka liczyły 180 tomów, P. pojawił się w czterech.

Policjanci robią kopie i dołączają do swojego śledztwa. W trakcie przesłuchań jednego z członków gangu Krakowiaka, Wiesława Cz., który zeznawał jako świadek koronny, pada takie zdanie: „Trela w hotelu rozmawiał z Ukraińcami na temat handlu samochodami”.

Gangsterzy byli wówczas w motelu Zagłoba, w miejscowości Leszczyny, w pobliżu Cedzyny, w tym samym czasie, kiedy zginęła trójka Ukraińców.

„Tego samego wieczoru Trela z jeszcze jednym kompanem wyszli. Potem do hotelu wrócili upapranii błotem i resztkami trawy, tłumacząc, że musieli uciekać, bo w dyskotecce była rozróżba. Od jednego śmierdziało benzyną, „ale mnie to nie dziwiło, bo jeździł polonezem, który miał zepsuty wlew paliwa” – mówił świadek i wskazał na zdjęciu jednego z Ukraińców, spotkanych w hotelu w Cedzynie – Władimira Aleksandrowicza.

Jednak śledztwo przeciwko gangowi Krakowiaka, z podejrzeniem zabójstwa Ukraińców, też spała na panewce. Obecność antygeny B w wymazie pobranym z pochwy brutalnie zgwałconej Natalii wskazywała na to, że gwałcieciel miał krew grupy B lub AB. W tamtych latach nie pomagały jeszcze policjantom badania DNA. Dopiero 8 lat później, w 1999 roku, przy podejrzeniach gangu Krakowiaka, wykluczyły one udział tych gangsterów w gwałcie, a jednocześnie w zabójstwie dziewczyny, a tym

samym i dwóch jej towarzyszy.

*

1 listopada 2008 roku w strukturach wydziału dochodzeniowo-śledczego powstaje kielecki oddział Archiwum X. Gdy spotykamy się 8 lat później, w 2016, szefuje mu podkomisarz Dariusz Wójcik. Ten potężny, ogolony na gładko mężczyzna o serdecznym uśmiechu, jest policjantem od 18 lat.

– Zaczynałem od prewencji, czyli łapania drobnych pijaczków na skwerkach – mówi, jednocześnie rysując ołówkiem po kartce jak małe dziecko. – Od 1999 roku pracuję w pionie kryminalnym. Zawsze lubiłem mundur.

Wójcik od 2011 roku jest szefem kieleckiego Archiwum. Pomaga mu dwóch emerytowanych policjantów: Jan Cieślak i Mieczysław Kolasa. Tego ostatniego, nazywanego przez kolegów pieszczotliwie „panem Miecikiem”, zastaję w malutkim, zagraco-nym pokoju, jak siedzi z nosem w aktach sądowych. Ma 67 lat i stopień podinspektora. Lubi rozwiązywać zagadki, a sprawy zabójstw w szczególności. Mówi, że akta spraw to najlepszy nauczyciel życia i zawodu detektywa. W policji od 1971 roku, od 1978 w pionie dochodzeniowo-śledczym. Odszedł na emeryturę w 2008, ale z „firmy” (jak policjanci zwykli nazywać swoje miejsce pracy) zadzwonili 2 lata później. Jego umysł analityczny, ciekawość i doświadczenie były nadal bardzo potrzebne.

– Odkąd zacząłem pracę w Archiwum X, szukałem jakichś nierozwiązanych spraw – zaczyna swoją opowieść podinspektor Mieciko. – I przypadkiem dowiedziałem się o Opatowie. Miasteczko kiedyś było częścią województwa tarnobrzесьkiego, ale po utworzeniu świętokrzyskiego znalazło się pod naszą opieką. Tej sprawy nie było w policyjnej bazie. Otóż w Opatowie ktoś brutalnie zamordował 81-letniego weterana wojennego, żołnierza-

rza armii Andersa i uczestnika walk pod Monte Cassino. Przyczynkiem do wszystkiego był jego syn, który wpadł w alkoholizm, żona od niego odeszła, a on sam zamieszkał z ojcem. I zaczął sprowadzać do domu „różny element” Pojawiła się między innymi kobieta z marginesu społecznego, prostytutka, która też była rozwódką, dużo młodsza od tego syna. Kilka miesięcy tam mieszkała, nadużywali alkoholu, staruszek nie miał na nic wpływu. I w którymś momencie syn zmarł, a kobieta miała jeszcze klucze do mieszkania i przez jakiś czas tam przychodziła. Przeprowadzała ze sobą ludzi z takiego samego marginesu, na jakim sama żyła. Wśród nich był przyszły zabójca.

Weterana właściwie zabiła plotka. Po Opatowie poszła fama, że dziadek ma dużo pieniędzy i warto go oskubać. W sumie zabrali grosze, bo staruszek pieniądze dawał wnuczce, a sobie zostawiał niewiele. Drobniaki na stole pod ceratą. Na dwór już nie wychodził, poruszał się tylko po domu. Był październik 1992 roku. Splądrowali mieszkanie. Wzięli zegarek i jakieś drobiazgi. Weszli do domu, bo weteran prawdopodobnie ich wpuścił. W pobliżu łóżka miał domofon. Sprawca skoczył na niego nogami i wykonał tak zwane kołankowanie. Doszło do szarpaniny (tak wskazywały ślady), podczas której mężczyznę udusił, i porzucił na łóżku. Zabójca pozostawił odciski palców na futrynie drzwi i właśnie na domofonie. Być może staruszek chciał w jakiś sposób wezwać pomoc, chwycił za słuchawkę, ale sprawca mu ją wyrwał. Odcisk palca na tym domofonie mógł należeć tylko do mordercy. Wtedy jednak był nieuchwytny.

Nim odebrał życie żołnierzowi spod Monte Cassino, 15 lat przesiedział w więzieniach za kradzieże i rozboje. Kolasa, nie wiedząc jeszcze, kim jest zabójca, po przeanalizowaniu akt wystąpił z wnioskiem do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego o zarejestrowanie w bazie APIS (Automated

Fingerprint Identification System – Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej) zdjętych z miejsca zbrodni odcisków palców. Baza powstała w 2000 roku i od tamtej pory zarejestrowano w niej ponad 3,5 miliona kart daktyloskopijnych z odciskami, a także ponad 100 tysięcy śladów niezidentyfikowanych sprawców, zebranych z miejsc przestępstw. Co jakiś czas emerytowany policjant sprawdzał, kto jest właścicielem tych „paluchów”. W aktach był duchem – pojawił się tylko jako nieznany mężczyzna, który podczas jednej z libacji w mieszkaniu weterana uderzył kobietę. Jego rysopis ustalono na podstawie zeznań świadków, mieszkańców tamtej klatki. Wciąż jednak nie miał twarzy.

W pewnym momencie system, który o nim milczał, co dla policjantów do dziś pozostaje tajemnicą, „wypluł” jego ślady. Okazało się, że zabójca (dziś 55-letni) po odsiedzeniu w Polsce wyroków uwił sobie gniazdko w Anglii, gdzie mieszkał i pracował. Żył na całkiem przyzwoitym poziomie. Śledczy zatrzymali go w 2013 roku, gdy przyjechał w odwiedziny do matki. Zaprzeczał, jakoby dotykał domofonu, mówiąc, że w mieszkaniu był tylko raz, bo go przyprowadziła tamta prostytutka.

– Nie mogła nam pomóc – kończy swoją opowieść podinspektor Kolasa. – Kiedy podjęliśmy sprawę na nowo, już nie żyła. Ale przypomniała sobie o nim młoda dziewczyna, która mieszkała w tej samej klatce, co emerytowany żołnierz. Słuchaliśmy jej niedawno i po 21 latach dużo pamiętała. Bo pamięć rejestruje szczególnie przypadki. I ona rozpoznała go na zdjęciu, a potem na okazaniu. Nie wiedział, kto go identyfikuje. W trakcie postępowania przygotowawczego i śledztwa nie miał dostępu do akt, więc nie mógł zastraszać świadka.

Dlatego więcej szczegółów nie napiszę. W każdym razie sprawca nie przyznał się, że zabił człowieka. Sąd uchylił mu

areszt za poręczeniem majątkowym. Wyrok zapadnie w Sądzie Okręgowym w Kielcach.

Podobnie policjanci z Archiwum X będą po latach analizowali akta sprawy wciąż niewyjaśnionego potrójnego zabójstwa w Cedzynie. I stawiali sobie pytanie: kto potrafi bez mrugnienia okiem zrobić coś tak bestialskiego? Do tego zero świadków. Parking w lesie. Noc, deszcz. Los sprzyjał przestępcom.

Kobietę na pewno zgwałciło dwóch mężczyzn, bo sperma pochodziła od dwóch osób. Krzywdę mógł jej zrobić jeszcze ktoś trzeci, ale nie pozostawił biologicznego śladu w jej ciele. Niestety – nie zabezpieczono spermy z podłoża, na którym leżała kobieta, dlatego umknął być może jeszcze jeden gwałcieciel.

Sprawa wydawała się właściwie beznadziejna, ale Dariusz Wójcik, podobnie jak Mieczysław Kolasa, zawsze lubił zagadki. Akta Cedzyny przeglądał drobiazgowo, ciekawe fragmenty zakreślając ołówkiem.

Tak samo zrobił z aktami sprawy słynącego z bestialstwa gangu kantorowców, który działał w Małopolsce w latach 2005–2007. Krakowskie Archiwum X zwróciło uwagę kolegom z Kielc, że w przypadku tamtej sprawy *modus operandi* jest podobny: dla rabunku sprawcy strzelają do ofiar z bliskiej odległości. Gang zabił w ten sposób pięciu właścicieli i pracowników kantorów. Po latach okaże się, że ofiar mogło być więcej. Wszyscy sprawcy z tamtego postępowania mieszkali w pobliskich miejscowościach. Mózgiem szajki był Tadeusz G., prosty rolnik ze wsi Górno pod Kielcami. Rocznik 1960, kieszonkowego wzrostu, tatuaż na lewej dłoni. Na co dzień uprawiał truskawki. Żona, dwoje dzieci, pozorny spokój plantatora. Nie nadużywał alkoholu ani przemocy wobec bliskich. Niekarany, przez sąsiadów uważany za spokojnego i uczynnego. Można powiedzieć, że kiedyś był nawet urodziwym mężczyzną. Ciemne brwi schodzi-

ły mu się nad prostym, zgrabnym nosem. Włosy gęste, falowane – i coś tak martwego w spojrzeniu, czego nie da się właściwie opisać.

Wyraz jego oczu przypominał tafłę lodu.

G. z kompanami w 2007 roku w Piotrkowie Trybunalskim zabili Wojciecha K., w Myślenicach – Stanisława P. i jego syna, Łukasza. Tego ostatniego okradli łącznie na sumę ponad 160 tysięcy złotych w różnych walutach. Dwa lata wstecz Jerzego P. (zabrali mu 70 tysięcy złotych). Postrzelili też w Sosnowcu Krzysztofa K., powodując ciężki uszczerbek na zdrowiu.

G. prowadził podwójne życie. Z dwóch hektarów truskawkowego pola nie utrzymałby przecież rodziny ani nie wystawiłby domu.

Wójcik zacznie więc wertować akta gangu. I pójdzie według znaków, których nikt inny wcześniej nie widział.

– Czytałem zeznania świadków i zastanawiałem się, kogo z tych ludzi jeszcze można przesłuchać. Kto wciąż żyje i cokolwiek widział – opowiada, nie przestając kreślić ołówkiem nieokreślonych figur. – I jeden z podejrzanych z gangu „kantorowców” wypowiedział bardzo ciekawe zdanie, że broń, z której zabijano właścicieli kantorów, wcześniej została „wykorzystana do zabicia ruskich” Zapoznałem się też z częścią tamtego materiału i przesłuchaniem kluczowego świadka. On później dostał nadzwyczajne złagodzenie kary i zdecydował się pójść na współpracę. Usłyszał wyrok 15 lat więzienia. Sprawa gangu miała ponad sto tomów. Przejrzałem praktycznie wszystkie z postępowania przygotowawczego, bo te analizuję w szczególności. Pchnęła mnie do tego ciekawość. Lubię takie sprawy, i chciałem wiedzieć, czy tak brutalne zabójstwa coś ze sobą łączą. Z prokuratury ściągaliśmy dowody rzeczowe. Sperma, dobrze zabezpieczona pomiędzy przyłożonymi do siebie szkiełkami,

nadawała się do badań. Ponieważ to jedyne zdanie, wypowiedziane przez członka gangu tak mnie dręczyło, postanowiłem porównać DNA z Cedzyny z profilem genetycznym gangsterów od kantorów. I szok: sperma należała do jednego z nich. To było dla mnie wstrząsające uczucie, bo wiedziałem, że intuicja mnie nie zawiodła.

A wszystko dzięki powstałej w 2007 roku pierwszej w Polsce bazie DNA, nazywanej bazą GENOM. Taka baza danych po raz pierwszy powstała w 1995 roku w Wielkiej Brytanii. Rada Unii Europejskiej w czerwcu 1997 uchwaliła decyzję, w której zalecano państwom członkowskim oraz państwom kandydującym utworzenie krajowych systemów identyfikacji genetycznej. Wskazanie to wynikało z rosnącej przestępczości międzynarodowej, którą można było ograniczyć, korzystając z najnowocześniejszych osiągnięć technologicznych.

DNA powiedziało, że Natalię zgwałcił i zabił strzałem w skroń plantator truskawek. Pogrążył go dodatkowo jeden z kumpli z gangu, mistrz rusznikarstwa – Jacek P., idąc na współpracę z policją. To on, pracownik Zakładów Metalowych Mesko w Skarżysku-Kamiennej, który miał dostęp do amunicji, powiedział, że od początku lat dziewięćdziesiątych dostarczał broń grupom przestępczym. Opisał też, jaką broń przekazał Tadeuszowi G. i jakich przeróbek w niej dokonał. Wystarczyło, że przypiłował iglicę czy wymienił lufę, a to zostawia różne ślady. Jakby strzelał ktoś inny.

To właśnie R, rusznikarz, wypowie w aktach słynne zdanie o wykorzystaniu broni „do zabicia ruskich”. Zdanie, które załęganie się w głowie szefa kieleckiego Archiwum X jak wspomnienie koszmarnego snu i nie da mu spokoju, stanie się przełomem w sprawie Cedzyny.

Emerytowany podinspektor Mieczysław Kolasa powie, że ty-

pował plantatora truskawek już w latach osiemdziesiątych.

– Policja ma swoją agenturę – mówi, patrząc na mnie dobrotliwie znad akt. – Pracuje z agentami, więc rozpytaliśmy operacyjnie, i dowiedzieliśmy się, że rolnik kilka lat wcześniej napadł na bank w Busku-Zdroju. Ale nie udało nam się znaleźć dowodów.

W czerwcu 2009 roku prokurator podejmuje śledztwo na nowo. Rozpoczyna się polowanie na właściciela drugiego, zabezpieczonego przy zabójstwie kobiety pod Cedzyną materiału DNA.

Dariusz Wójcik: – Zaczęliśmy od bliskiego otoczenia rolnika. Dyskretnie rozpytywaliśmy, bo wiadomo było, z kim utrzymywał kontakt. W końcu pojawił się człowiek, z którym w tamtym czasie bardzo się przyjaźnili. Rolnik był już tymczasowo aresztowany w sprawie kantorowców. A tamten miał sprawę o napad na tira, bodajże w Sanoku. I pobrano od niego próbki DNA (sprawa jest jeszcze „na biegu”, czyli wciąż się toczy w sądzie). Wypożyczyliśmy część tego materiału. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Prokuratura wystąpiła do sądu i go zamknęli.

Przyjacielem w zabójczej działalności rolnika był Stanisław T., lokalny złodziejasek, przestraszony, dość drobny i wysportowany. Rozwiedziony, troje dzieci. Z zawodu murarz-tylnkarz. Do czasu aresztowania pracował w gospodarstwie i pomagał w firmie swojej byłej żony handlującej opałem i nawozami. Nie brał wynagrodzenia. Zarabiał w ten sposób na utrzymanie dzieci. Zdążył już posiedzieć za napad na hurtownię i paserstwo. W trakcie przeszukania znaleziono w jego domu instrukcję obsługi pilarki spalinowej napisaną cyrylicą. Żona, Anna, odmówi składania zeznań.

Stanisław T. po aresztowaniu powie: – Nie rozumiem, czemu przedstawia mi się te zarzuty. Odmawiam składania wyja-

śnień, nie zgadzam się na wariograf, nie mam nic do powiedzenia poza tym, że jestem niewinny.

Standardowo prokurator zleci wykonanie opinii psychiatrycznej. Jest rok 2010. Psychiatrzy zaczną przyglądać się niepozornemu sprawcy: spokojny, małomówny, wycofany, niechętnie spełnia polecenia. Siedzi ze spuszczoną głową, mówi cicho, nie patrzy w oczy.

Był drugim z siedmiorga dzieci Leokadii i Mariana T. Matka cierpi na jaskrę, ojciec zmarł w 2009 roku na zator serca. Kontakt z rodzeństwem ma rzadki, „każdy poszedł w swoją stronę”. Chorowity w dzieciństwie, przeciętny uczeń, ale towarzyski. Poszedł do technikum, lecz go nie ukończył. „Tu praca, tam szkoła, nie dałem rady”. Nim się ożenił, związki zazwyczaj mu się rozpadały. Pracował jako pomocnik murarza. W 1990 ożenił się z Anną, młodszą od niego o 8 lat. Pobrali się z miłości. „Początkowo dobrze się układało, a potem popsuło. Moja вина była”. Od 10 lat są po rozwodzie, ale nadal mieszkają razem „bo nie ma się dokąd wyprowadzić”.

– Czy ma pan myśli samobójcze? – pyta zniecierpliwiona psychiatra.

– Czasami mi przychodzą, ale nigdy nic nie próbowałem sobie zrobić. Od chwili aresztowania mam problemy z pamięcią, zapominam, jak ma na imię mój chrześniak. Czy jestem nerwowy? Nie. Jak się zdenerwuję, to idę sobie pochodzić, czekam, aż przejdzie. Czasami zdarzało mi się pobić z kimś w dyskotecce czy w podstawówce, ale nie wiem o co.

Jeden ze świadków mówi o nim, że obaj z G. byli postrachem dyskoteki w Górnem. Jak im się ktoś nie podobał, to go bili. Posługiwali się gazem łzawiącym.

Inny świadek (kobieta) zeznaje, że ich wspólny znajomy,

Stanisław P., z którym będą tworzyli złodziejską szajkę, uderzył ją na odlew w twarz.

– Uderz ją jeszcze raz – rzucił do niego T.

– Po tych słowach uderzył mnie drugi raz w to samo miejsce – opowiada świadek.

T. na pytanie o zabójstwo Ukraińców i gwałt na Natalii milknie. Po dłuższej chwili mówi:

– Sprawa toczy się od pół roku, myśli wracają, a ja chciałbym się zająć czymś innym. Nie chcę o tym mówić. Wrabiają mnie.

Specjaliści oceniają, że T. jest nadpobudliwy, nerwowy, impulsywny, „o osobowości dyssocjalnej” i „niskim progu frustracji”. Egocentryczny, nieliczący się z normami społecznymi. Kobiety traktuje instrumentalnie. Dwadzieścia lat na budowach jako kierowca, wiele przygodnego seksu. Zdradzał żonę bez większych emocji. Nie przejawia cech raptofilii, czyli nałogowego gwałtocielstwa, a gwałt nie miał podłoża dewiacyjnego. Raczej wynikał z sytuacji, siły i przewagi grupy. To jak z okazją, która czyni złodzieja.

Plantator truskawek, prześwietlony przez psychiatrów podobnie jak jego kompan, okazuje się twardym zawodnikiem, choć leczonym na depresję. Ojciec zmarł mu na astmę w wieku 78 lat, matka na wylew, mając lat 70. G. ma jeszcze dwóch braci i siostrę. Uczył się słabo, pracował w kopalni Wujek. Najgłośniej milczy o seksie. Pytania na ten temat trzeba zadawać mu po kilka razy, a odpowiada wciąż tak samo: „Moja sprawa”. W końcu specjalistom udaje się dowiedzieć, że pierwszy seks miał w wieku 15 lat i był to seks sezonowy. Podczas zbioru truskawek.

Jego wielka młodzięcza miłość zginęła w wypadku samochodowym.

Z byłą żoną chodzili ze sobą 6 lat. Ożenił się przed trzydziestką, zamieszkali u teściów. Żona była krawcową, a on ciągle w trasie. „Ganiało się za groszem”. O powodach rozwodu rozmawiać nie chce, ale się żoną podpira: „Wierzy mi, inaczej by mnie nie odwiedzała”.

Podczas jednego ze zbiorów truskawek poznał ludzi z Ukrainy. Przewoził papierosy, szmuglowane zza granicy, kradł paliwo z samochodów ciężarowych – do 1997 roku, kiedy został zatrzymany. Małżeństwo rozpadło się w czasie jego odsiadki w więzieniu. Wielokrotnie korzystał z usług prostytutek, tak że nabawił się choroby wenerycznej.

Co ciekawe – lubiany we wsi. „W piłkę się grało, ćwiczyło, dyskoteki”.

Ma trudności z koncentracją, czytaniem ze zrozumieniem. „Nie mam bystrości, spóźniony zapłon” – mówi specjalistom.

Z Jackiem P. znają się od czasów kawalerskich. Tamten donosi na niego, bo „noga mu się powinęła”. Rolnik nazywa go „agentem”. Mówi, że został wrobiony w spisek i że policja sfałszowała badania DNA:

– Policjanci mieli moją spermę. Jak wyjeżdżałem do lasu z przygodnymi kobietami, to wyrzucałem zużyte prezerwatywy. Zaczajeni policjanci zbierali je i przechowywali przez lata.

Sąd więc napisze później w uzasadnieniu wyroku, że „absurdalność jego przekonań o inwigilacji zmierzającej do pozyskania jego spermy zwalnia Sąd z potrzeby pogłębionej polemiki”.

W kontakcie z lekarzami rolnik jest spokojny, choć nieco spięty. Ma obniżony nastrój, poczucie krzywdy i niezrozumienia. Kilkakrotnie płacze w czasie rozmowy. Tłumaczy, że wcześniej nie chciał zeznawać, bo „bał się, że zostanie otruty w zakładzie karnym”.

Nigdy nie przyzna się do winy.

– Papier wszystko przyjmie – powie śledczym. – A ja tego nie zrobiłem. O zabójstwie słyszałem, mieszkam niedaleko, o takich rzeczach się mówi. Było też o tym w gazetach. Nic więcej nie pamiętam, to było 18 lat temu.

– Czy wyraża pan zgodę na badanie wariografem? – pytają policjanci.

– Nie wyrażam zgody. Po pierwsze dlatego, że dokucza mi serce. Po drugie – boli mnie ręka. Opinie są zmanipulowane. Po-
stanowiłem się już nigdy na to nie godzić.

Psychiatrzy oceniają, że G. ma deficyty w systemie wartości: „zmniejszony krytycyzm wobec własnego postępowania. Mechanizmy obronne, jakie włącza, to „zaprzeczenie, racjonalizacja, projekcja”. Jednym słowem, odsuwa od siebie odpowiedzialność za popełnione zbrodnie.

– Tadeusz G., Stanisław T. i Stanisław P. [ten, który uderzył kobietę w twarz – I.M.] przyjeżdżali do mnie we trzech – Jacek P., rusznikarz, kopie głęboki dół pod całą trójką. – Przerabiałem parabelkę, wisa, berettę maszynową, browninga. Żeby parabel-
lum „chodziło z tłumikiem”, zmniejszałem ilości prochu w nabo-
jach. Wytworzyłem tego ponad 300 sztuk. Oni trzej płacili za to wspólnie. W tamtych latach mieli pulę pieniędzy na wspólne wydatki. Dla mnie były to dość znaczne pieniądze w relacji do moich zarobków i czarnorynkowych cen. Czasem płacili mi w dolarach.

Beretta, z której zginęli Ukraińcy, miała magazynek pochodzący od pistoletu maszynowego typu RAK, kaliber 9 milimetrów. Broń „chodziła” na amunicji Makarowa. Oryginalną amunicją jest parabellum, ale że była trudno dostępna, P. zastosował tę od nazwiska radzieckiego konstruktora broni. Parabel-

lum nie była też wykorzystywana w polskich służbach mundurowych. Pozostawał przemyt z Czech i Niemiec. Można było znaleźć też amunicję z II wojny światowej. Ale ta była zniszczona, a przez to awaryjna. Tutaj zaś nie mogło być pudła. Spośród tych, których gang spotkał na swojej drodze, przeżyły tylko dwie osoby.

Plantator truskawek uniknął kary za gwałt na Natalii, bo sprawa już się przedawniła. Takie przedawnienia karalności to wciąż epidemia w polskim wymiarze sprawiedliwości i prawdziwa premia dla sprawcy. Zabójstwo na szczęście jeszcze przedawnić się nie zdążyło. G. dostał 25 lat więzienia. Skazujący go sędzia Adam Kabziński grzmiał:

– Mord miał charakter egzekucji. Mam nadzieję, że ten czas, przy obecnym wieku mężczyzny, pozwoli uchronić społeczeństwo przed jego powrotem. To mocne słowa, ale i to, co zrobił, było zachowaniem bestialskim.

Z kolei za zabójstwa właścicieli kantorów członkowie gangu, w tym G., dostali dożywocie. Wyroku, który zapadł w 2012 roku, nie doczekał Stanisław T. 30 marca 2011 przywiązał materiał wycięty z koca do kranu w brodziku, w więziennej łazience, i powiesił się na nim, zastygając niczym pielgrzym w pozycji klęczącej.

W 2016 roku okaże się, że gangsterzy byli seryjnymi zabójcami, a liczba ich ofiar wzrosła do dwucyfrowej. Śledczy miesiącami sprawdzali niewykryte do tej pory sprawy na szkodę właścicieli kantorów wymiany walut i innych osób w latach 2006–2007 na terenie województw małopolskiego i podkarpackiego. Aż w końcu udało im się powiązać część z nich z działalnością gangu.

– Przedstawiliśmy zarzuty dotyczące popełnienia zabójstw i usiłowania popełnienia zabójstw łącznie w stosunku do sied-

miu osób w Ostrowie, Przeworsku, Tarnowie i Dębicy – mówił „Gazecie Wyborczej” w lipcu 2016 roku prokurator Piotr Krupiński, naczelnik Małopolskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji w Krakowie. – Sprawa ma charakter skomplikowany i rozwojowy, dlatego dla dobra śledztwa nie możemy ujawnić żadnych szczegółów.

Zresztą Krupińskiego policjanci z krakowskiego Archiwum X będą nazywali „mercedesem wśród prokuratorów”.

Sprawa gangu odżyła więc na nowo.

Na koniec spotkania z policjantami z Archiwum X w Kielcach zwracam się do Dariusza Wójcika z pomysłem, że pojedę do rodzin tych gangsterów zapytać, czy wiedziały, jak wygląda drugie życie ich mężów i ojców. Jesteśmy przecież produktem naszej przeszłości, co więc musiało się zdarzyć w życiu tych ludzi, że niesienie śmierci stało się dla nich zajęciem tak lekkim jak mycie zębów? Policjant spojrział na mnie poważnie, nie przestając wciąż kreślić ołówkiem wzorów na kolejnej kartce, i odparł:

– Plantator truskawek to bardzo mocny, dominujący charakter. Pieniądze z napadów trzymał w słoikach. Zawsze zacięty wyraz twarzy, wypowiadał się zwykle w taki zawzięty sposób. Jego oczy mówią tylko jedno: że jakby mógł, toby człowieka rozzerwał. Samo zło w nich siedzi. Całe jego środowisko jest bandyckie.

Niech pani odpuści te rodziny.

Rozdział czwarty

SKÓRA

W pokoju policjantów z Archiwum X na ósmym piętrze małopolskiej Komendy Wojewódzkiej wisi reprodukcja Całunu Turyńskiego i dwie modlitwy: do św. Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych, i *Światło latarni* – modlitwa św. Tomasa z Akwinu.

Bogdan Michalec będzie je sobie często powtarzał, szczególnie tę ostatnią:

„Użycz mi chwalebego poczucia, że czasami mogę się mylić
Wyzwól mój umysł od niekończącego brnięcia w szczegóły i daj
mi skrzydła, abym w lot przechodził do rzeczy”.

– Chociaż wolę św. Augustyna – twarz Michalca pod wpływem uśmiechu rozjaśnia się. – To geniusz. Drugi taki nie istniał. Potrafił dostrzec niejedną drogę. Nie byłoby Archiwum X, gdyby nie sprawa zabójstwa Kasi. Na początku było nas kilka osób, skierowanych właśnie do tego konkretnego zadania: znalezienia odpowiedzi na pytanie, kto w tak bestialski sposób zabił niewinną 23-latkę.

Kraków, styczeń 1999 roku. Pchacz Łoś, nieduży, zużyty już mocno rzeczny siatek transportujący kruszywo, zatrzymuje się gwałtownie na Wiśle. Kapitan pchacza otwiera metalową zapadnię i zagłada pod pokład. Coś spadło w turbinę silnika.

Potworny smród buchnął gwałtownie i opadł. Zaczęli wyciągać po kawałku. W pewnym momencie zauważyli fragment ludzkiego ucha. Z dziurką na kolczyk.

Szok. Telefon. Policja.

Fragmenty zwłok nie leżały w wodzie dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Była to skóra, wprawnie zdjęta z ciała młodej kobiety. Sprawca skalpowanie zaczął od szyi, a skończył na podbrzuszu. Skóra wyglądała więc jak typowe damskie body lub kostium kąpielowy. Z jedną tylko różnicą: zabójca wyciął kobiecie sutki, zostawiając w tym miejscu dziury.

Tydzień później na kracie zatrzymującej nieczystości w okolicach stopnia wodnego Dąbie śledczy odnajdą obcięta w kolanie nogę wraz z obręczą miedniczą, fragmenty pośladka i spodni.

Karol Suder, szef Archiwum X, nie będzie miał wątpliwości, że ktoś znał się na rzeczy. Musiał wiedzieć, jak umiejętnie zdjąć skórę. Rzeźnik, a może chirurg?

Thomas Müller z Wiednia, psycholog i analityk kryminalny, uczeń słynnego agenta FBI Roberta Resslerera, obejrzy zdjęcia z sekcji zwłok i potwierdzi przypuszczenia polskich śledczych: ktoś zabił na tle seksualnym.

– Powiedział, że pierwszy raz spotyka się z czymś takim. – Karol Suder, podobnie jak w przypadku inkasenta zwrócił się po pomoc do specjalistów z FBI na Europę. – Były przypadki oskórowania w Niemczech, ściągaliśmy nawet tę sprawę, ale to zupełnie co innego. Sprawca bawił się skórą i nie wiedział, co z

nią zrobić dalej. A w naszym przypadku takie zdjęcie ludzkiej skóry było jedyne na świecie. Baliśmy się, że to się może powtórzyć. Według teorii, że sprawiało mu to przyjemność, powinien spróbować jeszcze raz. Moim zdaniem zabójca nam tę skórę zostawił w prezencie: zobaczcie, jaki jestem dobry. Złapcie mnie.

Po latach lokalne krakowskie media napiszą, że profiler z FBI typował „nieszkodliwego dziwaka”. Nawet jeśli będzie to wymysł dziennikarzy, z czasem nabierze zupełnie innego znaczenia.

W kwietniu 1999 roku policjanci z Archiwum X przeglądają bazę osób zaginionych. Jest wśród nich 23-letnia studentka religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego Katarzyna Zowada.

– Wysłałem ludzi do jej domu – wspomina Karol Suder. – Mówiłem: nie róbcie nikomu nadziei i starajcie się nie wystraszyć rodziny, ale musicie znaleźć jakieś jej komórki. Ze szczoteczki do zębów, do włosów. Pozbierali stamtąd ślady biologiczne i zawieźli do Zakładu Medycyny Sądowej. Wyodrębniono DNA i okazało się, że to ona.

Kasia zaginęła 12 listopada 1998 roku. Ubrana była w granatową sztruksową kurtkę z kapturem, czarne spodnie, granatowy golf i czarne lakierowane trzewiki. Zniknięcie swojej jedynej córki na policję zgłosiła jej matka, Bogusława.

– Mogę powiedzieć, że Kasia była kochaną dziewczyną. Mądrą, inteligentną. Kiedy przyszłam do domu i zobaczyłam, że jej nie ma, to już byłam zaniepokojona – opowiadała matka dziennikarzom TVN-u. – Wieczorem byłam na policji, ale powiedzieli mi, że jest dorosła, i szukają dopiero po iluś tam godzinach.

Bogusława płacze. Ma krótko ostrzyżone ciemne włosy, okulary o grubych szklach i ciepły, subtelny głos.

Wynajęła prywatnego detektywa Grzegorza Bohosiewicza,

żeby szukał jej córki.

Po przyjęciu zlecenia przyjechał do niej do domu, żeby zobaczyć, jak mieszka, poznać jej otoczenie. Zauważył, że Kasia była samotnikiem. Niewielu znajomych, raptem dwie koleżanki, i to jeszcze z lat licealnych. Nie było nawet jak złapać tropu.

Koleżanka pierwsza (do dziennikarza TVN): – Była cichą, spokojną dziewczyną, w ostatnim czasie zaczęła się zamykać. Była apatyczna. Bardzo się zmieniła po śmierci ojca. Bywała czasem w euforii, wydawało się, że wraca do normalności, a potem przychodził kryzys.

Katarzyna była blisko związana z ojcem. 3 lata wcześniej zabrała go w góry. A ojciec spadł ze skały i złamał kręgosłup. Wkrótce potem zmarł. Kasia obwiniła siebie za tę śmierć i nie umiała się z nią pogodzić. Kilka razy zmieniała kierunki studiów. Psychologia, historia, wreszcie religioznawstwo. Wpadła w depresję. Na studiach wykładowcy zapamiętali ciemno ubraną, dość wysoką (170 centymetrów) i potężną dziewczynę o urodzie młodej Janis Joplin, jak bezszelestnie siadała w ostatniej ławce.

Koleżanka druga: – Typ dziewczyny, którą się ciągle poznaje, poznaje i nie można powiedzieć, że się ją naprawdę zna. Próbowała się zabić, do tej pory nie wiem dlaczego i tego nie rozumiem.

Mówiła, że stanęła na dachu, ale nie skoczyła.

Kobieta, płacząc, zadaje sobie pytanie, czy mogła jej pomóc.

Matka Kasi, choć psycholog z wykształcenia, w co drugim mężczyźnie zaczęła widzieć mordercę.

Pierwszym tropem policjantów był 48-letni mężczyzna, który zabił i oskalpował swoją żonę i syna. Zwłoki rozkawałkował, a kobiecie wyjął oczy. Zrobił to w czerwcu 1985 roku na jednym

z krakowskich osiedli. Szczątki zwłok wrzucił do rzeki. Kiedy 16 lat później zamordowano Kasię, był na przepustce wydanej przez jeden ze szpitali psychiatrycznych. Ale śledczy wykluczyli jego udział w zabójstwie. Kiedy zginęła Kasia – on jeździł już na wózku inwalidzkim.

Kolejny trop – Władimir W. Absolwent medycyny i psychologii na UJ (tej samej, na którą przeniosła się Kasia). Przyjechał na studia do Polski na początku lat dziewięćdziesiątych i zamieszkał w podkrakowskiej wsi. To był wybór jego ojca, który zostawił żonę i córkę na Kaukazie zupełnie same, bez grosza, a z nim i jego dziadkiem wyemigrował do Polski. Władimir nienawidził ojca. Bo zdradził jego matkę. Dlatego też uciekł z kraju. A że pochodził z krainy wysokich gór i twardych ludzi, obce mu były wyrzuty sumienia.

31 maja 1999 roku na posterunek policji wpłynęło zgłoszenie, że w domu prawdopodobnie doszło do zabójstwa, a mordercą może być wnuk zgłaszającego. W piwnicy domu odnaleziono zwłoki 50-letniego mężczyzny. Był powieszony do góry nogami. Miał odciętą głowę, a obok leżała ściągnięta z niej skóra. Przecięta wzdłuż czoła, nosa i brody, a następnie zszyta na całej długości zwykłą nitką.

Ciało mężczyzny, przywiązane rzemieniem do kraty piwnicznego okna, wyglądało jak mięso kaukaskiego barana, którego młodzi chłopcy zarzynają, by stać się mężczyznami.

Władimir powie dziennikarzom: – Zawiesiłem go jak odwrócony krzyż, bo był bogobojny, ale nie znał żadnej modlitwy. W Biblii nie ma takiego grzechu jak podłość. Jestem artystą i nie lubię nikogo naśladować. Chciałem stworzyć dzieło sztuki i tym samym pokazać szczyt ludzkiej podłości. Przecież tak naprawdę twarz jest nieważna, ważne są wartości, przez które poznaje się człowieka. Po pozbawieniu życia ojca nie czułem nic. Raczej

było tak, jakbym sam siebie zabił.

Głowę wyrzuciłem pod balkon, w chwasty, bo właściwie ta głowa była chwastem. Skórę posypałem od wewnątrz solą, aby nie gniła. Swoją twarz i głowę wkleiłem plastrami, następnie nałożyłem ściągniętą z ojca twarzy skórę na swoją twarz. Czynności zajęły mi całą noc, gdyż wcześniej tego nie planowałem.

Ponieważ dziadek spał, Władimir ze skalpem nałożonym na głowę wyszedł przed dom i przypadkowo spotkał jednego z sąsiadów. Miał na sobie dresowe spodnie ojca i jego kapelusz.

– Dzień dobry, nie widział pan czasem mojego taty? – spytał sąsiada, a jego uśmiech skurczył się na twarzy i zamarł. Dopiero później sąsiad skojarzył, że mężczyzna ma na głowie skórę zdjętą z głowy innego człowieka. Kiedy Władimir wrócił do domu, dziadek się obudził. Był niedowidzący, nie poznał więc wnuka, bo myślał, że to syn. Władimir zjadł z nim śniadanie i przespał się kilka godzin. Potem dziadek znalazł zwłoki i poszedł do sąsiadów zadzwonić na policję.

Sprawa nosić będzie kryptonim „Skalp”.

W historii kryminalistyki przypadki zabójstw połączone ze zdejmowaniem skóry są niesłychaną rzadkością. A tu naraz dwa, zaledwie pół roku od siebie. To nasunęło policjantom przypuszczenie, że może sprawca jest wspólny,

„Chciałem udowodnić – zeznawał później Władimir – że człowieka można poznać po jego wartościach, a nie po twarzy. Mój ojciec nigdy nie miał wartości, w związku z tym nie miał twarzy. Chciałem sprawdzić też, czy dziadek pozna swojego syna, dlatego musiałem uwolnić ciało od głowy, bo głowa jest wszystkiemu winna. Jak ojciec zszedł do piwnicy, próbowałem mu przyłożyć paralizator do szyi. Nie wiem, czy urządzenie zadziało, ale ojciec zorientował się szybko, o co chodzi. Miałem

w drugiej ręce szpikuliec i jak zauważyłem, że z paralizatorem mi nie wychodzi, to szybko sprowadziłem go do parteru. Poma-gałem sobie nogami. Jak ojciec przewrócił się, zacząłem zada-wać ciosy szpikulcem. Mierzyłem w kark i okolice serca”.

Ale to nie Władimir, jak ustalą śledczy, zabił studentkę. Więc kto?

Policjanci z Archiwum X „zaprzyjaźniają się” z Kasią. Idą śla-dem jej samotności i wyobcowania. Była fanką Grateful Dead, amerykańskiej grupy hippisów, grającej psychodelicznego roc-ka. Kolekcjonowała ich płyty. Nawiązała kontakty na muzycznej giełdzie w klubie studenckim Pod Przewiązką. Chodziła tam ze szkolną koleżanką w poszukiwaniu nagrań zespołu. Tydzień przed zaginięciem zamówiła kolejne kasety, ale już ich nie ode-brała.

Miała też jakąś tajemnicę. Przez ostatnie trzy tygodnie przed śmiercią symulowała wychodzenie na uczelnię. Szła jak co rano i wracała, tak by matka myślała, że jest na studiach. Ale na wy-kłady nie docierała. Gdzie była? Z kim się spotykała? Zaczęła się odchudzać i przefarbowała włosy na blond, co profilerzy ocenią później jako chęć podobania się jakiemuś mężczyźnie.

Policjanci przeglądają też jej zeszyty, książki, ubrania. Kasia miała swoją ulubioną maskotkę – małego szmacianego misia o guzikowych oczach. Karol Suder, szef Archiwum, natrafia na analizę profesora Stefana Manczarskiego. Ten uczony, wynalaz-ca radioelektryk, geofizyk, biofizyk i cybernetyk, który skon-struował pierwszy polski radioodbiornik (1922 rok), a potem nadajnik i odbiornik telewizyjny (w roku 1929), zajmował się również psychotroniką. Czucie wydarzeń, czy też inaczej – ja-snowidzenie, tłumaczył tak:

„Každy dotknięty przez człowieka przedmiot posiada odbity na sobie pewien ślad substancji subtelnej w formie jakby foto-

grafii lub żywego obrazu. Substancja ta, w momencie gdy medium weźmie do ręki przedmiot dotknięty przez daną osobę, zostaje przez niego, dzięki receptorom skóry, wchłonięta do ustroju, potęguje się w nim na mocy procesów chemicznych, dostaje do systemu nerwowego i w ten sposób pozwala jasnowidzowi odczuć ożywiony obraz osoby, zostawiony na dotkniętym przez nią przedmiocie”[⁵].

Suder będzie raczej sceptyczny, ale poprosi o pomoc jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego.

W kwietniu i maju 2003 roku Jackowski spędzi kilkanaście godzin na ósmym piętrze Komendy Wojewódzkiej przy ulicy Mogilskiej.

– Niech pan weźmie do rąk tę zabawkę i spróbuje coś powiedzieć tak, jak pan to potrafi – zwróci się do jasnowidza jeden ze śledczych.

„Chwyciłem za misia, przez chwilę trzymałem go blisko czoła.

– Nie za bardzo mi idzie – powiedziałem po jakimś czasie. – Jedyne to mogę powiedzieć, że kojarzą mi się kościoły, różne kościoły. Dużo kościołów”[⁶] – tak opisywał swoje spotkanie w Archiwum X Krzysztof Jackowski.

Karol Suder, kiedy będziemy rozmawiali kolejny raz, w 2017 roku, przypomni sobie: – Do sprawy Kaśki jego zdolności wykorzystywałem pozaprocesowo, czyli operacyjnie, co nie przekłada się na dowód w sądzie. I oceniam, że nie wnosiły do

5 Ks. Czesław Andrzej Klimuszko, *Moje widzenie świata*. Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1992, s. 96–97.

6 *Zmarli mówią. Autobiografia jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego*, Biblioteka „Dziennika Bałtyckiego”, Polskapresse, 2012, t. 2, s. 137.

sprawy nic konkretnego. Udostępniliśmy mu zdjęcie ofiary. W pierwszej, szybkiej wizji opowiadał o jej uwięzieniu, krępowaniu, o tym, że była świadoma tego, co ją czeka. Widział most nad rzeką. Podczas drugiej dowiedział się od nas, że mamy trochę ciała, że ofiara została obdarta ze skóry. Wówczas krzyknął: „O kurwa!”. Stracił kontekst, za chwilę zaczął opowiadać o rysopiśmie sprawcy. W końcu zobowiązał się nawiązać ze mną kontakt, po pogłębieniu wizji. I – jak to wcześniej bywało – nie odezwał się.

Po odejściu Sudera na emeryturę w 2004 roku z Jackowskim będzie się kontaktował Bogdan Michalec.

– Byliśmy zaciekawieni jego osobowością – przyznaje policjant. – Mieliśmy kontakt bezpośredni przy filmie *Eksperyment Jackowski* i sprawie Joanny Matjaszek (która do dziś na stronach Komendy Wojewódzkiej w Tarnowie figuruje jako osoba zaginiona).

Facet powąchał jej rzeczy i w jednym momencie pokazał osobowość tych sprawców, co do których ja nie miałem wątpliwości, ale mi to zajęło rok. Zaznacza zawsze, że na trzy przypadki w jednym może się mylić, że czasem włącza mu się ludzkie przeżywanie, a nie wizja. Jest w tym wszystkim autentyczny i nikogo nie udaje. Bardzo go cenię. Śledzę jego losy, czytam o nim nowości i obok Kazika Staszewskiego to dla mnie jeden z ciekawszych ludzi żyjących w Polsce. Niesamowity. Nie wiem, skąd to wie, ale jego wizje są nie z tego świata.

Małopolski komendant wojewódzki nadinspektor Andrzej Woźniak powołuje formalnie Wydział Spraw Otwartych i Nie-wyjaśnionych o charakterze operacyjno-śledczym.

Jest 16 stycznia 2005 roku, a Archiwum X staje się pierwszym takim zespołem w Polsce. Bogdan Michalec powie po latach, że zawsze mieli kiepski sprzęt, tak stary samochód, że led-

wo się toczył, a policjant wtedy zarabiał średnio 2 tysiące złotych. A mimo to chcieli rozwiązywać najtrudniejsze zagadki:

– Nikt o zdrowych zmysłach nie powinien interesować się takimi sprawami, bo wiadomo, jak jesteśmy w policji rozliczani – za wyniki, „wykrywczość”, i co za tym idzie – premie są albo ich nie ma. Od początku jednak wybieramy tylko sprawy beznadziejne. Niewykryte z terenu województwa małopolskiego, tak zwaną ciemną liczbę zabójstw popełnianych w Polsce (zaginięcia, nieszczęśliwe wypadki albo fałszywa kwalifikacja czynu, czyli samobójstwo, gdy w rzeczywistości było to zabójstwo). Mamy spore sukcesy na polu zwalczania tej ciemnej liczby. I sprawy, w których istnieje podejrzenie, że pojawia się seryjny zabójca, który morduje na tle seksualnym. Jednym słowem najczęściej miejsca poświęcamy sprawom, które w statystykach policyjnych i prokuratorskich nie istnieją.

Początkowo w Archiwum pojawiają się kobiety, z czasem jednak zespół w całej Polsce będą tworzyli głównie mężczyźni.

– Nie pracują z nami kobiety, bo uważam, żeby nie rozpraszać uwagi. Wiem, jak działa libido, w jaki sposób popęd seksualny wpływa na relacje międzyludzkie. Rozprasza uwagę. Zamiast na sprawie policjanci skupiali się na sobie: żarty, flirty. Jak dobieram ludzi do zespołu? Opieram się na metodzie psychologicznej, rodem z USA, czyli badaniach tego, co przeszkadza grupie w osiągnięciu bardzo trudnego zadania. Otóż przeszkadzają dwie kategorie osób. Pierwsza to ci, którzy z góry zakładają, że coś się nie uda. Taki Smerf Maruda. I druga – ludzie, których nie interesuje rozwiązanie zadania stojącego przed grupą, tylko chcą nad nią przejąć władzę. I według tego klucza staramy się wybierać ludzi do niełatwej pracy w krakowskim Archiwum X. Od początku budowania zespołu opierałem go na filozofii. Kładę też większy nacisk na psychologię śledczą i tutaj

szukam nowych dróg zabezpieczenia śladów i dowodów w sprawach uważanych za beznadziejne.

Sprawa zabójstwa Kasi Zowady, umorzona w 2000 roku, dopiero po 12 latach, zostanie podjęta na nowo.

– Musi pani wiedzieć – Michalcowi na twarzy pojawia się ni to uśmiech, ni grymas – że policja jest rozliczana z wykrywalności przestępstw, a prokuratura – ze spływu spraw. Niezależnie od sposobu zakończenia sprawy. Czy jest rozwiązana, czy umorzona. I tu następuje świadomy konflikt interesów. Jak z zespołem piłkarskim, w którym sześciu ludziom płacą za strzelanie bramek, a pozostałym sześciu – za wybijanie piłki na aut. Tutaj nie ma jednej pięści. Polska co chwilę płaci kary za przewlekane postępowania, a miernikiem stał się czas: szybko umorzyć. To wina systemu, że prokuratorzy w Polsce idą tylko tam, gdzie wina jest ewidentna. W innych, bardziej skomplikowanych sprawach, nie będą walczyli. A my operujemy na plamach i to jest niewygodne.

Psychologiczny profil sprawcy, stworzony na potrzeby śledztwa, w telegraficznym skrócie można scharakteryzować tak: wiek (w chwili popełnienia zbrodni) 22–35 lat, typ lokalny, najprawdopodobniej mieszkaniec Krakowa. Silny i sprawny mężczyzna, o przynajmniej średniej, a nawet podwyższonej inteligencji. Odludek, zaburzony seksualnie. Z doświadczeniem w posługiwaniu się nożem, skalpelem, w oprawianiu zwierząt. Niewykluczone, że odwiedza grób ofiary, istnieje możliwość fizycznego jej podobieństwa do sprawcy.

Internet pęka w szwach od pytań, kto i dlaczego odebrał życie 23-letniej, cichej i wycofanej dziewczynie. Bardzo ciekawą analizę przeprowadza Adam Gabryelów, absolwent Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie na blogu *Trzecie dno*:

„Do zbrodni trzeba często jakiejś inspiracji. W tym przypad-

ku było nią zapewne *Milczenie owiec*, film – lub książka – opowiadająca o psychopatycznym kanibalu doktorze Hannibalu Lecterze. Tak też media okrzyknęły zabójcę z Krakowa. Nieśluszenie, ponieważ to nie Lecter był inspiracją dla oprawcy znad Wisły. Nasz rodzimy psychopata zainspirował się Buffalo Billem, postacią, która w *Milczeniu owiec* gra rolę drugoplanową”.

To jego ściga Clarice Starling, agentka FBI grana przez Jodie Foster.

Buffalo Bill obdzierał skórę ze swoich ofiar, a z jej kawałków szył sobie ubranie, dzięki któremu wcielał się w kobietę. „Prześledźmy sposób myślenia policyjnych probierów” – pisze Adam Gabryelów. „Ich postępowanie wbrew pozorom nie opiera się na żadnej psychoanalizie ani podobnych teoriach, ale jest działaniem odwołującym się do statystyki. To zarazem siła i słabość tego podejścia. Z jednej strony jest to metoda w dużym stopniu naukowa. Polega na porównywaniu cech analizowanej zbrodni z bazą danych zebranych przy okazji poprzednich przestępstw. (...) Typowe profilowanie policyjne bazuje na założeniu, że istnieją pewne specyficzne cechy osób popełniających dany typ przestępstw i na podstawie analogii można przewidzieć, kim jest aktualnie poszukiwany przestępca”. Szczątki Katarzyny zostały wrzucone do rzeki, czyli zabójca zrealizował scenariusz znany z *Milczenia owiec*, więc absolwent SWPS założy, że to nie był przypadek, a co za tym idzie – sprawca wcale nie musiał nawet mieszkać w Krakowie: „Być może pozbył się zwłok w miejscu związanym bardziej z Katarzyną niż ze sobą samym”.

Blogger przygląda się też dokładnie „strojowi” ze skóry, znalezionemu w Wiśle, sięgającemu „od okolic pochwy do szyi, a nawet nieco wyżej”. Ponieważ nie ma w nim żadnej symetrii, pisze, że z jakiegoś względu nie była ona istotna dla sprawcy.

Charakterystyczne są wycięcia w okolicach ud i części intymnych. Sutki wykrojone misternie, jakby sprawca chciał przyjąć płęć ofiary.

„Właśnie płęć, a nie – jak sugerują przytaczani przez media profilerzy – tożsamość” – analizuje Adam Gabryelów. „Z psychologicznego punktu widzenia tożsamość lokuje się na twarzy, miejscu, które wyraża najwięcej emocji i które jest charakterystyczne dla konkretnej osoby. Twarz została jednak odcięta, choć wykorzystany fragment skóry sięga aż do ucha. Zakładam więc, że sprawcy nie chodziło o Katarzynę jako taką, ale po prostu o kobietę (...)”.

Z analizy przypadku tego zabójstwa bloger wyciąga wniosek, że zabójca należy do grupy transseksualistów autogynefilicznych, znajdujących przyjemność seksualną (*filia*) w fantazjowaniu na temat samego siebie (*auto*) jako kobiety (*gyne*). Podnieca go fantazjowanie, że jest kobietą, a pobudza przeglądanie się w lustrze w damskim przebraniu, w czym jest podobny do Buffalo Billa z *Milczenia owiec*.

Gabryelów uważa, że tym, co zwraca uwagę w „stroju” ze skóry, jest asymetryczne cięcie, idące po przekątnej od styku barku z szyją do boku:

„Nasza skóra wyłowiona z Wisły to próba odtworzenia tego, co sprawca zobaczył w telewizji lub na video (...). Widzimy podobną asymetrię i zbliżony kształt wycięcia sięgającego od okolic biustu do łączenia szyi z barkiem. Jest kształt body, a nawet płat skóry, który po rozciągnięciu sięgałby gdzieś pod ucho. Możemy więc zakładać, że nasz sprawca zainspirował się tym aspektem filmu bardzo mocno Poza tym „kostium” jest zrobiony niedbałe, co zdaniem blogera świadczy o tym, że sprawca – wbrew opinii policji – nie był ekspertem w obróbce tego materiału, lecz „zadowolili go ogólny schemat kobiecości, bez przy-

kładania wagi do detali”.

Więcej nie zaatakował. A może po prostu sprytniej ukrył ciało? Jeśli tego nie zrobił, to dlaczego przestał zabijać?

Musiał poznać swoją ofiarę. Tego śledczy są pewni.

Trzy tygodnie przed śmiercią, kiedy to Kasia wychodziła „na uczelnię”, ale tam nie docierała, mogą okazać się kluczowe w rozwiązaniu sprawy jej zabójstwa. Jednak nikt nie wie, dokąd i z kim chodziła. Śledztwo utyka w kolejnym martwym punkcie.

W lutym 2014 przejmują ją Prokuratura Apelacyjna w Krakowie po tym, jak po podjęciu go 2 lata wcześniej na szczątkach Kasi specjaliści odnaleźli między innymi pozostałości roślin, które nie należą do środowiska wodnego. Laboratorium 3D Uniwersytetu Wrocławskiego odtworzyło też w trójwymiarze przebieg tego zabójstwa. Kasia, ich zdaniem, była przed śmiercią torturowana. Sprawca zadawał jej rany klute w okolice pachwin, pach i szyi, tak żeby się wykrwawiła. Skóra dziewczyny nosiła też charakterystyczne ślady po ciosach typu karate.

Jacek Bieńkuński, specjalista od wariografu, który z krakowskim Archiwum współpracuje od przeszło 10 lat i wydał ponad tysiąc trzysta opinii, mówi, że zabranie sprawy Skóry to strzał między oczy dla Archiwum X.

– Pracowałem przy niej od początku. Przebadałem w sumie kilkanaście osób. Sprawa była prawie na ukończeniu. Wydałem opinię, że pewne środowisko i osoby mogą posiadać ze sprawą związek przestępczy. I rolę prokuratora było udokumentowanie tego w sposób procesowy (dowody!) i napisanie aktu oskarżenia. Krąg zawęził się do jednej osoby, tylko ona została jeszcze do przeanalizowania. Mogła być sprawcą. I w tym momencie Prokuratura Apelacyjna jako organ nadrzędny zdecydowała, że przejmują sprawę.

W październiku 2016 roku, po 18 latach od zabójstwa, nurkowie z Grupy Specjalnej Płetwonurków RP przeszukują dno Wisły na odcinku od uskoku w Dąbiu (gdzie znaleziono nogę ofiary) do Wawelu. Do mamy Kasi Zowady w moim imieniu dzwoni Bogdan Michalec, szef krakowskiego Archiwum X. Ale matka, udręczona tajemnicą śmierci córki, ponowną ekshumacją jej zwłok i niezdrowym zainteresowaniem mediów, odmawia rozmowy. Zgodzi się na spotkanie, gdy śledczy rozwiążą już zagadkę śmierci Kasi.

*

Przełom następuje na początku października 2017 roku. Cała Polska obserwuje, jak zamaskowani policjanci prowadzą w kajdankach niewysokiego, krępego, mocno zbudowanego mężczyznę. Trąbią o tym wszystkie telewizje, pisze prasa, dyskutuje internet.

Kim jesteś, Robercie J.? – to pytanie zadają sobie niemal wszyscy.

Wiadomo, że od samego początku był w kręgu zainteresowania policjantów. Jego zeznania jako świadka pojawiają się w pierwszych tomach akt śledztwa. Dziś ich liczba urosła już do stu dwudziestu.

Robert J. ma 52 lata. W chwili zdejmowania skóry z Katarzyny i przerabiania jej na kobiece body musiał być w wieku Chrystusowym. Media dość szybko ustalają, że swego czasu pracował w prosektorium, gdzie odrabiał wojsko, i krótko w jednym z instytutów Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ul. Grodzkiej w Krakowie. Do dziś mieści się tu również instytut religioznawstwa, którego studentką była Katarzyna. Zachodzi więc prawdopodobieństwo, że mógł ją znać przynajmniej z widzenia. Jeden z policjantów znający kulisy śledztwa zdradza dziennikarzom

„Gazety Wyborczej”, że go stamtąd zwolnili, bo pozabijał im wszystkie doświadczalne króliki.

– Zawsze się go bałam – powie mi koleżanka, która dość długo mieszkała w pobliżu Roberta na krakowskim Kazimierzu. – Miał jakieś szaleństwo w oczach, a moją siostrę obwąchiwał od góry do dołu, stojąc za nią w kolejce, w sklepie. Miała wtedy 15 lat.

Bardzo rozmowny stanie się ojciec mężczyzny, krakowski poeta i malarz, Józef J. Dzięki temu dowiemy się co nieco na temat nieciekawego dzieciństwa podejrzanego o zabicie studentki.

Wychowywała go ciotka, której rodzice oddali go zaraz po urodzeniu. Ale kiedy miał 2 lata, nagle zmarła, więc Robert wyładował u swoich dziadków ze strony ojca.

Dziadkowie, gorliwi katolicy, wyznawali tylko jedną zasadę wychowania: przez bicie. Przemocy doznał już ojciec Roberta, karany w ten sposób za nieposłuszeństwo całej swoje dzieciństwo. „Do bicia zawsze byli skorzy, ale żeby pomyśleć, że trzeba by mi postawić nocnik koło łóżka, nie pomyśleli” – wspomina w swojej książce, której tytułu nie podam, by chronić autora.

Dziadkowie Roberta stosowali też wobec jego ojca wymyślne kary. Książka roi się od wspomnień ich bezwzględnej pomyślności. Za to, że się spóźnił, dziadek Roberta rozsypał gwoździe do papy na ziemi. Kazał synowi klęczeć na nich i trzymać nad głową, w wyprostowanych rękach dwunastolitrowy gar pelen wody. W tym czasie siedział obok i trzymał pas na kolanach, na wypadek gdyby ręce zaczęły mu mdleć. A matka lepiła pierogi. Kiedy chłopiec próbował oprzeć gar na głowie, uderzał go pasem po plecach. Woda się wylewała, lecz chłopiec znów podnosił gar. Gdy wstał, gwoździe niemal wrastały mu w kolanach.

Józef miał w domu wypisany kodeks kar, czyli za które przewinienie, ile dostaje batów. Któregoś razu liczba zarobionych pasów sięgnęła siedemdziesięciu ośmiu.

Matka poszła do kościoła, ojciec do zakładu (pracował jako zegarmistrz). W tym czasie syn miał przygotować miejsce kaźni: odsunąć stół i krzesła kuchenne. Ojciec najpierw kazał mu się rozebrać. Przywiązał za przeguby rąk do kółek umocowanych w górnej futrynie drzwi, pomiędzy kuchnią a pokojem. Podciągnął na sznurkach tak, że Józef palcami od nóg dotykał podłogi. Dostał siedemdziesiąt osiem uderzeń pasem. Ojciec, nie rozwiązując go, zażył waleriany, po czym chlusnął na niego zimną wodą. Rozwiązał i wyszedł. Dziecku zostawił wytarcie podłogi i ustawienie mebli. Matka wiedziała o wszystkim, bo przyszła, kiedy podłoga jeszcze nie wyschła. Ale zamiast stanąć po stronie dziecka, codziennie od 5.00 rano modliła się z pięciu modlitewników, a każdy w innym języku.

Najczęściej powtarzaniem przez rodziców Józefa było czwarte przykazanie Dekalogu: *Czcij ojca swego i matkę swoją.*

Po latach przemoc dziedziczy ich wnuk – Robert.

Chłopiec mieszka z dziadkami 9 lat w Wieliczce, niedaleko plebanii. Dziadkowie mają dom. Salon wygląda jak wnętrze książęcego pałacu: mnóstwo antyków, ściany oblepione starymi obrazami, a wszystko oświetla przesadnie kryształowy żyrandol. Przepych zupełnie nie pasuje do właściwie prostej, robotniczej rodziny. Ale J. odkupili od potomkini hrabiów Miączyńskich dosyć zniszczone meble w stylu Ludwika XVI. Kilka lat później je odrestaurują. Zostaną pokryte dwudziestoczerokaratowym złotem, według wszelkich prawideł renowacji. Babka Roberta sprowadzi ekipę, która w Krakowie odnawia ołtarze. Po 1956 roku dziadkowie odkupią też secesyjną sypialnię w kolorze kości słoniowej i piękną, pokrytą rzeźbami, olbrzymią jadalnię z

okresu międzywojnia.

„Dziadek bije go czasami, kopie, łapie za nos” – pisze 13 października 2017 o dzieciństwie Roberta spędzonym w Wieliczce „Gazeta Wyborcza” Dziadkowie „zawsze z modlitewnikiem w ręce, z wnukiem dzień w dzień odmawiają różaniec i prowadzą go do kościoła. Na mszach dziadek wykręca Robertowi palce tak mocno, że chłopak przewraca się pod ławkę z bólu”.

Józef J. mówi dziennikarzom: „Ojciec też mi tak zginał palce, żebym śpiewał w kościele razem z innymi”.

Do rodziców Robert wróci w wieku 11 lat i pójdzie do szkoły na Kazimierzu. Tam będą czekały na niego kolejne upokorzenia. Tym razem sprawcami przemocy staną się rówieśnicy. Bicie, wyzywanie, poniżanie, odrzucenie. Dzieciak, żeby przetrwać, chowa się w szkolnych szafach. Józef doda jeszcze, że w domu niczego nie brakowało, a na nim przecież surowe wychowanie się nie odbiło. „Może to jakieś pomyłone geny? Nie wiem” – zanotują jego rozważania dziennikarze.

Najbardziej szczątkowe i lakoniczne są informacje na temat matki Roberta. Jedyne przymiotniki, jakie pojawiają się w mediach na jej określenie, to „apodyktyczna” i „religijna”. W kłótniach z mężem zawsze stawiała po stronie syna, choć nie wychowywała go od małego. Wiadomo też, że małżeństwo J. się rozwiodło (ojciec zostawił rodzinę dla innej kobiety), a Robert pozostał z matką w kamienicy na Kazimierzu (która, co ma znaczenie dla sprawy, znajduje się w pobliżu Bulwarów Wiślanych). Przez jakiś czas kobieta będzie pracowała w Kanadzie, i zabierze do siebie syna. Nim to jednak nastąpi, chłopak, wówczas lat 26, wylądzuje u psychiatry, mówiąc mu, że słyszy głosy. Ojciec powie dziennikarzom, że może to w reakcji na jej wyjazd. W końcu byli do siebie bardzo przywiązani. Czy syn, raz już porzucony, poczuł się ponownie odepchnięty? W każdym

razie lekarz miał stwierdzić u niego chorobę psychiczną, której towarzyszyły stany paranoidalne. Z tego tytułu przysługiwała mu renta. To ona będzie stanowiła jedno z dwóch jego źródeł utrzymania. Drugie to emerytura matki. Robert wróci do Polski wiosną 1998 roku.

Jako nastolatek Robert bywał agresywny i nieobliczalny, a jego emocje najczęściej studził jeden z nauczycieli, do którego dotarli dziennikarze „Wyborczej”. Anonimowo (w sprawie ma status świadka) opowiedział, że Robert nie uczył się, a pobudzony wpadał w słowotok i nadużywał przekleństw. Kiedy został w końcu wyrzucony z jednej ze szkół zawodowych, uznał, że to z winy nauczycielki matematyki. Potrafił przyjść pod pokój nauczycielski, kopać w drzwi i wyzywać ją.

Nauczyciel, któremu Robert zaufał (przynosił pamiętniki i napisaną przez siebie książkę – dziś w posiadaniu prokuratury), umiał go słuchać, dzięki czemu chłopak rozładowywał swoją agresję. Policjanci przesłuchiwali go dwa razy: po raz pierwszy po odkryciu zwłok studentki, a ponownie w 2012 roku, kiedy sprawa została podjęta na nowo. Badali go wariografem i pobrali próbki DNA. Nauczyciel pożałował się mediom, że czuł się jak podejrzany w sprawie. Tymczasem takie są policyjne procedury. Test wariograficzny musi obejmować pytania, które stawia się zwykle potencjalnemu sprawcy (co wiesz o zabójstwie? gdzie ukryłeś ciało?), chociażby po to, by wykluczyć świadka z kręgu osób w jakikolwiek sposób powiązanych czy mających wiedzę na temat makabrycznego zabójstwa Kasi.

W zapiskach Roberta, przechwyconych przez prokuraturę, przewijały się nazwiska i adresy wielu kobiet. Do jednej z nich dotarli dziennikarze „Superwizjera” TVN. Powie dziennikarzom:

– Do mnie przychodził ciągle, bo on by chciał mieć jakąś ko-

bietę. Z tego powodu między innymi chodził do solarium. Miał jeszcze taką „schizę”, że zawsze w okolicach Wszystkich świętych po prostu dostawał czegoś takiego, taki się dziwny robił... [Kasia zaginęła dziesięć dni po Zaduszkach – I.M.]. Wtedy przychodził do mnie, przynosił mi jakieś książeczki, modlitwy. Ja mówiłam: panie Robercie, pan to chyba świętym będzie. A on: żeby pani wiedziała, co ja zrobiłem, to nawet gdybym całe życie to nosił, to nic nie pomoże.

Robert (jak twierdziła rozmówczyni) przynosił jej również listy, które miały pisać do niego poznawane kobiety. – Zaczęłam czytać i tam był opis... nie umiem tego teraz powtórzyć, ale to było straszne. Właśnie o tym skórowaniu, pieprzeniu, soleniu... Że jak on by zdejmował tę skórę...

Jej zdaniem Robert jest niesamowicie inteligentny: „To jakby jego zabawa, że cały świat jest głupi, a ja was wszystkich przechytrzę”.

Z inną kobietą, do której dotarli dziennikarze „Superwizjera”, Robert próbował się związać po zaginięciu Katarzyny. Ale tak się go boi, że nie zdecydowała się nigdy na współpracę z policją. Reporterom powiedziała: – Przedstawił się jako osoba bardzo inteligentna, o IQ powyżej sto osiemdziesiąt. Posiadał jakiś stopień, któryś dan, chodzi o pas w karate. Szukał kobiety na całe życie, która miała być dziewczicą. Dowiedziałam się, że był mechanikiem samochodowym. Opowiadał, że odrabiał służbę wojskową w szpitalu, tam był przy sekcjach zwłok. Z jednej strony miał pretensje, że coś takiego go spotkało, z drugiej był tym podekscytowany. Napomknął też o jednej kobiecie, z którą łączyła go jakaś bliska więź. Na moje pytania o nią odpowiadał wymijająco. Dowiedziałam się, że wyjechała w góry, zostawiła go, nigdy nie wróci.

W czasie gdy zaginęła Kasia, a matka była w Kanadzie i

mieszkał sam, Robert (o tym po latach opowie dziennikarzom jego ojciec, Józef) zrobił w domu gruntowny remont. Skuł wszystkie kafelki w łazience i położył nowe. Odświeżał mieszkanie czy zcierał ślady?

Technicy kryminalistyczni zaczną szukać odpowiedzi na to pytanie chwilę po jego zatrzymaniu, wchodząc do mieszkania i skuwając wszystko, co da się obedrzeć z warstwy ozdobnej.

Tymczasem media polują na kolejnych ludzi, którzy mogliby im w jakikolwiek sposób wyjaśnić fenomen mężczyzny. Dawid Serafin, dziennikarz Onetu, pisze, że z rozmów, jakie przeprowadził, wyłania się obraz niespełnionego naukowca. Jest inteligentny, bystry i sprytny:

„Nie daje się zamknąć w żadnych znanych ramach” – to jeden z rozmówców dziennikarza. „Lubił chodzić do kina, choć nie miał za dużo pieniędzy, więc często tam nie bywał. Najchętniej chodził do dawnego kina Uciecha lub kina Pasaż. Zabijał zwierzęta i patroszył ryby. Miał duże wymagania co do kobiet: miały nosić francuską bieliznę, być wykształcone i posłuszne”^[7].

Pytania, kim właściwie jest i dlaczego zabił w taki właśnie sposób, padają nie tylko w mediach, ale i w niejednym polskim domu. I choć Robert twierdzi, że nigdy nie poznał Kasi, świadkowie zaobserwowali w nim dość nagłą zmianę po zaginięciu studentki. Od grudnia 1998 roku Robert zaczyna intensywnie odwiedzać kościół Bonifratrów przy Krakowskiej na Kazimierzu. Widuje go wiele osób, bo zwraca na siebie uwagę. Modli się żarliwie, a do tego bardzo głośno. I ma w kościele swoje stałe

7 <https://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/19-lat-temu-osk-rowal-studentke-podejrzany-o-morderstwo-zostal-zatrzymaj-ujawniamy/vj5rq2e> (dostęp: 15.01.2018)

miejsce: po zewnętrznej stronie pierwszej ławy, z lewej strony od ołtarza (patrzac w kierunku wyjścia).

Policjanci, którzy przyglądają mu się już od lat, odkrywają, że po tym, jak do mediów przecieka informacja o udziale w śledztwie jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego, Robert kilka razy odwiedza grób dziewczyny na cmentarzu na Batowicach, w dzielnicy Prądnik.

– To, co Krzysztof Jackowski widział w swoich wizjach, to jedno. Ale chodziło też o sprawdzenie, jak J. zachowa się, kiedy w mediach pojawi się informacja, że policja szuka nie tylko w świecie materialnym. To był chyba strzał w dziesiątkę, bo Robert od tego momentu oddał się Bogu, jakby w nim widział jakiś ratunek – twierdził jeden z rozmówców Radia Kraków.

Robert miał wypowiadać się jednemu z zakonników w kościele Bonifraków. Być może wyjawił mu swoją tajemnicę. Naruszenie tajemnicy spowiedzi dla kapłana, gdyby nawet chciał pomóc policji, równa się ekskomunice. Dlatego zakonnik zabrał sekret tej spowiedzi do grobu.

A może nie? Może Robert opowiedział o tym zakonnikowi poza konfesjonalem, dlatego list od „tajemniczego przyjaciela”, o którym donosiły media, to w rzeczywistości list od zakonnika? Może poprosił, by szczelnie zaklejoną kopertę wysłać na Mogilską do Archiwum X po jego śmierci? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

Jak tajemnica spowiedzi wygląda w procesie karnym?

Prawo karne wyłącza możliwość przesłuchiwania duchownych jako świadków co do faktów, o których dowiedzieli się w trakcie spowiedzi. Taki duchowny może odmówić zeznań. Tajemnica spowiedzi obowiązuje księdza zawsze.

Człowiek, który spowiada się z tak ciężkiego grzechu jak za-

bójstwo, dostanie rozgrzeszenie, ale jego warunkiem jest za-
dośćuczynienie. To znaczy naprawa krzywdy, o ile da się ją na-
prawić. W tym wypadku spowiednik będzie próbował uratować
człowieczeństwo tego, który zabił. Ksiądz może więc zasugero-
wać, by zabójca zgłosił się na policję i przyznał do winy w ra-
mach żalu za grzechy. Może, ale nie musi. Wszystko zależy od
spowiednika. Jedno jest pewne: bez wypełnienia pokuty spo-
wiedź, a więc i rozgrzeszenie, stają się nieważne.

Znajomy przysłała mi zdjęcie ze strony „Gościa
Niedzielnego”, ilustrujące artykuł o ustanowieniu sanktuarium
diecezjalnego w kościele Bonifratrów. Na zdjęciu Robert J., po-
dejrzany o zamordowanie krakowskiej studentki, trzyma zapa-
loną gromnicę. Włożył czarne dżinsy, białą koszulę i elegancką
czarną marynarkę. Wygląda z klasą.

Naprzeciwko niego, przed ołtarzem, stoi kardynał Stanisław
Dziwisz. Patrząc na to zdjęcie i powoli włosy na głowie zaczynają
mi się podnosić do góry. Bo przypominam sobie wspomnienia
ojca Roberta, jego dziadków i słowa jasnowidza Krzysztofa Jac-
kowskiego, który przed laty dostał od „archiwistów” do pową-
chania maskotkę zamordowanej Kasi: „Kojarzą mi się kościoły,
różne kościoły. Dużo kościołów”.

– Ustanowienie sanktuarium połączone było z mszą odpu-
stową. Wiesz, co to oznacza? – objaśnia mi spokojnie znajomy, a
studiował religioznawstwo. – Że Robert święcie wierzy, że sko-
ro się wyspowiadał, odbył pokutę i przyjął komunię, to nie ciąży
już na nim grzech śmiertelny. Innymi słowy: można zakładać, że
on wierzy, że pójdzie do nieba i nie poniesie kary w zaświatach
za to, co zrobił z Kasią Zowadą.

Rozdział piąty

CZŁOWIEK TYŚIĄCA ŚMIERCI

Gdańskie Archiwum X to dziś tylko dwóch policjantów: Jacek Gilewski i Paweł Mrozowski. Najpierw poznaję Pawia. Na spotkanie w jednej z gdańskich knajpek przychodzi nieufny. Jak każdy niemal policjant, nie przepada za kontaktem z mediami. Siada naprzeciwko mnie i stawia piwo. Wysoki, szczupły, z brodą. Z wyglądu antypolicyjny: zero mięśni, wychował się w subkulturze metalowców. Ma na sobie czarną koszulkę z deathmetalowym logo zespołu Avulsed. W Archiwum X od ośmiu lat. Absolwent gdańskiej „Topolówki” (III Liceum Ogólnokształcącego), skończył prawo na Uniwersytecie Gdańskim. Gdy był nastolatkiem, interesowali go seryjni zabójcy.

– Na Wybrzeżu mieliśmy Skorpiona, dużo o tym czytałem – mówi, gładząc dłonią krótko ogoloną głowę. – Jak trafiłem do policji, to pracowałem w sekcji przeciwko życiu i zdrowiu. Z komendy miejskiej przeszedłem potem do wojewódzkiej i siedziałem w pokoju z kolegą, Władkiem Kałużnym, który miał przydzielone stare sprawy. Był rok 2007. To był nieformalny zespół

w sekcji kryminalnej przeciwko życiu i zdrowiu.

Zajmowało się tym dwóch ludzi i wtedy jeszcze nie nazywali się Archiwum X. Pomagałem Władkowi przy tamtych niewyjaśnionych sprawach. W końcu zaczęliśmy nadawać na tych samych falach. Mnie zawsze kręciły zagadki. Ale to jest niezwykle żmudna praca. Nie dla każdego.

Paweł, rocznik 1974, wychował się na gdańskiej Zaspie. Uliczny łobuz, jak o sobie mówi, rzucał kamieniami w ZOMO i chodził na ogródkowy szaber. Rodzice często wędrowali do szkoły tłumaczyć się z występków syna. Pierwsza godzina rozmowy wystarczy mi, by zauważyć wyjątkowość tego policjanta. Jego wrażliwość i upór. Sprawiedliwość, powie mi, jest wtedy, gdy kara nadchodzi szybko. Ale Archiwum X pracuje na krzywdach, które nie doczekały się zadośćuczynienia. Są jak fale, które rozchodzą się w złamanym przez los człowieku do końca życia.

– Nie mogę zaprzętać sobie głowy tym, że ktoś kiedyś coś spieprzył. Już to widzę w aktach. – Paweł spokojnie popija piwo, odwracając spojrzenie w bok. – Muszę raczej myśleć o tym, ile mogę naprawić. Jeśli jeszcze mogę. Bo wielu rzeczy już naprawić się nie da. A to ktoś nie przesłuchał świadka, który już dziś nie żyje, a to nie zabezpieczył na oględzinach śladu, którego już teraz nie ma. To są rzeczy niepowtarzalne. W samym województwie pomorskim mamy w tej chwili ponad 120 spraw do rozwiązania. Niewykrytych zabójstw. Sprawdziałem statystykę. Mamy profile DNA sprawców zabójstw na tle seksualnym i okazuje się, że one się nigdzie nie powtarzają. A to oznacza, niestety, że takich sprawców jest sporo. Wracam do domu i wciąż o tym myślę.

Akta są jak pole bitwy, na którym walczą ze sobą miłość, nienawiść, zdrada, przeznaczenie i śmierć. Losy ludzi nie-

uchronnie zmiernają w nich ku katastrofie, której nie można zrozumieć ani jej zapobiec. Bo jak zrozumieć, że jeden człowiek zabija drugiego dla worka pszenicy?

I w aktach wciąż te same błędy, popełniane przez policjantów i prokuratorów: niezabezpieczanie śladów, niechlujne, czasem wręcz skandaliczne przeprowadzanie oględzin, omijanie wielu świadków. Załóżmy, że mamy klatkę schodową, na której doszło do zabójstwa, a w niej dziesięć mieszkań. Policjanci potrafią przejść się po wszystkich, w niektórych dwukrotnie niktogo nie zastają. I więcej nie wrócić. W innym mieszkaniu zastaną męża, ale żony nie, i już z nią nie porozmawiają. A przecież każdy świadek jest na wagę złota. Potrafi czasem odwrócić bieg sprawy tak, że tajemnica, którą dla wielu ludzi pozostaje śmierć ich najbliższych, zaczyna zmiernać ku rozwiązaniu.

– Mamy taką sprawę. W aktach ewidentnie jest sprawca. A postanowienie o umorzeniu przez prokuratora czyta się jak akt oskarżenia. Nie ma jednak dowodów rzeczowych. Jest ciąg przyczynowo-skutkowy i poszlaki. A teraz to już nie wystarcza. Bo mam wrażenie, że prokuratorzy po nowelizacji kodeksu postępowania karnego z lipca 2015 (że jak nie ma winy czarno na białym, to ona nie istnieje, a przecież o tym, czy ktoś jest winny, decyduje sąd) boją się iść do sądu i walczyć - Paweł uderza w knajpiany stolik szczupłymi, niczym u pianisty, palcami. – Ten, kto kiedyś wpadł na pomysł, żeby powołać Archiwum X – chwiała mu za to. Bo każda umorzona sprawa z powodu niewykrycia sprawców, to jest jednocześnie jej koniec. Kodeks karny zakłada, w zależności od tego, jakie to jest przestępstwo, okres przedawnienia. W wypadku zabójstwa do 2016 roku było to 30 lat, teraz jest 40. Ale to są martwe przepisy. Faktycznie wszystko po umorzeniu można wrzucić do pieca, bo nikt się tym nie zajmuje. W to miejsce wchodzi dwadzieścia innych, bieżących

spraw. Jesteśmy więc ostatnią nadzieją dla tych, którzy ją już wiele razy stracili.



W niewielkim betonowym bunkrze rozwinął na ziemi czarną folię. Gdybym się nie obejrzał, myślał gorączkowo, wróciłbym do domu.

– Klękaj! – rzucił stanowczo do drobnego chłopca o krótkich blond włosach. Dzieciak mógł mieć nie więcej niż 11 lat. Bunkier stał pośrodku pola jak strach na wróble. Sklecony z pustaków, zalepionych murarską zaprawą zapewne przez kogoś, kto wcześniej wychylił już kilka głębszych. Był 30 września 2005 roku. Niewielką wieś Łęgowo między Pruszczem Gdańskim a Tczewem, tam, gdzie bunkier dotykał pola ziemniaków i fasoli, leniwie mijała rzeczka Kłodawa.

Chwilę wcześniej kazał chłopcu wejść na tę folię. Obrócił go tyłem do siebie, zdjął z niego bluzę i koszulkę. Mały dygotał z zimna i przerażenia. Mimo to mężczyzna szybkim ruchem zdarł z niego spodnie, a majtki opuścił mu do kolan.

– Niech mnie pan zostawi! – błagało dziecko. – Niech pan puści!

Ale on już nie słuchał.

Gdybym się nie obejrzał, myślał gorączkowo, wróciłbym do domu. A tak – stał nad dzieckiem pochylony niczym anioł śmierci z rozpostartymi skrzydłami. Targały nim wzajemnie wykluczające się uczucia: nieprzepartej ochoty na seks i strachu, że chłopak go potem rozpozna. Ten strach sprawił, że oparł ręce na jego wątlej szyi i zaczął dusić. Bardzo szybko też uderzył go nożem: między innymi w prawy obojczyk, ramię i szyję. Dusił

tak długo, póki ręce dziecka nie przestały się bronić. Potem rozpiął mu dwa guziczki od rozporoka. Powoli. Chcąc się przekonać, czy będzie umiał zrobić to ze zwłokami. Aleznów strach był silniejszy. Podniecenie minęło. Zawinął więc chłopca w czarną folię, a sam rzucił się do ucieczki.

Tamtego ostatniego września kierownik Sekcji Kryminalnej i Dochodzeniowo-Śledczej Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku powiedział do policjantów: – Jest zabójstwo i któryś z was musi jechać.

Był piątek po południu, koło 15.00. Wszyscy myśleli już o weekendzie, rzucali więc monetą. Wypadło na Jacka Gilewskiego.

Przedzieramy się przez młode żyto. Ja i dwóch policjantów z gdańskiego Archiwum X: Paweł Mrozowski i właśnie Jacek: mężczyzna o twarzy, posturze i uroku szesnastolatka. Nosi w sobie młodość i dojrzałość. Ciepły, życzliwy, o łagodnym głosie. Jest koniec czerwca 2016 roku. Upał. Końskie muchy nie dają nam spokoju. Wszędzie maki. Przerrywają zieleń pół jak refren piosenki. Wąską dróżką w wysokiej, soczystej trawie prowadzą nas do skromnego krzyża, który stoi obok bunkra. W miejscu gdzie leżała czarna folia, rośnie dziś w nieładzie kilka wysokich krzewów. Krzyż jest czarny. Tam gdzie w jednym punkcie spotykają się jego ramiona, wisi mały Chrystusik, przysłonięty sztucznymi słonecznikami.

Wtedy, tamtego września, było już po żniwach. Puste pola.

– Stąd, z ziemi – mówi Jacek, zataczając ręką koło – braliśmy ślady traseologiczne [obuwia – I. M.], żeby wiedzieć, którędy zabójca uciekał. Miał długie włosy, spięte w kitkę, i spodnie moro. Przykuł uwagę mieszkańców już wtedy, gdy kręcił się po wsi. Zauważył go też rolnik jadący traktorem i zastanawiał się, gdzie ten mały Talarek lezie z jakimś obcym. Potem zobaczył, jak fa-

cet w moro ucieka. Ruszył więc traktorem w kierunku betonowego bunkra. Tam znalazł Sebastiana.

W tym samym niemal czasie na miejsce dotarł jego starszy brat, Mateusz, zaalarmowany przez jednego z kolegów chłopca, który grał nieopodal w piłkę i zobaczył, że dzieje się coś niedobrego.

– Co się robi, kiedy widzi się najbliższą osobę w takim stanie? – patrzę w oczy przystojnego młodego chłopaka i zastanawiam się, jak mógłby dziś wyglądać jego brat.

– Próbuje się ratować. Najpierw sprawdza się puls. Ale Sebastian był zawinięty w worek. Nic już nie mogłem zrobić. – Mateusz nerwowo popija kawę. Nie cierpi wracać do tamtych wspomnień.

Ojciec Sebastiana, Bogdan Talarek, lat 51, budowlaniec, ma dłonie starsze od siebie o pół wieku.

– Wszystko, co mam, to z tych dziesięciu palców – mówi, a one nie słuchają. Pamięć wprawia je w drganie, kiedy mężczyzna otwiera szufladę ze zdjęciami młodszego syna. – Przepraszam, to dla mnie wciąż straszny ból. Boli tak bardzo, że nie idzie wytrzymać.

Świat matki Sebastiana zapadł się wtedy w jakąś czeluść i już się z niej nie podźwignął. Nawet nie wyszła z domu, żeby porozmawiać, choć od tamtego czasu minęło 11 lat, a na podwórku jak co roku dojrzewały jeżynomaliny.

Sebastian koło choinki. Sebastian w szkole. Sebastian na rybach.

Wystarczyło, że ojciec dotknął go lekko o trzeciej, czwartej nad ranem, a chłopiec już zrywał się z łóżka. Kochał wędkować. Bogdan Talarek, który sam był „moczykijem”, nauczył syna wszystkiego: jak zanęcać, spławikować, spinningować. Chłopiec

zarzucał wędkę z wypiekami na twarzy. W ten sposób uczył się cierpliwości i milczenia.

Tamtego dnia nie posłuchał matki – która zabroniła, bo było dużo nauki – i sam poszedł na ryby. Zabójca, idąc w poszukiwaniu ofiary wzdłuż wału na Kłodawie, już miał zrezygnować, gdy raz jeszcze obejrzał się za siebie, i zauważył, że Sebastian zbiega w kierunku rzeki.

Przypadek, mawiał Einstein, to Bóg przechadzający się inco-gnito. Ale to nie Bóg szedł tamtędy.

Chłopiec trzymał w ręku deskę, w którą wbity był gwóźdź, a do niego przyczepiona żyłka. Kłodawa to malutka rzeczka, deska spokojnie mogła służyć za wędkę.

– Co robisz? – zaczął jedenastolatka.

– Zarzucam przynętę na ryby. Zaraz przyjdę zobaczyć, co się złapało.

Podoba mi się, myślał gorączkowo długowłosa mężczyzna, ubrany w spodnie moro.

– Lubisz łowić? – zwrócił się do chłopca.

Szli już wzdłuż rzeczki, mały pytał, dlaczego stan wody podnosi się i obniża. Ufny. Ciekawy świata. Jak to dziecko. Po chwili spaceru mężczyzna zauważył betonowy, nieduży bunkier.

– Ciekawe, czy tam rosną pieczarki... – rzucił mimochodem, a że był miły, w umyśle chłopca nie zapaliła się czerwona lampka. Sebastian nigdy też nie widział, jak rosną pieczarki.

Niebo nad bunkrem było ostatnią rzeczą, jaką miał w życiu zobaczyć.

Rolnikiem, który pierwszy zauważył uciekającego przez pola mężczyznę, był Krzysztof Paśko. Kiedyś strażak, niebezpieczeństwo umiał wywahać w powietrzu jak dzikie zwierzę. Ruszył więc cielsko traktora przez pola, w stronę bunkra, z które-

go wybiegł długowłose. Obcy.

Jedenaście lat później powie mi, że na miejsce przybiegł nie tylko brat Sebastiana, ale też dwóch jego kolegów. Dzieci były w szoku. On sam, dorosły, dygotał jak w febrze, nawet gdy przyjechał pierwszy wezwany policjant.

Ojciec Sebastiana do bunkra dojechał rowerem. Akurat był w pracy. Chciał wziąć dziecko w ramiona, ale nie zdążył. Policja już otaśmowała miejsce zabójstwa. Nie pozwolili wejść. Paśko z Bogdanem Talarkiem do czasu naszego spotkania nigdy o tym ze sobą nie rozmawiali.

– Miałem mu serce łamać? Swoje już przeżył. – Paśko siorbie kawę. Siedzimy w altanie ogrodu Talarków. Gorąco. Koncert owadów. Zapada milczenie, które przerywa starszy syn Bogdana Talarka, Mateusz. Było między nimi 6 lat różnicy, czasem się kłócili, ale kochali. Sebastian należał do tych dzieci, które szybko kradną serce. Rodzice nazywają je srebrem, złotem albo skarbem. Wtedy, kiedy w miłości do dziecka nie ma nic trudnego, a jedyną przeszkodę w tym ukochaniu stanowi fakt, że zbyt szybko dorasta.

– Żałuję, że to nie ja go złapałem. – Ciemne oczy Mateusza zwężają się. – Posiedziałbym jakieś 25 lat, ale miałbym satysfakcję. Śmierć za śmierć. A tak do dzisiaj człowiek morduje się z myślami i pamięcią.

Przez moją stronę internetową odnajduje mnie Grzegorz Kraśniewski. Czyta mój wpis na blogu, napisany na gorąco po przyjeździe z Gdańska w lipcu 2016. Przyjaźnił się z Sebastianem. Razem siedzieli w szkolnej ławce, jadali obiady w swoich domach, grali w piłkę czy łowili ryby.

– Tamtego dnia nie zapomnę nigdy – pisze do mnie na fejsbuku. – Odmówiłem pójścia z nim na te ryby, a dzisiaj odwie-

dzam go na cmentarzu, na którym nie powinien się znaleźć [wysłała mi wspólne szkolne zdjęcia i fotografie nagrobka kolegi, płowowłosego blondynka z równo przyciętą grzywką – I.M.]. Byłem z nim do jego ostatniej drogi. Jako pierwszy ze szkoły podszedłem do trumny i złapałem go za ręce. Do dziś, kiedy widzę mamę Sebastiana w sklepie za kasą, jest mi strasznie żal, że ona widzi mnie, już dorosłego, a jej dziecko nie żyje.

Tamtego września policja błyskawicznie zorganizowała obławę.

Krzysztof Paško: – Mówiłem policjantom, że facet nie miał innej drogi ucieczki, jak przejść przez rzeczkę. Musiał więc mieć mokre skarpetki.

Mieszkańcom Lęgorowa i okolic śledczy każą skupić się w jednym miejscu. Najlepiej nie wychodzić z domów, żeby helikopter mógł kamerą termowizyjną namierzyć z góry, którądy ucieka zabójca.

Na dworzec PKP w Tczewie jadą policjanci z tamtejszej sekcji kryminalnej, by obserwować, czy pojawi się. ktoś podobny do rysopisu. Jeszcze raz: długie czarne włosy, kucyk, spodnie moro, okulary. Około 15.30 zauważają takiego mężczyznę. Idzie z dworca ulicą Pomorską w kierunku alei Zwycięstwa przez skrzyżowanie z Gdańską. Policjanci doganiają go na wysokości Zwycięstwa i legitymują. Nazywa się Piotr Trojak. Mieszkaniec Tczewa. Urodzony 20 lipca 1977 roku. Mieszka przy ulicy Wojska Polskiego. Ma rentę, anemię, a w plecaku dwa noże: jeden wojskowy, z ostrzem około 20 cm, drugi kuchenny, siedmiocentymetrowy. Prócz tego zawinięte w koszulkę lusterko, skarpetki, sznurek, oliwkę, grzebień, nożyczki, papier toaletowy, ręcznik i butelkę wody mineralnej. Wszystko z przeznaczeniem do prowadzenia się po zabójstwie do porządku. Mówi od rzeczy, bez ładu i składu. Jest wyraźnie zdenerwowany i niespokojny:

– Noże zabrałem z domu z zamiarem zabójstwa przypadkowej osoby. Było mi bez różnicy, czy to będzie kobieta, mężczyzna czy dziecko. Jestem biseksualny. Zabójstwa chciałem dokonać na tle seksualnym – duka policjantom.

Śledczy błyskawicznie robią tak zwane okazanie. Obok podejrzanego stawia się za lustrem weneckim bardzo do niego podobnych mężczyzn. Szukają ich z łapanki. Podchodzą na ulicy i pytają, czy zgodziliby się wziąć udział w czymś takim. Jedni pomagają, inni nie. Jest problem, żeby dopasować długowłosych. Czas biegnie, ale w końcu się udaje.

Świadkowie, którzy widzieli podejrzanego, siadają za lustrem. Wśród nich jest dwoje dzieci. Przeżalone, ale rozpoznają: ten sam. Mimo że zmienia miejsca w szeregu. Takie ma prawo. Raz stoi drugi od lewej, innym razem czwarty.

Wiadomo, że około 11.00 wyjechał z Tczewa pociągiem, wysiadł w niedalekim Cieplewie, po drodze kupił piwo. Nie zauważył żadnej ofiary, „która by się nadawała”. Oczywiście było, że po wykorzystaniu ofiary zabije ją, bo bałby się rozpoznania. Po tym, jak zabił dziecko, wszedł do szkolnego busa i załapał się na podwózkę do pobliskich Pszczółek, skąd poszedł na pociąg do Tczewa. Tam już czekał na niego policyjny poczęstunek. W trakcie przesłuchania śledczy wkradają się w jego laski. Trojak dostaje kolację, herbatę i drożdżówki. Dzielą się z nim własnym prowiantem. Jeden z nich, tknięty niejasnym przeczuciem, po dwóch, trzech godzinach rozmowy w końcu pyta:

– To twoje pierwsze zabójstwo?

– Chciałbym dobrowolnie powiedzieć – zaczął Trojak – że to nie było moje pierwsze zabójstwo. Był 2002 rok. Jeździłem wówczas rowerem, czerwonym rometem, miałem bojówki w kolorze wyblakłej zieleni, koszulkę z logo Dimmu Borgir...

- Zaczął opisywać zdarzenie sprzed kilku lat, z okolic Lisewa Malborskiego. Na początku wydawało nam się to niewiarygodne - wspomina Jacek Gilewski z gdańskiego Archiwum X - bo w systemach policyjnych widniała informacja, że zdarzenie miało miejsce, jednak sprawca został ujęty. Szybko poszło pytanie do Malborka, czy mieli takie zabójstwo na swoim terenie. Oni na to, że tak, i przysłali portret pamięciowy. A na portrecie wypisz wymaluj Trojak.

2 września 2002. Poniedziałek. W Komendzie Powiatowej Policji w Malborku dzwoni telefon. Znalezione chłopca, może 10, może 12 lat, przy lokalnej drodze numer 128, między Starą Wisłą a Lisewem. Dziecko nie daje oznak życia. Jest godzina 17.22. Pobocze drogi trawiaste. Za nim wzdłuż biegnie melioracyjny rów, zarośnięty trawą i chwastami. Na wjeździe na pole uprawne leży składak koloru bordowego, z białymi błotnikami. 30 metrów dalej, w głębi pola - zwłoki chłopca. Czerwona koszulka, niebieskie spodnie. Krew. Dużo krwi.

- Tak jak dzisiaj to pamiętam. - Krzysztof Skotarek, ojciec chłopca, siedzi naprzeciwko mnie z portretem syna w ręku. Głos mu drży, a to drganie ma w sobie coś z przerażenia i wściekłości.

- Tamtego dnia miałem stawić się w urzędzie pracy. Pojechałem do Malborka, a kobieta mi mówi: ale pan ma się stawić za dwa dni, panie Skotarek! No to zaś wróciłem do wsi. Potem na pole ześmy z kolegą siewnikiem wyjechali. Była może czternasta. Pomagałem mu. Powiedział: - Sklep otwarli, to se piwo kupimy i wypijemy. Zjechaliśmy tym ciągnikiem na podwórko, a tu policja drogą przeleciała. Piwa w końcu nie piliśmy, bo oni na sygnałach, to woleliśmy nie ryzykować. Wróciliśmy do kolegi do domu. I znajomy, co kiedyś w pegeerze pracował, mówi do nas, że jakiegoś chłopca na rowerze chyba potrącił samochód. „Jaki

rower?" – spytałem. „Bordowy. Białe błotniki”. Krew mi uciekła do kostek. Od razu poleciałem do taty i mówię: „Tata, jedźta zobaczyć, co się stało, bo ja żem całkiem skołowany”. Wtedy przyjechała policja powiedzieć, że w polu leży Marcin. Zawieźli mnie do Tczewa na pogotowie. Dostałem zastrzyki. Żona mnie szukała jak obłąkana. W nocy zabrali mnie i starszą córkę na przesłuchanie. Nie pamiętam już, kiedy powiedzieli mi, jak naprawdę zginął. Tata mój identyfikował ciało. Jak opowiadał, że gałki oczne syn miał na wierzchu, to mi serce pękło.

Babcia, Stefania Skotarek, która mieszka obok, we wsi Stara Wisła (do policjantów): – Marcin bawił się pod domem, nie widziałam, żeby rozmawiał z obcymi osobami. Pożegnał się, jak zawsze: „Babciu, jadę do domu”. I odjechał. Był to jeden z moich najgrzeczniejszych wnuków.

Ten, który zabrał chłopcu życie, jechał rowerem z naprzeciwka. Charakterystycznym. Z kierownicą wygiętą jak baranie rogi. Długie włosy, spięte w kucyk, spodnie moro, ubrudzony gipsem nóż.

– Hej, mały, zaczekaj! – Coś między szeptem a krzykiem sprawiło, że Marcin zatrzymał rower. Mężczyzna chwycił kierownicę. – Złaź! – Nakazał gestem, bez słowa łapiąc go za rękę. Chłopiec zsiadł z roweru. Był ufny, pozwolił się prowadzić jakies piętnaście metrów w głąb pola. Ale im dalej szli, tym bardziej dziecko ogarniał lęk. Marcin zaczął wyszarpywać rękę. Napotkał jednak opór, przeszedł więc do błagania:

– Niech mnie pan puści, proszę!

Błaganie przerodziło się w krzyk.

Dlatego zabójca zaszedł go od tyłu i zaczął dusić. Z kieszeni wyjął nóż i uderzył chłopca w brzuch.

Był spanikowany. Chciał go jak najszybciej uciszyć i nie my-

ślał już o zaspokojeniu potrzeby seksualnej. Dziecko dostaje dwanaście uderzeń nożem. Broni się, zasłania rękami, dlatego będzie miało głębokie nacięcie między palcem wskazującym a środkowym. I potężną ranę na szyi, tak jakby ktoś próbował poderżnąć mu gardło. Chłopca leżącego na wznak, silnie krwawiącego, z rękami odrzuconymi do góry, jak niemowlę, znajdzie przypadkowy rowerzysta.

Nóż, w rowie melioracyjnym – już policyjny pies.

Dzień wcześniej w Lisewie był festyn. Na boisku przy ulicy Wyzwolenia orkiestra, słodycze, zabawa.

Mateusz, kolega Marcina: – Zbierał puszkę i wszystkie wrzucił do komórki. Raz w miesiącu jeździł z ojcem do Tczewa, by je sprzedać. Słuchał rodziców. O 21.00 szedł z festynu do domu. bo mama go wołała. Inne dzieci wracały o 1.00 w nocy.

Ojciec Marcina, Krzysztof, któremu serce nie zrosło się do dziś, powiedział, że to był bardzo dobry dzieciak. Pracowity, ciekawy świata. Dobrze się uczył. W grudniu skończył 11 lat.

Okoliczni mieszkańcy zapamiętują obcego kręcącego się po wsi.

Dagmara M. z Lisewa: – Wielokrotnie widziałam mężczyznę w wieku 25–30 lat, wzrost około 185 centymetrów, o szczupłej sylwetce, w bluzie lub koszulce ciemnego koloru, spodnie za kolana z kieszeniami. Jechał rowerem, włosy długie, spięte w kitkę, czasem zarost na twarzy, srebrne okulary, dość przystojny. Na szyi nosił łańcuszek, srebrny, z krzyżykiem. Często był widziany w drodze do Lisewa między 15.00 a 17.00 i jak wracał – około godziny 20.00. Wygląd z twarzy głupekowaty, delikatny szyderczy uśmiech.

Z zeznania innego świadka (kobiety):

„13 lipca około 11.00 na drodze do Starej Wisły zauważyłam

rodzinę Skotarek: Krzysztofa, Lidie, Martę i Marcina. W odległości 20–30 metrów jechał za nimi na rowerze mężczyzna. Cechą charakterystyczną były jego włosy: związane w kitek, lekko falowane. I broda. Miał górala z kierownicą w kształcie rogów, zagiętych do wewnątrz”.

Potem widzi tego mężczyznę po raz kolejny.

„Gazeta Wyborcza” z Trójmiasta publikuje portret pamięciowy prawdopodobnego zabójcy i pisze, że ktoś mógł być świadkiem tego, co się stało, ale przestraszył się i uciekł. Policja prosi o kontakt każdego, kto cokolwiek widział.

Sprawę z ramienia malborskiej prokuratury prowadzi prokurator Mariola Bartkowiak. Ustalenie sprawcy zajmuje śledczym niewiele ponad tydzień. 11 września 2002 aspirant sztabowy Mirosław Kamiński z sekcji kryminalnej Komendy Powiatowej Policji w Malborku pisze notatkę:

„W trakcie wykonywania czynności służbowych dokonano ustalenia, że osobą odpowiadającą rysopisem mężczyźnie z portretu pamięciowego jest Tomasz Kułaczewski”.

Skąd się wzięłeś, Tomaszu?

24 lata, rocznik 1978. Urodzony 21 września. Zawód wyuczony: ogrodnik. Renta 400 złotych, leczony w Poradni Zdrowia Psychicznego z powodu nerwicy. Pochodzi z biednej rodziny, mieszka w popegeerowskich czworakach, dokąd dociera tylko zachód słońca. Kiedy po latach przyjadę zobaczyć jego dom, na odludziu, w środku pola, odniosę wrażenie, że mogła się tam narodzić samotność. Ale czy zbrodnia?

Ojciec Kułaczewskiego pracował dorywczo, matka w ogóle. Z opinii sądowno-psychiatrycznej:

„Intelekt poniżej normy, pamięć i uwaga upośledzone, uczuciowość wyższa i krytycyzm niedokształcone. Osobowość zabu-

rzona”.

Tego samego dnia policjanci konwojują podejrzanego do komendy w Malborku, By przeprowadzić „czynności procesowe z jego udziałem”. Potem, już w obecności prokuratora, wiozą go na miejsce zbrodni i proszą o relację, w jaki sposób zabił dziecko.

– Trzech chłopaków zaczęło mnie o papierosa – mówi Tomasz, a dłonie ma nieduże i delikatne, jak mały chłopiec. – Potem zaczęli wyzywać mnie od brudasów i śmieciarzy. Dwóch uciekło, a chłopak od Skotarków został. Dałem mu w twarz. Pobiegnął w pole, ja za nim. Przewrócił się, a obok leżał nóż, który miał na rękojeści biały sznurek. Jak leciał w pole, to jeszcze do mnie wrzeszczał:

– Śmieciarzu! Betonie! Tak, tak... Rozpoznałem ten nóż, że to mój. Dwa lata wstecz skradziono mi go z ogródka. Nie wiem, dlaczego znalazł się w tym miejscu.

Mężczyzna jest wyraźnie skołowany. Relacjonuje policjantom, że uderzył dziecko nożem w brodę i rękę. Nie chciał mu zrobić krzywdy.

– Była krew na nożu, ale nie pamiętam, czy moja, czy Marcina. Walnąłem go rękojeścią. Nigdy nie uderzyłem nożem w brzuch ani w szyję. Chciałem tylko postraszyć. O śmierci Marcina dowiedziałem się z telewizji.

Coś się tu nie kleiło. Jacek Gilewski z gdańskiego Archiwum X powie mi, że Kułaczewski podczas policyjnego eksperymentu, przywieziony w pobliże miejsca zbrodni, poszedł w zupełnie innym kierunku.

Jedziemy w tamto miejsce. Biały metalowy krzyż w polu. Spoczywaj w pokoju. Jacek idzie przodem i pokazuje, w którą stronę poszedł upośledzony chłopak, a gdzie leżały zwłoki Mar-

cina. To faktycznie dwa różne kierunki.

– Nie tylko pokazywał inne miejsce – wspomina policjant i drapie się nerwowo za uchem. – Mówił, że uderzył dziecko nożem w twarz i brodę, a przecież chłopiec miał zupełnie inne obrażenia.

Ciało ofiary jest jak książka: można z niego wiele wyczytać. Ale ktoś postanowił nawet nie przewracać stron.

Matka Tomasza jest w szoku:

– Mój syn od dziecka choruje na anemię megaloblastina. Bierze zastrzyki witaminy B12 raz w miesiącu. Rano, 2 września, byliśmy w przychodni. Tamtego dnia syn sprzedał sąsiadowi rower za 30 złotych. Nie było go w domu może z pół godziny, po czym wrócił i w chlewiku rozbierał telewizor. Rzadko wychodzi sam z domu. Muszę z nim chodzić, bo sam się boi. Siedział nad tym telewizorem do godzin wieczornych. Wychodziłam za nim i patrzyłam, co robi.

Jacek Gilewski: – Kułaczewski miał znakomite alibi. Oprócz matki widział go w tym pomieszczeniu gospodarczym znajomy lekarz. Nic się nie trzymało kupy.

Zygmunt B., jeden ze świadków, zeznaje:

„Tomek był grzeczny, spokojny, nigdy nie przejawiał agresji. Interesował się radiotechniką. Nacieszył się sprzętem przez dwa dni, a potem go rozbierał. Bardzo interesowało go wojsko. Chodził cały czas w mundurze moro. Na pagonach miał różne dystynkcje. Raz był kapitanem, innym razem – generałem. Wieształ sobie medale. Mówił, że »chce być wyższy od innych«”.

Policjanci pokazują świadkowi nóż, a ten rozpoznaje, że u Kułaczewskiego widział podobny.

Dopiero potem okaże się, że ten nóż policjanci pokazali mu... na zdjęciu.

Mimo to prokurator Mariola Bartkowiak z Malborka stawia Kułaczewskiemu zarzut zabójstwa dziecka. Policjanci maglują wystraszonego mężczyznę. Ten zaś próbuje im wytłumaczyć, że nie zabił chłopca. Powie potem: – Policja nie uwierzyła, że byłem w domu, chorowałem. Kazali mi się przyznać, krzyczeli. Po tem dali zapalić. Musiałem fałszywie zeznawać.

Na początku przyznaje się do winy, ale z czasem jego zeznania stają się niespójne.

W aktach ktoś podkreśla je grubo ołówkiem.

„Jak odchodziłem, to widziałem, że Marcin się podniósł”.

„Mógł to zrobić ktoś inny”.

Nóż „leżał na polu. Był to duży, kuchenny nóż. Rękojeść miał obwiązaną sznurkiem czy linką, taką do prania”.

„Trzymałem ten nóż jak bagnet, czyli za ostrze”.

Sąd Rejonowy w Malborku, II Wydział Karny, na wniosek prokurator Bartkowiak, aresztuje Kułaczewskiego tymczasowo. „W toku postępowania (pisze prokuratorka) zebrano dowody, w światłe których fakt popełnienia przez podejrzanego zarzucanego mu przestępstwa został znacznie uprawdopodobniony. Nie przyznaje się on wprost do zabójstwa, ale jednocześnie podnosi okoliczności, z których jasno wynika, iż jest jego sprawcą”.

Urodziny ten mężczyzna, który nigdy nie przestał być dzieckiem, spędza już w więzieniu.

Paweł Mrozowski z gdańskiego Archiwum X nawet po latach jest wstrząśnięty, kiedy o tym rozmawiamy.

– Cały proces na etapie postępowania przygotowawczego, a potem sądowego, to czysta farsa – mówi, pociągając piwo. – To jest coś, co w praworządym, cywilizowanym państwie nie miało prawa się zdarzyć. „Materiał dowodowy”, celowo dają tu cudzysłów, nie powinien był nawet trafić do sądu, bo akt oskarże-

nia wyglądał jak włamanie do kurnika: bałagan i niechlujstwo. Lecz skoro już trafił, to w sądzie należało odbić go z takim „plaskaczem”, jak wali się na odlew w twarz, a prowadząca prokurator powinna ponieść konsekwencje. Przecież nikt nie wpływa tak na czyjeś życie, jak my – policja, prokurator albo sędzia.

Jacek Gilewski: – Ten sąd musiał nie czytać akt, nie analizować. Podparł jedynie wniosek prokuratora i pchnął go dalej. Czy sąd w ogóle widział nagranie z eksperymentu? Wątpię. Za dużo wykluczało Kułaczewskiego jako sprawcę zabójstwa.

Krzysztof Skotarek, ojciec Marcina, znał Tomasza. Znał i widywał, bo przecież każdy mieszkaniec Starej Wisły wiedział, że chłopak jest lekko upośledzony. Że lubi łowić ryby, strugać modele samolotów, kleić latawce, wycinać z drewna rzeźby i szkicować. Lubi też filmy karate.

O tym, że go złapali, Skotarek dowie się w sklepie, z radia, i o mało nie umrze. Nic nie pamięta z tamtej chwili. Najgorszemu wrogowi nie życzy. Na dodatek po wsi poszły plotki, że policjanci wyciągnęli z obory koło jego domu pokrwawione spodnie. Pokazywali też ojcu portret pamięciowy, ale Kułaczewskiego na tym portrecie nie było.

– Pamiętam, jak policjant prowadził go w sądzie. Tato zdążył mnie złapać za pasek, bobym mu zrobił krzywdę – mówi Krzysztof, a pamięć wprawia w dygot jego ramiona. – Rozpacz nie pozwoliła nam myśleć, czy on naprawdę jest winien. Pokazali go nam, więc myśleliśmy, że to ten.

Jest 28 października 2002 roku. Badania biologiczne i DNA wykluczają obecność krwi Marcina Skotarka na ubraniu Kułaczewskiego. Porównano włókna z ubrań – bez rezultatu. Jakby Tomasz nigdy chłopca nie dotknął. Policja przesłuchuje ponad stu świadków. Biegły Gwidon Sutowski zabezpiecza z rączki noża ślad osmologiczny: chce porównać zapach mężczyzny z

tym, który wyekstrahował z narzędzia zbrodni.

I okazuje się, że oba zapachy są zgodne. Jak to możliwe?

Policjanci z Archiwum X są pewni, że ktoś dal mu narzędzie zbrodni do potrzymania. Krótko mówiąc, chłopaka zwyczajnie wrobił..

- Nie wiemy - przyznają policjanci - czemu uparli się, żeby go posadzić.

W 2003 roku. w listopadzie, zapada wyrok. Kułaczewski dostaje 15 lat, a już w lutym 2004 roku do Sądu Apelacyjnego w Gdańsku wpływa apelacja, w której prokurator żąda 25 lat. Ale wyrok się utrzymuje. Jest maj 2004. Tomasz pisze z więzienia rozpaczliwe listy do swojego adwokata. Że policjanci obiecywali mu spodnie moro, leczenie psychiatryczne w szpitalu i uniknięcie skazania, jeśli tylko się przyzna. No to się przyznał.

Ale więzienny szlaban zapadł. I nie było już dla niego ratunku.

Dość szybko Sąd Okręgowy w Gdańsku, IV Wydział Karny, nakazuje utylizację dowodów. Do zniszczenia idzie nóż, którym sprawca zabił chłopca. Pewnego dnia do domu Skotarków przychodzi też przesyłka z Zakładu Medycyny Sądowej. Odbiera ją mama zamordowanego Marcina, Lidia. Nie pracuje.

Z zawodu kasjer biletowo-bagażowy, po zawodówce pracowała na kolei, potem w przetwórni ryb Goral. Choruje na nadciśnienie i opiekuje się chorą na cukrzycę córką. Julka przyszła na świat po śmierci brata. Gały czas na insulinie. Nim się urodziła, ojciec Marcina trochę się rozpił. Ale podjęli z żoną decyzję, że chcą drugiego dziecka. I w ten sposób Julka ma już dziś, w roku 2018, 14 lat – więcej od swojego starszego brata.

- Jak się urodziła, to rzuciłem alkohol - mówi Krzysztof Skotarek. - Miałem gołębnik. Marcin uwielbiał gołębie. Jak zginął -

wywaliłem cały. Ale to mi nie dawało spokoju, więc z powrotem żem postawił. Przyjście na świat Julki uratowało nam życie.

Od śmierci Marcina mija rok. Któregoś dnia Lidia przyjmuje przesyłkę od listonosza. Na kopercie pieczętka Zakładu Medycyny Sądowej. Otwiera ją. I zamiera.

– To były ubrania Marcina – mówi ojciec, nie wiedząc, jak ukryć cierpienie. – Ubrania, które miał na sobie, jak go mordowano.

Ja i dwóch policjantów patrzymy w podłogę. Nikt nie wie, jak to sobie wyobrazić. Nikt, kto tego nie przeżył.

– Nie daj, Panie, żadnemu rodzicowi. Zamiast nam oszczędzić... A myśmy dostali te zakrwawione spodenki, koszulkę, majtki. Rower nawet oddali. Nikt nas nie uprzedził. Spaliłem wszystko, z wyjątkiem spodenek.

Ojciec je najpierw dotykał, przytulał, badał każdą nitkę, każdą plamę krwi. Rzeczy syna były jak niemi świadkowie śmierci. W końcu i spodenki wrzucił do pieca. Palił i wył.

Kiedy 3 lata później zginął Sebastian Talarek, przyjechała policja:

– Panie Skotarek, może ma pan jeszcze ubrania syna?

– Tam, na ścianie wiszą, w obrazkach – odparował im, pokazując na zdjęcia, kolejny raz raniony do żywego.

Siedzimy w milczeniu. W końcu odzywa się Paweł Mrozowski:

– Tego się nie zwraca rodzinie. Wszystko powinno być w magazynie dowodów rzeczowych. Wtedy można było jeszcze szukać bezpośrednich śladów. Pomijam aspekt etyczny: to tak, jakby zgwałconej kobiecie oddać podartą bieliznę. Sąd powinien trzymać dowody do czasu przedawnienia sprawy, czyli dziś – 40 lat. Rozumiem, gdyby to była koparka albo traktor.

których nie ma gdzie przechowywać. Ale nóż czy ubrania mieszczą się w małym pudełku!

W 2005 roku, przez chwilę, sprawa toczy się dwutorowo. Złapany w Tczewie Piotr Trojak przyznaje się do zabójstwa Sebastiana, jest wiarygodny, opowiada wszystko ze szczegółami, z których nawet jeśli potem się wycofuje, to Archiwum X każdą z informacji rozbija na atomy i potwierdzi. Ale niestety sprawa wraca do Malborka, do tej samej prokurator, która oskarżyła o zabójstwo Tomasza Kułaczewskiego.

Po dwóch czy trzech tygodniach Trojak dostaje możliwość widzenia się z obrońcą, który mu najprawdopodobniej mówi, że do zabójstwa Marcina przyznawać się nie musi. Niech mu udowodnią. Od tego momentu policjanci dostrzegają obrót o 180 stopni. Trojak wycofuje się z zeznań, twierdzi, że jest tylko świadkiem, a wszystko powiedział dlatego, że śledczy go bili.

Bogdan Michalec, szef Archiwum X z Krakowa, powie niejednokrotnie:

– Adwokaci często sięją wątpliwości. Wielu robi wszystko, żeby uniewinnić zabójcę. A powinni się skupić na szukaniu okoliczności łagodzących karę, a nie na wybielaniu zbrodniarza. Wybielanie to dla mnie intelektualna prostytutka.

Od chwili złapania Trojaka Tomasz Kułaczewski siedzi w więzieniu jeszcze rok. Prokurator Mariola Bartkowiak konfrontuje go z Trojakiem i nie podejmuje żadnych innych czynności, po czym umarza postępowanie. Kułaczewski nie popełnił przestępstwa, nie wiadomo, kto zabił Marcina, więc umorzenie następuje wobec niewykrycia sprawców. Zabójstwo trafia na przysłowiową półkę z napisem: „Potrzebuję cudu”. Bo w archiwach takie sprawy umierają i nikt do nich nie wraca.

W marcu 2006 Jerzy Danilewicz, dziennikarz „Newsweeka”,

pisze materiał zatytułowany *Zapach zbrodni*.

Jedzie do matki wrobionego chłopaka:

„Wiem, że syn jest niewinny. Prosił, żebym pisała do prezydenta, albo tego tam Strasburga, ale człowiek jest ciemny i biedny. Nie stać mnie nawet, żeby do więzienia paczkę wysiać”^[8].

Dziennikarz rozmawia też z wujkiem zamordowanego Marcina, Tomaszem Skotarkiem, który zapamiętał, „jak go wzięli na przesłuchanie i też krzyczeli, żeby się przyznał, że zabił bratanika”.

„Jak wróciłem do domu, byłem tak roztrzęsiony, że musiałem dwiema rękami trzymać butelkę oranżady, boby mi wypadła” – mówił Danilewiczowi. „Oni mieli rozkaz szybko znaleźć zabójcę. To i znaleźli – głupiego i biednego. Tomek na kozia ofiarnego pasował w sam raz”^[9].

Tekst czyta Rzecznik Praw Obywatelskich i 4 kwietnia zwraca się do Sądu Okręgowego w Gdańsku z prośbą o nadesłanie akt sprawy Kułaczewskiego. Wyrokiem zaczyna też interesować się Helsińska Fundacja Praw Człowieka. W końcu 8 czerwca 2006 roku Sąd Najwyższy uchyla wyrok i nakazuje zwolnienie go z aresztu.

Wkrótce potem do domu Skotarków puka telewizja TVN i w ten sposób śmierć syna na powrót wdziera się do ich życia. Otwiera Lidia. Pod drzwiami stoi Tomasz Kułaczewski. Ze spuszczoną głową zaczyna przeproszać za wszystko, co się stało. Kobieta drętwieje. W tle dostrzega kamery. Zamyka z hukiem drzwi.

– Za co on miał nas przeproszać? – Krzysztof Skotarek nie kryje irytacji. – Mnie tu nie było, ale jakbym był, tobym ich roz-

8 „Newsweek”. 19 marca 2006.

9 Tamże.

niósł.

Paweł Mrozowski: – Kiedy niedoszły zabójca wychodzi z więzienia, pani, ja i jeszcze 38 milionów polskich obywateli płaci mu odszkodowanie w wysokości 300 tysięcy. Tyle kosztują błędy wymiaru sprawiedliwości.

Tymczasem Trojak konsekwentnie zaprzecza, że w 2002 roku zabił Marcina Skotarka. Zaczynają mnożyć się opinie sądo-psycho-logiczne. Wszyscy zadają sobie jedno pytanie: kim właściwie jesteś, morderco?

Piotr Trojak skończył zawodówkę i wyuczył się na złotnika. Ojciec – stolarz, złota rączka. Wszystko umiał zrobić sam, bez pomocy automatów do drewna. Matka – krawcowa. Prowadziła w Tczewie sklep spożywczy na Starym Mieście. Trojak ma brata, siostrę i kategorię E z uwagi na chorobę szpiku kostnego, która przekłada się na 800 złotych renty miesięcznie. Pracuje na stacji benzynowej, w fabryce, gdzie tnie gąbki, łub przy produkcji folii. Choruje też na granulocytopenię. Czeką na przeszczep szpiku. Przez jakiś czas pomaga przy dziecięcym zespole muzycznym w miejscowym Domu Kultury. Ma więc kontakt z dziećmi i doskonałe stosunki z matką. Rodzina mieszka obok zabytkowego holenderskiego wiatraka, który należy do nich od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wiatrak wygląda dostojnie. Jego dziewiętnastowieczne ramiona rozpościerają się nad płaskim dachem parterowego domu Trojaków. Wykonany z czarnego drewna stoi na podmurówce niczym kadłub potężnego samolotu. Specjaliści oceniają, że ten zabytkowy symbol Tczewa jest wyjątkowy nawet na tle innych budowli tego typu. Wiatrak Trojaków ma bowiem pięć skrzydeł, podczas gdy standardowo takie wiatraki-młyny mają ich cztery. Przy tym wiatraku Pietrek – bo tak go będą nazywali sąsiedzi – czasem robi grilla i zaprasza znajomych. Niezaradny, nieśmiały, niczym szcze-

gólnym się nie wyróżnia. Łatwo ulega wpływom, ale przyjaciół nie ma. Do końca podstawówki moczy się w nocy z samotności i strachu. Jego inteligencję psychologowie ocenią jako wyższą ponad standard, dlatego powodem kłopotów z nauką jest co innego.

Okaze się, że strach Pietrka przybierał w jego dzieciństwie tylko jedną postać: ojca.

– Nadużywał alkoholu, bił mnie, molestował. Ale nie mam żalu – powie po latach policjantom, pogryzając na komisariacie darowane drożdżówki. – Matka też miała pamiątki po tatusiu. I ją bił.

Na potrzeby późniejszej sprawy sądowej, którą gdański sąd uczyni jawną dla mediów, seksuolog, profesor Zbigniew Lew-Starowicz napisze:

„Ojciec leżał koło niego w łóżku, dotykał jego członka i poruszał nim. Badany podał, że było tak kilka razy. Nie wie, dlaczego ojciec to robił. Nie przerywał mu, traktował jako normalne zachowanie. Ojciec był surowy, popadł w alkoholizm. Wtedy go pobudzał, kłócił się, bił. Ale związek rodziców przetrwał”.

Psychologowi, który go badał. Trojak powie, że zachowanie ojca to zabieg leczniczy, związany ze stulejką. „Następstwem tych nadużyć było prawdopodobnie powtarzanie trzeciej klasy i moczenie nocne” – będzie analizował specjalista. „Taka postawa jest często wynikiem identyfikacji ze sprawcą przemocy”.

Ojciec, kiedy nie pił, zabierał dzieci na wycieczki nad Wisłę, do zoo, okolicznych zamków czy muzeów. Umiał być dobrym ojcem. Gotować, prać, przebierać dzieci. Jednak drugie jego oblicze Piotr będzie kojarzył z obrazem żaby ze starej komputerowej gry, której pojawiały się na moment szpony i diabelskie rogi.

Zawsze po alkoholu.

Ojciec najczęściej bil grubym pasem. Po głowie, żebrach, zwłaszcza gdy próbował syna czegoś nauczyć, a ten nie rozumiał. Matka też bila. Cienkim pasem. Wtedy bardziej bolało. Ale matka to matka. Ponieważ ojciec bez przerwy zrzędził, syn nauczył się izolowania od rzeczywistości w domu. Powie po latach: – Nie pamiętam naszych rozmów.

Kiedy Pietrek ma 20 lat, poznaje dziewczynę. Pracuje w sklepie z militariami w Tczewie. Jest rok 1997. Ubiera się „po wojskowemu”, lubi metal i rock. Spotykają się półtora roku.

– Seks tylko analny – powie śledczym. – Albo ręką. Bo bała się ciąży.

Wtedy było już ognisko muzyczne, pierwsza gitara, opuszki palców poprzecinane strunami do krwi. Zakłada zespół Yemeth. Nazwa pochodzi od bohatera gry komputerowej, który ginie i odradza się. „Yemeth” w znaczeniu arabskim to człowiek tysiąca śmierci. Ktoś, kto nie może umrzeć.

Wcześniej Trojak chodził do kościoła i przyjmował sakramenty. Ale stracił wiarę. Został wikingiem w Gniewie (miejscowość w pobliżu Tczewa). Nosił ksywkę Thorgal. Takie samo imię miał bohater komiksów słynnego polskiego rysownika Grzegorza Rosińskiego. Długie ciemne włosy, silny, przystojny. Gwiazdne dziecko. Komiksowy Thorgal trafił do wikingów, ale jego rodzice nie mieszkali na Ziemi. Wikingowie dali mu na imię Thorgal, od Thora, boga piorunów. Ale tczewski Thorgal będzie miał ksywkę na wyrost.

„Spokojny, opiekuńczy, gaduła, czasem przynudzał” – zezna policjantom jego dziewczyna. „Ciepła klucha. Nie całowało się z nim rewelacyjnie”.

Zerwali we wrześniu 1999. Po tym rozstaniu Thorgal, teraz

już zaprzeczenie komiksowego bohatera, próbuje rzucić się pod pociąg. Psychologowie będą podejrzewali u niego osobowość dyssocjalną i psychopatyczną.

– Co czujesz, zabijając? – pytają go.

– Odczuwam swoją siłę. Podnieca mnie poddanie się kogoś.

Relacjonuje zachowanie ofiar, ale nie ich emocje ani uczucia. Jakby człowiek składał się tylko z mięsa i kości.

Na jego komputerze policjanci znajdują zdjęcia nagich dziewczynek poniżej 15. roku życia. Plik zatytułował: „Ach te dzieci”. Jest tam na przykład zdjęcie dziewczynki z napisem *Hurt me* („zrań mnie”) na brzuchu. Obok widnieje ręka trzymająca nóż.

Ale seksuolog profesor Zbigniew Lew-Starowicz ma wątpliwości, czy w Trojaku drzemie pedofil. Pisze:

„Odczuwał potrzebę seksu, ale do tego nie doszło. Nie czuł pożądania. Rozebrał chłopca, bo chciał go obejrzeć, a zabił, bo czuł strach, że zrobił coś niewłaściwego (zaczepił go). W komputerze tylko z ciekawości miał pornografię pedofilną (dziesięć zdjęć i film). Nie odczuwa podniecenia, gdy czuje władzę, bo »to do niego nie pasuje«. Neguje fascynację satanizmem, ale lubi heavy metal ze względu na ciężkie brzmienie i teksty.

Wnioski: nie ma podstaw do rozpoznania u oskarżonego zaburzeń preferencji seksualnych i brak podstaw do stwierdzenia, że oskarżony *in tempore criminis* [w czasie popełniania zbrodni – I.M.] zachował się tak z powodu zaburzeń preferencji seksualnych”.

Rodzice zamordowanego Sebastiana nie wytrzymują i piszą do ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Jest marzec 2006 roku:

„My, zrozpaczeni rodzice, po stracie naszego ukochanego synka, który w bestialski sposób został zamordowany przez

zbrodni i bandytę Trojaka Piotra, którego wymiar sprawiedliwości chce uczynić jako psychicznie chorego, zwracamy się do Pana Ministra o interwencję w tej sprawie (...)"

Skarżą się, że gdański sąd w niezrozumiały sposób odracza sprawę, przedłużając tym samym ich cierpienie.

„Pierwsza rozprawa odbyła się 27 kwietnia 2006 roku w Sądzie Okręgowym w Gdańsku, IV Wydział Karny. Następna się nie odbyła, gdyż oskarżonego nie dowieziono do sądu, ponieważ nie było opancerzonej furgonetki”.

Sąd odroczył sprawę do września 2006.

„Poinformowano nas, że jest czas urlopów i nie ma możliwości przeprowadzać rozpraw. Gdzie w takim przypadku jest pana program o zastrzeniu kar i szybkim zakończeniu tak okrutnej sprawy dla nas, rodziców, nie mających spokoju i żyjących w cierpieniu. Pragniemy, aby ta sprawa zakończyła się jak najszybciej. Prosimy o to. Wymiar sprawiedliwości robi wszystko, by ta bestia została uznana za chorego psychicznie. Kilka lat temu zamordował w bestialski sposób dziecko, za które siedział w więzieniu niewinny człowiek. Prosimy o interwencję, aby prawo było prawem, a sprawiedliwość – sprawiedliwością”.

Departament sprawiedliwości odpowiada, że zarzut rodziców o przewlekłość postępowania jest bezzasadny. Akt oskarżenia przecież wpłynął 3 marca, rozprawę główną wyznaczono na 24 marca, ale oskarżony nie został doprowadzony z więzienia w Sztumie „z uwagi na brak konwoju”. Sąd odroczył więc rozprawę do 27 kwietnia, kiedy to przesłuchano Trojaka i dwóch świadków.

Wobec „niemożności zarządzenia przerwy” (kolizje w terminach członków składu orzekającego) sprawę odroczone do 6 czerwca. Kolejną rozprawę zaplanowano na 9 czerwca (prze-

słuchano osiemnastu świadków i biegłą). Następnie rozprawę odroczone do 1 września ze względu na zaplanowane urlopy. W końcu każdy musi kiedyś mieć wakacje.

I „o ile nie zajdzie potrzeba uzupełnienia postępowania dowodowego”, sprawa zakończy się na przełomie października i listopada 2007 (2 lata po śmierci dziecka).

Departament Sądów Powszechnych nie znalazł jednak podstaw do objęcia postępowania nadzorem ministra sprawiedliwości.

Tymczasem adwokat Trojaka, Marek Karczmarczyk, wynajęty przez przekonaną o niewinności swojego syna matkę zabójcy, sieje spustoszenie w psychice rodziców Sebastiana. Prosi o powołanie kolejnego biegłego, ponieważ wcześniejsze opinie psychiatryczno-seksuologiczne były przeprowadzone przez biegłych, którzy nie mieli doświadczenia z zabójstwami na tle seksualnym. Emerytowanej biegłej zarzuca, że nie była w stanie wskazać, ile osób z zarzutem zabójstwa badała, oraz „że były to pojedyncze przypadki” i że „nie pamięta, by były to przypadki zabójstw na tle seksualnym”.

Biegła tymczasem oceniła wypieranie się przez Trojaka motywu seksualnego jako jego obronę.

Adwokat argumentuje:

„Skoro według biegłej oskarżony jest pedofilem, to dlaczego wcześniej na jego drodze życiowej nie pojawiły się jakiegokolwiek próby nawiązywania kontaktu z nieletnimi? Dlaczego utrzymywał on związek z dorosłą partnerką? Dlaczego bardzo gwałtownie przeżywał rozpad tego związku, co zmanifestowało się próbą samobójczą? Opinia, że zabójstwo było »usiłowaniem zgwałcenia sadystycznego zakończonego zabójstwem przez człowieka dotkniętego parafilią«, nie wynika z rzetelnie prze-

prowadzonych badań, musi więc zostać zakwestionowana”.

Kolejne pismo adwokata sąd wysyła Talarkom 21 sierpnia 2007.

Obrońca znów ma wiele wątpliwości co do opinii biegłej. Na przykład taką, że popęd seksualny jest według niej zamieniany przez Trojaka w zachowania *acting-outowe* (impulsywne i bezrefleksyjne). Adwokat ma więc pytania: jakie mechanizmy obronne z kręgu nerwicowego stosuje Trojak i w jakich sytuacjach? Rozładowania jakich popędów szuka oskarżony? Czy jego czyn może być potraktowany jako działanie *acting-out*? Jeśli tak, to czy włączenie się tego mechanizmu mogło spowodować chociażby w nieznacznym stopniu możliwość pokierowania swoim postępowaniem? Te zagadnienia powinny zostać wyjaśnione, pisze adwokat, doprowadzając tym samym rodziców zamordowanego chłopca do skrajnej rozpacz.

Biegli z Zakładu Seksuologii Sądowej Instytutu Seksuologii Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego – oddział w Koszalinie – stwierdzają jednak, że zabójstwo stanowiło dla Trojaka ekwiwalent odbycia przez niego stosunku płciowego, a sam oskarżony jest seryjnym zabójcą niezorganizowanym, wobec którego istnieje szczególnie wysoki stopień ryzyka powtarzalności tego typu czynów.

W listopadzie 2007 roku Sąd Okręgowy w Gdańsku skazuje Piotra Trojaka na dożywocie za zabicie 2 lata wcześniej Sebastiana Talarka. Orzeka, że o warunkowe zwolnienie będzie on mógł ubiegać się najwcześniej po odbyciu 30 lat kary. W kwietniu 2008 wyrok, mimo zabiegów obrońcy, podtrzymuje Sąd Apelacyjny.

*

Kiedy Jacek Gilewski, który pracował nad sprawą zabójstwa w

2002 roku Marcina Skotarka, przychodzi do pracy w gdańskim Archiwum X, sprawa dziecka nie daje mu spokoju. Wie, że Trojak zamordował chłopca, i postanawia zrobić wszystko, żeby za to zabójstwo również poniósł karę.

W tym samym czasie akta nierozwiązanej sprawy śmierci Marcina trafiają do Prokuratury Okręgowej w Gdańsku. Tam już w 2006 roku pod kierunkiem prokuratora Wojciecha Szelańskiego powstało biuro analizy kryminalnej (dziś mieści się w Gdańskiej Prokuraturze Apelacyjnej). I tam wszystko to, czego nie zauważył żaden sąd, ani pierwszej, ani drugiej instancji, nie zauważyły policja ani prokuratura w Malborku, czyli kim jest rzeczywisty sprawca, dostrzegła jedna kobieta.

Szelański: – Śledczy z Gdańska dostali naszą analizę z sugestią, że zabójcą nie jest Kułaczewski, lecz Trojak.

Wojciech Szelański, rocznik 1973, skończył prawo na Uniwersytecie Gdańskim, potem prawo gospodarcze i ekonomiczne w warszawskiej Szkole Głównej Handlowej, i podyplomowe cyberprzestępczość na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Złotousty (był swego czasu rzecznikiem gdańskiej prokuratury), inteligentny i przenikliwy. Nosi w sobie pasję do zawodu prokuratora, tak jak starą togę po wuju. Toga, która od czasów II RP „chodziła” do sądu, teraz służy mu podczas przygotowywania analityków sądowych do wystąpienia przed wymiarem sprawiedliwości.

– Czasem wcielam się w rolę wnikliwego adwokata, prowadząc im szkolenia – mówi, siedząc naprzeciwko mnie, pytany o kulisy zatrudniania analityków kryminalnych.

– Kim właściwie są ci ludzie? Co trzeba zrobić, żeby nauczyć się tak przenikliwie i rzetelnie czytać akta?

– Zatrudnialiśmy ludzi z różnym wykształceniem. Przeszli

praktyki z podstaw prawa, nie mieli przecież nigdy wcześniej doświadczenia w pracy w policji czy prokuraturze. – Szelągowski nie uprzedza, że będzie to dłuższa opowieść. – Niewątpliwie byli to ochotnicy z dużą chęcią do pracy, różnych zawodów. Nie dałem im od razu akt sprawy, która miała znaleźć swój epilog w sądzie. Byłoby to trochę ryzykowne. Nie wiedziałem, do czego oni się w ogóle nadają. Zastanawiałem się, co ludzi interesuje? Wiadomo: seks, pieniądze i krew. Wyjąłem więc z archiwum Prokuratury Rejonowej w Sopocie sprawę z lat siedemdziesiątych.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia znaleziono zwłoki sopockiej prostytutki, która pracowała w lokalu Miramar na pograniczu Sopotu i Gdyni, naprzeciwko aquaparku. Zabójstwo było o tyle ciekawe, że temperatura zwłok była niższa niż ta zanotowana przez stacje meteorologiczne na tym terenie. Zwłoki przy tym były popodgryzane przez szczury. Ewidentnie upozorowano zbrodnię z lubieżności. Pani analityk, która po tatach zajmie się sprawą Piotra Trojaka, przejęła te akta. Przeczytała je. Moja perfidia polegała na tym, że sprawa była już dawno przedawniona. Być może zmarnowałem miesiąc pracy, za który budżet państwa zapłacił pani analityk, ale z przyszłą korzyścią dla wymiaru sprawiedliwości. Tak więc przeczytała osiem tomów zeznań świadków, przyszła do mnie po dwóch tygodniach i zapytała:

- A gdzie jest druga sprawa?
- Ale jaka druga sprawa? – zdębiałem.
- Zabójstwa taksówkarza.

Ścięło mnie z nóg. Nie wiedziałem, że był jakiś taksówkarz i że go zabito. Okazało się, że zwłoki taksówkarza, z którym jeździła prostytutka, znaleziono dwa dni później w dzielnicy Gdańsk-Stogi. Na totalnym odludziu. Jego samochód stał zaparkowa-

ny przy Dworcu Głównym. I w tym momencie zaczęliśmy szukać akt tego zabójstwa. Znaleźliśmy, mimo powodzi roku 2000 i przemian kadrowo-organizacyjnych. Sprawca nie został wykryty. Obie sprawy połączyliśmy. Co ciekawe – z ówczesnej Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej został do Gdańska przysłany koordynator w randze pułkownika. Gdyby ktoś wówczas te sprawy przeczytał i łącznie poprowadził, toby się dowiedział, że zmiennik tego zamordowanego taksówkarza miał długi karciane i poważne problemy z pieniędzmi. A po zabójstwie złapał finansowy wiatr. Rozwinął się. Sprawnie funkcjonował. Wcześniej był prawdopodobnie milicjantem albo ubekiem. Zamordowani dysponowali ogromnymi sumami pieniędzy. Lata siedemdziesiąte, dewizowi klienci. Zabił ich dla kasy, a potem został ochroniarzem w dawnym Domu Turysty – Miramarze.

Analitik (imię i nazwisko zachowam w tajemnicy), nim prześledzi akta zabójstwa Marcina Skotarka, będzie pracowała jako... naczelnik urzędu pocztowego.

– Jej fenomen polega na ogromnym zainteresowaniu sprawami kryminalnymi. – Szelański puchnie z dumy. – Mieliśmy wobec przyszłych analytików standard wymagań: obsługa worda, excela, bo baza danych, obróbka informacji bilingowych, bts-ów [logowań telefonów komórkowych do stacji bazowych – I.M.], przepływów pieniężnych, czyli musieli mieć ogólne rozeznanie w systemach informatycznych. W zespole znalazł się również były funkcjonariusz policji (potem CBS-u), ale z doświadczeniem. Jego wiedza kryminalna i procesowa jest bezcenna. W sprawie Trojaka wizja lokalna (widziałem ją) została wykonana niezgodnie ze wszystkimi wskazaniem sztuki.

Ekspertyza biegłych z Instytutu Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie, którą zleca prokuratura, nie pozostawia też żadnych wątpliwości: obu zabójstw dokonała ta

sama osoba.

10 sierpnia 2012 Prokurator Okręgowy w Gdańsku, V Wydział Śledczy, podejmuje na nowo umorzone wcześniej postępowanie. I powierza śledztwo Komendzie Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Do akcji wkracza policyjne Archiwum X.

– Co myśmy musieli się nagimnastykować, żeby ten nieistniejący nóż wprowadzić z powrotem do procesu i udowodnić, że to był nóż, którym Trojak zabił chłopca! – Paweł Mrozowski łapie się za swoją gładko ogoloną głowę. – Nóż był dość charakterystyczny. Wykonany metodą chałupniczą i owinięty sznurkiem, żeby się nie rozleciał. Był też pobrudzony drobinami wapna. Powiększyliśmy zdjęcia tego noża, przesłuchaliśmy wszystkich policjantów, którzy mieli z nim do czynienia: jak wyglądał, czy było w nim coś charakterystycznego. I jeden z policjantów powiedział właśnie o tych białych drobinach. Trojak zaś mówił, czym owijał ten nóż. Że to była linka z tarasu. Po 6 latach od wyroku za zabójstwo jednego z dzieci pojechaliśmy do Trojaków z nakazem przeszukania, wydanym przez prokuratora, żeby zabezpieczyć tę linkę. I ona tam wciąż wisiała! Jacek wspiął się na trzecie piętro tego zabytkowego wiatraka i znalazł jakieś stare papierzyska, owinięte taką samą linką. Biegły rozpierdolił ten sznurek na atomy i powiedział, że jest identyczny z tym na nożu. Tyle gównianej, a zarazem świetnej roboty. Tylko po co? Gdyby był nóż, nie byłoby tyłu problemów. Temat tego noża to jeden z przejawów geniuszu w prowadzeniu postępowań, wydawałoby się, beznadziejnych.

Jacek Gilewski doskonale zapamiętał tamtą wizytę u Trojaków:

– Mieliśmy nakaz, ale skończyło się na interwencji policjantów z Tczewa, bo matka Trojaka zaatakowała nas, że uprawiamy samowolę. Dzwoniła przy mnie do dyżurnego w Tczewie:

„Nie wiem, kto to jest, jakieś przeszukanie robią!”. Tymczasem doskonale nas znała, a mnie szczególnie, bo przecież byłem u niej w domu kilka razy. Mówiła mi na okrągło, że uparłem się na jej syna.

Policjanci po kolei rozmawiają także ze współwięźniami, którzy siedzieli z Trojakiem w jednej celi. A Trojak zmieniał je bardzo często.

Jarosław M.: – Jak pierwszego dnia przyprowadzili mi go na celę, to stanął twarzą do ściany i tak stał przez jakieś 20 minut. Spał z rysunkiem pentagramu pod poduszką. Po spotkaniu z adwokatem wrócił w lepszym humorze. Adwokat zabronił mu rozmawiania z kimkolwiek o sprawie i kazał nie przyznawać się do tego zabójstwa.

Z Marcinem B. rozmawia Paweł Mrozowski: – Wiele opowiadał o wyjściu z ciała, praktykach „cthulhu”. Był zaczytany w książce *Zew Cthulhu* Lovecrafta, miał jobla na punkcie ezoteryki – relacjonuje więzień. – Opowiadał, że coś go nawiedza w nocy. Pokazywał nam biblię satanistyczną, mówiąc, że nie jest stworzony do wyższych uczuć.

Policjanci idą tropem błędów popełnionych przez poprzedników. Przesłuchują wszystkich świadków, w tym dawnych kolegów Trojaka. Jeden z nich powie, że owszem, prokurator przesłuchiwała go, ale nie pokazała mu portretu pamięciowego zabójcy. Pokazują mu więc policjanci z Archiwum X.

– To Thorgal – bez wahania mówi Michał D., nauczyciel. Poznali się w 2000 roku na koncercie Metalmania w Katowicach. Raz był u Trojaka na imprezie w tczewskim wiatraku. – Jestem w Szoku, że taka łajza mogła zrobić coś takiego. Prokurator z Malborka pytała mnie tylko, czy mieszkam w Tczewie, mam rower i czy na nim jeżdżę. Gdyby pokazała mi portret, od razu bym go rozpoznał.

Paweł Mrozowski jest wściekły. – Gdyby złapali go wcześniej, drugi dzieciak by żył. Jestem związany z subkulturą, z którą był leż związany Trojak. Mam paru znajomych w Tczewie. Mogłem go nawet kiedyś spotkać. Miasto ma 60 tysięcy mieszkańców, subkultura metalowców to jakieś 100–150 osób. Nie można było pójść z portretem pamięciowym po Tczewie, zapytać ich z piętnastu, kto to jest? Trojak to patologia umysłu. Jak czytałem jego wyjaśnienia, to mi się nóż, kurwa, w kieszeni otwierał. Nigdy się tak nie czułem po lekturze akt. Widziałem już w życiu wiele trupów, byłem na sekcjach, oględzinach zwłok, jednak widok tych akt mną wstrząsnął.

Akta sprawy mają osiemnaście tomów. Do zabójstwa Sebastiana Talarka włączono część akt dotyczących śmierci Marcina Skotarka. Kiedy zwróciłam się do przewodniczącego gdańskiego Sądu Okręgowego z prośbą o wgląd, odpowiedź przyszła dość szybko. Zgoda na wgląd była. Na kopiowanie – nie. Godzinami siedziałam w sądowej czytelni. Od notowania odpadała mi ręka. W końcu poddałam się i poszłam do wiceprezes SSO Marleny Kasprzyk, która podpisała się pod brakiem zgody na kopiowanie. Sekretarka nie wpuściła mnie do gabinetu.

– Proszę pani – mówię do niej – proszę przekonać panią prezes, że ja pracuję nad książką, a sprawa jest szalenie trudna, i bardzo mi zależy, żeby ją rzetelnie opisać. Zdjęcia, które zrobię, będą jak dyktafon: tylko dla mnie. Będą moją pamięcią szczegółową, który tutaj jest tak ważny. Nic z tego.

12 września 2012 roku Piotr Trojak przyznaje w końcu, że jednak zabił Marcina Skotarka: „Powodem tego, że chcę złożyć wyjaśnienia, jest chęć skrócenia cierpienia rodziny ofiary. Nie wiem, czemu to zrobiłem. Przepraszam. Bardzo tego żałuję”.

Dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, 23 grudnia, wpływa przeciwko niemu do Sądu Okręgowego w Gdańsku akt oskarże-

nia. Prokurator Alina Wojdyr z tutejszej Prokuratury Okręgowej organizuje spotkanie rodziców chłopca z policjantami z Archiwum X.

– Takie kurtuazyjne – zapamięta Paweł. – Że wreszcie teraz będzie definitywny koniec tej sprawy. Matka się jakoś trzymała, ale ojciec – dramat. Płakał. Nie mógł się wypowiedzieć. O czym my, policjanci, mieliśmy z tymi ludźmi rozmawiać? Podziękowali nam. Odparliśmy, że nie ma za co.

Spotkałem tego tatę jeszcze raz, po ogłoszeniu wyroku, i on, ocierając łzy i zaciągając się papierosem, powiedział: jakby mi go dali, tobym go zabił.

– Siedziałem bardzo blisko niego na sali sądowej – mówi ojciec Marcina i głos na powrót zaczyna mu wibrować. – Obojętny był. Jak go wyprowadzali z sali, to go zwyzywałem. Nie wytrzymałem. Żona mnie uspokajała. Cierpieliśmy po raz kolejny, do końca tej sprawy, jak się okazało, że to jednak on zabił. Własny ojciec się przez niego powiesił. Pochodził stąd, ze Starej Wisły. Z moim tatą i mamą się znali.

*

Ojciec drugiego zamordowanego chłopca patrzy na mnie w milczeniu. Dwadzieścia osiem razy sędzia wypraszała go z sali, bo chciał, żeby mu Trojaka przywieźli do szopki. Uciąłby łeb. A za bójca, podobnie jak jego adwokat, siedział z uśmiechem na twarzy.

W końcu Bogdan Talarek się odzywa:

– Nie czułem żadnej satysfakcji, jak go skazali. Powinni przywrócić kaes [karę śmierci – I.M.]. Krzesło albo stryczek. Ojciec tego gnoja pracował w tym samym miejscu, skąd ja brałem materiały budowlane. W tartaku w Ulkowych (na trasie między Gdańskiem a Tczewem). Był tam brygadzysta. Poszedłem do

jego szefa i powiedziałem, że to tak samo pedał, jak jego syn. Najpierw śniadania z nim nie jedli, a potem się powiesił. Sprawiedliwość przez sznurek obrał sobie sam.

Mateusz, brat Sebastiana, dorzuca szybko: – Karma wraca.

20 stycznia 2014 Trojak dostaje dożywocie. Jego adwokat apeluje o złagodzenie kary, bo przecież przyznał się do zabójstwa Marcina Skotarka i okazał skruchę. Powołuje się też na to, że za ten sam czyn sąd skazał Tomasza Kułaczewskiego na 15 lat.

Sąd jednak pozostaje nieugięty. Siedemnaście ran nożem, zadanych dziecku, nie stanowi żadnej okoliczności łagodzącej.

– Ta sprawa to nie są dwie, lecz trzy tragedie. Rodzin zamordowanych chłopców i Tomasza Kułaczewskiego, ofiary policyjnych i prokuratorskich błędów. – Paweł Mrozowski nie ma najmniejszych wątpliwości. – Byłem na ogłoszeniu wyroku dla Trojaka i bardzo się cieszyłem, że sąd w obecności wielu kamer przyznał, że ta sprawa jest porażką wymiaru sprawiedliwości.

Adwokat rodziny Skotarków, mecenas Magdalena Urbanowicz, powie potem do tych kamer, że rodzice zostali pozbawieni prawa do przeżywania żałoby. Podkreśli, że doznali traumatycznych przeżyć nie tylko wskutek nieoczekiwanej, nagłej i bestialskiej śmierci ich dziecka, lecz także z powodu długotrwałej procedury zmierzającej do ukarania osoby, która rzeczywiście zawiła śmierci ich syna.

Odnalazłam prokurator Mariolę Bartkowiak, odpowiedzialną za dochodzenie w sprawie obu zabójstw Piotra Trojaka. Okazuje się, że wciąż pracuje w tej samej prokuraturze, w Malborku, gdzie zaczęła pracę już w 1983 roku. Jest lipiec 2016. Piszę do jej zwierzchnika, prokuratora Piotra Wojciechowskiego, zarzucając go gradem pytań. Między innymi o to, czy wobec tak

rażących błędów prokuratora zostały wyciągnięte jakiegokolwiek konsekwencje dyscyplinarne.

Bartkowiak – odpisuje mi jej szef – jest na urlopie. Muszę czekać.

„W przypadku pytań adresowanych do mnie, informuję, że funkcję prokuratora rejonowego w Malborku pełnię od kwietnia 2014. Nie posiadam zatem pełnej wiedzy o ewentualnej karze dyscyplinarnej zastosowanej wobec prokurator Marioli Bartkowiak, związanej ze sposobem prowadzenia tamtego postępowania. Kary te ulegają bowiem zatarciu. Niemniej nie jest mi znany fakt ukarania prokurator karą dyscyplinarną. Sposób i jakość pracy prokurator Bartkowiak mogę ocenić wyłącznie od momentu, gdy zostałem jej bezpośrednim przełożonym. W tym okresie nie stwierdziłem istotnych uchybień w prowadzeniu postępowania”.

Sama prokurator Bartkowiak odpisuje po powrocie z urlopu. Jest sierpień 2016.

Jedno z moich pytań brzmi: „Dlaczego podczas postępowania przygotowawczego nie okazała pani świadkom z Tczewa portretu pamięciowego sprawcy? Świadek Michał D. zeznał, że prokurator z Malborka »pytała tylko, czy mieszkam w Tczewie, tylko czy mam rower i na nim jeżdżę. Nie pokazała mi portretu pamięciowego«. Gdyby pani to zrobiła – świadek rozpoznałby na nim Piotra Trojaka. Niestety, niesłusznie skazano później innego człowieka – Tomasza Kułaczewskiego (przesiedział w więzieniu 4 lata). I w ten sposób zginęło kolejne dziecko”.

„W toku śledztwa – pisze prokuratora – w sprawie zabójstwa Marcina Skotarka policja posiadała portret pamięciowy ewentualnego świadka zdarzenia. Wówczas, z uwagi na zebrany w sprawie materiał dowodowy, który uprawdopodobniał w bardzo dużym stopniu sprawstwo podejrzanego, nie okazano

świadkowi Michałowi D. portretu pamięciowego, był on bowiem przesłuchiwany w charakterze świadka na inne okoliczności. Nie pamiętam jednak szczegółów przesłuchania. W trakcie eksperymentu procesowego wersja podawana przez podejrzanego niewiele odbiegała od zgromadzonego wcześniej materiału dowodowego poza liczbą ciosów zadanych pokrzywdzonemu. Również miejsce odrzucenia noża niewiele odbiegało od miejsca jego ujawnienia. Przy ocenie dowodu z eksperymentu należy mieć na uwadze, że do zdarzenia doszło w otwartym polu. Wersja, że sprawcą zabójstwa Marcina Skotarka jest osoba, której przedstawiono zarzuty, miała uzasadnienie w zbranym materiale dowodowym*. Należy pamiętać, że oskarżony przyznał się do zarzucanego mu przestępstwa. Tomasz Kułaczewski nie kwestionował swojego udziału w zdarzeniu, wskazywał jednakże, iż zadał pokrzywdzonemu jedynie trzy uderzenia nożem. Wersję taką prezentował także przed Sądem Okręgowym w Gdańsku jak i Sądem Apelacyjnym w Gdańsku jako sądem II instancji. Zarówno w toku postępowania przygotowawczego, jak i sądowego nie zakwestionował on swojej winy. Ponadto, poza przyznaniem się przez podejrzanego do zarzucanego mu przestępstwa, poddano badaniom osmologicznym zabezpieczony nóż. Z treści opinii jednoznacznie wynikało, iż ślady zapachowe ujawnione na nożu pochodziły od podejrzanego. Przesłuchano również świadka, który potwierdził, iż owym nożem od dłuższego czasu posługiwał się właśnie podejrzany.

Postępowanie przygotowawcze w tej sprawie było objęte stałym nadzorem Prokuratury Okręgowej w Gdańsku oraz pośrednio Sądu Okręgowego w Gdańsku, który kilkakrotnie wydawał postanowienia o przedłużeniu tymczasowego aresztowania Tomasza Kułaczewskiego. Na żadnym etapie postępowania nie dopatrzono się uchybień w jego nadzorowaniu. Wgląd do akt

miął również obrońca oskarżonego, który został ustanowiony od razu na początku śledztwa. Żaden z organów, jak i uczestników postępowania, nie kwestionował winy oskarżonego. Postępowanie przygotowawcze, nadzorowane przeze mnie, było przedmiotem kontroli w trakcie prowadzonego postępowania, chociażby podczas rozpoznawania przez Sąd Okręgowy moich wniosków o przedłużenie czasu trwania tymczasowego aresztowania wobec podejrzanego. Kontrola sądowa miała miejsce przede wszystkim po skierowaniu aktu oskarżenia do sądu. Kontrola ta odbyła się w dwóch instancjach. Po opuszczeniu przez Tomasza Kułaczewskiego zakładu karnego, w związku z jego informacjami, że podczas prowadzonego śledztwa był wywierany niedozwolony wpływ na treść jego wyjaśnień, prowadzone było postępowanie przygotowawcze dotyczące przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy publicznych. Postępowanie to obejmowało również moją osobę. Zostało ono zakończone wydaniem postanowienia o umorzeniu śledztwa”.

Na wiele pytań jednak nie dostaję odpowiedzi. Niepokoi mnie też zwrot prokuratorce, że wersja wydarzeń przedstawionych przez Kułaczewskiego niewiele odbiegała od zgromadzonego przez nią materiału dowodowego. Wysłałam więc swoje wątpliwości jeszcze raz:

„Sąd gdański, odczytując wyrok faktycznemu zabójcy Marcina Skotarka, sam przyznał, że popełnił skandaliczny błąd. Słyszało to wielu ludzi. Czy pani wiedziała, że Tomasz Kułaczewski jest osobą upośledzoną umysłowo? Że miał alibi, które dała mu matka i jeszcze jeden ze świadków? Oboje przyznali, że Kułaczewski w momencie, gdy doszło do zabójstwa, rozbierał na części pierwsze stary telewizor w szopie pod domem. Prowadzenie postępowania wyglądało na szukanie dowodów na podejrzanego, a nie dowodów w sprawie – sama pani zacytowała

mi wyłącznie informacje, że ktoś zeznał, jakoby Kułaczewski miał taki sam nóż.

Poza tym nie miała Pani żadnych dowodów: ani śladów krwi dziecka na ubraniach Kułaczewskiego (a bardzo było tej krwi dużo), ani odcisków palców. Ślad zapachowy można zamataczyć. Jak zrobiono w tym wypadku, zmuszając człowieka do przyznania się do winy. Skoro poza zapachem nie miała pani nic – nie nabrała pani wątpliwości tak zwyczajnie, po ludzku?

Nie odpowiedziała mi Pani na żadne pytanie dotyczące problemu wątpliwości: miała je Pani czy nie? Zabójca, uśpiony na 3 lata, ponownie zabił dziecko. Naprawdę nie widzi Pani własnych błędów? Sąd przeprosił za błędy, prokurator nie musi?”

Ale odpowiedź na żadne z tych pytań nie nadeszła. Prokuratorka odpisała jedynie, że nie posiada obecnie dostępu do akt sprawy, dlatego nie może podjąć polemiki z moimi twierdzeniami.



W sprawie Trojaka powołano łącznie 22 biegłych, 156 świadków i kilkudziesięciu innych specjalistów, którzy wykonali niemal dwieście opinii: kryminalistycznych, z zakresu medycyny sądowej, badań osmologicznych, psychiatrycznych, psychologicznych, genetyki sądowej, informatyki śledczej czy badań chemicznych.

Nikt jednak nie otoczył psychologiczną opieką rodzin zamordowanych dzieci.

Tomasz Kułaczewski za swoją krzywdę dostał odszkodowanie od Skarbu Państwa, za które matka kupiła maleńkie mieszkanie w S., tymim miasteczku, dokąd wyprowadziła się z synem.

Krzysztof Skotarek przytula się do portretu syna.

– Talarkowie zadzwonili do nas, chcieli wnieść sprawę o odszkodowanie. My wnieśliśmy pozew cywilny. Ubiegamy się o pieniądze od Skarbu Państwa. 250 tysięcy za uczynioną krzywdę. Żebyśmy mieli na leczenie córki.

Bogdan Talarek: – Czasem powiem do wnuka „Sebastian”, że aż gorzko się w gębie robi. Gdyby ten gnój umarł, w stu procentach ulżyłoby mi na sercu.

Ojciec Piotra Trojaka powiesił się w swoim domu na krześle. Matka tygodniami nie wychodziła z domu. W końcu umarła, a wiatrak przeszedł w spadku na własność rodzeństwa Trojaka – brata i siostry. Oboje mieszkają w Niemczech. Niedawno rodzeństwo zaproponowało miastu sprzedaż zabytkowego wiatraka za milion złotych.



Dwa lata przed powstaniem gdańskiej komórki „archiwistów”, w 2005 roku. Archiwum X przenika też do Katowic. W województwie śląskim rocznie policjanci pracują nad około 140 zabójstwami, gdzie wstępnie nie wiadomo, kto jest sprawcą. W lokalnej prasie już w październiku 2005 pojawia się ogłoszenie tej treści: „Dzisiaj uruchomiony został specjalny numer telefonu zespołu Wydziału Kryminalnego KWP w Katowicach, zwanego popularnie »Archiwum X«. Funkcjonariusze tam pracujący zajmować się będą niewykrytymi do tej pory najcięższymi kategoriami przestępstw – głównie zabójstwami. Każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje na temat interesujący policjantów, może zadzwonić...” – i tu padają numery telefonów.

– Widzieliśmy więcej trupów niż inni mają skarpetek – po-

wie mi stary policjant Andrzej Michałowicz (zbieżność naszych nazwisk przypadkowa, choć z czasem będzie mnie traktował po ojcowsku). Gdy rozmawiamy, ma 66 lat, z czego ponad trzydzieści spędzonych w policji. Dość długo pracował na stanowisku kierownika wydziału kryminalnego wojewódzkiej komendy. Wysoki, żyłasty, uśmiechnięty. – Te najczęściej wykrywane zabójstwa to „nielegalny ubój” (zabójstwo w rodzinie – I.M.) – mówi, zaciągając się głęboko papierosem. – Najdalej sięga krewnych. Niewykryte zabójstwa najczęściej mają tło rabunkowe, seksualne albo zostały popełnione z zazdrości. Czasem akta się już rozpadają, ale jaka to satysfakcja, że się gnoja złapie po tylu latach!

Policjant ma na myśli między innymi sprawę zabójstwa zamężnej emerytowanej wdowy po chorzowskim ginekologu - Kazimierzy Wowczak. Śledczy śląskiego Archiwum X cofnęli się 25 lat, do roku 1980, kiedy to w październiku nieznaną sprawca skrepiował ją przewodem elektrycznym, zakneblował i ograbił.

Wowczakowie byli zamożni. Kobieta miała sporo pieniędzy i biżuterii. Wszystko zniknęło, a ją uduszoną znaleźli w mieszkaniu znajomi. Komenda Miejska Milicji Obywatelskiej wytypowała wtedy Krzysztofa Sz., ksywka Kwadrat, 23-latkę z Bielska-Białej. Ale wówczas nie dysponowano taką techniką, jak chociażby badania DNA, dlatego nie było dowodów. Gangster uniknął kary. Z czasem dorobił się bogatej „legendy” (lak policjanci w swoim żargonie nazywają życiorys przestępcy). Stał się zamożnym bielskim biznesmenem, znanym w tamtejszym półświatku. Jego „żołnierzem” w pewnej chwili był zawodowy zabójca Ryszard N., pseudonim Rzeźnik, którego wynajął, by zabić jednego z bielskich przedsiębiorców.

Groził też adwokatowi, Markowi B., który nim zmarł, zdążył zeznać przed sądem, że Sz. groził mu bronią. „Ciesz się chuju, że

nie ma ze mną Rzeźnika, bo byś flaki za sobą po chodniku ciągnął” – machał mecenasowi giwerą przed nosem.

Centralne Biuro Śledcze, powołane w 2000 roku i rozpracowujące mafijne gangi lat dziewięćdziesiątych, doszło do wniosku, że majątek gangstera Sz. nie wziął się z kosmosu, tylko najprawdopodobniej z obrabowania emerytki. W 2007 roku sąd skazał go na 11 lat więzienia za groźby i usiłowanie zabójstwa. W tym samym roku po wznowieniu postępowania ponownie ruszyło śledztwo w sprawie morderstwa Kazimierzy Wowczak. Policjanci przetrząsnęli wszystkie możliwe akta w komendach miejskich i rejonowych śląskiego okręgu, wszędzie tam, gdzie pojawiało się nazwisko podbeskidzkiego bossa. Co gorsza – akta zabójstwa żony ginekologa w niejasnych okolicznościach zmielono niczym bazę pod papier toaletowy. Śledczy odtwarzali je na podstawie zapisków i wpisów do repertoriów. Od nowa przesłuchiwali świadków.

Andrzej Michalewicz: – Prawie połowa z nich już nie żyła, ale uparliśmy się.

Po wielu miesiącach harówki udało im się dotrzeć do mieszkającego w Bielsku-Białej niejakiego Henryka C. A ten przyznał, że w 1980 roku okradł wdowę po ginekologu, a do mieszkania wszedł ubrany w mundur listonosza z fikcyjnym telegramem w rękę. Miał współnika. – To on ją zabił – powiedział C. policjantom. – Owinął jej głowę bandażem tak, że się udusiła.

Sz. dostał 15 lat za tak zwane zabójstwo z zamiarem ewentualnym (sprawca nie atakuje, by zabić, ale wie, że jego działanie może zakończyć się śmiercią ofiary). Miał wyjść pod koniec 2017 roku, jednak opolski sąd w 2012 roku wypuścił go warunkowo po 10 latach odsiadki mimo negatywnej opinii dyrektora Zakładu Karnego nr 1 w Strzelcach Opolskich, gdzie przestępca odsiadywał wyrok.

Byłam ciekawa opinii dyrektora, napisałam więc mejła do rzecznika prasowego Służby Więziennej:

„W 2012 roku dyrektor ZK nr 1 w Strzelcach Opolskich wystawił negatywną opinię jednemu z osadzonych – Krzysztofowi Sz., pseudonim Kwadrat (Sz. to dość znany podbeskidzki przestępca). Mimo tego opolski sąd zwolnił go warunkowo, tak że sprawca zabójstwa oraz kilku innych karalnych czynów, w tym zlecenia zabójstwa, wyszedł na wolność w 2012 roku, a powinien pod koniec grudnia bieżącego roku. Chciałabym dokładnie poznać treść tej opinii”.

Ale rzeczniczka, Elżbieta Krakowska, po zacytowaniu mi kilku przepisów ustawy o ochronie danych osobowych, odmawia współpracy.

Rozdział szósty

ZAPACH OJCA

Rok 2007. Media informują, że Biuro Wywiadu Komendy Głównej Policji po analizie akt stawia tezę, jakoby Piotr Jaroszewicz i jego żona Alicja zginęli, ho premier wszedł w posiadanie niemieckich materiałów z okresu II wojny światowej, kompromitujących polityków różnych krajów. Sprawa długie lata zalegała wśród niewyjaśnionych zbrodni jako umorzona. Ciągnęła się 8 lat. Wyrok uniewinniający czwórkę podejrzanych zapadł w 2000 roku.

Od 2016 roku w strukturach Komendy Głównej Policji funkcjonuje Biuro Wywiadu i Informacji Kryminalnych. Po kolejnym sukcesie krakowskiego Archiwum X, rok później, w maju 2017, minister spraw wewnętrznych Mariusz Błaszczak powie mediom: „Chcemy stworzyć komórki do spraw niewykrytych we wszystkich komendach wojewódzkich, chcemy je rozbudować, chcemy je wzmocnić i chcemy zamknąć tę strukturę organizacyjną wydziałem, który powstanie w Komendzie Głównej Policji”.

Ale to na razie pieśń przyszłości. W strukturach KGP nie było do tej pory wydzielonej komórki Archiwum X, dlatego jej zadanie przejmowało w przypadku niektórych spraw właśnie Biuro Wywiadu.

Akta sprawy Jaroszewiczów to 27 opasłych tomów. Kiedy zwracam się z prośbą o wgląd, tak zwany Oddział Bezpieczeństwa w Sądzie Okręgowym w Warszawie potrzebuje dwóch tygodni na wyrażenie zgody, żebym je mogła przejrzeć. Następnie informuje mnie, że najpierw mam akta obejrzeć, a jeśli chcę zrobić fotokopie, to muszę zwrócić się z osobnym wnioskiem, wypisując numery stron akt, które będą chciała sfotografować. Spędzam w sądzie ponad miesiąc. W trakcie kopiowania pilnuje mnie ochroniarz i sprawdza, czy faktycznie robię zdjęcia stron, o które wnioskowałam.

Po wnikliwym zapoznaniu się z aktami dochodzę do wniosku, że do tej pory nie czytał ich w całości żaden dziennikarz opisujący sprawę Jaroszewiczów. W polskich mediach pojawiło się tak wiele spekulacji, półprawd i nieprawd, że aby wszystko to wyprostować, oddać głos dokumentom, niezującym już świadkom oraz tym, którym wciąż jeszcze sprawa zabójstwa polskiego premiera i jego żony nie daje spokoju, trzeba tę historię opowiedzieć na nowo.



Mężczyzna pochylił się nad furtką. Włożył klucz do zamka, przekreślił. Otwierała się ciężko, odkąd przestała pasować do ogrodzenia. Posesję od ulicy dzieliły metalowe przesła. Połączone wewnątrz drutem tworzącym siatkę, były osadzone na podmurówce wysokości około 30 centymetrów, zrobionej z ciosanego

kamienia.

Spojrzał na dom. W salonie na parterze paliło się światło, ale ganek spowijał mrok. To go zaniepokoiło. Rodzice zawsze zostawiali tu lampkę na całą noc. A było dwadzieścia minut po północy.

Drzwi wejściowych strzegł japoński magnetyczny zamek typu Miwa. Niemożliwy do odtworzenia, jeśli ktoś nie ma duplikatu klucza. A klucze mieli tylko matka, ojciec, no i on – Jan.

Wąsy, okulary, dołek w brodzie, nadwaga. Z wyglądu emerytowany sprzedawca ubezpieczeń. Podobny do matki z okrągłej twarzy i niedużego, zgrabnego nosa.

Gdy włożył klucz do zamka, okazało się, że drzwi są otwarte.

Wszedł więc przez hall do salonu i zeszytniał. Na podłodze wyłożonej parkietem leżał obrus poplamiony krwią. Czuć było intensywny słodkawy, duszący zapach. Jakby w powietrzu rozpuściła się cukrowa wata.

Strach pchnął go na schody, oświetlone słabym światłem kinkietów. Stamtąd usłyszał skowyt psa. Zwierzę było zamknięte w korytarzu, przed sypialnią matki. Otworzył drzwi. Pusto. Popiskiwał tylko olbrzymi czarny sznaucer. Miał częściowy paraliż tylnych łap i kiedy szedł, zad ciągnął się za nim jak zepsuta zabawka.

Jan zawrócił pędem do gabinetu ojca. Ciemno. Zapalił światło. Ojciec siedział w fotelu obitym jasnoszarą tkaniną. Prawa noga siedziska stała oparta na płaskiej brązowej walizce. co sprawiało, że mężczyzna był lekko odchyłony do tyłu. Miał na sobie rozpiętą białą koszulę w błękitno-szarą kratę, granatowe spodnie, podtrzymane paskiem, bordowe skarpety w jasne plamki, na jednej stopie szary pantofel. Druga stopa opierała się o podłogę boso. Lewa ręka, w przegubie przywiązana do fotela

czarnym paskiem, leżała beładnie na oparciu. Prawa na drugim oparciu spoczywała swobodnie. Głowa owinięta bandażem szukała ratunku przez szeroko otwarte usta. Spod bandaża cienkimi strużkami po policzku spływała krew, kończąc swoją drogę w okolicach mostka. Na szyi zadzierzgnięty był pasek, zahaczony z tyłu głowy o drewnianą góralską ciupagę, co tworzyło tak zwany krępulec: okręcanie ciupagi włożonej w pętlę na szyi musiało powodować zaciskanie tej pętli i powolne podduśzanie ofiary.

Syn patrzył na ojca w osłupieniu. Wiedział już, że nie żyje. Nie rozglądając się zbyt po pokoju, cicho wycofał się do sypialni matki. Łóżko było puste, a aparat telefoniczny rozbity. Matki nigdzie nie dostrzegł. Instynktownie nie dotykał niczego poza kłamką i włącznikami światła. Pies włókł się za nim jak cień. Jan odniósł wrażenie, że zwierzę czegoś się boi.

W nim samym narastał lęk. Taki lęk rodzi się w człowieku, który staje sam na sam ze śmiercią.

Jan zbiegł do kuchni, w której leżał kolejny rozbity telefon. Nie miał więc jak zadzwonić po policję. Pospieszenie wyszedł z domu, zamknął wejściowe drzwi, potem furtkę, wsiadł w samochód i pojechał na najbliższy komisariat. Wychodząc, musiał zostawić psa, który drapał w drzwi i jęczał. Droga na komisariat zajęła mu nie więcej niż trzy minuty.

W notatce urzędowej jeden z policjantów 2 września 1992 napisze:

„Do komisariatu około godziny 0.30 zgłosił się mężczyzna, który przedstawił się jako Jan Jerzy Jaroszewicz, „syn tego znanego Piotra Jaroszewicza”, i oświadczył, że jego ojciec nie żyje. Że został zamordowany. Został mieszkanie otwarte, ślady plądrowania, ojciec znajdował się w fotelu, a obok niego kałuża krwi. Matki, która powinna znajdować się w domu, nie znalazł.

Od razu przyjechał do mnie. Jaroszewicz był spokojny i nie wi-
dać było po nim śladów specjalnie dużego zdenerwowania. Po-
wiedziałem mu, żeby oczekiwał przybycia policji pod domem i
powiadomiłem oficera dyżurnego Komisariatu Rejonowego Po-
licji Praga-Południe”.

Telefon odebrał posterunkowy Robert Sienkiewicz z Zespo-
łu Wywiadowczego KRP Praga-Południe. Było piętnaście minut
do pierwszej w nocy. Policjanci dostają zgłoszenie, by razem z
oficerem dochodzeniowym i technikiem kryminalistyki poje-
chali na ulicę Zorzy 19 w podwarszawskim Aninie.

Podjeżdżają więc po cywilnemu, nieoznakowanym radiowo-
zem. Przed domem czeka na nich Jan Jaroszewicz. Posesję
oświetla jedynie poświata ulicznych lamp stojących przy chod-
niku. Jan wchodzi do budynku jako pierwszy i wyprowadza psa.
Sznauer obwąchuje policjantów. Ma założony kaganiec. Jan
mówi śledczym, że pies zachowuje się dziwnie i powłóczy tyl-
nymi łapami.

Wchodzą do domu. W holu dostrzegają przewrócony wazon
z kwiatami, choć nie ma rozlanej wody. W pokoju obok, na dy-
wanie i parkiecie, widnieją duże plamy krwi, częściowo przy-
kryte ręcznikami. Na jednym z nich odcisk butą. Oprócz wysu-
niętej z regalu szuflady i swetra, rzuconego na podłogę, nie ma
innych śladów plądrowania. Policjanci wchodzą na piętro. U
podnóża schodów krew zaznacza się gęsto kroplami. Na piętrze,
w pokoju, śledczy odnajdują zwłoki mężczyzny. Jeden z poli-
cjantów, Mirosław Janicki, zezna później, że nie chciał wchodzić
dalej, by nie zacierać śladów.

Wtedy Jan Jaroszewicz powiedział, że martwi się o matkę,
bo nigdzie nie mógł jej znaleźć. Powiedział, że zaglądał do każ-
dego pomieszczenia willi, ale matki nie ma. Jeden z policjantów
wskazał ręką na przymknięte drzwi:

– A tam pan był?

Nie. Nie był. Przecież to łazienka.

Policjant wszedł do łazienki i szybko się cofnął.

– Niech pan tam nie wchodzi – rzucił do Jana.

W łazience było ciemno. Najpierw zobaczyli jej zwłoki w świetle latarek.

Nie zdążyli nic powiedzieć, ale z twarzy śledczych Jan wyczytał, że matka nie żyje. Zaczął się trząść.

– Ma pan coś na uspokojenie? – spytał policjant, ale nie usłyszał odpowiedzi, bo Jan zasłabł.

Alicja Solska-Jaroszewicz leżała w łazience twarzą do ściany, z rękoma zaciągniętymi do tyłu.

Była związana w coś, co policjanci nazywają kocią kołyską: ręce do tyłu sznurkiem (mógłby służyć do wieszania bielizny), a od sznurka wokół rąk kolejny sznur pionowo, wzdłuż pleców, połączony ze skrępowanymi nogami. Na wieszakach ręczniki, damska letnia sukienka, którą zdążyła zdjąć tamtego wieczoru i zmienić na nocną koszulę w kolorze lilaróż.

Ciało leżało na podłodze łazienki między wanną a toaletką, na rozłożonej kolorowej poszewce, która oblekała koc. Pod to, co później zostało z głowy (kobieta miała odstrzelone pół czaszki), ktoś troskliwie podłożył jasiek w białej poszewce w kwiatki. Nie miała żadnych większych obrażeń czy śladów maltretowania. Oprawcy pozostali dla niej zatem bardziej łaskawi niż dla jej męża. Premier był męczony w sposób wręcz sadystyczny: korkociąg wkręcany między żebra, gaszono na nim papierosy, ktoś próbował też wyrwać mu język.

Tymczasem na serdecznym palcu lewej ręki Alicji wciąż błyszczał pierścień z wielkim ciemnozielonym oczkiem. Zaręczynowy szmaragd.

Pies tropiący Deptak z wydziału techniki kryminalistycznej Komendy Stołecznej Policji był w Aninie już o 1.15. Próbował podjąć ślad sprawców na miejscu zbrodni. Temperatura około 13 stopni Celsjusza (choć w dzień było bardzo ciepło). Silny wiatr. Na zewnątrz brak śladów. Rozmył je padający deszcz. W mieszkaniu policjanci dają psu do nawęszczenia krwawy odcisk podeszwy buta, znaleziony na ścierce w salonie na parterze. Ale pies śladu nie podejmuje. Jedynie po śladach krwi wychodzi do hallu.

W tym samym czasie dom ogląda też ściągnięty przez praski komisariat Dariusz Janas. Zajmował się wtedy zabójstwami w sekcji przeciwko życiu i zdrowiu Komendy Stołecznej Policji i często go „wypożyczano”. Szykował się już do spania, gdy w drzwiach jego mieszkania stanęło dwóch mundurowych:

– Co tym razem? – spytał.

– Jakiś bogaty bamber zabił żonę, a potem popełnił samobójstwo – odparł niczego nieświadomy policjant.

Kiedy Janas przyjechał na miejsce i wylegitymował stojącego przed domem Jana, zorientował się, że ofiarą jest Piotr Jaroszewicz, generał Wojska Polskiego i premier polskiego rządu w latach 1970–1980. Jedna z najważniejszych osób w państwie. Mimo że na emeryturze.

– To nie tak jak w amerykańskich filmach, że na miejscu zbrodni zaraz wszyscy zakładają folie na nogi i rękawiczki na ręce – opowiada mi Janas. Od tamtej pory minęło 25 lat, ale pamięć o tym wydarzeniu tkwi w nim do dziś. – Starłem się niczego nie dotykać, drzwi otwierałem barkiem, ale na schodach chyba nawet chwyciłem się poręczy. Wszedłem na górę. W fotelu siedział starszy człowiek. W życiu bym nie rozpoznał, że to Piotr Jaroszewicz. W łazience jego żona z rozplataną głową. Zszedłem na dół, wszystko nie trwało nawet dwóch minut.

Nie chcąc zatrzeć śladów, mogących mieć kluczowe znaczenie, policjanci przenieśli się na parter. Tam czekali na przybycie grupy operacyjnej z Komendy Stołecznej Policji oraz kierownictwa Komendy Rejonowej Policji Praga-Południe. Zauważyli jeszcze, że pomieszczenia nie nosiły śladów tak zwanego ślepego plądrowania. Jan Jaroszewicz stwierdził też, że sejf na parterze nie został otwarty, choć pancerna szafa w gabinecie premiera miała uchylone drzwi i ktoś ją ewidentnie wypatroszył.

Uwagę zwracały też rozbite aparaty telefoniczne (w całym domu były cztery), rozsypane na podłodze w kuchni przyprawy, wysunięte szuflady regałów i otwarte drzwiczki szafek. Wiele cennych przedmiotów, widocznych praktycznie na każdym kroku, nie wzbudziło zainteresowania sprawców. Choćby obrazy, w tym Jana Fałata, najwybitniejszego polskiego akwarelisty (dar od pracowników premiera na 65. urodziny), czy niezwykle cenna kolekcja banknotów. Choć do dziś w mediach wielokrotnie pojawia się informacja o picassach wiszących w domu Jaroszewiczów, obrazu Picassa, który premier dostał osobiście w prezencie od artysty, już nie było. Alicja Jaroszewicz na kilka tygodni przed śmiercią podarowała go synowi, Janowi.

Dom nie nosił też widocznych śladów włamania. Żadnych śladów wejścia. Nic.

I tu zaczęło się całe nieszczęście, które zdarza się w wypadku osób znanych. Najpierw przyjechał kierownik, wyższy rangą od zabezpieczającego miejsce zbrodni Janasa. Za nim jakiś naczelnik z Pragi-Południe. Następnie komendanci. Też stamtąd. Potem ludzie z Komendy Stołecznej, Głównej.

I tak przyjeżdżali gęsiego, jeden za drugim.

Janas z kierownikiem powiedzieli sobie: teraz to gówno zrobimy, trzeba przeczekać. Wtedy był chorążym (w policyjnej nomenklaturze aspirant). Nie mógł oficerowi starszemu od siebie

powiedzieć, żeby mu się nie plątał po miejscu zbrodni. Zrobili z niego „cicerone”: przyjeżdżali, wchodził z nimi na piętro, pokazywał, kiwali głowami i schodzili. I tak ze cztery kolejne grupy.

A czas, bardzo ważny przy zabezpieczaniu śladów, uciekał.

Janas miał świadomość, że policjanci zdeptują ślady. I nic (kinie w duchu do dziś) nie mógł zrobić. Dlatego później zaczęli od eliminowania tych naniesionych przez policjantów. Na dole było zimowe atrium, obok ślady krwi, i wszyscy chodzili tam zaglądać. Taka niezdrowa ciekawość ludzi, którzy chcą zobaczyć, jak mieszkał jeden z największych dygnitarzy PRL-u.

Pielgrzymki trwały od 1.00 w nocy do 7.00 rano.

W oczekiwaniu na ekipę śledczą Janas wypił w kuchni herbatę z Janem Jaroszewiczem. Pokazywał potem, by nie zdejmować śladów stamtąd, gdzie dotykali. Miał świadomość, że na pewno znajdą się odciski przypadkowo zostawione przez kogoś z policjantów.

Karol Suder, założyciel Archiwum X, powie mi po latach:

– 15 lat szukali właściciela niedopałka papierosa, A potem gość, który go zostawił, przyjechał do mnie na kontrolę. Był wtedy pułkownikiem, a ja jakimś szaraczkiem. Potem okazało się, że to był jego niedopałek.

Prokurator Piotr Frankowski (jeden z trzech, obok Artura Kassyka i Zbigniewa Goszczyńskiego, którzy prowadzili tę sprawę) zaczyna oględziny dopiero o 11.00 rano 2 września. Potrwać przez cały tydzień. W tym czasie popadający w ruinę przedwojenny dom z basenem, w którym kiedyś mieszkał poeta Julian Tuwim, będzie ściśle chroniony.

Poza małżeństwem Jaroszewiczów zamieszkiwało go mnóstwo antyków, kwiatów i książek. Na ścianach obrazy w złotych ramach, na meblach bibeloty. Rzeźbiony stoliczek o sze-

ściu nogach, na którym stał fikuśny pucharek z napisem „Nagroda wojewody legnickiego”, biała sekretera, gięte w drewnie footele czy szesnaście sztuk broni palnej, którą kolekcjonował premier: browning, dubeltówka, mannlicher z lunetą, mauzer, karabin myśliwski, pistolet maszynowy, sportowy rosyjski sztucer. Do każdej broni amunicja różnego kalibru.

Ale gęsto zakratowane okna sprawiały przygnębiające wrażenie. Kraty były tylko na parterze. Alicja Jaroszewicz nigdy nie pozwoliła na założenie ich na piętrze. Powtarzała: „Nie chcę się czuć jak w więzieniu”.

Policjanci robią oględziny wnętrza domu.

Sejf na parterze śledczy spryskują argentoratem – pylistym proszkiem o barwie srebra, który ma niezwykłą zdolność do przylegania tylko w miejscach pokrytych warstewką potu. To pozwala na zabezpieczenie linii papilarnych. Na drzwiach znajdują dwa odciski palców.

Ale sejf, który użytkowała Alicja Jaroszewicz, nie był przez sprawców otwierany. Klucz miał Jan. Otworzył. W środku trzy półki. Na górnej, w etui, srebrna biżuteria i małe pudełeczko z kamieniami koloru oliwkowego. Na środkowej wiśniowa kasetka z owalną broszką – wisiosem w środku z żółtego metalu (tak policjanci zawsze opisują złoto), szlifowany rubin, foliowa torebeczka, a w niej dziesięć kamieni różnej wielkości oraz kształtu (najprawdopodobniej między innymi brylanty).

Półka dolna – kasetka „z przedmiotami, które stanowią własność Jana Jaroszewicza. Odmówił on okazania zawartości” – taka informacja widnieje w policyjnej notatce.

Jan zamyka sejf i zatrzymuje klucz dla siebie.

W aktach sprawy, które będą przeglądała przez kilka miesięcy, ten fragment ktoś zakreślił na czerwono.

Po latach Andrzej Jaroszewicz, syn premiera i jego pierwszej żony – Oksany Stefurak, kierowca rajdowy i biznesmen, powie mi w kwietniu 2016 w wywiadzie dla Dużego Formatu „Gazety Wyborczej”, że prokurator pozwolił na otwarcie zaplombowanego już sejfu:

„Pierwszy protokół otwarcia jest z 3 września 1992 roku, po zabójstwie, a drugi z 16. I oba się różnią. Rzeczy są poprzekładane, leżą już na innych półkach, nie ma wiśniowej szkatułki i pudełka z „białymi kamieniami”. Jak można było w obliczu tak straszliwego morderstwa dwojga ludzi wpuścić kogoś do sejfu i nie kontrolować, co zabiera!”.

– Rodzina ma pretensje, że nie zajrzeliście do szkatułki od danej Janowi Jaroszewiczowi – zaczepiam z tematem Dariusza Janasa.

– A to czemu?

– Tam mógł być chociażby testament premiera, o którego istnieniu mówili świadkowie, nigdy nie odnaleziony.

– A to mnie nie interesuje. Ja jestem od przestępstwa, a nie od rodzinnych wojenek i testamentów. Jan Jaroszewicz powiedział, że sejf nie był otwierany i nic nie zginęło, więc nie miałem powodu, żeby to kwestionować.

Jak to faktycznie wyglądało, dowiem się od Mariana Dudy, emerytowanego już dziś policjanta, który przyjechał na miejsce zbrodni jeszcze w nocy z 31 sierpnia na 1 września. Był wtedy naczelnikiem wydziału dochodzeniowo-śledczego na Pradze-Południe. Wspólnie z technikiem kryminalistyki sfilmowali wszystkie pomieszczenia domu premiera od dołu do góry i z powrotem.

– Następnego dnia rano przyjechał niejaki prokurator Zbigniew Żelaźnicki, wówczas naczelnik Wydziału Postępowania

Przygotowawczych w Prokuraturze Wojewódzkiej, i przejął czynności [ten sam, który po latach nie zabezpieczył rzetelnie miejsca zabójstwa generała Marka Papyły – I.M.].

Około trzydziestu osób patrzyło na niego i Jana Jaroszewicza stojących przy sejfie. Chwilę rozmawiali tyłem do wszystkich, po czym Jan otworzył sejf.

Prokurator (do nas): „Jan powiedział mi, że w tym sejfie nie ma rzeczy wartościowych. Jest tylko podręczna kasetka z biżuterią jego żony”.

Jan pokazał kasetkę. A prokurator: „Mamy dowód na to, że sprawcy nie dostali się do sejfu, w związku z tym nie mogli tam też zostawić żadnych śladów. Na prośbę członka rodziny odstępuję więc od oględzin jego zawartości”.

*

Wróćmy do tamtej nocy.

Policjanci sprawdzają kuchnię. Przekładają foremki do babczek, sztućce, tłuczki, słoiki. Ale nie znajdują nic szczególnego. Na marmurowym blacie szafki stoi gliniany garnek z przegotowanym mlekiem. Obok pojemnik z goździkami, cukiernica, pojemniki z bazylią i lubczykiem, pieprz, cynamon, tłuczki do ziemniaków, słoik po kawie nesce, zapalniczka do gazu.

Szuflady szafek są lekko powysuwane do przodu, ale żadnych odcisków palców. W jednej z nich pieniądze – 63 300 starych złotych, ułożone nominałami, w kolejności od największego do najmniejszego.

Po co napastnicy otwierali kuchenne szafki, przecież nic w nich cennego nie było. Pozorowali plądrowanie?

Przyprawy (lubczyk, pieprz, bazylia), rozsypane są na powierzchni mniej więcej 130 na 70 centymetrów. W nich odcisnięta podeszwa buta. Technik najpierw fotografuje ślad, a po-

tem próbuje go odwzorować, używając maszyny elektrostatycznej. Niestety bez powodzenia.

Czy miejsce zbrodni Jaroszewiczów zostało przez kogoś wyreżyserowane?

Jeden z nielicznych w Polsce profilerów, Bogdan Lach, podpierając się swoim wieloletnim doświadczeniem, mówi, że wziął pod lupę ponad sto spraw:

– I mamy do czynienia z dokonywaniem inscenizacji na miejscu zdarzenia, czyli przedstawiania innego motywu niż rzeczywisty, który pierwotnie towarzyszył sprawcy. Bo ci nieustannie się uczą.

Dariusz Janas, który widział w tamtym czasie już wiele włamań, doszedł jednak do wniosku, że Jaroszewiczów odwiedzili zawodowi włamywacze:

– Rozsypanie przypraw to dla nich bardzo typowe działanie, bo jak policyjny pies wejdzie do kuchni i niuchnie takie przyprawy, nie będzie miał wężu i nie podejmie śladu.

Najbardziej splądrowany w całym domu był gabinet premiera.

Na podłodze leżały różne przedmioty: popękany portret Indiry Gandhi i kilka sztuk broni, przechowywanej normalnie w metalowej szafie. W głównej części szafy premier gromadził oznaczenia i inne rzeczy osobiste, o dużej, jak sam mówił rodzinie, wartości. Nigdy, wychodząc z pokoju, nie zostawiał jej otwartej, a klucze zawsze zabierał ze sobą. Trzymał tam też, w osobnej skrytce, różne kwoty pieniędzy. Jan Jaroszewicz stwierdza brak 3 tysięcy dolarów, które zdążył ojcu oddać jeszcze w lipcu.

W szufladach biurka premiera nic jednak nie zwraca uwagi policjantów: spasmobamat (tabletki przeciwlękowe na nerwice

i kamienie żółciowe), łyżeczki Gerlach do kawy, korkociągi (w jednym z nich korek po winie Romania), dziadek do orzechów. Na blacie perfumy Eau Arpege marki Lanvin.

Jaroszewicz bardzo dużo czytał i żywo interesował się polityką, niezależnie od opcji. Na półce stały więc książki Lecha Wałęsy *Droga do wolności*, Barbary Wachowicz *Ciebie jedną kocham*, Andrzeja Werblana *Stalinizm w Polsce*, Mieczysława Rakowskiego *Zanim stanę przed trybunałem* czy Zbigniewa Domarńczyka *100 dni Mazowieckiego*. Poza tym „Trybuna Ludu”, „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”. Wszystkie dzienniki z 31 sierpnia, dnia, w którym spotkała go śmierć. Obok leżała czerwona kapsułka mexitilu (leku na arytmie serca).

Oprawcy podawali premierowi leki? Katowali go i jednocześnie utrzymywali przy życiu?

Bandaż, który miał na głowie, też zakładała jakaś wprawna ręka.

Obok fotela, na którym siedział premier, leżała strzelba z lunetą.

Policjanci zauważyli, że perfekcyjna pani domu mogłaby się uczyć od generała porządku. Całą ścianę w pokoju zajmowała meblościanka na wymiar. Po otwarciu szaf oczom zdumionych śledczych ukazały się pudelka po butach, a na nich napisy: skarpety białe, skarpety długie, krótkie, czarne, koszule białe, kolorowe, krawaty, apaszki, chusteczki do nosa. W każdym z tych pudełek wszystko poukładane, tak jak to robi pierwszy rocznik wojska na swoich półkach. Co do milimetra. Równiuteńko. W hallu boazeria, od której odstawał niewielki rant, a na nim medale generała. Jeden przy drugim. I ani grama kurzu.

Zapamiętał to zwłaszcza Janas, który przeszukiwał szafy. Włożył rękę, żeby wyjąć pieczołowicie poskładane koszule i

sprawdzić, czy czegoś za nimi nie ma. A tu nagle, prosto na niego, wysuwa się pistolet. Margolin, mały kaliber, broń sportowa, popularna na strzelnicach i w klubach sportowych w Polsce. Skonstruowana w latach czterdziestych, celna, trwała i niezbyt droga. Margolin miał odwiedziony kurek i nabój wprowadzony do komory.

- Trochę mi serce stanęło - wspomina Janas. - Bo gdyby upadł lub wzięłbym go nieszczęśliwie, to mógłby wystrzelić. To typowe dla starego generała, który chciał być zabezpieczony. Sięga do szafki, broń jest na wysokości ramienia i wzroku. Goto-
wa do strzału.

Zdaniem Janasa Alicja Solska-Jaroszewicz zginęła przypadkiem. Jeden strzał.

Karabin, z którego ją zastrzelono, był najłżejszy. Hornet, dość charakterystyczny: bardzo mały kaliber, 6 milimetrów, a duży ładunek prochowy, jak w mauzerze. To znaczy, że mały pocisk bardzo szybko i daleko leci. Hornet jest bronią na ruchliwe zwierzaki, na przykład kozice, które trzeba szybko „chwycić”. Miała lunetę i delikatny spust, jak w broni sportowej. W momencie celowania nie należy więc trzymać palca na spuście, ale na kabłąku. Kiedy się strzela, momentalnie trzeba przełożyć palec z kabłąka na spust.

Janas (nie wychodząc z podziwu): - Świetnie zakonserwowana: nic nie grzechotało, pięknie chodziła. Kiedy sam ją oglądałem, byłem zaskoczony, że spust jest taki czuły. Nie wiedząc kiedy - nacisnąłem. I gdyby był w niej nabój, to wystrzeliłbym w parapet. A ja tylko podnosiłem lufę, żeby przez nią zobaczyć komin. Stąd wiem, że Solska mogła być pilnowana przez jednego ze sprawców i ten niechcący dotknął spustu. Musiał siedzieć na wannie i jej pilnować.

Ale nic nie wiadomo na pewno. Zwłoki oprócz policjantów i

prokuratora oglądają technik kryminalistyki, biegły z zakresu broni i balistyki oraz lekarz sądowy. Ten ostatni obojgu nacina uda, by sprawdzić temperaturę ciała. To pozwoli określić czas zgonu. Premier – 27 stopni, jego żona – 28. A to oznacza, że musieli zginąć mniej więcej trzydzieści godzin wcześniej. Gdy na potrzeby sprawy spadkowej adwokat rodziny Alicji Solskiej zwróci się do prokuratury z pytaniem, które z małżonków zginęło pierwsze, prokurator wojewódzki Piotr Frankowski odpowie (już w 1993 roku), że „materiał dowodowy nie daje podstaw do stwierdzenia kolejności śmierci”.

Oględziny domu wyglądają jak wielka inwentaryzacja. Śledczy opisują nawet budynek gospodarczy na posesji, garaż, szczapy drewna pocięte na opał, ułożone wzdłuż jego ściany. W części ogrodowej altankę porośniętą żywopłotem, zadbane rabatki, bujaną ławkę z baldachimem, stolik i przyciętą trawę. Notują, że cała posesja obrośnięta jest drzewami i krzewami trudnymi do przebycia. Zapisują też ślady wymiocin o różowo-czerwonym zabarwieniu na trawniku, między altanką a tarasem. To pies musiał zwrócić treść żołądka.

Jan Magdziak, weterynarz, który opiekował się psami Komendy Stołecznej Policji i zajmował tresurą, obejrzał sznaucera Jaroszewiczów. Niedowład tylnych łap sprawił, że pies mógł się jedynie czołgać. Dopiero po podaniu hydrokortyzonu Remus, lekko utykając na lewą łapę, wyszedł na spacer i bardzo długo oddawał mocz. W czasie badania weterynarz przyjął, że został zaatakowany dołą wcześniej. I nie była to trucizna, ponieważ pies by nie przeżył. Nie był to też gaz łzawiący, sądząc po badaniu reakcji spojówek. Ale niewykluczone, że zwierzę obezwładnił gaz paraliżujący albo prąd. Oba te środki nie pozostawiają po sobie żadnych śladów. Stan psa wskazywał na jego udział w walce, ale sznaucer nie miał widocznych skaleczeń.

11 września 1992 roku policja z udziałem prokuratora Artura Kassyka z Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie przeprowadza eksperyment w domu premiera. W ten sposób chce ustalić, jak sprawcy wtargnęli do środka, i odtworzyć ich przypuszczalny sposób działania.

Piotra Jaroszewicza „zagra” aspirant Zbigniew Jedejka, żonę premiera – komisarz Danuta Sokołowska. Trzej inni funkcjonariusze będą robili za sprawców. Policjanci użyją atrapy długiej broni palnej, sznurka, paska, góralskiej ciupagi i tych samych krzesel, na których siedziała ofiara.

Eksperyment rozpoczęto od odtworzenia sposobu, w jaki sprawcy zaatakowali premiera. Spec od medycyny sądowej i biologii uznał, że Jaroszewicza zaatakowano, gdy stał w pokoju telewizyjnym, na parterze willi, zadając mu silny cios w brzuch. Równie dobrze mógł siedzieć i oglądać jakiś film. Zawsze późno chodził spać, a w tamten ostatni, sierpniowy wieczór miał do wyboru wywiad z prezydentem Lechem Wałęsą, *Requiem wojenne* w reżyserii Dereka Jarmana albo pierwszy odcinek szpiegowskiego serialu *Pogranicze w ogniu*. Zawsze też o północy oglądał wiadomości. Nosił aparat słuchowy, który zbierał dźwięk kierunkowo, w tym wypadku – od telewizora. Miał niewygodną wkładkę – bolało go od tego ucho – więc rzadziej go ostatnio zakładał.

Aparat w dniu zabójstwa poniewierał się na tacy, na barku. Pojemnik na baterię był otwarty, a bateria leżała pod aparatem.

Na parapecie przy regale zdjęte z półki książki ktoś musiał przeglądać. Czego szukał?

Ręka premiera, albo jego żony, sięgała wcześniej po czekoladki. Puste pudełko zostało na okrągłym stoliku przypominającym taboret. Zawsze przysuwany, żeby położyć na nim srebrną tacę z herbatą i pilotem od telewizora. Kiedy w pokoju

siedział premier, na tacy spoczywał również jego walter, model PK 38. Podobnie jak generał – pamiętał jeszcze czasy wojny.

Zawsze nosił go ze sobą na spacerach z psem, nie rozstawał się z nim w domu.

Czy zdążył go użyć? Jeden ze świadków powie, że słyszał dwa strzały. Pistolet premiera zniknie.

W czasie napadu generał najprawdopodobniej upadł na podłogę, twarzą w dół, uderzając głową tak, że zaczął mocno krwawić. To wtedy zabójcy musieli owinąć mu skroń ręknicami.

Ślady krwi na oparciu bujanego fotela mówią, że posadzono na nim ledwo przytomnego człowieka.

Krew kapłała mu na buty. Biegli dochodzą do wniosku, że premier szedł z pochyloną głową, ale plamy mogły też powstać, kiedy siedział w fotelu.

Na podstawie plam krwi prowadzących przez hall schodami na pierwsze piętro, następnie do gabinetu Jaroszewicza, odtworzono drogę przenoszenia ofiary.

Plamy miały regularny kształt o średnicy jednego centymetra. Zdaniem biegłych takie plamy powstają podczas spadania krwi z mniej więcej metrowej wysokości. Ponieważ krew nie była rozmazana, wywnioskowano, że premier był przenoszony z głową odchyloną do tyłu. Ktoś trzymał za nogi, inny – za rękę. Ze względu na kilka bruzd na szyi przyjęto, że parę razy go duszono bez użycia krępulca, nim umarł. W ten sposób sprawcy usiłowali wydobyć z niego określone informacje.

Jakie? Po co tak naprawdę przyszli?

Można by założyć, że działali dla rabunku. Zabrali więc tylko przedmioty uniemożliwiające ich identyfikację po odsprzedażu. Zaginął na przykład i nigdy już się nie odnalazł, medal od

Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji. Francuski Interpol przesłał polskiemu oddziałowi w Warszawie wiadomość, że 7 maja 1976 premier Jaroszewicz był we Francji na zaproszenie Jacques'a Chiraca, ówczesnego premiera tego kraju. W czasie wizyty Chirac wręczył polskiemu premierowi ten medal, a wybiła go mennica przy quai Conti w Paryżu. Istnieją dwa wykonania medalu: jedno w brązie, drugie w srebrze. Medal Jaroszewicza był srebrny, ważył 280 gramów, miał wybity Hotel de Matignon, a na rewersie wizerunek głowy przystrojonej liśćmi z napisem: Republika Francji, Premier. W czasie wręczania znajdował się w skórzanym etui. Wartość medalu to wówczas 1520 franków francuskich. Medal nigdy nie był powszechnie dostępny. Wręczano go bardzo ważnym osobistościom, podejmowanym w gabinecie premiera. Według danych francuskiego MSZ otrzymało go do tamtego czasu około dziesięciu osób z Polski.

Broń złodzieje mogli ukraść dla własnego użytku. Działali w rękawiczkach. Unikali pozostawienia jakichkolwiek śladów. Znali możliwości psów tropiących, rozpoznali wcześniej posesję i zwyczaje domowników. Mogli nawet nie wiedzieć, że Jaroszewicz był premierem. Napadli na bogato wyglądający dom, znęcali się nad ofiarami, by wydobyć informacje, gdzie są pieniądze, złoto i kosztowności. Odwiązali rękę, by premier wskazał klucze do sejfu.

Po wyczerpaniu możliwości pertraktacji podjęli decyzję o uduszeniu premiera. Dla większej pewności pod prawą przednią nogę fotela podłożyli futerał po broni myśliwskiej, dzięki czemu fotel był bardziej odchylony do tyłu, a duszenie skuteczniejsze.

Obaj synowie, Andrzej i Jan, szczególnie ten pierwszy, nigdy nie uwierzą w rabunkowy motyw zbrodni. Jan po obejrzeniu pokoju telewizyjnego i sypialni matki zauważył, że „poszukiwa-

nia sprawców nie szły w stronę dóbr materialnych”.

Spójrzmy choćby na zawartość biurka premiera: 12 sztuk niemieckich medali okolicznościowych, pióra Parker i Maisterstück, kilka kieszonkowych zegarków, szarfa z orderem Polonia Restituía, dwa medale z wizerunkiem Jana Pawia II i kilka okolicznościowych [np. z okazji XX-lecia Kuby), fiński nóż z rogową rękojeścią, książeczka do nabożeństwa, pudełko z nabojami myśliwskimi (zabezpieczono), naboje do karabinu, katalog banknotów, szkatułka z długopisami i szkłem powiększającym. Wszystko na miejscu, choć rozrzucone. Jedna z szuflad biurka leżała na podłodze. A tam w nieładzie okazjonalne pisma z Episkopatu Polski, dwa skórzane portfele, scyzoryk, paszport czy dokumentacja techniczna dotycząca broni, w języku rosyjskim.

Na podstawie ustaleń śledztwa przyjęto, że Alicję Solską napastnicy zaatakowali, gdy spała. Mogła też wstać, słysząc odgłosy obcych osób. Sznaucer był w jej pokoju. Sprawcy po obezwładnieniu obojga kobietę przenieśli do łazienki, ułożyli na kołdrze psa przyniesionej z sypialni i związali. Węzły, gdyby jej na to pozwolić, mogła rozwiązać sama.

Śledczy doszli do wniosku, że włamywacze weszli na teren posesji i wyszli przez bramę usytuowaną na zapleczu domu.

Tam znaleziono pojemnik z perfumami, które miały unieвозмоwić podjęcie śladu przez tropiącego ich psa.

Do wnętrza domu dostali się po kratownicy służącej do podtrzymania winorośli. Ale to tylko hipoteza. Żadnych śladów nie zostawili.

Dzień później prokurator powołuje biegłego z zakresu psychologii i zleca mu opracowanie charakterystyki sprawców oraz psychologicznej wersji zdarzeń. Jednak doktor Andrzej Augustynek po przejrzeniu akt dochodzi do wniosku, że ma zbyt

mało faktów i informacji, by opracować taki portret.

Stawia więc sobie różne pytania. Na przykład dlaczego plamy krwi były tylko na wewnętrznej stronie koszuli i bieliźnie Piotra Jaroszewicza? Sprawcy go całkowicie przebrali? Skąd liczne drobne obrażenia głowy, poza raną główną? Sińce rąk i klatki piersiowej? Czy zamek do drzwi wejściowych był otwierany od wewnątrz (komuś, kogo premier znał), czy kluczem magnetycznym?

Niewątpliwie ważny jest sposób obezwładnienia Remusa. Pies nie był szkolony, miał 10 lat, ale był zdecydowanie czujny i gotowy do obrony. Jeden z lekarzy Piotra Jaroszewicza, Maria Hoffman z Instytutu Kardiologii w Aninie, zauważyła, że ten pies to „potwór”. Lubiła psy, ale jego się bała. Reagował na ruch. Gdy musiała zbadać premiera, pies był wyprowadzany.

W jaki sposób poradzili sobie z nim sprawcy?

Założmy, że pies idzie z premierem na wieczorny spacer. Zwyczajowo koło północy, kiedy mało kto wychodzi z domu. Z broni Palmera (do usypiania dzikich zwierząt) sprawcy oddają dwa strzały (ich odgłos przypomina strzały z pistoletu). Pies zaczyna wyć z bólu i wymiotuje treścią podbarwioną na różowo. W tym czasie sprawcy terroryzują Piotra Jaroszewicza, wchodzą do domu, jeden z nich zanosí psa na górę.

Do obezwładnienia psa użyto chlorsukcyliny, popularnego środka znieczulającego, po którym pies może być przez kilkanaście godzin oszołomiony. Strzały praktycznie nie zostawiają śladu i nie wywołują większego krwawienia. Ta hipoteza jednak wydaje się biegłemu mało prawdopodobna: zającie mogliby obserwować świadkowie, a broń tego typu musi być zarejestrowana.

Wariant drugi: po dokładnym rozeznaniu na drodze wie-

czarnego spaceru premiera sprawcy w kawałku mięsa umieszczają silny środek narkotyczny albo nasenny. Pies zjada mięso, po chwili wymiotuje, i jeszcze bez zewnętrznych cech oszołomienia wchodzi na górę, po czym zasypia. W efekcie nie reaguje na napad. Ale z tą wersją nie zgadza się jeden fakt: pies, na co później zwrócą uwagę świadkowie, wyje w czasie najścia na dom.

Między innymi słyszy go jedna z mieszkanek Anina. Tamtej nocy była w Instytucie Kardiologii przy Alpejskiej; okna jej pokoju wychodziły na las, za którym znajdowała się posesja Jaroszewiczów. Teren dobrze знаła, bo w Aninie mieszkała od 1969 roku. Około 1.00 w nocy usłyszała od strony lasu jakieś krzyki, wycie psa, a następnie dwa strzały. Jeden po drugim. Potem długo jeszcze szczekały i wyły psy.

I możliwość ostatnia: sprawcy wchodzą po stalowej konstrukcji na pierwsze piętro (kratownica, winorośl). Otwierają okno do wewnątrz, pies podbiega. Ktoś strzela do niego dwukrotnie z pistoletu gazowego (gaz pieprzowy w kolorze czerwonym, nazywany w handlu Anty Dog). W nocy głos psa rozchodzi się po okolicy. Zaczynają szczekać inne psy. Sprawcy wchodzą do budynku, zamykają psa w sypialni Alicji. Przyjmując tę hipotezę – jego wymioty nie mają nic wspólnego ze sprawą. Zachowanie psa może wytłumaczyć szok psychiczny: zapach śmierci jego państwa, długotrwałe zamknięcie.

Tę ostatnią wersję, choć brak śladów wejścia, przyjmą śledczy. Że zabójcy dostali się przez uchylone okno do małego saloniku premierowej. Musieli czegoś szukać w jej sekretarzyku. Wieko, drzwiczki i jedna z szuflad – wyłamane. Inna szuflada, w której leżały różne klucze – wyjęta. Poniewierała się w nieładzie wśród innych przedmiotów. Na najwyższej półce sekretarzyka stały antykwaryczne książki Alicji, część z nich oprawiona

w skórę. Kilku brakowało.

Zasłony z jedwabiu policjanci zastali przedziurawione i spięte nożem do papieru, będącym miniaturką toledańskiej szpady. Nożyk leżał zwykle na stoliku przy telefonie.

W sypialni na blacie toaletki przy łóżku, obok nocnej lampki, Alicja kładła swojego mauzera, broń z rękojeścią brązowo-białą, przypominającą drewno. Za dnia pistolet przechowywała nieco niżej, w szufladzie. Odkładała tam też swój ulubiony, złoty i bardzo drogi zegarek marki Schaffhausen. Pamiętał jeszcze czasy Piłsudskiego. Bransoleta była miękka, kilkuczęściowa, zapinana na zatrzask i łańcuszek.

Zegarek, podobnie jak broń obojga małżonków, zniknął i nigdy się nie odnalazł.

*

Ostatni raz Andrzej Jaroszewicz, syn premiera z pierwszego małżeństwa, widział ojca na dwa dni przed jego śmiercią, na obiedzie w Aninie. Wrócił właśnie z Włoch i przywiózł rodzicom kilka drobiazgów: wino, oliwę, makarony. Było niedzielne popołudnie, 30 sierpnia. Ojciec odprowadzał syna do bramy. „Nawet nie wiesz, jak oni mnie wszyscy zmęczyli”, powiedział mu. Nie wiadomo, czy była to skarga, czy objaw bezsilności. Andrzej czuł, że ojciec od dawna jest przytłoczony swoim małżeństwem. Gdy syn wyjeżdżał do Włoch, do kuzynki Elżbiety, siostrzenicy premiera, ojciec dał mu rodzinne zdjęcia i przedwojenne pamiątki. A wyjął je z jednej z kilkunastu dużych kopert leżących w jego metalowej szafie. Syn zauważył, że były tam też skórzane i papierowe teczki, wypełnione jakimiś dokumentami. W innej części szafy ojciec przechowywał broń.

Dokumenty zniknęły, a broń (poza osobistą Jaroszewiczów) – nie.

Jaroszewiczowie nie byli szczególnie zamożni. Oboje żyli z emerytur, czasem ledwo starczało na ogrzanie zimą domu. Mówił synowi: „Dożyliśmy takich czasów, że musimy sprzedawać broń, by dokładać do życia”. Czasem sprzedawał broń, a czasem kolekcjonowane latami banknoty. Bywało też, że pieniądze dostawali lub pożyczali od dzieci.

Córka Alicji Jaroszewicz z pierwszego małżeństwa, Hanna Paszkowska, od 1980 roku mieszkała na stałe w USA. Wspólnie z mężem przesyłała rodzicom paczki żywnościowe, lekarstwa, odzież, upominki. Nigdy nie wkładała pieniędzy do listów. Czasem podawali małe paczuszki z pieniędzmi przez znajomych i wtedy odbierał je Jan. Wszyscy trzymali to w dyskrekcji, bo mogło być dla premierostwa krępujące. Ponieważ Jaroszewiczowie byli szalenie skryci, nigdy nie udało się ustalić, co faktycznie zginęło z domu.

Alicja Solska odwiedziła córkę w USA dwa razy. Miała w planie przenieść się do niej, co zupełnie nie odpowiadało premierowi. Utrzymywały ścisły kontakt, każde wakacje spędzały razem. Hanna przyjechała do Polski 7 sierpnia z dziećmi Katarzyną (16) i Piotrem (14 lat). Dzieci zamieszkały w dawnym domu dla ochrony, usytuowanym na posesji, gdzie przed laty mieszkał też Andrzej, najstarszy syn premiera. Hanna zajęła pokój na pierwszym piętrze domu rodziców, między ich sypialniami.

Po latach Jan Jaroszewicz powie, że ze względu na obecność Hanny ojciec nie pisał po nocach na maszynie, tylko robił odręczne notatki. Te zaś nigdy się nie odnajdą.

Pobyty Hanny i jej dzieci w Polsce kończył się 31 sierpnia. Nic nie zwiastowało tragedii. Premier wychodził jedynie na spacer z psem, choć – jak zauważyła rodzina – w ostatnim czasie o dość nietypowej, dużo wcześniejszej porze. Alicja była z córką kilka

razy na zakupach, u krawcowej, rodziny czy w teatrze. Jeździły polonezem matki, który prowadziła Hanna. Solska nie miała prawa jazdy.

Tamtego dnia, chwilę po 13.00, bracia Ryszard Solski (syn Alicji z pierwszego małżeństwa, były korespondent PAP w Indiach, a od 2008 roku prezes jednej z największych agencji PR w Polsce – Solski Burson-Marsteller) i Jan Jaroszewicz odwieźli siostrę i jej dzieci na lotnisko. To wtedy córka zauważyła dość nietypowe zachowanie matki. Alicja zawsze witała ich i żegnała na lotnisku, ale nie tym razem. Tłumaczyła się zmęczeniem i tym, że pobyt na lotnisku ją denerwuje.

Andrzej Jaroszewicz zapamięta, że próbował umówić się z rodzicami, ale żona premiera kategorycznie odmówiła: „Słuchaj, każdy dzień, tylko nie poniedziałek!”. Tłumaczyła to zmęczeniem po pobycie dzieci Hanny. Pojechał więc do Gdańska, gdzie prowadził firmę i mieszkał.

Ryszard 31 sierpnia około 22.00 zadzwonił do matki. Zdał jej relację z odlotu Hanki, mówiąc, że odbył się bez przeszkód.

– A ty jak się czujesz? – spytał, słysząc znużony głos po drugiej stronie słuchawki.

– Wciąż jestem zmęczona, ale już trochę lepiej – odparła spokojnie matka. Nie wyczuł w jej głosie żadnego zaniepokojenia. W tle szczekał Remus, Alicja jednak szybko psa uciszyła.

To był ostatni raz, kiedy Ryszard powiedział do niej „mamo”.

1 września telefonuje brat, Jan.

– Nie mogę dodzwonić się do domu rodziców – mówi i pyta go, czy też próbował.

Ryszard dzwonił kilka razy, ostatni – koło 22.00. Sygnał był wolny, ale nikt nie podnosił słuchawki. Sądził, że ze względu na

wichurę i ulewę doszło do awarii linii telefonicznej. Albo że matka nie słyszy dzwonka telefonu.

Piotr Jaroszewicz, przypomnijmy, miał słaby słuch i ostatnio nie nosił aparatu. Telefon w domu zresztą zwykle odbierała Alicja Solska.

Jan dzwoni do Ryszarda raz jeszcze, około północy.

– Skoro nie odbierają, to podjadę do Anina. Zadzwonię, gdyby coś było nie tak.

Ale nie zadzwonił. Ryszard dowie się o śmierci matki i jej męża od swojej żony. Ta zaś usłyszy o tym w radiu dopiero następnego dnia, kolo południa. Zachowanie Jana wytłumaczy Szokiem.

Dla Ryszarda Solskiego, głęboko uczuciowo związanego z matką, faktura rzeczywistości, dotychczas trwała i nieruchoma jak szkło, rozpadnie się na drobne kawałki. Dlatego po przyjeździe do Anina nie będzie się zbyt rozglądał po domu. Nawet nie wejdzie na piętro. Zauważy pracujące ekipy śledcze i to, że na parterze domu wszystko wyglądało po staremu. Po latach nie będzie chciał do tego wracać. Napisze do mnie w odmowie rozmowy: „Bardzo szanuję pani pracę i pani dorobek, ale proszę o wybaczenie – nie rozmawiam o osobistych sprawach”.

Matka nie dzieliła się z nim żadnymi niepokojami o swoje bezpieczeństwo. Jedyne, co ją w ostatnim czasie trapiło (jak wynika z akt), to sprawa lasu w Aninie. Las, znajdujący się za tylną bramą wjazdową do domu Jaroszewiczów, był im przyznany dożywotnio w użytkowanie. Zwrotu lasu domagała się jednak Anna Branicka-Wolska, ostatnia z rodu Branickich i jedyna już dziedziczka pałacu w Wilanowie, twierdząc, że była to własność jej rodziny. W jej imieniu do Jaroszewiczów wystąpił mecenas Paweł Bafia (zresztą syn ministra obrony narodowej w rządzie

Piotra Jaroszewicza – Jerzego Bafii).

Jaroszewiczowie proponowali, że zrzekną się prawa do tej nieruchomości, pod warunkiem że dziesięć procent jego wartości zostanie przekazane na Centrum Zdrowia Dziecka. Jednak druga strona nie przyjęła tej propozycji i zagroziła procesem.

Sprawa ta nie miała jednakże nic wspólnego ze śmiercią premiera i jego żony. Branicka-Wolska odzyskała w końcu swój las. – Ale już po śmierci dożywotnich użytkowników – wyjaśnia mecenas Bafia, pytany przeze mnie o to, jak zakończył się tamten spór. – Wystąpiłem do sądu o założenie księgi wieczystej po tym, jak syn Jaroszewiczów, Jan, przedłożył mi akt zgonu rodziców.

Andrzej Jaroszewicz o śmierci ojca dowiaduje się w biurze, w Gdańsku. W tamtym czasie był właścicielem firmy ARTEX, która zajmowała się handlem z krajami byłego ZSRR.

W środę rano, 2 września, Grażynie, ówczesnej partnerce Andrzeja, na automatyczną sekretarkę nagrywa się pracownik jego brata: – Janek prosi, żeby Andrzej jak najszybciej skontaktował się z Aninem.

Ale ponieważ Grażyna nie może złapać Andrzeja, sama telefonuje do Anina. .

– Nic się nie stało, niech Andrzej zadzwoni – odezwał się Janek Jaroszewicz.

W tym samym czasie, już w Gdańsku, syn słyszy od sekretarki, że rodzice nie żyją. Natychmiast wraca do Warszawy. Od tamtej pory zawsze już będzie miał pretensje do brata, że ten osobiście nie zawiadomił go o śmierci rodziców. I że usłyszał o tym od obcej osoby.

W ten sposób jedynym członkiem rodziny, który towarzyszył śledczym od 1.00 w nocy 2 września aż do popołudnia, był

Jan Jaroszewicz.

Policja ustali, że 31 sierpnia mieszkańcy Anina widzieli Piotra Jaroszewicza około 22.00 z psem. Miał ze sobą długi kij, jak zwykle, z którym go wcześniej widywała. Premier był widziany jeszcze koło 23.00, jak spacerował w okolicach ulicy Zambrowskiej.

Ciekawe jest zeznanie Emilii K. Kobieta wracała 1 września samochodem z poczty ulicą Zorzy i widziała, jak z domu Jaroszewiczów wychodziło dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z mężczyzn zamykał za sobą furtkę. Daty była pewna, bo miała rachunek za telefon, ostemplowany na tamten dzień. Emerytowany funkcjonariusz policji i mieszkaniec Anina, Tadeusz O., zeznał, że osobiście zna świadka i nie należy ona do osób lubiących sensację.

Ale ten świadek nie wzbudzi zainteresowania śledczych.

Ostatnia widziała małżeństwo sprzątaczką, Wiesława B. O tym, że pracuje u byłego premiera w Aninie, wiedział tylko jej mąż i bliska koleżanka. Alicję Jaroszewicz zapamięta jako osobę dystygowaną, a jednocześnie bardzo sympatyczną. Z chwilą przyjęcia do pracy sprzątaczką otrzymuje *carte blanche*. Pani nigdy nie patrzy jej na ręce. Z czasem dostanie nawet podwyżkę, ale i pracy więcej, niż było ustalone. Żona premiera na święta zawsze przygotowuje słodycze dla jej dzieci i jakiś drobny upominek. 31 sierpnia około godziny 16.00 Alicja Jaroszewicz wpuści Wiesławę na posesję bramą, bo sprzątaczką ma trudności z otwarciem furtki. Nie zleca jej sprzątania małego domku na posesji (po opuszczeniu go przez dzieci Hanny), odkładając to na następny poniedziałek. Wiesława zauważy, że Jaroszewiczowie nie mieli żadnych gości i zachowywali się normalnie. Tamtego dnia, około 19.00, Alicja odprowadzi ją do bramy. „Udanego roku szkolnego!”, powie na do widzenia. Najmłodszy syn Wie-

sławy rozpoczynał właśnie pierwszą klasę podstawówki. Alicja poda sprzątaczkę rękę i poklepie po ramieniu: „Do poniedziałku, pani Wiesiu”.

Jaroszewiczowie lubili porządek. Każda rzecz miała w Aninie określone, własne miejsce. Lata mijały, a czas zdawał się stać nieruchomo jak zamrożone jezioro. Nawet spis wydatków i dziennik odwiedzin gości leżał zawsze przy telefonie, w pobliżu kuchni. A w nim przedwojennym, kaligraficznym pismem Alicji wypisane ceny za każde jajko, mąkę czy chleb. Na koniec dnia bilans. Dlatego, kiedy policjanci zajrzeli do kajetu, bez trudu zauważyli, ile kosztował małżeństwo jeden dzień życia. I jak wyglądały rytuały domowników.

Dwa razy w tygodniu gotowała im pani Basia, która mieszkała w internacie obok willi. Premier i jego żona mieli posiłki o stałych porach. Zawsze też dbali o wygląd przed wizytami gości.

Nikomiu, nawet dzieciom, nie wolno było przyjść do nich bez zapowiedzi.

Maria Hoffman, lekarka z Instytutu Kardiologii w Aninie, dołączyła podczas stanu wojennego z podejrzeniem zawału serca trafił Piotr Jaroszewicz, zauważyła nawet, że nim przyszła na Zorzy 19, musiała najpierw zadzwonić z Instytutu. Wówczas któryś z gospodarzy zawsze czekał na nią przy furtce. Kiedyś wysłała Alicji Jaroszewicz kwiaty przez kierowcę z Instytutu. Ale mimo że się na lekarkę powołał, nie został wpuszczony. Żona premiera przyjęła je dopiero, gdy Hoffman zadzwoniła . z Instytutu i powiedziała, że wysłała je osobiście.

Piotr Jaroszewicz nie był człowiekiem, który ufał ludziom. Typ skrytego samotnika. Spacerował z psem wieczorami, tak by nikogo nie spotykać. Nie utrzymywał kontaktów z sąsiadami. Nie ruszał się z domu bez broni. Nawyk starego żołnierza? A może strach? Czego mógł bać się były PRL-owski premier?

W 1990 roku rozpoczął pracę nad książką zatytułowaną *Przerywam milczenie*. Przy tym zbiorze wspomnień pomagał mu dziennikarz Bohdan Roliński (w latach 1973–1980 redaktor naczelny „Życia Warszawy”).

Spotykali się w Aninie. Premier przyjmował Rolińskiego w saloniku na dole, czasem pracowali w jadalni. Dziennikarz powie śledczym, że nigdy nie był w gabinecie Pjotra Jaroszewicza na piętrze. Kiedy generał miał coś ważnego do powiedzenia, wychodzili do ogrodu. Jaroszewicz uważał, że od czasu stanu wojennego jego dom jest na podsłuchu.

Roliński wyczuwał, że generał nie mówi mu wszystkiego.

„Traktowałem go jak czarną skrzynkę samolotu, to znaczy osobę, która ma kompleksową wiedzę na wiele tematów. Do tej wiedzy chciałem dotrzeć. Ale on mówił mi tylko to, co sam chciał powiedzieć” – powie później dziennikarz przed sądem.

Zauważył, że Jaroszewicz miał maszynopis dotyczący okresu jego dzieciństwa, zesłania do Kazachstanu oraz kilku lat po wyzwoleniu. I że unikał nazwisk. Bywało tak, że jakiś fragment był już zaakceptowany, ale po kilku dniach Jaroszewicz prosił o jego wykreślenie. Roliński nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego rozmówca na bieżąco konsultuje z kimś treść przyszłej książki. Alicja Solska pytała go nawet, czy nie czuje się obserwowany, odkąd zaczął nad nią pracę.

W pierwszej wersji Jaroszewicz niezbyt sympatycznie mówił o peerelowskich dygnitarzach: Wojciechu Jaruzelskim i Edwardzie Gierku. Później wypowiedzi na temat Gierka stonował. Żona premiera, która bardzo interesowała się treścią książki, niewątpliwie miała na nią wpływ.

Potwierdzają to inni świadkowie.

W 1990 roku częstym gościem Jaroszewicza bywał Stani-

sław Kociołek, swego czasu współodpowiedzialny, jako ówczesny sekretarz KC PZPR, za masakrę robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970.

Potwierdził, że jeden z rozdziałów książki miał być poświęcony Wojciechowi Jaruzelskiemu (tę informację w aktach zaznacza duży granatowy klin). W rozdziale tym Jaroszewicz planował „zdemaskowanie Jaruzelskiego, jego decyzji o stanie wojennym oraz jego późniejszej polityki”. Ale żona premiera „bardzo się tego bała i to jej zasługą jest, że kwestie dotyczące generała Jaruzelskiego zostały opublikowane w taki, a nie inny sposób”. Troska Solskiej sprowadzała się do wyciszenia emocji związanych z oceną generała Jaruzelskiego.

Kociołek zeznał, że Piotr Jaroszewicz nie podzielał jego opinii, że wprowadzenie stanu wojennego było koniecznością, gdyż groziła nam interwencja wojsk Układu Warszawskiego. „Gdyby taka interwencja była przygotowywana – tłumaczył Kociołek - w wojsku polskim musiałyby być zrobione pewne posunięcia. Należałoby je wyprowadzić z koszar i odciągnąć od granicy wschodniej, żeby nie przeszkadzało w interwencji. Jaroszewicz twierdził, że wówczas w wojsku takich manewrów nie było”.

Stanisław Kociołek przywiózł do Anina zaliczkę na poczet wydania książki. Józef Śnieciński, dziennikarz i wydawca, zatrudnił go w swoim wydawnictwie na kontrakcie redaktorskim. Umowę na wspomnienia Jaroszewicza podpisali 15 sierpnia 1990 roku. Książka miała się ukazać w 50 tysiącach egzemplarzy, premier dostał dość dużą, jak na tamte czasy, zaliczkę: 99 milionów (około 10 tysięcy dzisiejszych złotych). Alicja Solska prosiła, by nie wysyłać honorarium przekazem, tylko przywieźć do domu. Nie chciała, żeby ktoś się dowiedział, że dostali tak dużą sumę pieniędzy.

Bohdan Roliński opowie policjantom, że w czasie rozmów usłyszał o sprawach, które nie znalazły później odbicia w druku. Na przykład ta o śmierci generała Karola Świerczewskiego. Że nie była przypadkowa, lecz została zaaranżowana przez generała Jurija Żukowa, który z ramienia NKWD sprawował nadzór nad Polską. Żuków miał opowiedzieć Świerczewskiemu o sposobie wprowadzania do Polski agentów. Polegał on na tym, że przysyłano ludzi podstawionych za Polaków, którzy faktycznie zginęli na terenie ZSRR. Tak zwane matrioski - (od słynnych drewnianych rosyjskich lalek, wkładanych jedna w drugą). Matrioszkami mieli być ludzie na najwyższych szczytach władzy, między innymi Bolesław Bierut, Józef Światło czy Wojciech Jaruzelski.

Świerczewski miał osobiście o tym powiedzieć Jaroszewiczowi. Obaj pracowali tuż po wojnie, w 1946 roku, w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Po latach w jednym z wywiadów dla dodatku „Pius Minus” dziennika „Rzeczpospolita”, cytowanych przez portal nieoprawni.pl, odniósł się do tego motywu historyk i sowietolog profesor Paweł Wieczorkiewicz:

„Sprawę tę [matrioszek – I.M.] pierwszy raz poruszył Piotr Jaroszewicz. Zaraz potem został zamordowany. Niewykluczone, że dotknął problemu, który jeszcze w 1992 roku był tak newralgiczny dla rosyjskiego wywiadu, że trzeba go było uciszyć”. Premier Jaroszewicz miał też wątpliwości co do przypadkowej śmierci generała Sylwestra Kaliskiego. Kaliski, minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, rektor Wojskowej Akademii Technicznej i jeden z najwybitniejszych polskich naukowców, zginął w wypadku, mając 53 lata, w czasie gdy pracował nad syntezą termojądrową. Jego samochód nagle zjechał z drogi i uderzył w drzewo. Jechał na wakacje z żoną, która wskutek ob-

rażeń została na stale sparaliżowana.

Roliński był już współautorem książki *Widziane z Kremla. Moskwa – Warszawa. Gra o Polskę*^[10], wywiadu rzeki z Piotrem Kostikowem, wysokim rangą radzieckim urzędnikiem, który przez 16 lat, w latach 1964-1980, zajmował się sprawami polskimi w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Przedtem był dziennikarzem „Nowosti” i mieszkał w Warszawie.

Oficyna Wydawnicza BGW, w tym samym roku zresztą, w którym zginą Jaroszewiczowie, wyda też *Pamiętnik Anastazji P.* – opis największego skandalu obyczajowego w polskim sejmie.

Po śmierci Jaroszewiczów Kostikow w prywatnej rozmowie telefonicznej mówi Rolińskiemu:

– Zabójstwo miało podłoże polityczne. I jestem tego absolutnie pewien.

Po raz pierwszy nazwisko Jaroszewicza pojawia się na kartach ich wspólnej książki w związku z tragicznymi wydarzeniami z Grudnia 1970. W nocy z 16 na 17 grudnia doszło do spotkania premiera ZSRR Aleksieja Kosygina z Jaroszewiczem, który w tym czasie przebywał na sesji RWPG w Moskwie. W czasie tej rozmowy Kosygin załatwił dwie sprawy: po pierwsze chodziło o przekazanie informacji do Warszawy, by Mieczysław Moczar nie robił sobie nadziei na kierowniczą funkcję po Gomułce (był wówczas głównym krytykiem ekipy Władysława Gomułki). Po drugie – o sondaż w sprawie ewentualnego kandydata na pierwszego sekretarza KC PZPR. Jaroszewicz widział na tym stanowisku Edwarda Gierka. Sam też wówczas dowiedział

10 Piotr Kostikow, Bohdan Roliński, *Widziane z Kremla. Moskwa Warszawa. Gra o Polskę*, Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992.

się, że zostanie premierem.

Kolejny raz nazwisko Jaroszewicza przewija się w rozmowie z Kostikowem w związku z wydarzeniami w Radomiu i Ursusie w Czerwcu 1976. Jaroszewicz, autor tak zwanego manewru gospodarczego polegającego na podwyżce cen żywności, szybko wycofał się z planowanych podwyżek, ogłaszając to w przemówieniu telewizyjnym. Ale mleko się już rozlało. Robotnicy wyszli na ulice. Podwyżkę władze przedstawiły jako „projekt”, choć powszechnie zdawano sobie sprawę, że decyzje zapadły, a konsultacje społeczne są fikcją.

Stanisław Kania, jak relacjonował Kostikow, mówił o Jaroszewiczu, że to człowiek spalony, a aktyw partyjny go nienawidzi. I trzeba było wysłać go na emeryturę.

Premier wówczas faktycznie chciał ustąpić ze stanowiska, ale za namową Gierka został. W tym samym roku we wrześniu jego helikopter spadł na ziemię pod Bydgoszczą. Jaroszewicz uważał, że ten wypadek nie był dziełem przypadku. Potwierdza to jego syn, Andrzej: „Przed lotem z VIP-em helikopter musiał wcześniej wykonać próbny start i lądowanie. Takie były wtedy procedury. Tak się stało i tym razem, ojciec pożegnał i wszedł, kilka osób zostało, żeby obserwować start. Helikopter wzbił się w powietrze na sto metrów, obniżył dziób i obrał kierunek. Nagle coś strzeliło, zaczęło dymić z silników i śmigłowiec zaczął spadać. Na szczęście rotacyjnie, więc nie walnął w ziemię ze stu metrów, za to nie trafili w polanę, tylko w drzewa. Tata (...), kiedy uderzyli w ziemię, stracił przytomność. Gdy się ocknął, był już w helikopterze sam, leżał głową w dół, a wszędzie dookoła była nafta (...). Potem się okazało, że pierwsi ze śmigłowca dali nogę borowcy, po nich zwiali piloci. Na ratunek ojcu skoczył kierowca pierwszego sekretarza komitetu wyborczego w Bydgoszczy. Dostał się do środka i odciągnął na bezpieczną

odległość. Dopiero wtedy na pomoc rzucili się borowcy. Po chwili śmigłowiec wybuchł”^[11].

„Koledzy chcieli się mnie pozbyć” – oświadczył zdumionemu synowi premier, posiniaczony, z podkrążonymi niemal na czarno oczami. Miał wstrząśnienie mózgu i trzy szwy, ale wyszedł z tego bez większego szwanku.

Na Jaroszewiczu skupiła się wówczas cała krytyka: za ceny, długi, rozgrzebane inwestycje. Za wszystkie porażki w gospodarce. A premier, głęboko przekonany o słuszności swojej polityki, uważał, że jedyną drogą dla Polski jest szybkie inwestowanie, wykorzystywanie kredytów zagranicznych, tworzenie nowych miejsc pracy. Niedomagania tłumaczył bałaganem, brakiem dyscypliny i odpowiedzialności wielu ludzi oraz wtrącaniem się aparatu partyjnego do spraw gospodarczych. Kanię, zdaniem Kostikowa, uważał za złego ducha całej ekipy Gierka i nie zostawiał na nim suchej nitki.

W 1979 roku Kostikow miał zaopiekować się premierem i jego żoną. Jaroszewicz przyjechał do Moskwy na badania z podejrzeniem nowotworu, który lekarze mieli wykryć w Polsce. Okazało się, że nic nie ma.

„Widzisz. Piotr – miał powiedzieć do Kostikowa – chcieli mnie załatwić”.

Książkę niedługo po zabójstwie Jaroszewiczów czyta uważnie jeden z policjantów Komendy Stołecznej w Warszawie. Wynotowuje: „Informacje dotyczące byłego premiera należy oceniać na płaszczyźnie historycznej. Natomiast informacje na temat katastrofy helikoptera w 1976 roku oraz »rozpoznanie« u niego choroby nowotworowej mogą być pomocne przy wyja-

11 Alicja Grzybowska, Andrzej Jaroszewicz, *Czerwony księżę*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2016, s. 182–183.

śnieniu wersji rozliczeniowej”.

Ten motyw zabójstwa rozważa również Aleksander Kopeć, od 1975 do 1980 minister przemysłu maszynowego w rządzie Piotra Jaroszewicza. Podczas przesłuchania powie policjantom, że „może tu wchodzić [w grę] sprawa zemsty – sprawiedliwości dziejowej”.

Bogdan Roliński z kolei odczuje, że ktoś wywierał presję na Jaroszewiczach od chwili, gdy rozeszła się wiadomość o wydaniu książki.

– Powiedziałem premierowi – wspomina Roliński – że łatwo dostać się na teren posesji. Zbagatelizował to. Był przekonany, że jest w stanie sam się obronić.

Dziennikarz próbował podejmować z nim temat afery o kryptonimie „Żelazo”, ale premier nie chciał o tym rozmawiać. Mówił, że sprawy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych go nie interesowały.

„Żelazo” to najsłynniejsza akcja przeniknięcia agentów polskiego wywiadu do struktur przestępczych w Zachodniej Europie w latach siedemdziesiątych. Pod egidą I Departamentu MSW agenci poprzez napady, kradzieże, a nawet morderstwa wchodzili w posiadanie ogromnej ilości złota, srebra i innych kosztowności, w tym brylantów, wykorzystywanych potem do działalności wywiadu PRL. Całością kierował generał Mirosław Milewski; część majątku przywłaszczyli sobie najwięksi PRL-owscy dygnitarze. Mówiło się o funkcjonariuszach MSW, ale również o Edwardzie Gierku i jego żonie czy wicepremierze Janie Szydłaku.

– Czy ta książka, lub informacja o poszerzeniu prac nad nią, mogła kogoś zaniepokoić i sprowokować do działań destrukcyjnych? – pytają śledczy Bohdana Rolińskiego.

– Moim zdaniem tak. Miałem sygnały, że w czasie naszej pracy docierały do premiera osoby, które były zainteresowane treścią tej książki. Jedną z nich był Jan Szydłak. Przyjechał się dowiedzieć, co zostanie napisane o Gierku.

.Czy Piotr Jaroszewicz wiedział, kto zagarnął resztę złota? W 1985 roku Centralna Komisja PZPR badała sprawę, ale nikt do dziś nie wie, co się stało z około stoma kilogramami precjozów i szlachetnych kamieni, które wyparowały z transportu przywiezionego do Polski. We wstępie do książki *Afera „Żelazo” w dokumentach MSW i PZPR* Witold Bagieński i Piotr Gontarczyk piszą, że z podpisów na dokumentach wynika, jakoby premier Piotr Jaroszewicz wiedział o operacji „Żelazo”, podobnie jak ówczesny szef MSW Franciszek Szlachcic oraz sekretarz KC nadzorujący MSW – Stanisław Kania.

Albin Siwak potwierdza to w swoich wspomnieniach, opisując, jak wyglądało jego ostatnie spotkanie z Jaroszewiczem:

„No słuchaj! – krzyczał Piotr, włączając magnetofon. Zdumiony usłyszałem swój własny głos, moich kolegów z Biura Politycznego i Kiszczaka, który mówił: »Milewski sam swoją ręką kładł do papierowych toreb złoto oraz drogie kamienie, bez oceny ich wartości. Nikt tego nie ważył, tylko on swoją ręką wkładał do toreb. Następnie pisał na torbie nazwisko oficera i za dobrą służbę sam te torby wręczał wąskiej grupie, bo około piętnastu osobom«”.

Siwak powie, że Jaroszewicz kilka razy w rozmowie z nim wracał do afery „Żelazo”. Na 245 stronie swojej książki pod tytułem *Przerywam milczenie* napisał, że ta afera była niemożliwa do zrealizowania bez wiedzy i zgody Stanisława Kani, który był wtedy szefem MON i MSW. Jaroszewicz był też wściekły na Kiszczaka, który w swojej książce napisał, że Milewski z afery „Żelazo” nie wziął ani grosza.

Najbardziej jednak Jaroszewicz zaskoczył Siwaka taśmami z posiedzenia Biura oraz znajomością paru dobrze chronionych tajemnicą faktów. Miał mu powiedzieć: „Pokażę Polakom kserokopie list płac wszystkich konfidentów, którzy pracowali dla MSW, a ostatecznie dla waszego Biura. Oni co miesiąc brali od 300 do 600 dolarów i na to ten cwany Milewski ma listy płac, na których są podpisy ludzi, którzy dziś są u szczytów władzy w Polsce”^[12].

Wspomnienia premiera, wydane w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy, sprzedały się niemal w całości. Piotr Jaroszewicz, planował napisać drugą, uzupełnioną ich część. Nie zdążył.

*

– Oszukujesz mnie! – wykrzyczał ojcu Andrzej. – Mówiłeś, że Alicja odejdzie, a zamieszka z nami ta druga pani! – tak Alicja Jaroszewicz relacjonowała Kazimierzowi Doskoczyńskiemu pęknięcie w swoim małżeństwie.

Doskoczyński, rocznik 1922, oficer Ludowego Wojska Polskiego, który znał Jaroszewicza od lat czterdziestych, opiekował się oficjalnymi delegacjami z zagranicy. Podlegały mu ośrodki rządowe w Łańsku, Adamowie, Trójcy i Muczmem (dwa ostatnie w Bieszczadach).

Piotr Jaroszewicz jeździł do Łańska zarówno służbowo, jak i prywatnie. Miał do dyspozycji fiński domek i bywał tu z synem Andrzejem. Pani premierowa, która też tu bywała, „była bardzo zazdrosna o swojego męża, który lubił w swoim otoczeniu ładne kobiety” – relacjonował Doskoczyński policjantom. Miała tam swoją zafaną pokojówkę, która informowała ją o zachowaniach męża.

12 Albin Siwak, *Trwale ślady*, Wydawnictwo „Żywe Kamienie”, Toruń 2002, s. 309–314.

Wspominał: „W Aninie odbierała telefony i tylko od jej dobrej woli zależało, czy i kiedy umówi gościa ze swoim mężem. Moje kontakty z panią Solską nie były sympatyczne. Z uwagi na jej sposób mówienia nazywałem ją »Pi-Pi« i pod takim hasłem mam ją zapisaną w notesie z adresami. Przestałem do nich przyjeżdżać w latach osiemdziesiątych głównie z powodu Solskiej. Opryskliwa, nie prosiła męża do telefonu, a on nie zrobił nic, żeby cokolwiek zmienić w zachowaniu małżonki”.

Premiera Doskoczyński (sam z usposobienia apodyktyczny choleryk) oceniał jako człowieka impulsywnego, wyrafinowanego i bardzo mściwego: „Jeśli ktoś mu podpadł, premier mu tego nigdy nie darował i nie zapomniał”. Nie dostrzegał też jego zalet zawodowych. Twierdził, że Jaroszewicz, będąc w gruncie rzeczy samoukiem, nie posiadał wykształcenia ekonomicznego, więc jako polityk „był hochsztaplerem i nie powinien tak długo być w rządzie”.

Najciekawsze jednak jest to, co Doskoczyński zaobserwował w prywatnym życiu Jaroszewicza.

Otóż małżeństwo Jaroszewiczów nie układało się najlepiej. Bywały takie okresy, że premier żył ze swoją żoną w separacji. To, według Doskoczyńskiego, były lata siedemdziesiąte: „W tamtym czasie Jaroszewicz miał przyjaciółkę, z którą spotykali się w Łańsku. Osobiście widziałem ją tam kilka razy. Była to kobieta średniego wzrostu, skromna. Ponieważ w Łańsku nie prowadziliśmy książki meldunkowej, jej obecność nie będzie odnotowana”.

Śledczy zarzucą jednak rodzinny motyw zabójstwa. Dariusz Janas, odpowiedzialny wówczas za ten wątek sprawy, powie mi po latach, że nie było żadnego dowodu na udział rodziny choćby w zleceniu zabójstwa. Mimo że śmierć Alicji Jaroszewicz wyglądała na przypadkową.

Ale Janas, podobnie jak inni policjanci, nie mógł wówczas wiedzieć, że kobietą, o której mówił Kazimierz Doskoczyński, była Wanda Marciniak (rocznik 1926), współwłaścicielka Galerii Sztuki Współczesnej w Warszawie.

– Związała się z moim ojcem na niemal 40 lat. – Andrzej Jaroszewicz dzisiaj może już o tym mówić bez konsekwencji dla obu rodzin.

A swojej obecnej, piątej żonie, Alicji Grzybowskiej, w wywiadzie rzece przyzna: „Kiedy w siódmej klasie wróciłem do Warszawy, mowa była o ich rozwodzie. Kosztowałby on jednak ojca karierę, więc do niego nie doszło. Później często jeździłem z tatą na Mazury, do ośrodka rządowego w Łańsku. Towarzyszyła nam pewna kobieta i nie była to Alicja Solska”^[13].

A dalej, że ojciec o Alicji Solskiej mówił prywatnie: „Z taką żoną można zdechnąć na stojąco!”^[14].

Wanda Marciniak w 1946 roku, jako najmłodszą pielęgniarką w Polsce, pracowała w wojskowym szpitalu przy ulicy Koszykowej w Warszawie. I odbierała poród Andrzeja od jego matki, Oksany, która zmarła na raka mózgu, kiedy chłopiec miał 6 lat.

Oksana i Piotr Jaroszewicz byli bardzo udanym, zgodnym małżeństwem. Przeszli wspólnie zesłanie w okolice Archangielska, potem Stalingradu, wreszcie do Kazachstanu. Matka Andrzeja była wielką miłością premiera. Taką samą miłością kochał później swojego syna, którego z kolei nie akceptowała jego druga żona, Alicja. Ale o tym później.

Wanda Marciniak zdążyła poznać Oksanę, a także matkę

13 Alicja Grzybowska, Andrzej Jaroszewicz, *Czerwony książę*, dz. cyt., s. 34.

14 Tamże, s. 35.

Piotra Jaroszewicza – Ludmiłę, jego siostrę – Teofanię, i jej córkę Elżbietę (tę, która po latach zamieszkała we Włoszech i do której tamtego tragicznego roku 1992 Andrzej pojedzie na wakacje).

Marciniak pojawia się w aktach sprawy zabójstwa Jaroszewiczów, ale z jej zeznań nie wynika, aby ich relacja wyszła poza dobrą znajomość. Kobieta starała się przedstawić ją tak, jakby była niczym letnia woda, którą co jakiś czas popijali oboje:

„Trzy razy byłam u nich [Oksany i Piotra – I.M.] w domu, mieszkali wówczas przy ulicy Lekarskiej w Warszawie. Były to wizyty okazjonalne, w następnych latach nie utrzymywałam kontaktów z rodziną Jaroszewiczów. Dopiero w 1957 roku Piotr Jaroszewicz zadzwonił do mnie do pracy i zaprosił do siebie, do Urzędu Rady Ministrów. W czasie spotkania zapytał, czy nie potrzebuję jakiejś pomocy, ale powiedziałam, że jestem już mężatką, mam męża oficera i dobrze mi się powodzi. Pamiętam, że w czasie tej wizyty przypadkowo do gabinetu weszła Alicja Solska. Była już wtedy żoną Piotra Jaroszewicza, zostałyśmy sobie przedstawione. Ale wówczas widziałam ją pierwszy i ostatni raz w życiu. W późniejszych latach mój kontakt z premierem był okazjonalny i towarzyski. Nigdy nie byłam u niego w domu przy Raławickiej ani w Aninie. Jak został premierem w 1970 roku, zadzwoniłam z gratulacjami. Rozmawialiśmy czasami przez telefon. Były to rozmowy grzecznościowe. W tamtym roku też ostatni raz go widziałam. Nie pamiętam daty tego spotkania”.

Alicja Solska musiała wiedzieć o tej relacji. Czy mogła zaaranżować napad tak, by jej mąż został zamordowany, a ona przeżyła związana w łazience? A może była, jak żona Pawła Jasienicy, Zofia Beynar-O'Bretenny, powiązana z SB? Na każde z tych pytań usiłuje dziś odpowiedzieć sobie Andrzej Jaroszewicz, tym bardziej że – jak wynika z relacji świadków – ojciec z całą

pewnością zostawił testament, którego syn nigdy nie zobaczył.

Janusz Wielgo, prawnik, który poznał syna premiera w latach osiemdziesiątych, zeznał: „Podczas jednej z naszych rozmów Piotr Jaroszewicz zaczął wypytywać o sytuację materialną Andrzeja. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że żyje za swoje, chociaż wiedzie mu się nie najlepiej. Wówczas Jaroszewicz powiedział: »Sporządziłem drugi testament, nie skrzywdziłem w nim Andrzeja. Dostanie to, co mu się należy«. Zdziwiłem się więc, kiedy testament Alicji Solskiej został odnaleziony, a nie było testamentu jego ojca”.

Po złożeniu tych zeznań (a wiedziała o nich tylko rodzina i wieloletni przyjaciel prawnika, choć nikt nie znał ich treści) Wielgo znalazł w swojej skrzynce anonim. Napisany odręcznie, wielkimi literami, niebieskim tuszem i na kartce w kratkę, wyrwanej z zeszytu: „Cześć Janusz! Doszły mnie wiadomości, że dałeś się wciągnąć w sprawę zabójstwa Jaroszewiczów. Zaskoczony jestem tym faktem i tym, co słyszałem. Nie wiem, jak z tego wyjdiesz. Zastanów się, czy warto było. I co z tego masz. Przyjaciel”. Nadawca pozostał nieznany.

Andrzej Jaroszewicz zapamiętał, że „w domu Alicja nie odstępowała ojca na krok, starała się być obecna przy wszystkich jego rozmowach ze mną, babcią czy Marysią (Marianna Oleszczuk, gosposia). Tłumaczyła, że robi to w trosce o jego spokój. Jej zachowanie zwróciło nawet uwagę przebywających z nami oficerów BOR; kiedyś jeden nieoficjalnie przekazał Marysi, że podejrzewają Solską o bycie pilnującą ojca agentką. Nigdy natomiast nie udało im się zdobyć pewnego dowodu w tej sprawie”^[15].

Testament Alicji Jaroszewicz leżał bezpiecznie w mieszka-

15 Tamże.

niu jej znajomej, w Szwajcarii. Zanim tam jednak trafił, Alicja pokazała go siostrze, Mirosławie Arciszewskiej, którą uczyniła jednocześnie wykonawczynią swej ostatniej woli.

Mirosława zapoznaje się z testamentem już w 1982 roku. Czyta go w sypialni siostry i trochę żartuje, zastanawiając się, po co go w ogóle sporządziła. Przez następne lata nie będzie miała pojęcia, gdzie Alicja złożyła testament. O tym, że w Szwajcarii, dowie się dopiero po jej śmierci.

Alicja Jaroszewicz w okresie stanu wojennego o tym, że chce sporządzić testament, powie mieszkającej w Szwajcarii Krystynie S. Ta ostatnia tak o tym mówi:

– Na początku chyba 1986 roku spytała mnie, czy mogłaby mi go powierzyć. Zastrzegła, bym nie ujawniała jego treści. Zdziwiłam się, że to zaledwie kartka papieru, na dodatek nie zamknięta w kopercie, ale go przyjęłam. Ujawniłam testament dopiero po śmierci Jaroszewiczów. Janowi, Hannie i jej siostrze – Mirze Arciszewskiej. Alicja obawiała się włamywaczy. O ile sobie przypominam, tuż przed stanem wojennym jakaś grupa młodzieży wznosiła pod ich domem okrzyki „wracaj do ruskich!”. Liczyli się z tym, że w domu jest podsłuch, ale bardziej martwili się, czy przychodząc do nich, nie będą miała nieprzyjemności.

Testament Alicji Jaroszewicz to faktycznie jedna strona papieru ze szkolnego zeszytu, dość enigmatyczna w treści, zapisana 29 stycznia 1982 roku w Warszawie niezgrabnym, nonszalanckim pismem:

„Niniejszym oświadczam, że wolą moją jest, by w razie mojej śmierci podzieliłem majątku mego osobistego, oraz stanowiącego część wspólnoty majątku z mężem moim, Piotrem Jaroszewiczem, zajął się mąż mój Piotr oraz siostra moja Mirosława. Jej też zalecam dokonanie podziału między dzieci moje, Jana, Ry-

szarda i Hannę, siostrzeńca mego Edwarda Arciszewskiego oraz nią samą.

Męża mego proszę o zachowanie tego, co dla niego będzie pamięcią o mnie, oraz o dopilnowanie, by żadna z moich ozdobnych rzeczy, czy rzeczy, do których byłam przywiązana, nie dostała się w ręce ludzi obcych czy niezyczliwych.

Proszę, by o mnie zachowali dobrą pamięć, pamiętali zawsze, że ich wszystkich bardzo Kocham”.

Alicja oczywiście nie bierze pod uwagę swojego pasierba, Andrzeja Jaroszewicza.

Nie znosiła go, co w rodzinie było powszechnie wiadome.

Najbardziej wstrząsające świadectwo ich relacji dała gospośia Jaroszewiczów, Marianna Oleszczuk (rocznik 1927, dziś już nie żyje). Policja przesłuchała ją 24 listopada 1992 roku, dwa miesiące po śmierci jej państwa.

Jaroszewiczowie przyjęli Mariannę do pracy w 1960 roku. Mieszkali jeszcze wtedy przy ulicy Raławickiej w Warszawie. Marianna handlowała wcześniej drobiem na bazarze Różyckiego, a razem z nią kobiety z Puznowa, które znały Piotra Jaroszewicza. Premier przed wojną był kierownikiem szkoły w Pilawie i Miętmem (pod Garwolinem). Mieszkańcy pobliskiego Puznowa chodzili do tej właśnie szkoły i wspominali go jako wspaniałego człowieka i nauczyciela, który za własne pieniądze kupował dzieciom śniadania. Jedna z tych kobiet powiedziała Mariannie, że jeśli chce, to załatwi jej pracę u premiera. Poprzednia gospośia wyszła za mąż za oficera ochrony premiera i zwolniła się z pracy. Mariannę na Raławickiej przyjmuje Alicja Solska, bo premier jest w pracy. Czeka na nią przed domem. Sama dokąds się spieszy, więc odsyła ją do babci Andrzeja – Ludmiły.

Matka Piotra Jaroszewicza przyjmuje ją bardzo serdecznie, a

następnego dnia, już od Alicji, Marianna dowiaduje się, co będzie robiła. Sprzątanie, gotowanie, podawanie do stołu. Za 950 złotych pensji i codzienne utrzymanie. Na koniec Solska przekazuje świeżo upieczonej gosposi notesik i poleca zapisywać wszystko, co dotyczy jej pasierba, Andrzeja. Chłopiec ma wówczas 14 lat. Marianna, zdziwiona tym poleceniem, najpierw mówi, że pisze z błędami i będzie miała kłopoty z robieniem notatek. „To proszę zapisywać to, co najważniejsze” – odparła Alicja. Daje jej przy okazji do zrozumienia, że Andrzej „jest przygłupem”. Marianna jednak w lot się orientuje, że ma raczej do czynienia z dzieckiem, któremu brakuje rodzicielskiego ciepła. Dlatego okazuje mu wiele sympatii. Nastolatek ją oddaje. Idąc do szkoły, całuje gosposię w oba policzki i w rękę.

Marianna odmawia pisania notatek na chłopca, co sprawi, że żona premiera posunie się nieco dalej. Wezwie gosposię do siebie i powie: „Jeżeli będziesz mądra, to twoja rodzina będzie miała wilę. Andrzej musi być zlikwidowany”. Kobieta zaniemówi z przerażenia. Po kilku dniach powie jednak o wszystkim Ludmile Jaroszewicz. Dopiero wówczas dowie się, że Andrzej jest synem Piotra Jaroszewicza z pierwszego małżeństwa. Gosposia stanie się wrogiem żony premiera. Od tamtej pory odnoszą się do siebie oschle, a wręcz niegrzecznie.

Policjanci będą jej opowieści słuchali w zdumieniu: „Pamiętam, że po kilku następnych dniach wezwała mnie i zapytała o Andrzeja. Powiedziałam, że poszedł z kolegą pobiegać. Kazała go zawołać. Odmówiłam, bo pan Jaroszewicz mu na to pozwolił. Wściekła się. Kazała sobie natychmiast przynieść ciepłe mleko. Przyniosłam raz – było zbyt chłodne. Drugi – zbyt gorące. Za trzecim razem postawiłam szklankę z hukiem na stoliku i wyszłam. O »propozycji« Solskiej powiedziałam oficerom z ochrony. Wiedział też kierowca premiera i jego siostrzenica” Które-

goś razu Alicja oznajmiła gosposi, że „dzisiaj przyjadą koledzy Andrzeja i proszę ich przyjąć” Na krótko przed południem do furtki zadzwoniło dwóch dorosłych mężczyzn. „Skąd nastolatek ma takich kolegów?” – pomyślała gosposia. Ale polecenie musiała spełnić i zaprosiła ich do pokoju. Kiedy wróciła z kuchni, zorientowała się, że mężczyzn jest już o kilku więcej. Widocznie któryś z nich wpuścił pozostałych tylnymi drzwiami, prowadzącymi na ogród.

„Kazałam im się natychmiast wynosić” – zeznawała gosposia. „Dali Andrzejowi jakąś butelkę z płynem, mówiąc, że jak wypije, to dostanie samochód. On kochał samochody. Ojciec zabierał go za miasto i tam uczył jeździć. Tego dnia na ich polecenie Andrzej obciął kable od telefonów stojących w salonie, między innymi linię rządową. Telefon miejski nie. Hanka [córka Alicji Solskiej z pierwszego małżeństwa – I.M.] zamknęła się od wewnątrz w swoim pokoju. W tym czasie zadzwoniła Solska i powiedziała jej, że dzwonię po milicję. Ona, że przyśle kierowcę. I przyjechał. Po paru minutach mężczyźni uciekli oknem w pokój Andrzeja przez dach komórki, która przylegała do willi. Następnego dnia byliśmy wzywani, oboje z kierowcą, do MSW. Okazano nam zdjęcia różnych mężczyzn. Rozpoznaliśmy trzech. Dwaj to bracia, studenci, i jeden, który siedział w więzieniu 6 lat. Sprawa na pewno nie trafiła do sądu, bo żadne z nas nie było wzywane na świadka. Po latach kolega Andrzeja, Ryszard Grabas, który przez pewien czas pracował w MSW, szukał dokumentów tej sprawy, ale nawet ślad nie pozostał. Po incydencie w willi pani Solska wyjechała na dwa miesiące do znajomych dziennikarzy do Londynu. Zabrała ze sobą wiele wartościowych rzeczy (w tym też te należące do premiera), futra, porcelanę. Kiedy wróciła do Polski, stanęłam pod zarzutem, że te rzeczy ukradłam. Dopiero Jan Przybylski [kierowca premiera – I.M.],

który ją odwoził, wszystko wyjaśnił. Po tych incydentach premier postanowił rozwieść się z Solską. Wiem, że ta sprawa ciągnęła się ze 2 lata. W końcu interweniował sam Gomułka, który powiedział, że jak się rozwiedzie – to on go wyrzuci z roboty. Po rozmowie z Gomułką premier wezwał do siebie Andrzeja, który był wtedy w Gdańsku, i powiedział, że rozwodu nie będzie. Słyszałam, jak Andrzej z tego powodu rozpaczał. Przez następne 2 lata zachowanie pani Solskiej było poprawne. Ale każdy przeżyty z nią dzień był dla mnie koszmarem. Wytrzymałam tam jednak aż 8 lat”.

Marianna powie, że zrobiła to tylko dla dobra premiera, jego matki i syna. Wiele razy prosili ją, by została. Propozycję zabicia pasierba usłyszała od Solskiej raz jeszcze, już w Aninie: „Któregoś razu zaczęła rozmawiać o grzybach. Powiedziała, że tu w okolicy tyle grzybów i jakbym je ugotowała z jednym muchomorem, to zaszkodziłyby Andrzejowi i mężowi. Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, wydaje się tak straszne, aż nieprawdziwe, ale to jest niestety święta prawda. Kiedy odchodziłam ze służby, powiedziałam Solskiej, że ona naturalną śmiercią nie umrze za swoją niegodziwość: »Jęzor ci wyjdzie do pasa po śmierci« – rzuciłam jej. Świadkiem tej rozmowy była żona profesora Januszewicza [Andrzej Januszewicz – dziś kierownik Kliniki Nadciśnienia Tętniczego w anińskim szpitalu, gdzie niedługo leczył się premier – I.M.].

W Aninie państwo przyjmowali różnych gości. Pamiętam, że trzy razy był ambasador Związku Radzieckiego w Polsce. W tym czasie bardzo podupadłam na zdrowiu. Zachorowałam na nerwicę serca i żołądka. Byłam nawet w szpitalu”.

Marianna Oleszczuk pracowała u Jaroszewiczów do 1968 roku. Potem przeszła do pracy w Urzędzie Rady Ministrów jako pomoc kuchenna w hotelu na Parkowej. Pracę załatwił jej pre-

mier. Kiedy już pracowała na Parkowej, otrzymała anonimowy telefon od jakiegoś oficera, który powiedział, że będzie poproszona przez Solską do Anina po odbiór swoich rzeczy, i żeby tam nic nie jadła ani nie piła.

„Rzeczywiście, jak pojechałam. Solska była dla mnie miła jak nigdy dotąd, przygotowała poczęstunek, z którego nie skorzystałam” – zapamiętała gosposia.

Kiedy Marianna zabierze swoje rzeczy z Anina, więcej się tam nie pojawi. Przez te wszystkie lata zwracała się do Piotra Jaroszewicza „panie generale”. Tak lubił. Dzwoniła też kilka razy do premiera z okazji imienin czy świąt. Zawsze telefon odbierała Alicja Solska, więc niczym niezrażona Marianna przedstawiała się nazwiskiem Zychowa, ze strachu, że inaczej nie poprosi go do telefonu. Ostatni raz rozmawiali rok przed zabójstwem generała i jego żony.

O ich śmierci dowiedziała się z radia: „Bardzo rozpaczalam. Mąż nie mógł mnie uspokoić. Tak przeżywałam pogrzeb, że zapamiętałam tylko Edwarda Gierka. Żal mi nawet pani Solskiej, której tak nienawidziłam”.

Trzy miesiące po śmierci Jaroszewiczów komisarz Andrzej Starczak z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Stołecznej Policji dowiaduje się od doktora Andrzeja Augustynka, kierownika Ośrodka Psychologiczno-Psychiatrycznego w Krakowie, że testament Piotra Jaroszewicza faktycznie mogło nie być, bo sporządza się go w momencie, gdyby chciał on kogoś wydziedziczyć. Zdaniem biegłego oszczędności Jaroszewicza wynosiły od 6 do 10 tysięcy dolarów. I że głównym powodem, dla którego sprawcy przyszli, mogły być pieniądze. Biżuteria i banknoty kolekcjonerskie nie wchodziły w rachubę.

Emerytowany już dziś policjant Dariusz Janas nawet po latach mówi, że banknoty to było za dużo zachodu. Złodziej nie

wiedzieli, jaką mają wartość. Trzeba je było zanieść do rzeczoznawcy, potem sprzedać. Kolekcjonerów nie ma wielu. Złodzieje mogliby zostać namierzeni. A tego nie chcieli. Dlatego najwartościowsza kolekcja domu w Aninie pozostała nietknięta.

Profilier Bogdan Lach uważa jednak, że sprawca aż w siedemdziesięciu procentach jest powiązany z ofiarą.

– Gdyby wykorzystać nasze pierwsze czynności jako materiał dowodowy, to sprawa nie powinna trwać dłużej niż czas potrzebny do uzyskania wyników badań twardych dowodów, jakie zabezpieczyliśmy – uważa Marian Duda, były naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego na Pradze-Południe. – A było ich kilka i były bardzo ważne. Na przykład zabezpieczyliśmy wymiociny psa Remusa jako ślad biologiczny, ale nikt się tym nie zainteresował. A można było dowiedzieć się, czego użyli sprawcy, żeby go zneutralizować i wejść do domu.

Podczas oględzin, jakoś na trzeci dzień po zabójstwie, jak zapamiętał Duda, na miejsce przyjechała biolog, która miała lampę UV. Takiej podczas oględzin nie mieli policjanci.

– I co ona wychwyciła tą lampą? – pyta policjant, wbijając we mnie wzrok. – Plamy krwi, niezauważalne gołym okiem, na które ktoś wcześniej wylał perfumy, a więc spirytus. Ten koaguluje białko, żeby niemożliwe było przebadanie krwi. Jaroszewicz krwawił z jednego miejsca, tymczasem obok strużki należącej do ofiary, równolegle szły inne ślady krwi, więc musiał to być ślad należący prawdopodobnie do jednego ze sprawców. I ona to zabezpieczyła. Nie wiadomo, co się z tym stało. Tak jak z wymiocinami psa.

Jeden ze śladów, twierdzi Duda, wskazywał na członka rodziny.

– Obok przejścia do pokoju telewizyjnego stał mały stoli-

czek w stylu Ludwika XVI. Blat był wytarty. Żadnych śladów. Ale stolik miał mahoniowe drewniane nóżki o przekroju prostokątnym, więc przylegały do ściany. I co pani biolog ujawnia? Że od strony ściany jest krew na nóżce, niewidoczna gołym okiem.

„Niech pani zbada całą ścianę” – mówię do niej. Bo jeśli Jaroszewicz siedział w pokoju, to krew, żeby znaleźć się na tej nóżce, musiałyby spaść i zakręcić się wokół albo odbić się od ściany. Ale na ścianie nie było żadnych śladów. Czyli w chwili zdarzenia stolik nie mógł stać w tym miejscu. Padły więc pytania, gdzie stał zwyczajowo? I Jan Jaroszewicz odpowiedział, że właśnie w tym miejscu, przy ścianie obok przejścia do pokoju. Chyba że ojciec z niego korzystał, to był przestawiany do saloniku. W chwili zabójstwa musiał więc stać koło fotela. No dobrze, ale jaki to sprawca wie, gdzie zwyczajowo stał stolik, żeby go odstawić na miejsce?

Kluczową rolę w pracy profilerów, uważa Bogdan Lach, jest wywiad wiktymologiczny, czyli uzyskanie informacji co do ofiar i osób podejrzanych. Warto więc podjąć działania w kierunku poszerzenia informacji na temat ofiary:

– Wiele razy otrzymujemy od osób, które znały ofiarę, ogromną ilość plew, bo wiąże się to z procesem żałoby i tym, że o zmarłych nie należy mówić źle. Przy starych sprawach już mija ten okres emocjonalny, w którym ludzie mówią o ofierze inaczej, niż ją widzieli za życia.

*

Alicja Solska-Jaroszewicz, choć nigdy nie skończyła studiów, była dziennikarką „Trybuny Ludu”. Wyszła za mąż za Piotra Jaroszewicza 30 grudnia 1955 roku, 3 lata po śmierci jego pierwszej żony, Oksany. W maju następnego roku przyszedł na świat ich syn – Jan. Biorąc ślub, była więc już w czwartym miesiącu

ciąży. Ma to o tyle znaczenie, że, jak zapamiętał Andrzej Jaroszewicz, „ojciec poinformował babcię, że ktoś z nami zamieszka. Powiedział też, że ona ma swoje dzieci, on swoje, i umówili się, że wspólną nie planują”^[16].

Stało się jednak inaczej. Andrzej Jaroszewicz w wywiadzie dla „Dużego Formatu” „Gazety Wyborczej” opowiadał mi tak: „Zrobiła bardzo dużo krzywdy mojemu ojcu. Na początku prześadywała często pod drzwiami jego kancelarii, a on uciekał prywatnym wyjściem (o tym opowiadała mi zaufana sekretarka ojca Teresa Rymsza). Solska pisała o gospodarce, a ojciec w tamtym czasie był już w rządzie znaczącą postacią. Jako wicepremier od czasów wojny zajmował się polskim przemysłem obronnym. Był szefem w komisji KC do spraw obrony narodowej i wicepremierem odpowiedzialnym za gospodarkę, która przecież w zależności od czasu, mniej lub bardziej pracowała dla przemysłu zbrojeniowego. Macocha była bardzo ładną, atrakcyjną kobietą”^[17].

Niestety, chronicznie nie znosiła swojego pasierba.

Andrzej Jaroszewicz: „Zamykała mnie nagiego w piwnicy z węglem. A po pięciu godzinach otwierała drzwi i kazała wracać. Po czym wsadzała do wanny i szorowała ryżową szczotką. Czasem spychała mnie do tej piwnicy ze schodów, a po kąpieli łała ręcznikiem. Przywiązywała mnie też za ręce do kaloryfera i trzymała związanego przez dwie godziny. Miałem 9 lat i nie umiałem się bronić. Nigdy też nie mówiłem jej »nie«. Różne były formy okazywania mi nienawiści: rzucanie przy ojcu talerzami z wrzaskiem: »Albo ja, albo Andrzej!«. Wymyślne kary za

16 Tamże, s. 31

17 Iza Michalewicz, *Andrzej Jaroszewicz. Czerwony książę rzuca cień*, Duży Format „Gazety Wyborczej”, 14 kwietnia 2016, s. 21.

to, że zjadłem za dużo jajek na twardo”^[18].

Poznali się w 1947 roku, kiedy Alicja była już żoną oficera LWP Pawła Solskiego. Jej pierwszy mąż przeszedł cały szlak bojowy z I Armią od Lenina do Berlina. Po wojnie pracował w Ministerstwie Obrony Narodowej w Warszawie. Małżeństwo z Alicją rozpadło się wiele lat wcześniej z powodu, jak to mawiała Solska, niezgodności charakterów. Ponieważ Paweł Solski był z pochodzenia Żydem, został zmuszony do opuszczenia kraju w 1968 roku.

Mirosława Arciszewska, siostra Alicji, mówiła śledczym: „W 1942 roku, mając 17 lat, Alicja wstąpiła do Związku Walki Młodych. Nasz ojciec miał poglądy lewicowe. Ja do ZWM wstąpiłam w 1943 roku. Obie z siostrą walczyłyśmy w Powstaniu Warszawskim. Alicja w Śródmieściu, a ja na Żoliborzu”.

Policjanci zaczynają więc grzebać w przeszłości Jaroszewiczów, tam szukając przyczyny ich śmierci.

Docierają do koleżanki Solskiej jeszcze z czasów okupacji – Kazimiery Rączki.

Poznały się w Warszawie w 1943 roku. Wówczas Alicja była jeszcze panną i nazywała się Duchińska (pod takim zresztą nazwiskiem funkcjonuje dziś w powstańczej bazie Muzeum Powstania Warszawskiego). Obie należały do Związku Walki Młodych. Alicja nosiła pseudonim „Inka”, była w pionie propagandowym i redagowała biuletyn, a Kazia kolportowała.

Walczyły w Armii Ludowej w Batalionie Czwartaków. Z bronią w ręku. „Inka”, zapamiętała Kazia, była jedną z najdzielniejszych dziewczyn w Powstaniu. Zasłynęła przepłynięciem wpław Wisły z meldunkiem do 1 Armii Wojska Polskiego o sytuacji w walczącej Warszawie. Wojnę zakończyła w stopniu

18 Tamże.

podporucznika.

Była o 16 lat młodsza od swojego drugiego męża, Piotra Jaroszewicza. Jego karierę można nazwać bardziej niż błyskotliwą. Deportowany w czerwcu 1940 roku do obwodu archangielskiego, Jaroszewicz rok później dołącza do formowanego na terenie ZSRR Ludowego Wojska Polskiego. Zaczynał od stanowiska pisarza-magazyniera, potem skierowano go do pionu politycznego. W sierpniu 1943 roku był jeszcze szeregowcem, ale błyskawicznie awansował. Został zastępcą szefa, potem szefem wydziału propagandy, a w końcu zastępcą dowódcy 2. Dywizji Piechoty ds. polityczno-wychowawczych. Po kilkunastu miesiącach był już pułkownikiem, wreszcie zastępcą dowódcy 1. Armii Wojska Polskiego, a pół roku później – zastępcą szefa Głównego Zarządu Politycznego WP. Nie brał bezpośredniego udziału w walkach na froncie. W grudniu 1945 roku, już po wojnie, awansował na generała brygady. Miał wówczas 36 lat, w wojsku służył zaledwie 28 miesięcy. Złośliwi mawiali, że nawet Napoleonowi Bonaparte awans od porucznika do generała zabrał trochę więcej czasu. Dlatego Jaroszewicza niektórzy podejrzewali o współpracę z sowieckim wywiadem GRU.

– Niektórzy dziennikarze upatrywali w Jaroszewiczu agenta KGB. Co powie pan na ten temat? – spytają policjanci Bohdana Rolińskiego.

– Kategorycznie zaprzeczał takim opiniom. Wiem, że na każdej sesji w RWPG demonstrował swoją niezależność, co wprawiało w zakłopotanie nie tylko gospodarzy, ale i innych uczestników. Faktem jest, że miał dobre stosunki w Moskwie. Powiedział kiedyś: łatwo udowodnić, że ktoś był agentem, trudno – że się nim nie było.

Teresa Rymśza (lat wówczas 60), wieloletnia sekretarka premiera i powiernica wielu jego spraw, potwierdzi, że miał

bardzo wysokie notowania u władz radzieckich. Przedstawiciele swoich państw w RWPG często zwracali się do niego z prośbą o pomoc w negocjacjach z innymi członkami Rady i niektóre kwestie pomagał im wynegocjować. Rosjanie przekładali nawet termin oficjalnej wizyty z powodu choroby premiera. Jaroszewicz doskonale znał rosyjski, rosyjską mentalność i sposób rozumowania.

„Ponieważ Jaroszewicz spędził w ZSRR wiele lat, miał tam wielu osobistych przyjaciół – wspominała sekretarka. – Byli to ludzie, których spotkał na północy byłego ZSRR i w czasie wojny. Osoby te zajmowały różne wysokie stanowiska we władzach b. ZSRR. Jednym z jego wieloletnich serdecznych przyjaciół był premier Białorusi Kirył Mazurów [od 1965 roku wicepremier rządu ZSRR – I.M.]. Spotykali się często w Moskwie, a także na polowaniach w Puszczy Białowieskiej. Mieli do siebie duże zaufanie. Myślę, że przy okazji tych spotkań rozmawiali o wielu sprawach, które nie były podejmowane podczas wizyt oficjalnych”.

Rymsza pracowała w gabinecie Jaroszewicza od chwili gdy w 1970 roku został premierem aż do ostatniego dnia jego urzędowania – 10 lat później. Była Piotrowi Jaroszewiczowi i jego rodzinie bardzo oddana, znała wiele jej tajemnic. Ciemnowłosa, o dobrotliwej, wschodniej urodzie, pochodziła z Wileńszczyzny. Jako repatriantka wróciła do Polski w 1957 roku. Tu skończyła studia na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPiS w Warszawie.

Potwierdziła w zeznaniach, że Alicja Solska źle traktowała Andrzeja Jaroszewicza. Często niesłusznie go karała i była inicjatorką wysłania go do Straszyna, pod Pruszczem Gdańskim, do przyjaciela premiera z dawnych lat – Stanisława Cabaja. Premier zgodził się, bo nie miał innego wyjścia. Nie był w stanie poświęcić więcej czasu na wychowanie syna. Pracował od rana

do nocy. Syn wspominał: „można było według jego planu regulować zegarki Jak już był premierem, a ja znanym rajdowcem, i chciałem z nim porozmawiać, to musiałem wpaść do Anina o siódmej rano albo czekać w Urzędzie Rady Ministrów”^[19].

Marię i Stanisława Cabajów premier znał jeszcze sprzed wojny, z czasów seminarium nauczycielskiego. Mieli w Straszynie małe gospodarstwo i byli nauczycielami w miejscowej szkole. Zaopiekowali się jego synem, bo się domyślili, że ojciec chciał go chronić przed macochą.

„Warunki tam panowały spartańskie. Myłem się w misce albo w jeziorze. Zamiast kibelka wielka dziura. Latem muchy, zimą pewna część ciała zamarzała (...). Mieszkałem u nich przez dwa i pół roku. Dzwoniłem i płakałem: Tatusiu, zabierz mnie do domu. Czułem się odrzucony i ukarany za coś, za co karę powinien ponieść ktoś inny”^[20] – wspominał po latach syn premiera.

Andrzej czuł się podwójnie osierocony. Do Warszawy wrócił w siódmej klasie podstawówki, ale że nie zdał ze śpiewu, miał powtarzać klasę z córką Alicji Solskiej – Hanną. Zdecydował więc, że wyjedzie do szkoły, a potem do Liceum w Pruszczu Gdańskim. Zamieszkał na stacji u profesora biologii Jana Sychty.

Profesor zapamiętał Andrzeja jako zdolnego, szybko uczącego się, żywego i dość latwowieznego nastolatka:

– Nie miałem z nim żadnych problemów. Otrzymywałem pieniądze za pokój, wyżywienie i kieszonkowe dla Andrzeja. Były skromne, jak na syna prominenta. Kieszonkowe pozwalało Andrzejowi na zaledwie jedno wyjście do miasta czy wyjazd do Gdańska. Ubranie Andrzeja to były głównie ciuchy po ojcu, po

19 Tamże.

20 Tamże.

przeróbkach. Piotr Jaroszewicz chciał, żeby syn żył skromnie. Interesował się też jego zachowaniem i postępami w nauce. Bywał raz, czasem dwa razy do roku albo wzywał mnie i Andrzeja do Warszawy. Wtedy przyjeżdżał po nas jego kierowca. Małżeństwo Jaroszewicza i Solskiej było typowo kontraktowe. Potrzebny był taki układ i w nim funkcjonowali.

Teresa Rymsha z rozmów z premierem wywnioskowała, że w miarę upływu lat narastało w nim poczucie winy wobec Andrzeja:

– Wbrew wielu plotkom Andrzej nigdy nie korzystał w takim stopniu jak dzieci Solskiej z faktu, że Piotr Jaroszewicz jest premierem. O sprawy swoich dzieci skutecznie umiała zabiegać Solska. Andrzejem się nie interesowała, w związku z tym był pozostawiony sam sobie.

Wrócił do domu dopiero, kiedy poczuł się silniejszy. Na studia (skończył w Łodzi prawo, ale nie zrobił aplikacji). Rodzina przeprowadziła się już wówczas do Anina, gdzie na posesji stały dwa domy. Andrzej zajął pokój w mniejszym i dzielił dom z dyżurnym oficerem BOR-u.

Dzięki sekretarce dowiemy się, jak wielką faktycznie wartość miała kolekcja banknotów premiera. Ich zbieranie było jego wielką pasją. Przeznaczał na to miesięcznie od 5 do 8 tysięcy złotych tak zwanej diety poselskiej [dla porównania: alimenty na dziecko w tamtych latach wynosiły średnio 2 tysiące – I.M.].

Banknoty kupowała Teresa Rymsha na swoje nazwisko. Zdarzało się, że niektóre stanowiły wartość jej trzymiesięcznej pensji. Poza jednym kolekcjonerem nikt nie wiedział, że kupuje je dla premiera.

Szczególnie cenne były „notgeldy” – banknoty z okresu

przed wprowadzeniem państwowych środków jako płatniczych. Równie cenne były te z okresu powstania kościuszkowskiego, okupacji hitlerowskiej (z getta w Warszawie czy Łodzi) albo banknoty Banku Emisyjnego w Polsce. Rymsza na polecenie Jaroszewicza jeździła na bazyry staroci do Krakowa, Łodzi, na Wybrzeże i do Poznania.

Nikt z rodziny nie interesował się pasją generała ani nie brał udziału w zakupie banknotów. Tylko Alicja Solska psioczyła na Rymszą: „Po co mu pani znosi te banknoty!” Złościła się, że premier wydaje na to pieniądze. Generał miał w planie przekazać całą swoją kolekcję muzeum.

O Jaroszewiczu sekretarka powie jeszcze śledczym:

„Bardzo uważał, by nikt nie posądził go, że czerpie korzyści z bycia premierem. Kiedy cokolwiek kupował – gromadził rachunki. Był w tym szalenie skrupulatny. Chciał udowodnić, że rzeczy, które posiada, kupił za własne pieniądze.

Należał do ludzi o małych potrzebach. Sądzę, że wynikało to z jego życiowych doświadczeń. My, sekretarki, często odbierałyśmy jego pensję i przez nas szły też rachunki ze sklepu, gdzie zaopatrywał się w żywność. Nie były to znaczne kwoty.

Suweniry od przedstawicieli państw zachodnich były bardzo skromne. Na przykład prezydent Nixon przekazał premierowi w prezencie swoje zdjęcie oprawione w posrebrzane ramki. Natomiast pani Solska dostała paterę i sztuczne kwiaty.

W jego domu bywałam tylko na parterze. Obawiał się podłuchu, więc po wypiciu kawy czy herbaty wschodziliśmy do ogrodu i rozmawialiśmy, spacerując.

Mój szef był niezmiernie skrupulatny i pedantyczny, dlatego uważam, że musiał sporządzić testament. Bardzo kochał Andrzeja i swój błąd (że wybrał pracę) zrozumiał na stare lata.

Przechowywał wszystkie listy od syna”.

*

Policja całkowicie pomija wątek Radomierzyc. Tamtego czerwca 1945 roku na dziedzińcu monumentalnego barokowego pałacu, położonego na sztucznej wyspie otoczonej podwójnym kręgiem Nysy Łużyckiej, wjeżdża samochód z Piotrem Jaroszewiczem. Jaroszewicz dostał zadanie zabezpieczenia tajnych dokumentów szpiegowskich niemieckiego wywiadu.

Radomierzycy, perła pałaców, kryły akta wywiadu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy, których niewielką, lecz istotną część rzekomo przywłaszczył sobie Jaroszewicz. Zawierały tajniki współpracy francuskich, belgijskich i holenderskich elit z Gestapo. Mając nieocenioną wartość, mogły być wykorzystane w rozgrywkach politycznych na arenie międzynarodowej po II wojnie światowej.

Jaroszewiczowi mieli towarzyszyć Tadeusz Steć (znany sudecki przewodnik, zamordowany rok po premierze) i generał Jerzy Fonkowicz, ówczesnie szef kontrwywiadu Ludowego Wojska Polskiego – zamordowany w 1997 roku. W każdym z tych przypadków sprawcy do dziś pozostają nieznani.

Ale ta przeszłość w chwili zabójstwa jest dla śledczych zbyt odległa.

Dariusz Janas: – Wątek Radomierzyc nikogo nie interesował, bo wszystko wskazywało na to, że zabójstwo Solskiej naprawdę było przypadkowe.

Policjanci robią sprawdzenia w całej Warszawie. Niektórzy operacyjnie chodzą na wódkę z przestępcami, żeby wyciągnąć od nich istotne informacje. Kto mógł przygotować ten napad? Czy w środowisku włamywaczy coś się o tym mówi?

Drepczą jednak w miejscu. W końcu dochodzą do wniosku,

że nie zrobił tego nikt z Warszawy. Zaczynają więc sprawdzać, czy w Aninie były podobne włamania. Trafiają na generałową Barbarę Spiechowicz. Piękny, zadbanej domek, trzcina obrzucona gliną, taki cukrowany jak babci Czerwonego Kapturka, zapamięta Janas. Wieczne ciasteczka, paluszki, herbatka dla gości. Generałowa opowie im swoją historię: że wlażło dwóch typów, założyli jej szmatę* na głowę, ściskali ją wokół szyi i kazali mówić, gdzie ma kosztowności. Kobieta wszystko pokazała, choć żyła skromnie. W trakcie napadu na jej prośbę podali jej leki i wodę. Potem związali i zawinęli w dywan. „Zabrali mi złoto i biżuterię – opowiadała policjantom. – I 22 ikonki kupione w Desie. Do domu dostali się przez garaż. Dzięki temu, że znaleźli złoto, to mnie nie zabili. Miałam pod poduszką pistolet sportowy, ale nie użyłam go. Bałam się”. Włamywacze ukradli jej też dowód osobisty, legitymację emeryta. Krzyż Powstańczy wraz z legitymacją, cegiełkę na pomnik powstańców, pilota od telewizora, kalkulator, srebrną łyżeczkę do cukru i dwie talie kart.

Śledczy pomyśla, że *modus operandi* sprawców (leki, woda] jest zbliżony do przypadku Jaroszewiczów.

W kilka osób biorą archiwalne policyjne dzienniki wydarzeń z Pragi-Południe oraz Anina i sprawdzają je dzień po dniu. Do 5 lat wstecz. Ofiarą włamywaczy była też 77-letnia Helena Parol. Mieszkała w Hucie Mińskiej. Napadli na nią 4 września 1990 w nocy, wyłamując framugę okna. Kobieta zeznała potem, że wśród napastników prawdopodobnie była kobieta. Wskazała im, gdzie są pieniądze, ale uznali, że jest ich za mało, więc przypalali jej plecy i pośladki rozgrzanym żelazkiem. Potem wynieśli do innego pokoju, zawinęli w dywan, związali i zostawili.

Kobietę znalazł wnuk. Nie przeżyła napadu. Za duże były oparzenia na ciele.

Około 2 lat przed zabójstwem Jaroszewiczów generałowej

Spiechowicz ktoś zakłada na głowę szmatę. Mieszkała w pobliżu premiera. Policjanci szukają akt, a w nich znajdują element, który mógł im dać przełom w śledztwie.

Ponieważ była wtedy moda na włamania i kradzieże na działkach, po dzielnicach chodziły tak zwane patrole obywatelskie. I jeden ze świadków zauważył zaparkowany za domem Spiechowicz samochód. Nietutejszy – syrenkę bosto. Na obcych numerach. Sprawcy, jak się potem okazało, weszli od tyłu, mijając wysokie krzaki, i wyszli tą samą drogą. Autem, zauważonym przez patrol, odjechali. Na miejscu zdarzenia, jak wynikało z akt, znaleziono męski detektywistyczny kaszkiecik (były na nim zabezpieczone ślady) i kawałek linki, którą krępowano kobietę. Policjanci piszą więc do prokuratora prośbę o wgląd do depozytu dowodów zabezpieczonych na miejscu włamania.

– I tu zaczyna się pierdolnik, jak w całej Polsce. – Dariuszowi Janasowi żyłka tolerancji na fuszerkę organów ścigania niebezpiecznie się naciąga. – Prokurator bierze depozyt, nie zostawia pokwitowania, po czym to wszystko ginie. Tak zginął nam kaszkiecik, a z nim pot, włosy, DNA (choć wtedy badania były bardzo drogie, ale zrobilibyśmy). Postępowanie przepadło rok po tym, jak sprawę włożono do archiwum. Mieliśmy jednak spisane numery samochodu. Było to auto z Mińska Mazowieckiego.

Sprawdzenia i typowanie sprawców trwały ze trzy miesiące. Codziennie, od rana do wieczora.

Janas: – Wszyscy byliśmy zmęczeni tą sprawą, bo był już rok 1994. Ale w policji nastał prawdziwy generał, Zenon Smolarek, rasowy glina, i pyta: „Czego wam potrzeba”. Ja na to: „Dwóch mądrych ludzi i samochód (bo korzystałem z wydziałowego, więc jak go brałem, to inni nie mieli, a musieli jechać na bieżące wydarzenia)”.

Minął może z tydzień, przyjeżdża dwóch świetnych krymi-

nalnych policjantów, między innymi Ryszard Wojaczyk z Poznania. Wojaczyk to legendarny poznański policjant, który wsławił się ujęciem nekrofila grasującego na poznańskich cmentarzach i zatrzymaniem złodziei sarkofagu świętego Wojciecha z Bazyliki Archikatedralnej w Gnieźnie.

Oprócz niego grupa dostała do dyspozycji służbowego pasata bez limitów paliwa.

Pracowali całą dobę, jeżdżąc do więzień, miast, miasteczek na rozmowy z potencjalnymi informatorami. W Mińsku Mazowieckim takie samo włamanie. Najpierw do pani mecenas. Lubiła sobie wieczorem wypić. Włamali się do niej nocą, sznurek od bielizny na szyję i gdzie masz pieniądze, stara kurwo. Ona się dusi. Wśród męskich głosów słyszy jeden damski.

Męski głos: „Jak się, kurwa, ruszy, to ją dobij”.

Mecenaska z przerażenia udawała więc zemdloną.

Kiedy ukradli, co chcieli – uciekli. Ale że kobieta była w Mińsku lubiana, ogłosiła, że zapłaci za wiedzę w temacie włamu do jej domu. Wieść gminna poszła.

Policjanci spędzają w Mińsku całe dnie, łążą po knajpach, rozpytują. Metodą operacyjną ustalają, że to złodziej, który wcześniej zabił na skwerku jednego z mieszkańców miasta. I siedzi.

Niektóre mieszkania śledczy okablowują na podsłuch. Same akta operacyjne zaczynają wypełniać już całą szafę. W końcu policjanci trafiają na kobietę z trójką dzieci, która jest kochanką niejakiego Krzysztofa R., ksywka „Faszysta” Tego właśnie, który siedzi. Zaczynają więc Jadwigę K. obchodzić w kółko jak koty i delikatnie, po cichu, powoli zacieśniają kręgi. A ona potwierdza, że panią mecenas obrobił R., ale sama bała się go jak ognia. Kiedyś mówił, że ją zabije, a nawet strzelił do niej z kuszy.

Policjanci słuchają Jadwigi w nocy. Nie mogła oficjalnie pójść na komendę, żeby jej nikt nie zobaczył, „bo R. urwałyby jej łeb”. Zgodziła się złożyć zeznania pod warunkiem, że zatrzymają to w tajemnicy.

– I ja z maszyną do pisania siedziałem na tylnym siedzeniu passata (ona z przodu) i zapisywałem jej zeznania – wspomina Janas. – Potem nam zarzucano, że to manipulacja, ale nie było innej szansy wydobycia zeznań. Opowiadała szczegóły, których nie mógł znać nikt przypadkowy.

Janas zorientował się, że Jadwiga K. była z szajką włamywaczy w domu mecenaski, ale nie miał na to dowodów, więc wolał mieć dobrego świadka niż kiepskiego podejrzanego. W polskim prawie podejrzanym ma prawo milczeć, a świadek musi zeznać.

W tamtym czasie z aresztów śledczych przychodzą do prokuratora wątki poboczne: dwa listy od różnych więźniów. Piszą, kto proponował im udział w napadzie na dom Jaroszewiczów.

Do pierwszego, który odsiaduje karę w Czarnem, jedzie jeden z prokuratorów i dowiaduje się, że gdy więzień był na „niepowrocie” (miał przerwę w odbywaniu kary i nie wrócił do więzienia na czas), w 1991 roku, w mieszkaniu znajomego, jakiś mężczyzna w wieku około 40 lat proponował mu zrobienie napadu na dom Jaroszewiczów. I że „będzie łatwo wejść pomimo psa”.

Drugi natomiast przekonuje listownie:

„Syn pana Jaroszewicza publicznie w TVP powiedział, że ofiarowuje pewną kwotę pieniędzy temu, kto wskaże lub naprowadzi na ślad zbrodni. Ja przekazałem więcej, niż pan Jaroszewicz napisałby w pamiętnikach. A obiecanych pieniędzy ani słychu. Jeśli zleciłbym żółtowi dostarczenie ich do Biłgoraja, to z

pewnością już bym je otrzymał”.

Jadwiga K. w Mińsku w końcu zeznaje policjantom, że na rabunek do Jaroszewiczów do Anina pojechało ich czterech. Poza Faszystą, to Jan K., pseudonim Krzaczek, Wacław K., Niuniek, i Henryk S. – Sztywny.

– Założyli dreluchy i rękawiczki – relacjonowała przestraszona, a Janas uderzał w klawisze maszyny do pisania, siedząc na tylnym siedzeniu policyjnego passata. – Wrócili około 4.00 rano i wpadli do domu bardzo zdenerwowani. R. zdjął ubranie, bo miał pokrwawione całe plecy. Wszystko spaliłam.

Sztywny, największa pierdoła, stał na czatach, ale jak usłyszał strzały, to od razu uciekł.

Krzaczka trzeba było odwieźć na pociąg o 4.20. Mieszkał w Opolu. Odwieźli.

Faszysta w jakiś sposób ufał swojej partnerce. Rok wcześniej pisał do niej grypsy z więzienia:

Jaguś kochana, jestem w wariatkowie, może jakoś się wykaskam z tego. Napisz co ty zeznałaś i co to za wizja lokalna, i co zeznają inni. Gryps schowaj dokładnie, nie tak, jak poprzednio, że paczka wyglądała, jak w ciąży. Nie gniewaj się na mnie rybko moja, pilnuj moich rzeczy a szczególnie monet srebrnych i srebra. Kocham cię do końca”.

Policjanci zaczynają przesłuchania. Ojciec R. był komendantem milicji. R., który zaczął się włamywać już po szkole podstawowej i miał za sobą 16 lat odsiadki za różne przestępstwa, powie Janasowi, że owszem, był w Aninie, kiedy rozprawiano się z Jaroszewiczem. Że przejeżdżał pod jego domem w dniu zabójstwa o 23.15. Jechał w tamtym czasie na inne przestępstwo. Wściekał się: – To wy musicie mi udowodnić winę. Ja psom w niczym nie będę pomagał. Mogę być bandziorem, włamywa-

czem, ale nie jestem mordercą.

Mówi, że morderstwo Jaroszewiczów mogło trwać ze 3–4 godziny, ale nie wie, jakie jest jego podłoże. Dlatego zgadza się na badania wariografem. Wolałby zabić pięciu hydraulików niż jednego Jaroszewicza, bo zdaje sobie sprawę, że dzisiaj to jak zabicie Kiszczaka czy Jaruzelskiego. I wie, jaki zasięg miałyby śledztwo. Dlatego nie ruszyłby Jaroszewicza, nawet gdyby tam znajdowała się furmanka złota.

Wacław K., Niuniek, wycodzi tylko policjantom: – Marnujecie czas na rozmowy ze mną.

W Aninie nigdy nie był i na nikogo nie napadał. Jeśli ktoś widział jego syrenę, to nie bosto, tylko R-20. Poza tym czuje się torturowany pytaniami. Nikt mu sprawy Jaroszewiczów „nie przybiję”, bo to jest za gruba sprawa. Jak coś zrobił, to ukradł kilka pustaków. I tyle jego złodziejstwa. Niczego się nie boi. W więzieniu się wychował i w więzieniu zdechnie. I tak pójdzie do nieba. A pójdzie tam odważnie.

Prokurator Artur Kassyk decyduje wszystkich tymczasowo aresztować. Jest kwiecień 1994 roku.

Powołuje też na bieglego Jacka Bieńkuńskiego, wówczas pracującego dla Zakładu Techniki Kryminalistycznej i Ochrony Specjalnej, by stwierdził, czy u podejrzanych istnieje związek z zabójstwem Jaroszewiczów.

Sztywny ma pretensje, że o badaniu zdecydowano nagle, bez uprzedzenia, i że w trakcie przewożenia go wręczono mu postanowienie o przedłużeniu aresztu o kolejne trzy miesiące. Jego złość przypomina nadchodzącą wicherę:

– Przecież ja powinienem wyjść bez żadnej sprawy, bo to jest parodia prawa! – wrzeszczy do Bieńkuńskiego. – A prokuratora mam w dupie, bo ten głupi bydlak nie ma prawa stawiać mi

takich zarzutów!

Ale poligrafer słuchał już niejednego „niewinnego”. Rozpoczyna więc taniec pająka wokół ofiary. Najpierw delikatnie:

– Jeżeli pan nie chce, to ja nie będę pana namawiał, ma pan prawo być zdenerwowany. Ale to badanie może być dla pana korzystne. Jeżeli autentycznie nie ma pan związku z zabójstwem, to może pan być spokojny. Uwolni się pan od niesłusznych podejrzeń. Badanie jest dobrowolne.

Sztywny słucha.

– Przed rozpoczęciem testu zapoznaję pana z pytaniami, które będę panu zadawał, a dla mnie, widzi pan, świętą zasadą jest obiektywność. Że ma pan przeszłość taką czy inną – to mnie nie interesuje. Z chwilą gdy zgodzi się pan na badanie, dla mnie jest pan człowiekiem czystym jak Iza. Nie będę pana niczym zaskakiwał, straszyl ani niczego panu wmawiał. Etyka zawodowa mi tego zabrania. Za pomocą tego urządzenia wielokrotnie uwolniłem ludzi od niesłusznych tragedii, a oni uwolnili się od intensywnych przesłuchań. Musielibyśmy ze sobą jeszcze porozmawiać jakieś 40 minut, żeby pan się wewnętrznie uspokoił. A jak pan nie chce, to ja napiszę krótko, że nie, i wszystko. To dobra wola prokuratora o powołaniu biegłego. Jeśli zdecydował się na pana prośbę takie badanie zarządzić, to musi za to zapłacić. Te badania są bardzo drogie, i to nie jest takie wsiu-bziu, bo trwa długo. Musi być dokładne, rzetelne i na spokojnie.

Głos Bieńkuńskiego nabiera powoli mocy terapeutycznej.

– Musi pan skalkulować, co się panu opłaca, a co nie. Jeżeli przedłużono areszt, to coś w tym jest, ale na ile jest w tym pana udział? Trochę teoretyzuję, ale znam ten świat i znałem autentycznych morderców. Może być taka sytuacja, że pana ktoś chce ugotować, odstrzelić, bo zawsze się szuka jakiegoś jelenia. Te

badania mają pomóc ustalić, czy pan zabił, czy nie. Czy pan tam był, czy nie.

Urządzenie działa tak, że pan nie może nim sterować. Te zmiany zachodzą poza pana wolą, świadomością. I ja na poligraf też nie mam wpływu. Jeżeli pan kłamie, to widzi pan, co tu się dzieje [pokazuje Sztynwnemu inny wydruk z poligrafu]. Tu jest pod linijkę. A tu [palec poligrafera łąduje na wierzchołku sinusoidy] – ciśnienie naciera do góry, mało komory serca nie rozwali, bo człowiek kłamie.

To nie jest tak, że biorę do badania każdego. Najpierw stwierdzam stan psychofizyczny człowieka, czy się kwalifikuje, żeby takie badanie przeprowadzić. Nie może pan mieć na przykład gorączki. I badanie może pan przerwać w każdej chwili.

Sztynwny w końcu topnieje. Jacek Bieńkuński poligrafem typu Lafayette, rejestrującym oddech, ciśnienie krwi i tak zwany odruch skórno-galwaniczny [*Galvanic Skin Response* – GSR], zacznie sprawdzać wiarygodność podejrzanego o zabójstwo Jaroszewiczów włamywacza. I to, czy występują u niego zmiany psychofizjologiczne wskazujące, że może mieć z nim związek emocjonalny. Nim zacznie, jeszcze rozmawiają:

– Niech pan się oprze wygodnie, nogi sobie wyprostuje. Który pan jest rocznik?

– Czterdziesty drugi.

– Wykształcenie ma pan?

– Podstawowe. Montażysta budowlany.

– Żonaty, tak?

– Tak. Troje dzieci.

– Wyjaśnię panu: to nie jest wykrywacz kłamstw, choć jest tak popularnie nazywany. Urządzenie to tylko rejestruje, a na podstawie tego wykresu określa się związek emocjonalny z

konkretnym przestępstwem. Czy pan chce, czy nie chce, serce bije raz szybciej, raz wolniej. Pan nie ma wpływu na to, ile razy serce bije na minutę, tak samo nie spowoduje pan, by krew w naczyniach krwionośnych krążyła wolniej lub szybciej. Urządzenie te zmiany rejestruje niejako w sposób ślepy. Jeśli będzie pan mówił prawdę, to wykres w tym miejscu nie będzie silny, a jeśli będzie pan próbował coś ukryć, to gwałtownie wtedy zmienia się praca serca.

– Ja 31 sierpnia z nikim nigdzie nie byłem. Jak człowiek wyjdzie z kryminału, to się wstydzi i z domu nie wychodzi. O zabójstwie dowiedziałem się z telewizji i zarzutów, które mi przedstawiono. A robotę wykonali fachowcy.

– Pan patrzy prosto przed siebie. Nie rusza ciałem, nie rusza głową. Zadam kilka pytań tak zwaną metodą Reida [układanych na podstawie znajomości akt].

Pytania wyglądały tak:

Czy w sprawie zabójstwa Alicji i Piotra Jaroszewiczów zamierzasz oszukiwać w teście?

Czy znasz osoby, które dokonały tego zabójstwa?

Czy przez Warszawę przepływa Wisła?

Czy to ty w nocy z 31 sierpnia na 1 września zastrzeliłeś w domu Alicję Jaroszewicz?

Czy obecnie jest grudzień?

Czy to ty krytycznej nocy, zaciskając pętlę na szyi Piotra Jaroszewicza, pozbawiłeś go życia?

Czy przed ukończeniem 19 lat wyrzuciłeś komuś krzywdę przy użyciu niebezpiecznego narzędzia? (pytanie kontrolne)

Czy pod koniec sierpnia 1992 roku przebywałeś w rejonie posesji Jaroszewiczów i dokonywałeś rozpoznania terenu i zwyczajów domowników?

Czy ukrywasz jakiegokolwiek fakty związane z napadem na dom Jaroszewiczów?

W testach szczytowego napięcia pytanie krytyczne, związane ze sprawą, jest ukryte wśród innych pytań. Test poinformuje, czy włamywacz zna szczegóły zdarzenia i stara się je zataić przed organami ścigania.

Jacek Bieńkuński (do Szywnego): – Niech się pan rozluźni. Jak pan widzi – nie bolało. Widzę, że jest pan wewnątrznie spięty, a to był pierwszy test, i miał pan prawo.

Kolejny test bombarduje różnorodnymi pytaniami:

Czy obecnie jest lato?

Czy znajdujemy się w górach?

Czy wiesz na pewno, z czego był opatrunek pod bandażem u Piotra Jaroszewicza [badany mówił wcześniej, że nie wie]?

Czy był z waty? Gazy? Plastra bez opatrunku? Plastra z opatrunkiem? Chusteczki higienicznej?

Czy wiesz na pewno, że sejf, którego zabójcy Jaroszewiczów nie mogli otworzyć, znajdował się w garażu? Na parterze w dużym pokoju? Na parterze przy wejściu do kuchni? Na pierwszym piętrze w gabinecie Piotra Jaroszewicza? W pokoju sypialnym Alicji Jaroszewicz?

Pytania zaczynają się mnożyć. W końcu poligrafer zwraca się do Szywnego:

– Po tych kilku testach mogę stwierdzić, że nie jest pan ze mną całkowicie szczery. Tak bym to delikatnie ujął. Silne reakcje na niektóre pytania świadczą o tym, że albo pan ma z tym zabójstwem coś wspólnego, albo coś pan na ten temat wie.

– Nie mam nic wspólnego z zabójstwem! – Szywny traci cierpliwość. – Dla mnie to w ogóle nie jest honor, żeby, kurwa, jakaś maszyna za mnie mówiła.

– Panie Heniu – Bieńkuński łagodnie zniża głos – czy ja pana usiłuję zdenerwować?

– Ja nie jestem wariat, ja jestem spokojny człowiek, ale tak się, kurwa, zdenerwowałem. Takie rzeczy? Takie rzeczy?!... - Sztywny piekli się coraz bardziej. – Proszę pana, to nie jest prosta sprawa, to nie jest ukradzenie konserwy. Tylko jeszcze... proszę bardzo... Jaroszewicza zabił. Jak prowadzą śledztwo? Komenda Główna to nie powinny być jakieś głupki, tylko ludzie mądrzy, co nie? Niech oni winnych znajdą, a nie bzdury mówią, że wiedzą, jak to jest, tylko niech ja im powiem. Albo że tamci to moi współnicy są. Oni są tak, kurwa, moi współnicy, jak stąd jest dwa metry do Moskwy!

W końcu „pan Henio” podpisuje, że nie wnosi żadnych zastrzeżeń do przebiegu badań i osoby badającego.

– Można wejść, panowie – rzuca Bieńkuński do policjantów. – Będzie mi ciężko ocenić ten test, na pewno są symptomy wskazujące na to, że był w Aninie. Facet, kurwa, całego mnie upierdolił tuszem, jak się wzbudził w teście milczących odpowiedzi.

Poligrafer pisze, że „w wyniku przeprowadzonych badań u Henryka S. stwierdzono występowanie znaczących zmian emocjonalnych w ciśnieniu i tętnie krwi, oddechu oraz GSR przy odpowiedziach »nie« na pytania krytyczne (w teście Reida z wyjątkiem pętli na szyi Jaroszewicza, z czego może wynikać, że nie on zabił). Wniosek: mógł brać udział w napadzie i może ukrywać inne osoby, które w nim uczestniczyły”.

Następny na wykrywacz siada Jan K., włamywacz, wielokrotnie karany. Policjanci znajdują u niego w domu fiński nóż („kupiłem go na bazarze Różyckiego”, „ukradłem z domu na Saskiej Kępie”). Taki sam nóż miał Piotr Jaroszewicz. Polska policja zwraca się do fińskiej ambasady z pytaniem, która z firm

produkuje takie noże jak ten Jaroszewicza. Finowie odpowiadają, że to Iisakki Järvenpää Oy. Interpol w Helsinkach przesyła do polskiego Interpolu w Warszawie informację, że nóż jest ozdobiony dodatkowym elementem – lwem, umieszczonym na pochwie i na stalowej płytce kończącej rękojeść. Lew jest symbolem Fińskich Sił Obrony i w latach siedemdziesiątych wykonano kilkadziesiąt sztuk takich noży. Nie można więc ich było, ot tak, kupić. Dyrektor zakładu zademonstrował policjantom taki sam nóż z tamtejszego muzeum i dodał, że z noża nadesłanego przez stronę polską usunięto nazwę firmy nanoszoną na ostrze.

Centralne Laboratorium Kryminalistyczne bada nóż mechanicznie i chemicznie (odczynnikiem chromowym) i stwierdza, że na brzeszczocie nie ma znaków graficznych.

Taki sam nóż dostało w Polsce jeszcze kilka osób, między innymi generał Florian Siwicki.

Jan K., ksywka Krzaczek, przypomina bohatera filmu *Star Trek*, Spocka, granego przez Leonarda Nimoya: 165 centymetrów wzrostu, waga piórkowa, tatuaże na całym ciele i braki w uzębieniu. Chory na astmę, ma zwyrodnienie kręgosłupa. Przeszedł też gruźlicę. Jest rencistą II grupy. Twierdzi, że w czasie gdy zamordowano Jaroszewiczów, przebywał u żony i dziecka w Opolu. Syn, 3,5 roku, zachorował ciężko na zapalenie opon mózgowych. Krzaczek o 6.00 rano miał wzywać pogotowie.

Z Henrykiem S. i Wacławem K. znają się jeszcze ze szkoły. Podobnie jak pozostali Krzaczek zakończył edukację na podstawówce. Już wtedy kradł i uciekał z domu. Jego matka była woźną w prokuraturze, ojciec – rzeźnikiem. Pił i wszczywał awantury. Zmarł na raka żołądka. Krzaczek szkołę przerwał w trzeciej klasie. Za kradzież wylądował w poprawczaku. Tam skończył jeszcze dwie klasy podstawówki i nauczył się tapicerki. Podstawówkę skończył już w więzieniu, gdzie spędził w sumie 20 lat

za kradzieże, włamania i rozboje. Dwukrotnie żonaty, dwoje dzieci.

Podczas badania wariografem wprowadza element zakłócający: pociąga nosem, rusza się, kaszle, co przeszkadza w obiektywnej ocenie testu. Wzbudza się przy temacie psa, zacierania śladów (rozsypaniu przypraw, skrapianiu drogi ucieczki perfumami). Przy pytaniu, który ze sprawców nie wrócił z napadu, najbardziej wzbudził się przy nazwisku S. (bo S. stał na czujce; usłyszawszy strzały, miał pierwszy uciec spod domu w Aninie). Wszystkie silne reakcje psychofizjologiczne przy odpowiedziach na pytania: „czy jestem mordercą Jaroszewicza”, „czy brałem udział w planowaniu napadu” i „czy obserwowałem dom” – tłumaczy oglądaniem filmów i migawek z miejsca zbrodni. – Z mózgu zrobili mi wodę. A ja się mordercą nie poczuwam.

Bieńkuński podsumowuje jego reakcje jako mające silny związek emocjonalny z zabójstwem.

Kiedy bada Waclawa K., pseudonim Niuniek, mówi do niego Wacek. Skracając dystans, stara się zdobyć zaufanie złodzieja:

– Jeśli będzie pan mówił prawdę, to jestem w stanie panu autentycznie pomóc. Wiadomo, że policja swoje pierwsze kroki kieruje ku ludziom, którzy kiedyś zblądzili, prawda? – syczy Niuniekowi niczym kołysankę.

Niuniek ma dwóch dorosłych synów, z zawodu spawacz. Cierpi na reumatyzm, na co już chorowały jego babka i matka. – Ojciec łał mnie sznurem od dziecka, przeciął mi skórę na głowie – spowiada się biegłemu. – Bił często i mocno do 14. roku życia. Dlatego uciekałem z domu, a podstawówkę skończyłem, mając 20 lat. W więzieniu.

Mówi, że nigdy nie był w Aninie, i nie wie, gdzie to jest, a

tamten dzień i noc spędził w domu.

– Utrzymuję się z handlu alkoholem i owocami. Mam ponad hektar ziemi, dwie szklarnie i foliowy tunel, gdzie sadzę kwiaty i nowalijki. Do niczego się nie przyznaję. Nie wiem, dlaczego mój poprzedni samochód, syrena, był widziany w Aninie. Nigdy nikogo nie pobiłem, nawet w zakładzie karnym. Nigdy nie używałem przemocy.

Do prokuratora Artura Kassyka Niuniek rzuci: – Nie będę zaznajamiał się z aktami śledztwa ani ich czytał. Ta sprawa to manipulacja. Jestem kozłem ofiarnym. Tamtej nocy do 23.00 byłem w mieszkaniu mojej konkubiny, Wiesławy.

Najniebezpieczniejszy z całej czwórki jest Krzysztof R., pseudonim Faszysta. Na ramieniu tatuaż pułkownika, dziesięciokrotnie skazany za włamania i kradzieże. Z charakterystycznych wąsów przypomina nieżyjącego już piosenkarza Andrzeja Zauchę. Nie jest znane jego źródło utrzymania. Rozwiedziony, 14-letnim synem się nie interesuje.

– Wcale nie jestem taki okrutny, jak pisze o mnie prasa - rechoce od początku badania.

Bieńkuński zapamiętał, że na wykrywacz kłamstw przyprowadziło go siedmiu „czarnych” [antyterrorystów – I.M.] w łańcuchach.

Agresywny po alkoholu, zwykle chodził z nożem i groził ludziom. W ulicznej kłótni zasztyletował człowieka. W więzieniu demoralizował innych, namawiał do naruszania regulaminu. Potrafił odmówić posiłków, wyjścia z celi, źle się odnosił do przełożonych. Jego matka była ekspedientką w sklepie. Ojciec – milicjantem. Ze względu na karalność syna zwolniony ze służby, do emerytury jeździł na taksówce.

Faszysta, ewidentnie nadpobudliwy od dziecka, często wa-

garował. Po raz pierwszy trafił za kratki jako włamywacz. Niecierpliwy, egoistyczny, wybuchowy, leczony przez psychiatrów z powodu zaburzeń zachowania. W swoim życiu przepracował może półtora roku. Życiorys „pękał” mu przez 15 lat spędzonych w więzieniu.

Nie wie, że Jadwiga K., z którą żyje, powiedziała policji o jego poplamionej krwią kurtce.

Kobieta zezna, że Niuniek jeździł białym fiatem 125 p. W sierpniu zaczęli się szykować do Anina. W mieszkaniu były przygotowane: torba turystyczna, bawełniane rękawiczki, kominiarka, bandaż, plaster, dwie latarki.

Jadwiga: – Latarki kupiłam w kiosku, podobnie jak bandaż i dwie szpulki plastra. Faszysta powiedział, że jadą „do dzianego faceta”. Wrócili rano, między piątą a szóstą. Byli bardzo

zdeenerwowani. Niuniek miał pretensje do Faszysty, że „kogoś zajebał”. A co. chciałeś mieć świadka? – miał odpowiedzieć Faszysta. Zdjął polem ubranie i kazał wszystko spalić. – Wydało jej się, że kurtka na plecach miała plamę krwi. Rzeczy spaliła w kaflowym piecu. Faszysta przez tydzień nie wychodził z domu. Bał się.

Jadwiga powie jeszcze, że z więzienia wysyłał jej grypsy z groźbami. Nachodzili ją też różni mężczyźni, którzy jej przekazywali, że jeśli ujawni udział Faszysty w zabójstwie, to „zabierze ją na wspólny wózek”. I że zabije ją za to, że go sprzedała. Jednym słowem „jest do odstrzału”.

14 kwietnia 1994 policja słucha córki Jadwigi, Magdaleny O. Dziewczynka mówi, że Faszysta bil jej matkę i zranił ją nożem. A w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego przyszedł do niego „wujek Wacek” (Niuniek), coś między sobą szeptali, wyszli z domu i odjechali białym fiatem 125 p. Następnego dnia, zeznało

dziecko, Faszysta spal, a potem nie wychodził z mieszkania. Jak pod dom podjechał jakiś samochód, to wysyłał domowników, żeby patrzyli, kto zacz. Dziewczynka powie jeszcze: „Boję się zeznawać w sądzie, bo wujek zrobi coś mi i mojej mamie”. Według psychologa była wiarygodna.

Specjaliści ocenią potem, że Faszysta ma nieprawidłową osobowość i „niedokształconą sferę uczuciowości” („Więzenie zabiło we mnie uczucia. Nie obchodzą mnie problemy innych, czyjaś krzywda. Życie jest dżunglą. Zwycięża silniejszy”).

Nie wykorzystuje doświadczeń i nie uczy się na błędach. Żadnych społecznych norm. Zdemoralizowany. Bezwzględny. Nie przejawia poczucia winy. Przegrał życie, bo był głupi. Tak mówi.

Faszysta, Sztywny i Krzaczek, w odróżnieniu od Niuńka czytają akta. Nie zgłaszają wniosków dowodowych. 24 maja 1996 roku prokurator Artur Kassyk zamyka śledztwo i stawia całą czwórkę w stan oskarżenia.

*

Sprawa toczy się 2 lata.

Aleksander Kopeć, minister przemysłu maszynowego w rządzie Piotra Jaroszewicza, zauważa, że po tym, jak przemawiał na pogrzebie Piotra Jaroszewicza, pod jego domem przez trzy dni stała policyjna nyska. Ktoś groził mu telefonicznie. A Kopeć powiedział nad grobem kolegi, że żyjąc w państwie prawa, ma nadzieję i wierzy, że „to państwo prawa doprowadzi do postawienia sprawców mordu przed obliczem sprawiedliwości”, a „historia oceni, które z zarzutów wobec premiera pozostaną prawdziwe”.

Przed sądem przyznał, że obserwacja jego domu trwała „2-3 tygodnie”.

– Nie chcę się wypowiadać, jakie dokumenty widziałem u Piotra Jaroszewicza. Dotyczyły niedużego kręgu osób sprawujących władzę. Widziałem między innymi oryginalny dokument dotyczący wypadków w Radomiu. Nigdy nie był publikowany. To była nagana dla kilku osób, ale nazwisk nie ujawnię. Dokumenty dotyczyły ludzi, którzy w latach dziewięćdziesiątych byli na pierwszych stronach gazet. Proszę o zwolnienie mnie z zeznań na okoliczność tego, co zawierał ten dokument. Nie. Nie boję się. Inaczej bym się tu nie stawił. Czas jest sędzią sprawiedliwym i jemu pozostawiam ocenę. Jaroszewicz mówił mi, że posiada kluczowe dokumenty, które pozwolą poznać prawdę o PRL. Obiecałem, że po jego śmierci opublikuję to, co mi mówił, ale jego odejście nie było naturalne, jestem więc zobowiązany do zachowania tajemnicy. Umówiłem się z Piotrem Jaroszewiczem na 11 września. Mieliśmy jechać na polowanie.

Nie ma go już jak zapytać, co było w tych dokumentach. Zmarł 28 listopada 2015 roku.

Przed sądem, poza wszystkimi świadkami, staje też Barbara Jakubiec, dziennikarka, która знаła rodzinę Jaroszewiczów i bywała u nich w domu. Jej zdaniem Piotr Jaroszewicz miał dokumenty wagi państwowej, dotyczące konkretnych osób. Po wyjeździe Hanny Paszkowskiej, córki Alicji Solskiej-Jaroszewicz, miała z nim przeprowadzić wywiad, podczas którego chciał te dokumenty pokazać. Wywiad miał być zarejestrowany na wideo, a potem złożony w sejfie albo wywieziony za granicę. Jakubiec nagrała pogrzeb Jaroszewiczów i wewnątrz domu po zdarzeniu, ale ocalała tylko taśma z nagraniem spod domu.

Sąd słucha świadków, którzy mogą potwierdzić alibi jednego z czterech włamywaczy – Jana K., Krzaczką. Teresa Sz., pracownik Obwodu Lecznictwa Kniejowego w Opolu, na podstawie zapisów w dzienniku pracy stacji pogotowia zeznaje, że 1 wrze-

śnia 1992 roku o 5.47 Jan K. wzywał do miejsca swojego zamieszkania karetkę pogotowia, która wyjechała dwie minuty później. Zachorował jego syn. Dyspozytorka wpisała go jako wzywającego, bo takie nazwisko podano jej przez telefon.

Krzaczka rozpoznaje też sanitariusz jako mężczyznę, który był wówczas w mieszkaniu. Tylko on i lekarz weszli do domu. Kierowca karetki z kolei widział matkę dziecka, która pojechała z chłopcem do szpitala, ale Krzaczka nie rozpoznał. Lekarz pogotowia zeznaje, że gdy udzielał dziecku pomocy, w mieszkaniu była matka „i jakaś starsza kobieta”, ale nie zwrócił uwagi, czy był ktoś jeszcze. Ordynator w szpitalu dziecięcym w Opolu potwierdziła, że stan dziecka był krytyczny, a informacji udzielała obojgu rodzicom między godziną 11.00 a 12.00. Jak obliczyli policjanci – o 11.00 Krzaczek mógł już zdążyć dotrzeć pociągiem z Mińska Mazowieckiego do Opoła.

Dariusz Janas: – Sprawdzaliśmy go godzina po godzinie. Lekarz pogotowia pamiętał, że matka wrzeszczała i nie chciała, żeby dziecko zabrali do szpitala. Ja na to: „A czy mężczyzna, który był w domu, też się awanturował?”. „Panie – lekarz na to – jaki ojciec? Tam metr na metr, małe mieszkanie. Nie było niko go poza kobietą i dzieckiem”. Lecimy do szpitala. A tam lekarze mówią, że dziecko przyjechało z matką pogotowiem. A ojciec owszem, był, ale o 13.00. Po badaniach.

Sąd jednak wytknie prokuratorowi wiele błędów. Między innymi ten, że nie okazano oskarżonego załodze karetki na etapie postępowania przygotowawczego.

Dopiero pod koniec procesu Krzaczek powie, że nóż, rozpoznany przez Andrzeja Jaroszewicza jako „ten sam, który miał jego ojciec”, zabrał podczas włamania do willi francuskiego attaché wojskowego. Tamten z kolei twierdził, że jest błąd w tłumaczeniu. Nóż nie był fiński, lecz duński.

Krzaczek pisze do sądu z aresztu:

„W związku z manipulacją, jaką prowadziły organa ścigania, nie ujawniłem wcześniej miejsca, skąd pochodzi mój fiński nóż. Dlaczego tak się bałem powiedzieć policji, nie jest tajemnicą. Policja została odznaczona za wykrycie sprawców, lecz jakimi metodami... Proszę o przeprowadzenie wizji lokalnej i umożliwienie obalenia kłamstw związanych z nożem”.

Ponieważ w trakcie trwania procesu syn premiera, Andrzej Jaroszewicz, dowie się, że takich noży w Polsce mogło być około szesnastu, zawaha się i przyzna, że nóż jest „taki sam”, a nie „ten sam” – jak zeznawał wcześniej. Dowód więc z hukiem upadnie. Sąd nie dopatrzy się też dowodów podważających zeznanie Krzaczka o jego pobycie w godzinach rannych w Opolu. I uzna to za wypadek losowy, a nie przygotowane wcześniej alibi.

Wściekły na sali sądowej będzie też Waclaw K., Niuniek. Przecież jego syrenka nie była bosto, lecz R-20. Od tamtej różni się naczepą: bosto ma zamkniętą, R-20 – otwartą względnie pokrytą plandeką. Świadkowie mogli więc bez trudu pomylić wersję samochodu, zwłaszcza w nocy. W przypadku samochodu Niuńka część bagażową zamiast plandeki okrywała szara blacha falista, inna w kolorze od nadwozia (które było żółte). Samochód miał do 1993 roku. Kiedy trafi do aresztu, konkubina sprzedała syrenkę sąsiadom.

Niuniek gotuje się w sądzie:

– Byłem przez 20 miesięcy przygotowywany do tego koncertu. Dużo przesiedziałem w więzieniu, ale krzywdy nikomu nie wyrządziłem. To manipulacja. Ktoś chce ukryć zbrodnię. Jestem złodziejem. Gdyby mnie zapytano, czybym tego prokuratora [Kassyka – I.M.] okradł, to okradłbym... okradł, ale nie zamordował!

Mówi, że rano 31 sierpnia leżał w łóżku, bo miał bóle reumatyczne. To był poniedziałek. Dzień później, 1 września, odwiózł syna konkubiny do szkoły. Miało go widzieć kilka osób. Píše oburzone listy z aresztu: „Na badania na prawdomówność zgodziłem się, żeby rodzina Jaroszewiczów nie czuła się oszukana. Nie jestem napadaczem-zabijaczem!”.

Głównego świadka oskarżenia, konkubinę Faszysty, Jadwigę K. prokurator przesłuchiwał dziewięć razy; w punkcie protokołu „stosunek do stron” wpisał „obcy”, a nie „konkubinat”. Nie pouczając świadka o jego prawach do odmowy zeznań w przypadku kiedy oskarżony jest członkiem rodziny – zauważy później sąd.

Przed jego obliczem K. powie już zupełnie co innego niż wcześniej mówiła policjantom:

– Straszono mnie, że dziecko, z którym byłam w ciąży, urodzi się w więzieniu. Potwierdzałam to, czego chciała policja. Bałam się. Mówiłam, że nic nie wiem, ale nikt mnie nie chciał słuchać. Złożyłam skargę do Rzecznika Praw Obywatelskich, dopiero wówczas policja się uspokoiła. W zeznaniach to policja mówiła, a ja dla świętego spokoju przytakiwałam. Pytania dotyczyły głównie tego, czy Faszysta kogoś zabił. Na noc policjanci dawali mi kartki, żebym się nauczyła treści. Na kartkach było to, co mam zeznawać. Potwierdziłam, żeby mieć święty spokój.

Dariusz Janas: – Faszysta nie wiedział, że Jadwiga zeznaje. Dowiedział się jednak na sali sądowej. I spojrzał jej głęboko w oczy. A ona zeznania odwołała, mówiąc, że opowiedziała to wszystko pod wpływem nacisku.

Sąd wytykał kolejne błędy w sprawie zabójstwa premiera i jego żony. Przede wszystkim potężny chaos, jaki panował w domu w chwili, gdy należało zabezpieczyć miejsce zbrodni. „W ten sposób utracono bezpowrotnie możliwości pozyskania mi-

króśladów zostawionych przez sprawców” – łajał prokuratorów sąd.

Materiał dowodowy zdaniem sądu nie pozwolił na ustalenie, jak sprawcy dostali się do domu i jakie właściwie były motywy zbrodni:

„W wyniku oględzin nie stwierdzono żadnych śladów wejścia po kratce na ścianach budynku, roślinności czy oknach balkonowych. Nie przeprowadzono ekspertyzy mechanoskopijnej kłódki do furtki i zamka do drzwi domu”.

– Wystąpiliśmy o nagrania z niektórych mieszkań, gdzie ewidentnie mówiło się, kto co zrobił – irytuje się Janas. – Były nagrywane rozmowy, filmy z ukrycia, ale sąd nie wyraził zgody, bo materiał operacyjny operacyjnym, a dowodowy – dowodowym.

Sąd zwrócił też uwagę na sposób przeprowadzenia oględzin sejfów, który swoim kluczem otworzył Jan Jaroszewicz. A ten odmówił okazania zawartości jednej z kasetek i po zamknięciu klucze zachował przy sobie. „Podczas kolejnych oględzin szkatułka zmienia położenie, a Jolanta Redek-Jaroszewicz [żona Jana – I.M.] podała przed sądem, że sposób otwarcia sejfów poznała już po śmierci teściów, ale odmówiła odpowiedzi na pytanie, w jakich okolicznościach”.

Skandaliczne okazały się też zapisy wideo. Kasety nie zawierały wielu czynności z oględzin, a na jednej z nich był nagrany czyjś ślub. Sędzia prowadzący wyłączył te kasety z materiału dowodowego, by uniknąć kompromitacji podczas rozprawy. „Wystarczyłaby jedynie rzetelność w wykonywaniu czynności procesowych” – kwaśno na koniec podsumował sąd.

Ryszard Wojaczyk, policjant, który pracował z Janasem, do śmierci – jak słyszał coś o Jaroszewiczach – dzwonił do niego i

mówił: – Darek, to trzeba sprostować! – Janas mu na to: – Pij herbatkę na uspokojenie i sobie dupy nie zawracaj.

Jacek Bieńkuński: – W sądzie zostałem sam. Prokurator się wycofał i miałem przeciwko sobie siedmiu obrońców.

Andrzej Jaroszewicz z kolei powie mi po latach, że ta czwórka, owszem, była w domu w Aninie, ale oni mu ojca nie zabili. Mogli przyjechać po tym, jak małżeństwo Jaroszewiczów było już martwe.

30 października 1998 roku zapada wyrok uniewinniający wszystkich czterech oskarżonych. Dwa lata później Sąd Apelacyjny utrzymuje go w mocy. Włamywacze dostają od polskiego państwa odszkodowania w wysokości po 50 tysięcy każdy za niesłuszne przetrzymywanie w areszcie.

Rok później na polecenie ówczesnego komendanta głównego policji generalnego inspektora Jana Michny Wydział I Kontroli Inspektoratu KGP od kwietnia do października prowadził kontrolę działań śledczych w sprawie zabójstwa premiera Piotra Jaroszewicza i jego żony.

Michna – to za jego kadencji powstało Centralne Biuro Śledcze, które rozbiło gang pruszkowski – utworzył również Biuro Spraw Wewnętrznych, czyli taką policję w policji.

Dwójka inspektorów przejrzała akta sprawy (wówczas 19 tomów), wyrok sądu, akta operacyjne policji pod kryptonimem „Premier”. Rozmawiali również z przewodniczącym składu orzekającego w sprawie – sędzią Cezarym Puławskim i policjantami na różnych szczeblach odpowiedzialnymi wówczas za to dochodzenie. Byli wśród nich tacy, którzy z czasem awansowali, w tym Dariusz Janas (został rzecznikiem prasowym KSP), nadinspektor Zdzisław Marcinkowski (nadzorował pracę śledczych, potem komendant wojewódzki policji w Radomiu), in-

spektor Jerzy Skrycki (wówczas szef grupy dochodzeniowo-śledczej, awansował na zastępcę dyrektora Biura Koordynacji Służby Kryminalnej KCP), inspektor Jerzy Młynkiewicz i młodszy inspektor Małgorzata Wierchowicz z KCP (ta ostatnia obejmie kierownictwo grupy śledczej bez powodzenia próbującej wyjaśnić zagadkę śmierci generała Marka Papyły).

Inspektorzy od początku dojdą do wniosku, że tę sprawę niepotrzebnie nadzorowali policjanci z różnych jednostek, co doprowadziło do sytuacji z porzekadła, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Policjanci będą się też zasłaniaли upływem czasu, więc na wiele pytań odpowiedzą „nie pamiętam”.

Kopię tego policyjnego raportu ma u siebie do dziś dziennikarz Piotr Machajski. Przez długie lata pracował w stołecznej „Gazecie Wyborczej”. Odszukuje ten raport na moją prośbę.

Analiza piętnuje wiele błędów: od niewystarczającego przesłuchania rodziny i sąsiadów po braki w weryfikacji zeznań głównego świadka oskarżenia, którym była konkubina Faszysty Jadwiga K., „mimo że występowały istotne sprzeczności w kolejnych podawanych przez nią wersjach”. Policjanci naruszyli w ten sposób jedną z podstawowych zasad dochodzeniowo-śledczych.

Na początku K. mówiła o przygotowaniach do napadu w Michalinie, ale o Aninie ani słowa. Cztery miesiące później (październik 1993) – że gdy Faszysta wrócił z napadu w Aninie, na jego kurtce nie było śladów krwi. Za następne dziewięć dni już jej się wydawało, że ślady krwi jednak były. Ani razu nie powiedziała, że śmiertelną ofiarą napadu była też kobieta. Zdjęcia grupy Faszysty pokazano jej dopiero w grudniu 1994 roku. Dwa lata po napadzie. Nikogo nie rozpoznała.

Niektórzy świadkowie w ogóle byli przesłuchiwani o wiele za późno. Ludzka pamięć bywa dobra, lecz krótka, czego śledczy

zdawali się nie brać pod uwagę.

Ryszard Wojaczyk, policjant z Poznania, miał napisać w notatce, że o powiązaniu tego zabójstwa z napadem na generałową Barbarę Spiechowicz poinformowała go „osoba zaufana”. Tymczasem policjanci utrzymywali, że na grupę natrafili w wyniku analizy akt jej sprawy. Nienależycie też zweryfikowali inne wersje śledcze, trzymając się głównie jednej: napadu rabunkowego.

Inspektorzy w raporcie dostrzegli, że policjanci zbagatelizowali zeznania jednego ze świadków: właśnie Emilii K., mieszkanki Anina, która 1 września 1992 wracała z poczty ulicą Żoźry i zobaczyła dwóch mężczyzn i kobietę, wychodzących z domu Jaroszewiczów.

Emerytowany funkcjonariusz policji i mieszkaniec Anina Tadeusz O. zeznał, że mąż Emilii K. też mu o tym opowiadał.

Dziennikarz Leszek Szymowski 30 listopada 2008 roku napisze we „Wprost”, że Jaroszewiczów, podobnie jak działających w opozycji księży – Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca – zamordowało tak zwane komando śmierci, które zabijało na polecenie najważniejszych polityków PRL: dwóch mężczyzn i kobieta.

„Zeznania świadków pozwalają postawić hipotezę, że za opisanymi wcześniej zabójstwami stała ta sama grupa trzech osób. Dodatkowym dowodem wiążącym zabójstwo ks. Niedzielaka ze sprawą Jaroszewiczów są zabezpieczone na miejscach zbrodni identyczne odciski palców. Przez kilkanaście lat śledczy byli bezradni: nie wiedzieli, do kogo należą. Jesienią 2004 r. do prokuratorów IPN prowadzących sprawę zgłosił się świadek, który wskazał jednego ze sprawców morderstwa na ks. Niedzielaku. Kilkanaście dni później policjant pracujący w grupie śledczej IPN metodami operacyjnymi zdobył odciski palców wskazanej

przez świadka osoby i porównał je z odciskami zabezpieczonymi w mieszkaniu ks. Niedzielaka. Były identyczne” – pisał Szymowski.

Miały należeć do jednego z nadkomisarzy warszawskiej policji. Atletycznej budowy, z czarnym pasem karate. Przez większość czasu pracował przy zwalczaniu przestępczości zorganizowanej, ma na koncie Brązowy Krzyż Zasługi.

Ale ta wersja do dziś pozostaje w sferze hipotez.

Raport kończy podsumowanie, że niewykrucie sprawców zabójstwa ma swoje przyczyny w skandalicznie prowadzonym postępowaniu, nieudolności policjantów i prokuratorów, „których odpowiedzialność dyscyplinarna uległa przedawnieniu”.

Zespół kontrolny kopię swojego sprawozdania przekazał między innymi Wyższej Szkole Policji w Szczytnie do wykorzystania jako przykład tego, jak nie należy szkolić policjantów.

Komendant główny policji Jan Michna napisze na pierwszej stronie raportu odręcznie:

„Wnioski akceptuję. Błędy popełnione w tak poważnej sprawie obciążają zarówno policję, jak i prokuraturę. Proszę o podjęcie działań operacyjnych zmierzających do ustalenia sprawców”.

Sprawa Jaroszewiczów na wiele lat trafia do sądowego archiwum. W Warszawie nie ma wydzielonej komórki Archiwum X, ale jest Biuro Wywiadu Kryminalnego Komendy Głównej Policji. Analiza kryminalna to podstawa pracy Archiwum X. W 2005 roku ówczesny naczelnik Wydziału Analizy Kryminalnej komisarz Marek Ślizak napisze do sądu, że prowadzi operacyjną analizę sprawy. W związku z tym prosi o przesianie folii daktyloskopijnych z odciskami palców znalezionymi w willi w Aninie, oznaczonymi w aktach głównych jako „nie wyeliminowane”.

Ktoś zostawił odciski na ciupadze, z której zrobiono narzędzie zbrodni, okularach premiera i drzwiach szafy gabinetu. Dziś technika badania kodu genetycznego (DNA) pozwoliłaby wiele nowego w tej sprawie ustalić. Kiedyś odciski palców, by je zidentyfikować, musiały mieć przynajmniej piętnaście wspólnych cech. Dziś identyfikuje się na podstawie kilku, a nawet fragmenty składa w całość.

Ale folie znikają.

O tym, że dowody wyparowały z sądowego depozytu, Dariusz Janas dowiaduje się od jednego z prokuratorów. I słyszy, że ponosi za to odpowiedzialność.

– Nie chcę tu nikogo obrażać – odparł prokuratorowi wściekły jak giez. – Ale to ja zapakowałem wszystko w paczkę i zabezpieczyłem. Na zewnątrz jest lista z wykazem dowodów, również przeze mnie podpisana. Zrobiłem jeszcze, jak mnie starzy dochodzeniowcy uczyli, tak zwane „rwd”, czyli „ratuj własną dupę”: duplikat wykazu dowodów, który jest w środku, o czym wiem, bo pakowałem.

Janas jest przekonany, że to prokuratura i Komenda Główna, które wcześniej sprawdzały ich śledztwo, część rzeczy ponosiły i pogubiły. Ktoś pobrał, nie pokwitował:

– Odchodząc z dochodzeniówki, wszystko zdałem i rozliczyłem. Osobiście zawiozłem do sądu i złożyłem do depozytu. Wszystkie akta osobiście zszywałem dratwą. Codziennie, przez dwa tygodnie. Raz pomyliłem się w numeracji stron, to napisałem w aktach, że nastąpiła pomyłka w nadrukach. I numerowałem jeszcze raz.

Obserwuję w aktach, jak krążą pisma między przewodniczącym XVIII Wydziału Karnego Sądu Okręgowego w Warszawie a Biurem Kontroli KGP, które usiłuje ustalić, gdzie znajdują się

dowody rzeczowe do tej sprawy. I prosi o przesłanie akt. Kolejne pismo ponaglące jest z 3 października 2008. Píše je Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga z prośbą o wypożyczenie akt do przeprowadzenia analizy pod kątem kontynuowania śledztwa „z uwagi na ujawnienie nowych okoliczności”.

W chwili gdy przeglądam akta (jest czerwiec 2016), czeka już na nie Prokuratura Regionalna w Krakowie. Prokurator Piotr Krupiński będzie sprawdzał powiązania sprawy Jaroszewiczów z zabójstwem Jarosława Ziętarey. Poznański dziennikarz zniknął w tym samym dniu, w którym zginęli Jaroszewiczowie.

Marian Duda, były naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego na Pradze-Południe w ogóle nie figuruje w aktach zabójstwa Jaroszewiczów. Trafiam na niego zupełnie przypadkiem dzięki koledze, który wie, że opisuję tę sprawę. Duda tuż po tym, jak zginęli premier i jego żona, rozmawiał z kobietą, która opowiedziała policji, że widziała sprawców – dwóch mężczyzn i kobietę. W aktach to wspomniana już świadek Emilia K.

Zwróciła na nich szczególną uwagę, bo mieszka w Aninie od zawsze, a pierwszy raz zdarzyło jej się zobaczyć, jak ktoś wychodzi z willi Jaroszewiczów. O 11.40 w południe, 1 września 1992 roku. Wracała z poczty samochodem, mijając willę premiera. Kobieta, którą widziała, była roześmiana, miała przy sobie niedużą torebkę. Wszyscy mogli mieć około 30 lub 40 lat. Wtedy z naprzeciwka, od strony poczty, nadjechał samochód. Żeby go nie zahaczyć (Zorzy jest wąska), odwróciła wzrok. I gdy spojrzała we wsteczne lustro, tamtych już na ulicy nie było. Musieli więc wsiąść do tego samochodu. Marki nie zapamiętała.

Marian Duda (poirytowany): – Co sprawcy robiliby w mieszkaniu Jaroszewiczów przed południem? Myślę, że to była zmyłka, to byli doświadczeni przestępcy. Taka ekipa daje gwarancję, że można pasy drzeć, a baka nie puszczą. Zneutralizowali psa i

wyszli z domu bez problemu, bo drzwi się zatrzaśkiwały. Prokuratura spieszyła sprawę, bo od samego początku przyjęła złą kwalifikację czynu: napad rabunkowy. Chcieli osiągnąć spektakularny sukces – pan J. i paru innych dupków. Mówię to głośno (tu Duda podnosi głos i nachyla się do dyktafonu).

Chodziły mity o esbeckim komando. Ale to nie było żadne komando.

Oprócz pani tylko jeden gliniarz zwrócił się do mnie po informacje, bo wiedział, że byłem na miejscu, choć nie ma mnie w protokołach. To był człowiek z grupy powołanej do tej sprawy w 1993 roku przez komendanta głównego, która ujawniła czwórkę uniewinnionych dziś przestępców.

– A jaka powinna być kwalifikacja czynu? – pytam emerytowanego policjanta.

– Sprawstwo kierownicze. Wtedy majątek ma zupełnie inne znaczenie. Ktoś, kto to zlecił, skorzystał na tym najbardziej. I pozostał w cieniu.

W lutym 2017 Jan Jaroszewicz przyzna się dziennikarzowi Nova TV Tomaszowi Sekielskiemu, że w 2010 odebrał przesyłkę z sądu. Karton. Nigdy go nie otwierał. Na prośbę dziennikarza jednak zajrzał do pudła. A w nim oczom zdumionego Sekielskiego ukazały się dowody z miejsca zbrodni: pokrwawiona koszula, którą oprawcy zmieniali premierowi podczas maltretowania go, koszula nocna Alicji Jaroszewicz, również ze śladami krwi. I najważniejsze – poszukiwane od 13 lat folie daktyloskopijne z zabezpieczonymi odciskami palców.

– Sekielski pokazał mi to, nagrywając jednocześnie moją reakcję kamerą. A mi serce skoczyło do gardła, bo nagłe, po tylu latach, poczułem zapach ojca. Jakby stał obok mnie. Koszula wciąż jeszcze musiała nosić ślady jego potu. – Andrzej Jarosze-

wicz jednym ruchem ręki zagarnia włosy z czoła do góry. Jest bardzo podobny do ojca. Ten sam uśmiech, te same oczy. Ojciec mieszka w nim jak niespokojny duch, który nie potrafi odejść.

Rozdział siódmy

STRATEGIA LWA

Ojciec wszedł do prosektorium, przekupując jednego ze sprzątaczy półlitrowką wódki. Był drugi, może trzeci dzień po śmierci córki. Nie pamięta. Jego mózg zarejestrował jedynie pustkę. Po drodze zdążył dopaść go ochroniarz: – Nie wolno panu tego robić!

– Możesz mnie pan pocałować! – warknął, bardziej z rozpaczy niż ze złości. Na szczęście w zanadrzu miał jeszcze jedną półówkę.

W pokoju była sama. Łóżko na kółkach, pokryte ceratą, a na nim ona. Chłodna, ale nie zamrożona. Rozcięta od szyi do pępka. W ten sposób medyk sądowy próbował dotrzeć do tajemnicy jej śmierci. Wysoka, długonoga, wręcz nieproporcjonalnie, jak pająk: nogi przeraźliwie długie, tułów krótki.

– Wziąłem ją za rękę. – Policzki ojca bordowieją. – I uniosłem delikatnie ku górze. Powyżej łokcia zauważyłem odbite na skórze palce. Oglądałem ją dość długo. Spozstrzegłem, że ma naderwane ucho, pękniętą dolną wargę, czarną potylicę, a skórki

od paznokci do knykci zdarte do krwi. To moje dziecko było, więc ją znalazłem. Sama by sobie tego nie zrobiła.

Jest jesień 2016 roku. Idziemy z ojcem na nieduży cmentarz w Makowie (województwo łódzkie). Ze zdjęcia na nagrobku nieśmiało spogląda kobieta o wielkich ciemnych oczach. Ojciec gładzi jej portret drżącymi palcami. Trwa to w nieskończoność, a ja stoję bezradnie obok. Grób przyklął na końcu cmentarza. Mężczyzna kuśtyka tam codziennie, choć nie ma połowy jednej, prawej nogi. W domu zdjął ją sobie od kolana w dół, żeby bez trudu włożyć but. Stopę lewej nogi ma odciętą do połowy. Cu-krzyca. Chodzi o łasce, poruszając się jak osadzona na szczudłach marionetka.

Gładzi więc jej zdjęcie delikatnie, z czułością.

– Dzień dobry, Małgosiu. Jestem. Zobacz, przyprowadziłem ci panią. Ona nie pozwoli, żebyś umarła i nikt nie poniósł za to kary.

*

O sprawie Małgorzaty Śnieguły opowiedzieli mi policjanci z łódzkiego Archiwum X. Do nich z prośbą o pomoc zwrócili się zrozpaczeni rodzice kobiety. Archiwum w Łodzi ma swój początek w 2008 roku. To trzech policjantów (w tym dwóch emerytowanych), którzy chcą pozostać anonimowi. Podinspektor w stanie spoczynku, nazwijmy go Adamem, nie może podawać nazwiska, bo jak tłumaczy, „nietrudno się zorientować, co ja przez te lata zrobiłem. Mam tu przecież w mieście swój fanklub”. Zamknął tyłu przestępców, że woli się nie chwalić, że wciąż ma ich na muszce. Był naczelnikiem wydziału dochodzeniowo-śledczego, wcześniej w CBS. W policji od 30 lat. Tyle samo czasu na adrenalinie. Często wracał do domu tylko po to, żeby się przebrać. To on jest głównym mózgiem grupy.

Andrzej z kolei już po siedemdziesiątce. Wysoki, szczupły. o ciepłym, tubalnym głosie i ogromnym poczuciu humoru Opowie szybko, jak to pewien młody chłopak napisał podanie do policji i motywował, że chciałby pracować w wydziale W-11. I w żadnym innym!

– Seriale nas denerwują – wtrąca Adam, odchylając się do tyłu na krześle. – Kształtują w społeczeństwie nieprawdziwy obraz policji, a życie tymczasem wygląda zupełnie inaczej. Jeśli oglądam kryminały, to tylko skandynawskie.

Adam kocha swoje miasto. Zna je na wylot, te pasy nędzy, ciągnące się przez ulicę Górną wzdłuż Przybyszewskiego, a drugi – wzdłuż ulicy Limanowskiego, gdzie czas zatrzymał się wiele lat temu. Te obdarte stare kamienice, których tynk już zapomniał własnego wieku i dziś staje w szranki z pieczołowicie odnowioną Piotrkowską. Ale Adam do dziś gdzieś w zakamarkach pamięci słyszy to du-du-du-du-du maszyn, przy których pracowały włóknarki. Łódź to dla niego piękne miasto. A największe piękno tkwi w jej opuszczeniu.

Witold, trzeci z „archiwistów”, w randze młodszego inspektora, w „firmie” od 1986 roku. Całe życie przepracował w Komendzie Miejskiej. Powie, że obcując przez wiele lat z aktami, wie, na co zwrócić uwagę. Do ludzi trzeba docierać drobnymi krokami, znaleźć jakiś niewidzialny klucz, który ich otworzy. Tę robotę albo się czuje, albo nie. Nauczyć się jej nie można.

Wszyscy trzej dużo palą, piją sporo kawy i czytają akta, tropiąc krok za krokiem ślad mordercy. Analizę przekazują czynnym policjantom z dochodzeniówek, którzy muszą wykonać dalszą część tej Syzyfowej pracy. Sami, w odróżnieniu od pozostałych komórek Archiwów X w Polsce, nie prowadzą spraw. Ich zadanie polega przede wszystkim na myśleniu. Tu potrzebne są właśnie umiejętności logicznej dedukcji, zestawiania po-

zornie odległych od siebie faktów i dobra, nawet bardzo dobra – pamięć.

W ten sposób przejrzeni akta niewyjaśnionej śmierci Małgorzaty Śnieguły.

12 stycznia 2016 piszę do Prokuratury Łódź-Polesie mejla z prośbą o wgląd do akt sprawy. Odpowiedź przychodzi po ośmiu dniach. Marek Słoma, prokurator, odpisuje mi, że muszę swoją prośbę przedstawić pisemnie. Mejle, nawet wysłane ze służbowej poczty, nie będą rozpatrywane.

„Przeoglądam akta w całej Polsce i po raz pierwszy spotykam się z takim utrudnieniem formalnym wglądu do sprawy” – nie daję za wygraną. „Bardzo proszę o odpowiedź, czy mogę panu prośbę napisać odręcznie, zeskanować i wysłać mejlem”. Ale prokurator pozostaje nieugięty. Tego samego dnia, a jest już 26 stycznia, idę na pocztę z odręcznie napisaną prośbą, zaadresowaną na nazwisko prokuratora. I znów zapada cisza. Trzy razy więc wysyłam zapytanie, czy prokurator otrzymał mój wniosek. Cisza. W końcu przychodzi odpowiedź, że został rozpatrzony negatywnie. Jest już 19 lutego 2016. Prokurator Słoma więcej nie odpowie na mejla, zatem próbuję zdobyć akta inną drogą. Sprawa jest umorzona, decyzja prokuratora dla mnie niezrozumiała, zaczynam więc się zastanawiać, dlaczego organa ścigania usiłują zniechęcić mnie do pracy nad nią.

– Zadaliśmy sobie pytanie, komu by zależało na śmierci Małgorzaty. I odpowiedź była prosta – mówią policjanci z łódzkiego Archiwum X. – Ta sprawa jest bardzo ciekawa z punktu widzenia kryminalistycznego. Interesujący jest sam mechanizm tej śmierci. Mieszkanie zamknięte od wewnątrz, więc teoretycznie nikt jej nie mógł zabić, a z drugiej strony – brak śladów świadczących o samobójstwie. I teraz analiza pojęciowa: zabójstwo, samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek lub nieumyślne spowodowanie.

wanie śmierci. Trzy ostatnie możemy wykluczyć, więc co pozostaje?

Historia zaczyna się w niedzielę, 9 grudnia 2007 roku. Do Śniegułów, mieszkających w małej wiosce Święte Nowaki koło Skierniewic, przed 14.00 dzwoni telefon. To ich świeżo upieczony zięć. Sylwester, z pytaniem, czy ich córka Małgosia nie kontaktowała się z nimi tego dnia telefonicznie. Właśnie stoi pod drzwiami jej mieszkania w Skierniewicach, gdzie po ślubie, który wzięli trzy miesiące wcześniej, razem zamieszkali.

– Dzwonię, słyszę telefon, ale drzwi są zamknięte – mówi do rodziców żony podenerwowany zięć.

W pierwszej kolejności jednak wysyła Małgorzacie esemesa: „Kochanie, co się dzieje. Nie odbierasz telefonu. Stoję pod drzwiami i nie mogę wejść do środka”.

Następnie naciska dzwonek do drzwi sąsiadów z naprzeciwka.

– Otworzyłam – mówi sąsiadka. – Sylwester zapytał lekko poirytowanym tonem, czy nie widziałam jego żony, i dodał, że nie może się dostać do mieszkania. Otworzył górny zamek swoim kluczem, a w dolnym klucz tkwi od wewnątrz. Pamiętam, że był bardzo elegancko ubrany. Miał garnitur i walizkę.

Ale że sąsiadka nie widziała jego żony, Sylwester dzwoni do swojego brata, Rafała. Ten, zaskoczony sytuacją, jedzie do mieszkania Małgorzaty. Ma na sobie budowlane ogrodniczki i robocze buty. Przyjeżdża prosto od rodziców, a tam, jak twierdzi, nie ma nic do przebrania.

Rafał W.: – Pod drzwiami okazało się, że oba telefony Małgosi dzwonią w mieszkaniu. To było niepokojące. Pomyśleliśmy, że coś się stało, bo Sylwek mówił, że ona się z nimi nie rozstaje. Nie wezwaliśmy ślusarza, sam nie wiem dlaczego. Nawet nam

to nie przyszło do głowy. Nie chcieliśmy też wyważać drzwi. Były solidne, na zamek typu Gerda. Nawet mi przeszło przez głowę, że może ona nie chce go wpuścić do mieszkania, bo nie wrócił na noc.

Dzień wcześniej, w sobotę, 8 grudnia, Rafał prosi brata, żeby pomógł mu naprawić tłumik od samochodu. Sylwester dzwoni więc do żony, mówiąc, że wróci później. Ona na to, żeby został na noc u rodziców. Rafał jest tym zdziwiony, bo Małgosia zawsze nalegała, żeby Sylwek wracał do domu. Bracia byli w Chrobotach, małej wiosce w pobliżu Żyrardowa, gdzie obaj budowali domy na sąsiadujących ze sobą działkach. Ale, jak potem potwierdzi cała jego rodzina, Sylwester zostaje na noc u rodziców i w niedzielę wraca do Skierniewic.

Brat Sylwestra, Rafał, stawia się w bloku Małgorzaty ze swoją żoną.

Katarzyna W., lat 31 (na co dzień specjalistka do spraw pracowniczych w PKP Informatyka):

– Tamtej niedzieli wkurzałam się, że dwóch facetów stoi pod drzwiami i nie umieją podjąć decyzji. Bo najpierw próbowali te drzwi otworzyć, potem rozważali ślusarza, ale ja krzyknęłam, że jaki ślusarz przyjedzie do nich w niedzielę! Żeby wezwali jakąś pomoc, straż czy coś takiego.

Mężczyźni decydują się wezwać policję. W tym czasie dzwoni matka Sylwestra. Zawsze czujna i zaborcza: jeśli Małgosia obraziła się na Sylwka i nie chce go wpuścić do domu, to niech on pakuje swoje rzeczy i wraca na wieś.

– Podeszłam pod te drzwi – zapamięta Katarzyna. – Policja już była, a straż jechała na sygnale. Pukałam i krzyczałam: „Gośka, nie wygłupiaj się, otwórz te drzwi, bo już jest policja!”.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Policjanci, wezwani z Komendy Miejskiej w Skierniewicach, podobnie jak Sylwester, Rafał i jego żona, stali bezradnie pod drzwiami bloku przy ulicy Mireckiego.

Krzysztof Balcerak, policjant z wydziału prewencji, powie potem na przesłuchaniu: – Kiedy przyjechaliśmy, próbowaliśmy otworzyć drzwi, a Sylwester W. moim zdaniem wyglądał na zaniepokojonego. Nie zauważyłem w jego zachowaniu niczego, co zwróciłoby moją uwagę.

Policja wzywa na pomoc straż pożarną. Strażacy z hukiem podejżdżają pod blok. Rafał pokazuje im, które to okna mieszkania Małgosi, i mówi, żeby wybili to najmniejsze.

Do mieszkania wchodzi strażak i policjant.

Ciasny, krótki przedpokój, bo przecież zaledwie 27 metrów kawalerki, a stamtąd wzrok pada na leżącą na podłodze kobietę.

Policjant przechodzi przez mieszkanie tak, by nie zatrzeć śladów, i otwiera drzwi od wewnątrz.

Artur Nowakowski, technik kryminalistyki, z zasady na miejsce ujawnienia zwłok wchodzi pierwszy.

– Na miejscu był już policjant, Łukasz Nowak, i strażak. Drużgi policjant stał na zewnątrz z rodziną. Nowak wskazał mi zwłoki oraz powstały po wejściu przez okno bałagan w kuchni. Na podłogę spadły doniczki, rozprysła się ziemia. Pamiętam, że zwłoki leżały na podłodze na kołdrze. To nic dziwnego, sam się tak kładę, jak boli mnie kręgosłup. Zwróciło to jednak moją uwagę, bo była młodą osobą, a obok stało rozłożone łóżko. Na ścianie plama wymiocin, jakby starta, choć nie zauważyłem żadnej ścierki. W pokoju ani w kuchni nie stały żadne opakowania po lekach ani płynach. Pamiętam, że szukaliśmy jakichś butelek po alkoholu, ale nie było nic, co zwróciłoby naszą uwagę.

Wyglądało tak, jakby ktoś mieszkanie wysprzątał. W koszu

na śmieci leżały tylko porwane skierowania do poradni specjalistycznych. Na stole ugotowany obiad. W lodówce – przygotowane ciasto, dość pracochłonne, bo przekładane kremem. W pokoju – wyprasowany garnitur Sylwestra.

Katarzyna zapamięta, że kiedy jeden z policjantów otworzył drzwi do mieszkania od wewnątrz, wparowali tam wszyscy: mundurowy, który stał pod drzwiami. Sylwester, Rafał i ona.

Małgorzata leżała na brzuchu, z rękoma podkulonymi pod klatkę piersiową. Nogi miała przedziwnie wyprostowane. Światło zgaszone, telewizor wyłączony, oba telefony koło łóżka. Wyglądało na to, że śmierć wzięła ją z zaskoczenia.

Strażak chwycił kobietę za przegub dłoni i zastygł. Pulsu nie było. Wtedy odwrócił jej ciało na plecy.

Katarzyna: – W tym momencie Sylwek upadł na podłogę i zrobił się cały siny. Policjant kazał więc „wyprowadzić tego pana” Śledczy mówili, żeby niczego nie dotykać. Tylko jedna osoba mogła zostać w mieszkaniu. Powiedziałam, że zostanę. W chwili gdy weszłam do mieszkania, zauważyłam, że ona leży w rogu, między łóżkiem a ścianą. Pamiętam, że krzyknęłam, że chyba się zabiła. Tak to wyglądało. Jakby wypadła przez poręcz kanapy i uderzyła głową o ścianę, bo ta głowa była bardzo blisko tej ściany. Wyglądało, jakby zaczęła w łóżku wymiotować i nie chcąc pobrudzić pościeli, wychyliła się przez poręcz łóżka i wymiotowała na ścianę. I przez poręcz spadła, ściągając za sobą kołdrę. Pomyślałam, że może zemdląca, udławiła się wymiocinami. Sylwek, albo teściowa, kilka dni wcześniej mówili, że Małgosia wymiotowała. Tłumaczyła, że zjadła starą jajecnicę. Myślny nawet podejrzewali, że może być w ciąży. Stałam w dużym pokoju pod oknem. Dzwoniły telefony Małgosi. Rodzice. Pytałam, czy mogę odebrać. Potem znalazłam jakąś kołdrę, żeby ją przykryć.

Artur Nowakowski, technik kryminalistyki: – Pamiętam, że na zwłokach były drobne zasinienia i otarcia naskórka. Ze względu na plamę wymiocin na ścianie szukaliśmy czegoś, co mogło spowodować wymioty, ale nic nie było. Nie pamiętam plam wymiocin innych niż na ścianie bądź by były one na kołdrze. Nawet nie pamiętam, czy kołdra była zabezpieczana.

Około 15.00 na miejsce przyjeżdżają rodzice Małgorzaty. Ojciec, chory na cukrzycę, słabnie. Policyjny technik daje mu lizaka, żeby nie stracił przytomności.

Krzysztof Balcerak, policjant z wydziału prewencji: – Mąż zmarłej chodził po korytarzu, ale większość czasu przesiedział na podłodze, z głową ukrytą między rękami albo kolanami. Pamiętam, że ojciec kobiety próbował dostać się do mieszkania siłą. Był bardzo nerwowy. W końcu wezwano do niego karetkę, bo zrobił się strasznie czerwony, i całkiem zasłabł. Byłem z Sylwestrem, gdy do mieszkania przyjechała dochodzeniówka z prokuratorem. Zajrzał do łazienki i powiedział, że nie widzi tam żadnych zmian. Widziałem przez drzwi, że kobieta leżała na podłodze, ale moją uwagę zwróciła równo rozłożona na niej kołdra. To wyglądało tak, jakby ktoś ją celowo ułożył. Pamiętam jeszcze, że na ścianie koło łóżka była roztarta plama.

– Nie spazmowałam, nie płakałam – powie mi po latach matka Małgorzaty, Irena. – Modliłam się tylko pod tymi drzwiami, żeby to wszystko przetrwać. Nic do mnie nie docierało. Zadawałam sobie wyłącznie jedno pytanie: dlaczego?

Około 16.30 lekarz, który był na miejscu, określił czas zgonu Małgorzaty na 12 godzin wstecz. Czyli śmierć musiała nastąpić w okolicach godziny 4.30 w nocy z soboty na niedzielę.

Z Mariolą S., głównym specjalistą od zamówień publicznych i funduszy unijnych PKP Informatyka w Warszawie, Małgorzata wspólnie jeździła pociągiem do pracy. Kobieta będzie zdziwio-

na, że tamtej soboty Katarzyna, jej mąż i Sylwester pojechali razem na budowę, a Małgosia nie. Podobnie zdziwi ją też, że razem pojechali do mieszkania w Skierniewicach, gdzie znaleziono ciało Małgorzaty.

– Kasia powiedziała mi kiedyś w pracy, że całe szczęście, że oni wszyscy pojechali wtedy do Małgosi, bo jeszcze by było na Sylwka – zezna Mariola. – Mnie wtedy замуrowało. Nie rozumiałam takiego toku myślenia. Ta rozmowa była tuż po śmierci Małgosi, może w poniedziałek. Katarzyna opowiadała, że Małgosia, gdy ją znaleziono, miała takie potargane włosy, jakby je sobie rwała z głowy.

– Jak mogło dojść do tej śmierci? – spytałam.

– Często miała silne napady bólu głowy i nadużywała leków przeciwbólowych – odparła Kasia.

– Mnie ta odpowiedź bardzo zaskoczyła, bo ją znałam i nigdy się nie skarżyła na żadne bóle głowy – opowiada Mariola. – Małgosia z Kasią nie darzyły się sympatią. I nie chodzi o jakiś konflikt, lecz o inny typ charakterologiczny. Nadawały na innych falach.

Policjant, który stwierdził zgon, nie wykluczył udziału osób trzecich. Podobnie jak lekarz anestezjolog, oglądający w mieszkaniu zwłoki, co zresztą napisał w karcie informacyjnej. Na ciele Małgorzata „miała obrażenia w postaci sińców i otarć naskórka głowy, sińców i ubytków naskórka rąk i nóg, punkcikowate wybroczyny krwawe w okolicy mostka, wymiociny na powłokach twarzy i skóry głowy”.

Kiedy w aktach prokuratora oglądam policyjne zdjęcia ciała Małgosi zrobione w dniu jej śmierci na podłodze jej mieszkania, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że patrzę na kobietę, którą wcześniej ktoś potraktował jak worek treningowy. Potężne siniaki

na obu łokciach, pęknięta, podeszła krwią warga, posiniaczone kolana, sińce na udach, ramionach, potylicy i szyi. Biegły uznał, że obrażenia powstały w różnym czasie. Część z nich na krótko przed śmiercią (kilka, kilkanaście godzin - obrażeniom nie towarzyszyły cechy ustępowania) oraz pojedyncze sińce, które wskazywały na czas powstania kilka dni przed zgonem (powoli ustępowały). Ich rozmieszczenie biegły ocenił jako „skutek szarpania za kończyny lub uderzania ręką po głowie, co zdarza się na przykład podczas sprzeczek rodzinnych. Jednak mogą one powstać w wielu innych okolicznościach” – zaasekurował się na koniec.

Ze względu na to jednak policja postanawia o wykonaniu sekcji zwłok. Kobieta ma też w zaciśniętej pięści włosy. Technikowi kryminalnemu wydaje się, że nie należą do niej. Małgorzata miała długie i kręcone, a te były krótkie. W aktach nie ma najmniejszej informacji o użyciu jakichkolwiek środków daktyloskopijnych, by ujawnić, następnie zdjąć, a w końcu zabezpieczyć ślady linii papilarnych. W protokole sekcji zwłok nie znajdzie się, co więcej, adnotacja o ubytku włosów na głowie Małgorzaty.

Błędów, katastrofalnych w skutkach dla wyjaśnienia tej śmierci, będzie o wiele więcej.

Kiedy policjanci kończą swoje czynności, Rafał, szwagier Małgorzaty, zalepia taśmą wybite okno.

11 grudnia 2007 prokurator rejonowy w Skierniewicach Wioletta Skorupska wszczyna śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Małgosi. Ale nie zabezpiecza odpowiednio miejsca ujawnienia zwłok. Rodzina na przykład dostaje telefon z prokuratury z pytaniem, czy wie, gdzie jest pidżama, w której znaleziono ich córkę? A skąd rodzice mają to wiedzieć? Pidżama znika.

Policjanci z wydziału dochodzeniowo-śledczego tamtejszej

Komendy Miejskiej Policji otrzymują wytyczne od naczelnika. Mają wypytać okolicznych sąsiadów w Chrobotach:

- czy znają Sylwestra W., jego brata, ojca i żonę?
- czy wiedzą o jej śmierci?
- kto prowadził budowę domu na działce?
- w którym towarzystwie przebywał tam Sylwester i czy bywała jego żona, jak często i z kim?
- czy od 7 do 9 grudnia 2007 Sylwester faktycznie remontował dach?
- jak często od września do grudnia przyjeżdżał na działkę bez żony?
- czy w tamtych dniach Sylwester był na działce, z kim, czy przez cały czas, a jeśli nie – to na jak długo wyjeżdżał?
- czy na działkę on i jego ojciec przyjechali jednym samochodem, czy dwoma?
- czy i o której przyjechał Rafał, brat Sylwestra, i jak długo przebywał na działce?

Śledczy próbują odtworzyć ostatnie dni przed śmiercią Małgosi. Sylwester zeznaje, że w piątek, 7 grudnia rano, zawiózł żonę na dworzec PKP, skąd pojechała do pracy, do Warszawy. Małgosia pracowała w PKP Cargo na kierowniczym stanowisku w Biurze Obsługi Klientów dla Europy Zachodniej.

Była bardzo obowiązkowa i nie lubiła się spóźniać.

Sylwester z dworca pojechał do Żyrardowa do rodziców, gdzie potem następnego dnia (sobota) ze swoim ojcem jeździł na teren budowy domu w Chrobotach. Z soboty na niedzielę miał również nocować u rodziców, a 9 grudnia (to była niedziela) o 13.30 przyjechał do Skierniewic, do mieszkania. Alibi dał mu ojciec: że 7 grudnia wziął wolne z pracy i przyjechał do niego, a 8 grudnia dołączył Rafał, drugi syn, który buduje się obok.

Poprosił Sylwestra o pomoc w naprawie samochodu. Na noc u rodziców zostali zresztą obaj.

Spróbujmy więc odtworzyć ostatni dzień Małgosi w pracy. Marzena T., jej kierowniczką, nie zauważyła nic szczególnego:

– Piątek jak piątek. Powiedziałam do niej i Hani S.: no to zapalmy rozchodniaczka. Rozmawiałyśmy trochę o planowanej służbowej wigilii, na którą Sylwek miał upiec piernik, trochę o rehabilitacji Małgosi. Cieszyła się, że w poniedziałek na nią idzie, długo się o to starała i miała nadzieję na rozwiązanie problemu. Cierpiała na zapalenie ścięgna Achillesa.

Hanna S.: – Zostałyśmy we trzy po godzinach – ja, Małgosia i nasza szefowa. W pewnym momencie poszłyśmy do Marzeny „na dymka”. Małgosia miała na sobie wtedy taki czerwony golf. Zwróciłam uwagę, że w ostatnim czasie dość często go nosiła. Wcześniej ubierała się niezwykle elegancko. Była bardzo nienaganna w stroju, układna, stonowana. Zawsze żakiet i spodenki. Takie garnitury, zwykłe szyte na miarę. W ogóle nie nosiła spódnic. Wszystko starannie wyprasowane. Kolory stonowane, głównie szarości, dyskretny makijaż, uczesana na gładko. Nigdy wcześniej nie paliła, ale jakiś czas przed śmiercią zaczęła palić. Ona właściwie popalała, nie paliła nałogowo, może dlatego to tak wyglądało, jakby przez te papierosy szukała kontaktu z Marzeną. Jak szła na pociąg, to spytała, czy Marzena ją akceptuje.

Dagmara S., koleżanka z pracy (siedziały razem w pokoju): – Pamiętam jej obraz w .tych džinsach i czerwonym golfie, jak siedzi zasmucona przy komputerze. Wyszedłam z pracy wcześniej, ona została po godzinach. Nigdzie się nie spieszyła. I tak mi została w pamięci: smutna, zamyślona, w czerwonym golfie, przed komputerem.

Wiadomo, że Małgorzata w piątek dotarła do swojego mieszkania w Skierniewicach, ale tu zaczyna się zagadka, której

tajemnicę kobieta zabierze ze sobą do grobu.

Tamtego wieczoru nie zadzwoniła do rodziców, a zazwyczaj dzwoniła codziennie. Do dziś ojciec i matka zadają sobie pytanie dlaczego? Była przecież sama w domu, mąż jej pojechał na działkę. Coś jednak było nie tak.

Kazimierzowi Śniegule, ojcu Małorzaty, jedna z mieszkających pod nią sąsiadek już po tragedii powie: „Proszę pana, co tam się działo! Jakaż to była potężna awantura! Nie mogłam tego słuchać, więc włączyłam telewizor”. Ale policjantom zezna już inaczej.

Ojciec: – Nie wiem, czemu wycofała się później z tych słów. Pamiętam nawet, że chwyciła się przy tym za głowę. Przy naszym kolejnym spotkaniu stwierdziła, że nie chce mówić na ten temat. Nic nie rozumiem. Przecież gdy zaczęła mnie za pierwszym razem, to ja jej nie znałem.

Sąsiadka z mieszkania obok, mająca z Małgorzatą wspólną ścianę kuchni i łazienki, w tamten weekend była u siebie, ale nic nie słyszała. Jakby nikogo nie było. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Tak samo powie sąsiadka mieszkająca z rodziną naprzeciwko Małgorzaty. W piątek będzie słyszała tylko odgłos butów kobiety. Małgorzata chodziła w szpilekach, ich stukot niósł się po całej klatce schodowej. Sąsiadka zauważy jednak nietypowe ślady błota, prowadzące pod drzwi naprzeciwko:

– To było około godziny 15.30. Wracałam z pracy. – Sąsiadka ma na imię Agnieszka. – To były ślady dużych męskich trapeków albo gumiaków, o grubych podeszwach. Byłam zła i powiedziałam mężowi, że gdyby mój gość tak nabrudził, to bym po nim posprzątała.

Mąż (Waldemar), zawodowy żołnierz, pracujący w Centralnym Węźle Łączności Ministerstwa Obrony w Warszawie, zapa-

miętał te same ślady. Podaje opis identyczny z tym, który podała jego żona: – Pamiętam, bo wchodząc, zdenerwowałem się, że jakiś niechluj nie otrzepał butów, tylko w takich szedł. Ślady na naszym, trzecim piętrze, prowadziły w kierunku moich drzwi, ale mnie nikt nie odwiedzał. Żona posprzątała tylko pod naszymi drzwiami, żeby nie było, że to ja nabrudziłem. To byty takie ślady jakby gliny z budowy, czy coś. Rano, jak wychodziłem, błota nie było już nigdzie. Ktoś musiał posprzątać. Nasze osiedle jest zamknięte. Pod nami mieszka sprzątaczką, i mogę podejrzewać, że ona zmiotła te ślady.

Sąsiedzi z naprzeciwka Małgosię i Sylwestra zobaczą tylko raz, kiedy po ślubie młodzi przyjdą się przedstawić i przyniosą ciasto. Potem już tylko opieczętowane drzwi i zrozpaczona rodzina w korytarzu. Błoto, odbite od wielkich butów, będzie widziało jeszcze kilku innych sąsiadów i sprzątaczką, bo ślady ciągnęły się od wejścia do klatki, prowadząc po schodach pod Małgosine drzwi.

O piątku wiadomo jeszcze tyle, co opowie policji Jarosław W., kolega Sylwestra:

– Spotkaliśmy się w domu Sylwka w Żyrardowie tak między 19.00 a 21.00, bo wcześniej byłem w pracy. Mieliśmy oglądać płytę z wesela. Pamiętam, że nie mogliśmy jej obejrzeć, bo nie chciała się prawidłowo uruchomić. Sylwester miał jeszcze jakąś kopię, która zadziałała, ale po kilkunastu minutach też się wyłączyła. Siedzieliśmy więc w pokoju do czasu, aż ja wyszedłem pierwszy. Rodzice Sylwka byli w domu. Ojciec do nas zajrzał, a mama szykowała nam jakieś jedzenie. Przypominam sobie, że Małgosia dzwoniła do Sylwka w trakcie naszego spotkania. Ja nazywam te telefony kontrolnymi. Jak moja żona dzwoni do mnie w takich sytuacjach, to też tak mówię: sprawdza, czy wszystko w porządku. Ustalili, że on zostaje u rodziców, i nic

nie wskazywało na to, by któreś miało jakieś pretensje czy żal. Niczego niepokojącego w tej rozmowie nie było. Kiedy była już dyspensa Małgosi, że on nie wraca do Skierniewic, wtedy pojawił się alkohol. Dzisiaj wydaje mi się dziwne, że jej nie było z nami. W końcu w planie było oglądanie płyty z ich wesela. Ale wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Nie piliśmy dużo, może po ćwiartce na głowę.

O sobocie, 8 grudnia, wiadomo już nieco więcej. Rano Małgosia dzwoni do domu rodziców. Odbiera jej siostra, Lucyna.

– Jest mama?

– Nie ma. Pojechała z ojcem na targ do Skierniewic.

Siostra wyczuwa, że Małgosia jest czymś lekko podenerwowana, ale nie zadaje pytań. Bo ta rozłącza się, po czym wybiera numer do matki na komórkę. Zastaje ją na targu. Wokół mnóstwo ludzi, duży harmider. Matka niewiele słyszy:

– Mamo, nie spałam do piątej rano, bo była awantura - zaczyna Małgosia. Ale to zdanie w tamtej chwili jakoś matce rozplynie się w myślach. Jakby do niej nie dotarło. Jakby nie uwierzyła w to, co córka chciała jej powiedzieć.

– Z tej rozmowy nie wynikało – powie policjantom Irena Śnieguła – że Sylwek wyjechał w piątek. Zrozumiałam, że pojechał w sobotę.

Rodzice, mimo że są w Skierniewicach, nie zajeżdżają do córki. Spieszą się, by zdążyć z obrobieniem pomidorów. Mają trzy hektary tuneli, w których oprócz pomidorów rosną jeszcze inne warzywa: sałata, fasola, cebula, ogórki, marchew. Mnóstwo warzyw, którymi ojciec Małgosi handluje na giełdzie.

Córka, kiedy może, pomaga rodzicom. Ojcu utkwii w pamięci, jak wiązała pomidory bez stawiania na stołek.

Drugi raz matka z córką rozmawiają jakoś po 14.00. Małgo-

sia mówi, że wstawiła pranie i robi obiad dla Sylwka. Zachwyca się piękną choinką z szyszek, którą mąż skądś dostał. Mówi matce, że już stoi na komodzie, a Irena się śmieje, że córka wystawiła ją tak szybko, już na początku grudnia.

Jeszcze nie wie, że w ten sposób córka, nim umrze, ostatni raz poczuje zapach Bożego Narodzenia.

– Mówiła też, że kupiła Sylwkowi džinsową bluzę i spodnie, bo miał za tydzień wyjazd integracyjny z pracy, i chciała, żeby ładnie wyglądał. – Matka odtwarza wydarzenia z pamięci jak starą płytę. – Leczyła się na ścięgna i kolana, przyjmowała środki przeciwbólowe, w tym ketonal w kapsułkach. Relacjonowała mi, że zapłaciła za wizytę w Warszawie 350 złotych. Na pewno nic niepokojącego w tej rozmowie nie było. Do tematu awantury już nie wracaliśmy.

Małgosia będzie też kilka razy rozmawiała przez telefon ze swoim mężem. Jedyną osobą, która zobaczy ją jeszcze żywą, będzie jej koleżanka z lat szkolnych, Justyna M. Spotkają się w drogerii. Świadek zapamięta, że kobieta była uśmiechnięta, umalowana i ładnie wyglądała. „Nie widziałam na jej twarzy żadnych obrażeń ciała” – zezna śledczym.

Kazimierz Śnieguła jest przekonany, że Sylwester pojechał do Żyrardowa dopiero w sobotę.

– Gdyby Małgosia w piątek była w domu sama, toby do nas zadzwoniła – mówi z przekonaniem. – A sąsiadka nie mówiłaby o awanturze i nie włączałaby telewizora o drugiej w nocy.

Ta sąsiadka z dołu to Grażyna Ł. 7 grudnia około godziny 20.00–21.00 słyszała głośną rozmowę kobiety i mężczyzny, która dochodziła z mieszkania powyżej.

– To nie była kłótnia – doda świadek. – Pomyślałam, że odbywa się tam jakaś impreza. Następnego dnia, oglądając

„Fakty”, usłyszałam głośne tąpnięcie, głuchy dźwięk, który też dochodził z tego mieszkania.

Sekcję zwłok, jaką wykonano Małgorzacie, starzy gliniarze nazywają „białą”: przyczyną jej śmierci stała się „ostra niewydolność krążeniowa niewiadomego pochodzenia”. Czyli: wiadomo, że umarła, ale nie wiadomo dlaczego. Tomasz Troszczyński, policjant, zezna, że tego samego dnia, 12 grudnia 2007, trzy dni po śmierci kobiety, kiedy przyszły wyniki sekcji, prokurator Wioletta Skorupska przeprowadziła dodatkowe oględziny mieszkania.

Patrzyła, ale nic nie widziała.

Tego samego dnia oddała klucze od mieszkania Sylwestrowi i jego rodzinie. Teściowa Małgorzaty, Sylwester i jego siostra Marzena posprzątają więc mieszkanie, w tym kołdrę, na której znaleziono Małgosię. Irena W. powie później śledczym: „Uprałam tę pościel, bo uważałam, że czynności policji i prokuratury zostały zakończone i nikt nam nie powiedział, że czegoś nie możemy sprzątać”.

Irena Śnieguła dwa dni wcześniej, 10 grudnia, ze zdumieniem odkryła, że dla matki Sylwestra przyczyna śmierci jej córki jest bardzo prosta:

– Kiedy na cmentarzu szukaliśmy miejsca na pochówek Małgosi, Irena W. powiedziała, że Małgosia jadła tabletki przeciwbólowe jak cukierki i dlatego się otruła. Przytakiwali jej mąż i Sylwester. Nawet gestami pokazywali to jedzenie. Nie wiem, czemu oni od razu podnieśli kwestię zatrucia. Nikt jeszcze wtedy nie znalazł przyczyny śmierci. Nawet wyniki sekcji zwłok też nie były znane. Ta informacja przyszła dwa dni później. Na dodatek, że nie wiadomo, z jakiego powodu córka zmarła.

Niemniej koleżanka z pracy Małgosi, Małgorzata T., powie,

że miesiąc po jej śmierci zadzwoniła do niej Irena Śnieguła z pytaniem, czy mogłaby zeznać, że jej córka nie była lekomanką, bo to zarzuca im rodzina jej męża.

– Przy okazji powiedziała – nie może wyjść ze zdumienia koleżanka Małgosi – że wydali 30 tysięcy na drewno na dach domu. Ł nic. Przepadło. Byłam w szoku, że ona po śmierci dziecka o czymś takim rozmawia.

Dość szybko się okazuje, że Małgorzata na kilka dni przed śmiercią podpisała polisę ubezpieczeniową na życie. Polisa nosi nazwę „Strategia Iwa”. Małgosia oświadcza w niej, że została wystawiona zgodnie z jej wolą. Data wystawienia: 27 listopada 2007. Data otrzymania: 7 grudnia. Wcześniej, jak mówią dokumenty, rozwiązała inną umowę ubezpieczenia (w której uposażoną osobą była jej matka). Oświadczyła, że została poinformowana przez agenta o konsekwencjach i kosztach związanych z odstąpieniem. Podstawowym celem ubezpieczenia „Strategia Iwa” jest ochrona na wypadek śmierci. W jej wypadku uposażony otrzyma 100 tysięcy złotych, a gdyby zginęła tragicznie – dwukrotność tej kwoty. 210 złotych pierwszej składki wypisane jest na kwicie ręką Małgorzaty. W rubryce „uposażony” natomiast figuruje Sylwester W., mąż.

Prokuratura sprawdza niemal trzydzieści innych towarzystw ubezpieczeniowych. Małgorzata miała jeszcze jedną umowę ubezpieczenia na życie, zawartą 9 lipca 2007 roku. Również w niej osobą upoważnioną do odbioru świadczenia był Sylwester W.

Kilka dni po śmierci żony Sylwester występuje do towarzystwa ubezpieczeniowego z wnioskiem o wypłatę odszkodowania. Ale że przyczyna śmierci jest niejasna, ubezpieczyciel odwleka przekazanie pieniędzy. 28 stycznia 2008 roku mężczyzna pisze więc, że nic mu nie wiadomo o chorobach żony, a pytania

o to (bo takie padają) uważa za „próbę odsunięcia w czasie wypłaty świadczenia”. Mają 30 dni na wypłatę; czas ten minął 18 stycznia. W piśmie do towarzystwa ubezpieczeniowego mąż prosi również o odsetki i oczekuje odpowiedzi w ciągu 5 dni.

*

Sylwester i Małgorzata poznają się w 2005 roku. Przedstawia ich sobie w pociągu Katarzyna, wówczas przyszła żona brata Sylwestra – Rafała, i jednocześnie koleżanka z pracy Małgosi w PKP Cargo. Dziewczyny jeżdżą razem pociągiem, często rozmawiają. Sylwester nie ma z kim iść na wesele, więc Małgosia zgadza się mu towarzyszyć.

– Jest taki nijaki – powie jednej z młodszych sióstr, Joannie.

Nie bardzo jej się podobał, zapamięta drugą jej siostrę, Lucynę, „bo miał za krótkie spodnie od garnituru”. Małgosię, zawsze nienagannie ubraną, raziła jego „woda w piwnicy”. Ale po weselu zaczęli się spotykać.

Joanna: – Małgosi brakowało takiego afiszowania się z tym związkiem w miejscach publicznych. Sylwek nie obejmował jej przy ludziach, nie łąpał za kolano, nie całował. Był bardzo skryty w tym względzie. A ona była bardzo zakochana. Podobało jej się, że w tym związku zapewniają sobie dużo niezależności. Do ślubu mieszkali oddzielnie. On motywował ją do nauki, wspierał, było to dla niej ważne. Ona wyjeżdżała na całe weekendy, gdy studiowała w ramach firmowego dokształcania we Wrocławiu. Sylwek też miał swoje wyjazdy, w tym na działkę, gdzie budował dom.

Sylwester W., nim poznał Małgorzatę, był związany z Agnieszką S. Poznali się w 1996 roku, kiedy ona miała 17 lat, i przez 4 lata byli parą. Potem przez kolejnych pięć – do czasu, gdy Sylwester poznał Małgorzatę – schodzili się i rozchodzili.

Matka Sylwestra nie akceptowała Agnieszki. Rodzina dziewczyny nie była zamożna, oboje pracowali fizycznie. Sylwester nigdy nawet nie zapraszał swojej dziewczyny do domu. Spotykali się u niej. W końcu matka wymogła na nim, żeby zakończył tę relację. I konsekwentnie tego pilnowała.

– Pamiętam, że kiedyś zostawił pod moją bramą samochód. Matka wsiadła i nim odjechała, miała drugie kluczyki. Dzisiaj chce mi się z tego śmiać – mówiła Agnieszka policjantom.

Być może więc Małgorzata, która początkowo podobała się matce Sylwestra, stała się dla niego plastrem na ranę po niespełnionej miłości.

Ale Małgorzacie zależało na małżeństwie. W 2007 roku rzuciła się jednej z koleżanek z pracy w Cargo, jak sprowokować Sylwestra do tego, żeby jej się oświadczył. W końcu, kiedy kupił zaręczynowy pierścionek, zapytała koleżankę, czy jej się ten pierścionek podoba.

– Często krytykowała swojego przyszłego męża w mojej obecności – zezna Danuta S.

– Opowiadała, że kupił jej na urodziny jakieś urządzenie AGD, i wyrzekała, że on musi ją postrzegać jako kuchnię. Żaliła się, że nigdy nie kupił jej kwiatów, perfum, kobiecych prezentów, tylko takie praktyczne. Krytykowała też ten pierścionek. Uważała, że podarowana jej duża cyrkonia przynosi jej wstyd. Nie chciała go nawet nosić w pracy. Dziwiłam się, bo zakładała go tylko wtedy, gdy szła na spotkanie z rodziną Sylwestra. Wstydziała się powiedzieć, że jej się ten pierścionek nie podoba.

Przed ślubem obraz obu rodzin zaczyna się zaciemniać.

Irena Śnieguła: – Matka Sylwestra była oburzona, że Małgosia poprosiła o dopisanie jej do księgi wieczystej domu w Chrobotach. Mówiła mi, że mają w planie wziąć kredyt na dokończe-

nie budowy domu, dlatego o to poprosiła. Rozważała też sprzedaż mieszkania w Skierniewicach.

„Spiesz się do majątku Sylwka” – miała powiedzieć przyszła teściowa do Marcina M., ówczesnego partnera jej córki, Marzeny W. (siostry Sylwestra). Rodzina W. była zamożna, mieli sporo ziemi, której część sprzedali pod budowę autostrady.

– Małgosia dokładała się finansowo do tej budowy, jej ojciec dał drzewo na dach, kupiła poloneza trucka – zeznał potem Marcin śledczym. – Przypominam sobie telefon od Marzeny, że obie z matką się zastanawiają, czy ten związek będzie korzystny dla Sylwka, i że może mu niezręcznie odwołać ten ślub. Ale lepiej późno odwołać niż szybko się rozwodzić.

Matka Małgosi z kolei nie akceptowała Sylwestra. Był dla niej mężczyzną bez wykształcenia. Niedouczone, mało inteligentny, jednym słowem bez polotu. Z drugiej strony uważała, że rodzina W. to dla jej córki za wysokie progi. Najwięcej Małgosia opowie przed ślubem koleżankom z pracy, jakby chciała grubą kreską odciąć się od swojego dotychczasowego życia i rozpoczynając zupełnie nowe.

Danuta S. dowie się na przykład, że Małgosia nie miała łątwego dzieciństwa. Matka była zasadnicza i chłodna. Nigdy jej nie przytulała. Nie okazywała uczuć. Nie doceniała osiągnięć, nie chwaliła. Ważne było tylko to, żeby się uczyła. Inne sfery życia córki pozostały nieistotne. Małgosia nigdy nie miała przyjaciół, nigdzie nie wychodziła, bo jej dzieciństwo było wypełnione nakazami. Nie umiała też zrozumieć postępowania matki, zwłaszcza jeśli chodziło o ojca. Nazwała go „lokalnym pijakiem i łobuzem”, mówiąc, że zostawił ją i matkę zaraz po tym, jak się urodziła. Miała żal, że ta po kilku latach nieobecności przyjęła go z powrotem i „pozwoliła sobie zrobić jeszcze dwoje dzieci” (między nią a siostrami jest różnica ponad 10 lat). Uważała, że

dla matki jej dobro było mało ważne, skoro po tym wszystkim zgodziła się przyjąć ojca do domu.

Małgorzaty wysłuchała też jej szefowa, Marzena T. Że Małgosia bardzo lubi swojego teścia, bo mówi do niej „córunia”. Moi rodzice, żaliła się, nigdy do mnie dobrego słowa nie powiedzieli. Jak przyszłam do domu z czwórka, to pytali, dlaczego tylko czwórka. Zwłaszcza ojciec bardzo mnie krytykował i ciągle udowadniał, że wszystko, co robiłam, to za mało. – Mogę powiedzieć – zezna Marzena T. – że jej dom nie był domem szczęśliwym i nie miała w nim oparcia.

Hanna S., podobnie jak inne koleżanki z pracy, zauważyła, że Małgosia z przygotowaniami do ślubu została zupełnie sama:

– Nie miała nikogo bliskiego: matka nie była dla niej żadnym oparciem, nie miała żadnej przyjaciółki. Do innej naszej koleżanki, która wychodziła za mąż w tym samym czasie, przychodziła przyjaciółeczka, z którą wszystko omawiały, wybierały, przeżywały. A Małgosia nas w pracy, obcych ludzi, pytała o wybór sukni ślubnej. Brakowało jej rodzicielskiego autorytetu.

Katarzyna W., żona Rafała, brata Sylwestra, powie, że dla Małgosi bliskie relacje w rodzinie były czymś niespotykanym: z ojcem nigdy nie rozmawiała normalnie, zawsze to były jakieś słowne utarczki, a wobec tego, co on mówił, nigdy nie mogło być sprzeciwu.

– Kiedyś powiedziała, że ojciec traktuje ją jak złotą kaczkę, która ma znosić złote jajka, czyli przynosić do domu pieniądze. – Katarzyna przyjrzała się bliżej rodzinie Śniegułów przed ślubem Małgosi. – Przy mnie mówił, że Małgosia nie wspiera ich wystarczająco finansowo, a nawet rzucił, że „wystawi im fakturę za każdy grosz wydany na ich wesele”. Małgosia nigdy nie chciała jeść u rodziców. Kiedy ojciec dawał jej ogórki albo pomidory, odmawiała przyjęcia. Kiedy po kolejnej scysji wracałyśmy

do domu do Skierniewic, rozplakała się i powiedziała: „Już teraz wiesz, czemu się wyprowadziłam. Teraz mam nareszcie święty spokój”.

Od jej babci wiem, że ten ojciec po alkoholu znęcał się nad babcią. Wyrzucał ją z domu, a do Małgosi miał pretensje, że ta staje po stronie babci. Ona mówiła, że tak naprawdę na wieś wraca tylko do niej, bo babcia to jedyna bliska jej osoba.

Bronisława Tułacz (85 lat), babcia Małgorzaty, opiekowała się nią od czasu, gdy dziewczynka skończyła 5 miesięcy. Matka Małgosi pracowała w PKP w Łodzi. Wychodziła do pracy o 5.00 rano, a wracała koło 18.00. Ojciec – na wagonach naprawczych w Pruszkowie. Na zmiany. Małgosia spała więc w pokoju babci i tu odrabiała lekcje. Jak była mała, wszystko ją interesowało, o wszystko pytała. Była bardzo ambitnym i sumiennym dzieckiem. I tak jej zostało do końca życia. Wybrała Liceum Ogólnokształcące w Godzianowie, potem poszła do Łodzi na trzyletnie dzienne studia.

– To było bardzo trudne. – Śledczy przesłuchają też Bronisławę. – Bo od naszego domu do stacji jest około 3 kilometrów przez las. Bała się przez ten las chodzić, dlatego ja z którąś z młodszych sióstr zawsze wychodziłam jej na drogę z latarką. Miałyśmy taką umowę, że z lasu, gdy jeszcze szłam, puszczałam jej sygnał świetlny trzy razy, i ona wiedziała, że może bezpiecznie iść. Że ja na nią czekam. Po 3 latach dziennych zaczęła robić magistra zaocznie. Na studiach była wśród sześciu najlepiej uczących się osób. Dostała stypendium i byliśmy z niej dumni. Mąż kupił jej za to samochód. Oboje też postanowiliśmy jej pomóc, żeby się usamodzielniała i kupiła mieszkanie w Skierniewicach. Wyplaciliśmy nasze oszczędności, ponad 12 tysięcy złotych, na wkład do tego mieszkania, a na resztę córka wzięła kredyt. Kosztowało jakieś 40 tysięcy. Pamiętam, jak Małgosia za-

brała nas do tego mieszkania i jak nam dziękowała. Dałam jej też na biel do ślubu tak, jak jej dałam do komunii. Powiem prawdę: takiego dziecka jak Małgosia to w korcu szukać. Była taka cicha i dobra. Kochałam ją całym sercem.

W liście do prokurator Wioletty Skorupskiej w 2008 roku Sylwester W. napisze, że jego zmarła żona pozostawała w wieloletnim konflikcie ze swoimi rodzicami, zwłaszcza z ojcem, który chciał, by Małgorzata swoje mieszkanie przekazała siostrze.

„Żona miała o to wielki żal i uważała, że jest traktowana gorzej niż swoje siostry. Mieszkanie, o którym mowa, kupiła na kredyt i wyposażyła własnymi siłami. Żyrantami byli jej rodzice, ponieważ w tamtym okresie nie miała wystarczających dochodów, żeby wziąć kredyt samodzielnie. Rodzice podpisali się na jej umowie kredytowej, ale nie omieszkali skwitować, iż liczą na to, że nie będą zmuszeni spłacać za nią tego mieszkania. Sposób, w jaki jej to przekazano, spowodował, że nigdy później nie zwróciła się do nich o pomoc, chociaż był taki okres w jej życiu, kiedy to po opłaceniu wszystkich rachunków brakowało jej pieniędzy na jedzenie. Nawet mi opowiedziała o tej sytuacji dopiero rok temu. Nasz ślub także był przedmiotem docinków ze strony rodziny żony. Matka kilkakrotnie jej powiedziała, że skoro ona nie jest szczęśliwa w małżeństwie, to i żona nie będzie, więc niepotrzebnie naraża ich na wydatki. W efekcie to moja mama i siostra zostały poproszone przez Małgosię o pomoc w wyborze sukni ślubnej. Gdyby nie zaangażowanie i pomoc całej mojej rodziny, Małgosia zostałaby z przygotowaniami sama. Do ślubu żona nie chciała się ubierać w swoim domu rodzinnym, tylko wybrała mój dom”.

Bolesław W., ojciec Sylwestra, zezna, że w dniu ślubu ojciec Małgosi zadzwonił do niej, mówiąc, że nie podoba mu się ustawienie stołów w sali weselnej. – Tylko ja i moja rodzina sprząta-

liśmy tę salę. Małgosi było przykro i w dniu ślubu płakała.

Niedoszłym małżonkom dojdzie przed ślubem jeszcze jeden potężny stres: ktoś na dwa tygodnie przed uroczystością podszycie się pod Sylwestra i odwoła salę weselną, którą para zamówiła w Dąbrowicach, wsi położonej między rodzinnymi Świętymi Nowakami Małgorzaty a Skierniewicami. Obie rodziny będą w szoku, choć Małgosia pomyśli, że może salę odwołał jej popędliwy ojciec. Dlatego wesele odbędzie się w pobliskiej Woli Mankowskiej.

Z obserwacji koleżanek z PKP Cargo powstanie prawdziwa mozaika ludzkich zachowań i emocji. Hanna S. zapamięta na przykład grobową minę Sylwka. Wyglądał tak, jakby w ogóle się tym ślubem nie cieszył. Małgosia promieniała, zakwitła dla niego jak kwiat, a on stał z ponurą miną.

– Komentowaliśmy to potem w pracy – zauważy Hanna S.

Wiele osób dostrzeże to niemal nieuchwytne pęknięcie. Że Sylwester często wychodził z wesela i zostawiał żonę samą. Że mało ze sobą tańczyli. On upije się do utraty przytomności, a upadając na ziemię, podrapie sobie czoło i nos. Po weselu swoje zdjęcie z poobijaną twarzą wyśle esemesem byłej dziewczynie, Agnieszce. Tak zezna jej koleżanka z pracy – Bogumiła S. (Agnieszka S. pracowała w fabryce samochodów).

Ślub nie będzie też szczególnym powodem do dumy dla rodziny Śniegułów.

Małgorzata T, szefowa Małgorzaty: – Małgosia z mężem pół godziny przed mszą stali w progu kościoła i witali gości.

To, co mnie zdumiało, to zachowanie matki, która ani razu do niej w tym czasie nie podeszła. Sama jestem matką i zdziwiło mnie, że nie poprawiła jej sukienki, welonu, nie robiła niczego, co zwykle przed ślubem robi matka.

Konflikt między rodzinami przeniósł się na weselne podwórko. Po uroczystości rodzice Sylwestra mieli zapłacić kucharzom 3200 złotych.

Matka Małgorzaty: – Okazało się, że tego nie zrobili. Miałam przy sobie pieniądze, więc zapłaciłam.

Marzena W., siostra Sylwestra, będzie jednak przekonana, że Małgorzata miała bardzo dobre stosunki z jej rodzicami i cieszyła się z wejścia do ich rodziny.

– Bardzo szybko zmieniła swoje nazwisko na męża i wyrobiła sobie nowy dowód, komentując, że wreszcie pozbyła się nazwiska Śnieguła.

To samo powie uwielbiany przez Małgosię teść, Bolesław W.:

– Nie chciała nosić nazwiska, które ma teraz jako jedyne wypisane na grobie.

Teściowa Małgorzaty, Irena W., też wydawała się zadowolona z synowej.

– Była bardzo pracowita i pedantyczna, u niej w domu można było jeść z podłogi, tak było posprzątane – powiedziała policjantom. – Ceniłam jej pracowitość, to rzadkość wśród dzisiejszej młodzieży. Była gospodynią starej daty, niespotykaną wśród młodych. Wychowywana przez babcię miała dobre gospodarskie nawyki. Bardzo lubiła pomagać mi w kuchni, chciała się nauczyć tego, co ja gotowałam, bo zawsze tłumaczyła, że chce, by Sylwusiowi smakowało jak u mamy.

Najbardziej zastanawiające będą jednak zeznania Moniki S., która pracowała z Małgorzatą w PKP Cargo. Poznały się w Kolejowej Agencji Aktywizacji Zawodowej i kolegowały 8 lat.

Małgosia załatwiła jej pracę w PKP. Monika pracowała w biurze teleinformatyki:

- Jeszcze przed ich ślubem, około dwa miesiące, Małgosia powiedziała, że z Sylwkiem kontaktuje się jego była dziewczyna – powie Monika policjantom. – Nie wiem, jak się o tym dowiedziała. Sylwek przekonywał ją, że zakończył związek z tamtą narzeczoną, ale ona nie chciała mu dać spokoju. Małgosia była tą całą sytuacją zdenerwowana, tym bardziej że zaczęła dostawać na swój telefon komórkowy głuche telefony. Nie wiem, z jakiego numeru. Podejrzewała, że to była narzeczona Sylwka. Przy kolejnym połączeniu, jakiś miesiąc przed ślubem, w słuchawce odezwał się damski głos, który powiedział do Małgosi: „Skoro ja go nie mogę mieć, to ty też nie będziesz”.

- Wiem, że Małgosia dostała na swój telefon w noc przed ślubem jakieś dziwne esemesy po angielsku. Nie wiem, od kogo i jakiej treści, bo mi tego nie mówiła – zapamięta siostra Małgorzaty, Lucyna.

28 marca 2008 roku do prokuratora niespodziewanie przychodzi wyniki badań toksykologicznych. Nie wiedzieć czemu dopiero po ponad trzech miesiącach od śmierci kobiety (materiał biologiczny trafił do Zakładu Medycyny Sądowej w Bydgoszczy 27 grudnia). Okazuje się, że Małgosia miała we krwi ponad pięciokrotnie wyższą od śmiertelnej dawkę jonów cyjankowych.

W późniejszej opinii sądowo-lekarskiej biegli napiszą, że wyniki sekcji ani badań nie pozwalają na jednoznaczne wskazanie drogi wchłonięcia trucizny: pokarmową czy oddechową.

„W świetle oznaczonych stężeń należy jednak przypuszczać, że do zatrucia doszło drogą pokarmową. Za tą drogą przemawiają również ślady wymiotów w miejscu ujawnienia zwłok. Nie udało się ustalić, jaki związek cyjanku denatka zażyła, w jakiej ilości i formie. Ponieważ wymiotowała, nie wiadomo, ile treści z żołądka wydalila, i należy być ostrożnym co do szybko-

ści działania trucizny. Wysokie stężenie we krwi świadczy, że działała szybko, ale ślady wymiocin przemawiają, że między jej zażyciem a zgonem upłynął czas, jednak trudny do precyzyjnego oszacowania. Należy przypuszczać, że było to najwyżej parę minut”.

Prokurator informację na temat zatrucia Małgorzaty cyjankiem zatrzymuje dla siebie, nie powiadamiając rodziny aż do maja. I zaczyna podejrzewać samobójstwo.

Policjanci z łódzkiego Archiwum X, którzy po latach analizowali sprawę, nie będą jednak tego tacy pewni. Mieszkanie idealnie wysprzątane, zamknięte od wewnątrz, listu pożegnalnego nie ma. Ona w pidżamie, łóżko rozłożone, jakby kładła się do snu, wymiociny na ścianie ze śladami lekkiego sprzątania. Podinspektor, nazywany przeze mnie Adamem, powie, że na logikę Małgorzata mogła nie wiedzieć, co się z nią dzieje. Gdyby zażyła cyjanek świadomie, pozostawiłaby coś, co by świadczyło o tym, że skądś go wzięła. Jakieś opakowanie, cokolwiek. A tam nie było nic.

– Zaczęliśmy badać sprawę i okazało się, że miewała migreny, silne bóle miesięczkowe, zażywała ketonal. Doszliśmy do wniosku, że ktoś o tym wiedział i mógł podmienić leki. Innymi słowy mogła zostać podstępnie otruta.

Prokurator jednak założy samobójstwo, co sprawi, że znacznie pod tym kątem patrzeć na zeznania świadków i ciąg poszlak, szukać motywu i przyczyny, dla której Małgosia mogłaby targnąć się na własne życie. 1 lipca 2008 zrozpaczeni Śniegułowie, którzy nigdy nie uwierzą w samobójstwo córki, proszą więc o wyłączenie ze sprawy prokurator prowadzącej – Wioletty Skorupskiej. Wniosek zostaje odrzucony.

Irena Śnieguła po latach mi powie, że gdy prosiła prokuratorkę o bardziej zdecydowane działania, usłyszała: „Pozwólcie

córcie ostygnąć!”.

Jednocześnie tego samego dnia piszą do ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Cwiągalskiego (jest to już ich drugi list, pierwszy wysłali 11 czerwca) z prośbą o nadzór i interwencję w sprawie działania skierniewickiej prokuratury:

„Nasze wnioski dowodowe są umarzane lub okazuje się, że prokuratura nie zabezpieczyła podczas postępowania elementarnych dowodów”.

„Na trzeci dzień po stwierdzeniu zgonu córki, 12 grudnia, decyzją prokurator udostępniono mężowi i jego rodzinie klucze od mieszkania, po czym nastąpiło tam generalne sprzątanie, co mogło spowodować usunięcie istotnych śladów mogących pomóc w wyjaśnieniu okoliczności jej śmierci”.

„Nie wyjaśniono, dlaczego zniszczono ubranie, w którym nasza córka zakończyła tragicznie życie. Nie zabezpieczono na nim żadnych śladów. Kto podjął taką decyzję?”.

„Czy były powody utrzymywania przed nami tajemnicy w sprawie wyników badań toksykologicznych do maja 2008 roku?”.

Ale wszystkie błagania pozostają bez echa.

Pod koniec września 2008 prokurator Skorupska postanowiła o powołaniu biegłego psychologa, by stworzył psychologiczny portret zmarłej Małgosi. Może wówczas, rozumie prokurator, uda się ustalić jakiegokolwiek motywy jej ewentualnego samobójstwa. 17 października 2008 roku Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Selma w Krakowie otrzymuje akta sprawy Małgorzaty. Opinia psychologiczna powstaje 30 czerwca 2009. Podpisują się pod nią dwie bardzo doświadczone psycholożki: Teresa Jaśkiewicz-Obydzińska i Ewa Wach. Pierwsza przez wiele lat była kierownikiem Zakładu Psychologii Sądowej

Instytutu Ekspertyz Sądowych, członkiem zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Psychologii Śledczej, autorką i współautorką kilkudziesięciu publikacji z zakresu psychologii sądowej. Druga specjalizuje się w problematyce zeznań świadków, wyjaśnień oskarżonych, wiktyologii i profilowaniu nieznanymi sprawców przestępstw. Obie szkolił słynny amerykański profiler Robert Ressler. Psycholożki prześledzą tylko przebiegi życia Małgosi, które uda im się poznać z prokuratorskich akt.

Ojca kobiety, Kazimierza Śniegułę, określą jako człowieka impulsywnego i podejrzliwego, „na co wskazują jego zachowania podczas prowadzenia sprawy”. Słusznie jednak zauważą, że dostępny materiał nie pozwala na odtworzenie sylwetki psychologicznej kobiety „ze względu na brak danych jej rozwoju w okresie dzieciństwa i wchodzenia w wiek dorosły, charakteru jej relacji i więzi emocjonalnych w tamtym czasie, sposobów rozwiązywania sytuacji trudnych czy reakcji na stres, a także planów i aspiracji oraz hierarchii wartości”.

Uniemożliwi to jednoznaczne ustalenie motywów ewentualnego samobójstwa.

Zebrany materiał pozwoli biegłym tylko na postawienie w tym zakresie pewnych hipotez.

Tej, że u Małgosi, z powodu ciągłego krytykowania przez rodziców, wykształciły się zaniżona samoocena, brak pewności siebie i w pewnym stopniu zaburzenie poczucia bezpieczeństwa.

Tej, że jej bóle głowy mogły mieć charakter nerwicowy, bo nasilały się w okresach stresu, ale nie leczyła się z tego powodu. Nie rozpoznano u niej żadnych neurologicznych podstaw dolegliwości.

Tej, że już od czasów szkolnych miała bardzo ograniczony

zakres kontaktów społecznych i „ewentualnie przeżywanych konfliktów nie odreagowywała poprzez rozmowy z przyjaciółmi”.

Biegłe słusznie dostrzegają, że nie ma w aktach bezpośrednich danych wskazujących na jakieś silnie traumatyzujące wydarzenia w ostatnim czasie przed tragedią, choć „przeżywała co najmniej poczucie niepewności i lęk co do swojej sytuacji życiowej”.

Gdyby zakładać, że to samobójstwo – napisały psycholożki – to wybór sposobu odebrania sobie życia i okoliczności wskazują na to, że o samobójstwie myślała już wcześniej, przygotowywała się do niego i była bardzo zdeterminowana.

Prokurator 30 czerwca 2009 roku na dwudziestu sześciu stronach wyводу postanawia o umorzeniu śledztwa. Według niej Małgorzata Śnieguła popełniła samobójstwo. Prokurator uzasadniała między innymi, że obrażenia stwierdzone u Małgosi miały charakter powierzchowny, „powstały w wyniku niezbyt silnych, tępych urazów i zdaniem biegłego nie były jedną z przyczyn jej śmierci”. Biegły nie wykluczył, że sińce na jej ciele powstały między zażyciem trucizny a zgonem, a „cyjanek potasu jest stosunkowo łatwo dostępny, gdyż ma szerokie zastosowanie w metalurgii, galwanoplastyce, jako odczynnik chemiczny i trutka na gryzonie”.

Śniegułowie są w szoku, bo wygląda na to, że ich córka bez problemu zaopatrzyła się w cyjanek, kupując choćby środek na szczury. Zażalenie na postanowienie prokuratora do Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Skierniewicach skieruje w imieniu rodziny mecenas Ireneusz Wilk, doświadczony adwokat, który był pełnomocnikiem rodziny Olewników w sprawie porwania i zabójstwa ich syna, Krzysztofa. Píše, że „użyty cyjanek wbrew twierdzeniu prokuratora jest środkiem trudno dostępnym i od

pół wieku przynajmniej nie stosowanym w trutce na gryzonie (nawiasem mówiąc, przyczyną wycofania cyjanku z produkcji był fakt, że często służył do popełniania przestępstw). W toku czynności nie ustalono, skąd i w jakich okolicznościach ofiara znalazła się w posiadaniu trucizny i wyjaśnienie tej okoliczności jest niezbędne do formułowania jakichkolwiek tez i hipotez w tej sprawie”.

Adwokat uzasadnia, że zebrany w sprawie materiał dowodowy wskazuje na udział osób trzecich. I logicznie dowodzi, że brak śladów cyjanku w mieszkaniu ofiary sugeruje, że jego źródło zostało z mieszkania usunięte przed przybyciem policji. A wątku tego prokuratura przecież w ogóle nie rozpatrywała.

„Fakt wcześniejszego zaplanowania samobójstwa nie został nawet uprawdopodobniony – argumentuje adwokat. – Zmarła nie wiedziała przecież wcześniej, że jej mąż zostanie na kolejny dzień i noc u swoich rodziców, a więc, że będzie sama w domu. To on podjął tę decyzję, nie mogła więc z góry zakładać, że w tym dniu dokona samobójstwa”.

Adwokat sugeruje też wyraźnie, że bóle, na które skarżyła się przed śmiercią Małgosia, mogły wynikać z podtruwania jej cyjankiem potasu. Najlogiczniejsze jednak są jego wnioski dotyczące tego, że kobieta, jak uznali biegli, mając w organizmie pięciokrotnie wyższą niż śmiertelna dawkę cyjanku, układa dokładnie i równo kołdrę na podłodze, po czym po serii wymiotów na ścianę, kładzie się na brzuchu i podciąga ręce do klatki piersiowej, wyprostowując przy tym nogi. Nie gniece pościeli mimo bolesnego przebiegu agonii (jak dowodzili biegli).

W chwili odczuwania takiego bólu człowiek podświadomie podkurcza zarówno ręce, jak i nogi, a drgawki, które następują, z pewnością spowodowałyby zmianę położenia i kobieta nie mogłaby być tak ułożona w przypadku braku działania osób

trzech. Ma to, zdaniem adwokata, zasadnicze znaczenie dla sprawy. Gdyby popełniła samobójstwo, nie starczyłoby jej czasu na zatarcie śladów, bo trucizna działa bardzo szybko.

Nasuują się też wątpliwości co do ekspertyzy zamków. W ogóle nie rozważono takiej sytuacji, czy można zmienić położenie klucza lub ustawienie wkładki zamka już po zamknięciu z zewnątrz, na przykład poprzez silne uderzenie w drzwi, zastanawiał się adwokat.

Z akt sprawy wynika również, że mąż Małgosi utrzymywał kontakty ze swoją byłą dziewczyną, Agnieszką. Częstotliwość tych kontaktów oraz ich pora (nocna godzina 1.47 w dniu 20 października 2007) spowodowały, że zeznania Sylwestra stały się niewiarygodne, bo wskazywały na jego bliską zażyłość z Agnieszką.

„W tym kontekście dziwi brak kontaktu po śmierci żony Sylwestra. Pierwsze połączenie między dawnymi kochankami ma miejsce w Wigilię 2007. Prokuratura nie prowadziła żadnych czynności w kierunku ustalenia rzeczywistych relacji łączących tych dwoje” – adwokat bije w słabe punkty tezy o „samobójstwie” Małgosi. I dodaje, że jego zdaniem nielogiczne wydaje się postępowanie męża, skoro 7 i 8 grudnia żona kontaktowała się z nim kilka razy, a 9 grudnia ani razu. I nie spowodowało to żadnej jego reakcji. „Nie zadzwonił, by powiedzieć, o której będzie w domu” – pisze adwokat. „Kwestia ta nie była również, zgodnie z zeznaniami, przedmiotem jego poprzednich rozmów. Zaś stojąc przed mieszkaniem, założył, że coś się stało, bp żona powinna być w domu. A mogła być na zakupach, jak dzień wcześniej. Ponadto nielogiczne jest, że słyszy dzwoniące komórki, a mimo to wysyła na nie sms. Nie próbuje samodzielnie wyważyć drzwi, tylko dzwoni do rodziców, którzy mieszkają daleko, i do brata, zamiast poprosić o pomoc sąsiadów”.

Poza tym skąd numer telefonu Agnieszki S. wziął się na liście kontaktów Małgorzaty, mimo że – jak twierdziła Agnieszka – nigdy ze sobą nie rozmawiali?

Wątpliwość jest lekarstwem, które przynosi mądrość. Ale Sąd Rejonowy w Skierniewicach nie doszukuje się w materiale dowodowym znaków zapytania i uznaje, że prokurator miał rację. Dlatego umorzenie pozostawia w mocy.

*

Rodzice Małgorzaty, Irena i Kazimierz, wszędzie, gdzie się da, opowiadają o tragedii córki. Piszą o tym media w całej Polsce, od lewa do prawa. Sprawa na 2 lata utyka w martwym punkcie – do momentu, w którym w 2010 roku ojciec Małgorzaty zjawi się w łódzkim Archiwum X.

6 grudnia 2010 Śniegułowie piszą do Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi kolejną prośbą o wyłączenie z prowadzenia sprawy dotychczasowego prokuratora: „xWniosek uzasadniamy brakiem absolutnego zaufania do prokurator prowadzącej postępowanie i do prokuratury, w ramach której czynności te były wykonywane. Zwracaliśmy potrzebę dodatkowych badań, nowych dokumentów, dodatkowych przesłuchań, w tym zasięgnięcia opinii biegłych. Wnioski te były lekceważone. Stawaliśmy się dla prokuratury osobami niepożądanymi, jako pokrzywdzeni, i byliśmy narażeni na wiele uszczypliwości. Prowadząc dotychczas prokurator łączy ze sprawą szczególnie stosunek emocjonalny. Jednocześnie informujemy, że z materiałami postępowania przygotowawczego »samobójstwa« naszej córki zapoznali się funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej – Archiwum X. Sądzymy, że ich spostrzeżenia i uwagi w znaczącym stopniu mogą przyczynić się do ustalenia rzeczywistych faktów, które przyczyniły się do śmierci naszej córki”.

- Doprowadziliśmy do tego, że postępowanie zostało na nowo podjęte – mówią policjanci.

Ponieważ sprawa wciąż pozostaje w zainteresowaniu organów ścigania, nie o wszystkim mogę napisać. Niemniej Prokuratura Apelacyjna w Łodzi wyznacza Prokuraturę Rejonową Łódź-Polesie do kontynuowania sprawy. 17 stycznia 2011 roku podejmuje ją prokurator Marek Słoma.

Ustala, że brat Sylwestra, Rafał, skończył Technikum Chemiczne w Zespole Szkół w Piastowie i przygotowywał się do obrony pracy inżynierskiej na Wydziale Transportu Politechniki Warszawskiej. Czyli mógł chociażby wiedzieć, w jaki sposób pozyskać cyjanek potasu.

Marek Słoma pisze do jednego z operatorów telefonii komórkowej i firmy Bizmedia w Czeladzi. Pierwszego prosi o wykaz połączeń, drugiego – o udzielenie informacji dotyczących konta chemik@os.pl, czyli jakie dane podała osoba zakładająca konto, czy uległy one modyfikacji, kiedy konto zostało założone i czy przechowywane są mejle (konto należało do Rafała W.). Jeśli tak – to prokurator prosi o te z 2007 i 2008 roku. Oba podmioty zwalnia z obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej. Prokurator zleca też kolejną ekspertyzę na okoliczność cyjanku. Okazuje się, że uzyskanie go nie jest wcale takie łatwe, jak do tychczas uważała poprzednia prokurator prowadząca sprawę.

W opinii Marka Hanisza, biegłego z zakresu fizykochemicznych badań kryminalistycznych, czytamy:

„Produkcja cyjanku potasowego w warunkach domowych nie jest możliwa. Cyjanowódor występuje w przyrodzie w stosunkowo dużych ilościach w postaci związanej, jako heterozydy. Najbardziej znana jest amigdalina, występująca w liściach i nasionach pestkowców (migdały, morele, brzoskwinie, śliwki, wiśnie). Znane są przypadki zatruc śmiertelnych po zjedzeniu

50-60 gorzkich migdałów przez osobę dorosłą. Śmierć dziecka może spowodować spożycie 10 migdałów. Po doustnych zatruciach cyjankiem potasu lub sodu pojawiają się przekrwienia i nadżerki błony śluzowej żołądka”.

Kazimierz Śnieguła mówi, że brat Sylwestra, Rafał, sprawdził w domu za pomocą cyjanku, czy łańcuszek Małgosi podarowany jej przez teściową jest faktycznie ze złota. Wątpliwości pojawiły się, ponieważ brudził jej szyję. Ojciec idzie więc na policję zeznać, że próbował sprawdzić u jubilerów, czy są trudności z uzyskaniem cyjanku potasu pod pretekstem chęci sprawdzenia złota. Mimo pouczenia o odpowiedzialności karnej za fałszywe oskarżenia zrozpaczony ojciec mówi, że to brat Sylwestra, Rafał, mógł uzyskać cyjanek za pomocą reakcji chemicznej, bo zna się na rzeczy i wykonywał próby ze złotem.

– Uważam, że ktoś wykorzystał wiedzę Rafała i to, że ma on dostęp do cyjanku potasu – tłumaczy ojciec policjantom.

Ale Rafał, sam wstrząśnięty śmiercią bratowej, też nie może uwierzyć w jej samobójstwo. Mówi śledczym: – Szczególnie dziwne jest dla mnie, że zmarła na skutek zatrucia jonami cyjanku. Ukończyłem technikum chemiczne, stąd wiem, że substancje zawierające jony cyjanku nie są łatwo dostępne. Jest to środek podlegający ścisłej kontroli komisyjnej. W szkole nigdy nie pracowaliśmy z użyciem tych substancji, po prostu jest to zabronione i niebezpieczne. Z racji szkoły nigdy nie miałem dostępu do jonów cyjankowych i nie wykonywałem żadnych prób złota.

Śledczy przeczesują wszystkie aspekty życia obu rodzin. Policja rekwiruje twardy dysk służbowego komputera Małgosi, a także komputery Sylwestra i Rafała. Biegły sprawdza dyski pod kątem słów: trucizna, zatrucie, zgon, upozorować, wykryć, ukryć, zbrodnia doskonała, ślad, sypać, dosypać, toksykologicz-

ne, toksyczne, połknąć, kapsułka, dawka, śmiertelna, konwulsje, torsje, wymioty, kwas, cyjanowodór. Bez rezultatu.

Prokurator tymczasem wysłała tysiące pytań do różnych instytucji. Sprawdza, kto dostarczał Małgosi do mieszkania prąd, gaz, telewizję, internet, na jaki numer rachunku bankowego przelewano jej wynagrodzenie za pracę (jej mężowi oraz bratu męża). Analizuje działania na rachunkach bankowych małżonków przed śmiercią Małgorzaty. I czy ktokolwiek w tamtym czasie dostarczał jej jakiegokolwiek przesyłki. Po raz kolejny przesłuchuje też wszystkich aktorów tego dramatu. Agnieszka S., była dziewczyna Sylwestra, otwarcie przyznaje się policjantom do ukartowania perfidnej intrygi, o której rodzina Małgorzaty dowiaduje się dopiero z akt sprawy. Otóż to Agnieszka S., posługując się swoim chłopakiem, odwołała salę weselną Małgorzaty i Sylwestra. Na przesłuchanie przygotowuje sobie dość obszerną i jednocześnie kuriozalną notatkę, którą odczytuje na głos:

„Incydent miał na celu zobaczenie i przekonanie się, jak sprawnie działają instytucje i zarządzające nimi osoby. Interesowałam się tym, ponieważ w przyszłości planowałam wyjść za mąż, a co za tym idzie wybrać salę weselną. Chciałam pokazać ludziom, jak łatwo jest popełnić błąd, nie zabezpieczając się umową. Dlaczego właśnie oni? Bo tylko oni w tym czasie z moich znajomych mieli zamiar wyprawiać przyjęcie w podrzędnej sali Ochotniczej Straży Pożarnej, gdzie, jak wiadomo, nie działają sprawnie wszystkie rzeczy i osoby nie są do tego przygotowane”.

– Nie chodziło mi o to, by ich ślub się nie odbył. Chciałam pokazać jego matce, że zawsze tak świetnie się na wszystkim znali, wszystko, co ich, miało być doskonałe, a wybrali podrzędną salę weselną i nawet nie zabezpieczyli się umową – wyjaśnia Agnieszka S. zaskoczonym śledczym. – Wiem, że wobec tego, co

się stało Małgorzacie, to może wydawać się absurdalne, ale gdyby żyli szczęśliwie, to taki incydent z salą nie miałby większego znaczenia.

Od Piotra B., dobrego kolegi Sylwestra, prokurator dowie się, że pan młody był pewien, iż to jego teść odwołał salę. Kiedy się okazało, że to Agnieszka, był załamany, zdumiony i wściekły. Nie rozumiał jej zachowania.

Do intrygi Agnieszka S. „użyła” dwóch mężczyzn. Pierwszym był Jacek S., jej kolega z pracy. Namówiła go, żeby telefonicznie odwołał rezerwację sali. Sam S. nie interesował się, dlaczego chciała to zrobić. – Mówiła, że chce zrobić na złość komuś z rodziny – zeznał. – Musiała zadać sobie wiele trudu. Ustalić osoby dysponujące salą, kupić starter do telefonu, znaleźć kogoś, kto zadzwoni, a więc pojechać do pracy i porozmawiać ze mną. W autobusie, bez świadków.

Najpierw więc Jacek S. podał się za Sylwestra i salę odwołał. Następnie Agnieszka „użyła” Pawła O. Dała mu 800 złotych za datku, by pojechał z koleżanką, która udawała jego matkę, i zarezerwował salę za tę kwotę na 22 września. W ten sposób Małgorzata i Sylwester musieli szukać innego miejsca. Przed samym terminem Paweł O. „zrezygnował” z rezerwacji.

– Straciłam 200 złotych, resztę mi oddano. Swój cel osiągnęłam. Dokuczyłam im, zaspokoiliam swoją kobiecą dumę – opowiadała prokuratorowi. I dodała: – Po śmierci Małgorzaty i po tym, co zrobiłam, miałam wyrzuty sumienia. Teraz wiem, że źle zrobiłam. Żałuję tego.

Prokurator wzywa na przesłuchanie Pawła O., mężczyznę, który dość szybko został partnerem Agnieszki, tak jakby kobieta na zapas szykowałą sobie dobrze skrojoną na potrzeby toczącego się śledztwa „legendę”. Paweł O., jak się okazuje, nie miał pojęcia o tym, że jego dziewczyna spotykała się wcześniej z Syl-

westrem W.

– Miałem tylko zarezerwować salę na moje nazwisko na 22 września. Przed odebraniem pieniędzy za rezerwację zmusiłem Agnieszkę, żeby mi powiedziała, o co chodzi z tą salą. Oświadczyła mi, że kiedyś była z mężczyzną, który miał mieć tamtego dnia wesele w Dąbrowicach, w tej właśnie sali. Zerwali ze sobą, nie podała przyczyny. Wiedząc o planach małżeńskich, postanowiła zrobić mu na złość.

Jeszcze na komendzie, jak się spotkaliśmy, to jej w korytarzu powiedziałem, że między nami koniec. Nie chciałem mieć z Agnieszką nic wspólnego. Zrobiła taki numer z tą salą, a potem się okazało, że dziewczyna umarła. Jakies trzy miesiące po przesłuchaniach napisała mi esemesa, że jest w ciąży. Wiedziałem, że to nie może być moje dziecko, bo ja nie mogę mieć dzieci. Wiedziała o tym, więc nie rozumiałem, jaki był jej cel.

Związek Agnieszki z Pawłem O. wydawał się poniekąd zaranzowany. W zeznaniach jego rodziców bowiem pojawia się zbyt wiele rozbieżności, których nie udało się wyjaśnić w trakcie śledztwa.

Rodzice Pawła zeznali, że ich syn, owszem, spotykał się z niejaką Agnieszką S., ale tylko przez miesiąc i nie był z nią zaręczony. Zaprzeczyli, aby kiedykolwiek kupował jej zaręczynowy pierścionek. Tymczasem Agnieszka twierdziła, że zaręczyli się w Boże Narodzenie 2007 roku, a rodzice z tej okazji byli zaproszeni przez jej matkę do jej domu. Rodzice Pawła mieli się dowiedzieć o tym 2–3 tygodnie przed świętami, na początku grudnia 2007. Ucieszyli się. W lutym 2008 ona i Paweł mieli chodzić na nauki przedmałżeńskie. Zdaniem Agnieszki jego rodzice chcieli, by ślub odbył się dość szybko, bo bardzo ją lubili.

Wobec rozbieżności w zeznaniach policjanci przesłuchują rodziców jeszcze raz. Ojciec Pawia O. mówi tym razem, że syn

zaręczył się z Agnieszką S. w 2007 roku, ale nie pamięta kiedy:

– Pojechaliśmy z żoną do jej rodziców. Wiem, że po miesiącu od zaręczyn Agnieszka zostawiła Pawła i zerwała zaręczyny.

Rodzina Małgorzaty zaczęła zadawać sobie pytania, czy ciąża Agnieszki S. nie jest czasem sprawką ich zięcia. Sylwestra. Mecenas Ireneusz Wilk jeszcze w zażaleniu na umorzenie postępowania w 2009 roku pisał: „Trudno uwierzyć, że po 7 latach od zerwania związku była dziewczyna, która utrzymuje z byłym chłopakiem tylko koleżeńskie kontakty, postanawia ukarać go dezorganizacją przyjęcia weselnego. Działanie S. wskazuje, że pomiędzy nimi nadal istniała zażyłość, a prokuratura to całkiem pominęła”.

Sylwester kontaktował się z Agnieszką S. od 2 września 2007 aż do końca października i pod koniec grudnia 2007, po śmierci swojej żony również.

– Godziła się na spotkania z Sylwkiem, mimo że on już był zaręczony z inną – powiedziała policjantom jedna z koleżanek Agnieszki. – Uważała, wydawało mi się, że zaręczyny to jeszcze nie ślub. I że Sylwek go odwoła. Uważam, że on wobec obu kobiet nie był w porządku.

Śledczy próbują odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Małgorzata wiedziała o kontaktach tych dwojga. Proszą obie rodziny o poddanie się badaniom wariograficznym. Rodzina W. odmawia, podobnie jak Agnieszka S. Przesłuchują więc kolejny raz jej koleżanki z pracy w PKP Cargo.

Dagmara S. zauważyła, że po ślubie ta nienaganna, zadbana dziewczyna nagle zaczęła się zmieniać. – Pamiętam jej zmęczoną twarz. Przyszło mi na myśl, że może już nie ma tyle czasu dla siebie – powie Dagmara. – Nie mówiła nic konkretnego poza tym, że to małżeństwo jej nie służy. Zmiana w jej stroju też była

zauważalna. Wcześniej przychodziła taka wychuchana, odprasowana, a teraz – jakby włożyła coś, co właśnie wpadło jej w ręce.

Mieliśmy w krótkim odstępie czasu w firmie dwa śluby. I ta druga, Ewa, po ślubie promieniała. Widać było po niej szczęście. Tymczasem Małgosia jakby przygasła. Powiedziała, że Sylwek bardzo dużo czasu spędza ze swoją rodziną. Miała o to żal. Że ma wciąż nieprzeciętą pępowinę, skoro mu się do żony nie spieszy po ślubie. Było jej też przykro, że tak bardzo się upił na ich weselu. Myślę, że ona spodziewała się czegoś więcej. Ale nie była dla niego najważniejsza na świecie, więc był takim mężem bez wyrazu.

Hanna S.: – Dawała sygnały, że ją to małżeństwo rozczarowało. Wzięła ślub, myślała, że będzie miała drugą osobę obok siebie, a tymczasem czuła się dalej sama.

Nawet Katarzyna W, bratowa Sylwestra, zauważy różnicę w funkcjonowaniu Małgosi:

– Zachowywała się ostatnio dziwnie, unikała ludzi, wypytywała Sylwka, czy ułożyłby sobie życie, gdyby coś jej się stało. Zaczęła nosić w torebce różaniec.

Joanna Śnieguła, siostra Małgorzaty, powie śledczym, że ta swoboda osobnego życia po ślubie jej siostry z mężem była dla niej niezrozumiała. Bo zakochani w sobie ludzie dążą do tego, żeby jak najwięcej czasu spędzać razem, a oni w tygodniu pracowali, a weekendy spędzali osobno.

– Dziś oceniam to inaczej. Z akt postępowania dowiedziałam się, że szwagier miał kochankę. Było mu więc na rękę, że siostra miała naukę, a on czas dla siebie. Kontaktował się wtedy ze swoją byłą dziewczyną.

Do kontaktów z Agnieszką Sylwester będzie używał innej

karty sim do telefonu. Potwierdzi to kilka osób. Były partner jego siostry, Marzeny, Marcin M. zezna, że gdy policja weszła do domu rodziny W. na przeszukanie. Sylwester wyrzucił tę kartę przez okno:

– Miał do niej stary aparat telefoniczny. Kontaktował się z Agnieszką S., ale nie wiem, w jakim czasie. Mówił mi, że Małgosia sprawdza jego telefon. Zostawiał więc swój podstawowy celowo na widoku, żeby mogła go przejrzeć, gdy był w łazience. O drugim nie wiedziała.

Siostra Sylwestra, Marzena, potwierdzi, że brat miał dodatkową kartę sim, ale zniszczył ją „po to, by kolejne osoby, nie związane z jego żoną i jej śmiercią, nie były przesłuchiwane”.

Po śmierci Małgosi Sylwester wciąż szuka jednak kontaktu z Agnieszką.

29 marca 2008 o godzinie 17.48, esemesuje do niej, podając swój „bezpieczny numer”. Wymieniają ze sobą kilka wiadomości, z których każda niesie w sobie żal za utraconą wspólną relacją. Za przeszłością, która mogła przecież być ich „tu i teraz”. A nie jest.

Słowa nigdy nie są przezroczyste. Mają brzmienie. Trzeba wsłuchać się w nie jak w echo niosące się po lesie. Tak myślą policjanci z Archiwum X.

To echo uderzy babcię Małgosi, Bronisławę Tułacz, po śmierci wnuczki. Kiedy prokurator wezwie ją na kolejne przesłuchanie, kobieta przypomni sobie, że na krótko przed tragedią Małgosa przywiozła jej małą lodówkę. Dziadkowie kupili ją w prezencie, ale obiecała, że jak wyjdzie za mąż, to odda. Sylwester i ojciec Małgosi zainstalowali nową, a starą wynieśli do garażu.

Przez chwilę zostały same.

– Małgosia była tego dnia bardzo zasmucona i zamyślona - zapamięta babcia. – Wyjęłam ze swojej torebki pieniądze za tę lodówkę, chciałam jej coś jeszcze dać. Stała oparta o zlew, taka zgaszona. Nawet tego nie zauważyła. Powiedziałam, że włożyłam jej 500 złotych do torebki.

– Po co? – spytała. I powiedziała: – Babciu, mam już dosyć tego małżeństwa. Bardzo się boję Sylwka.

Na te słowa podniosła rękę do góry, dając babci znak, żeby o nic nie pytała. W progu, w drzwiach, stali już jej mąż i ojciec.

– Spojrzałam na Małgosię – powie babcia – a łzy leciały jej z oczu. Powiedziała, że już wychodzą, bo Sylwek musi odwieźć bratu samochód. I że przyjadą za dwa tygodnie, w niedzielę. To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam.

*

30 marca 2012 prokurator Marek Słoma ponownie umarza sprawę. Wiadomość dociera do rodziny 10 kwietnia. Śniegułowie piszą zażalenie i zarzucają mu wiele błędów. Że przyjął tezę o samobójstwie Małgosi bez ustalenia motywów jej działania. Że uznał za logiczne wyjaśnienia Agnieszki S., a przecież, ich zdaniem, zawierają „nielogiczne okoliczności”. Że nie przesłuchał Pawia O. na okoliczność powodów ich rozstania ani jej obecnego męża na okoliczność ich poznania. Nie ustalił też, kto jest ojcem jej dziecka, bo istnieje uzasadnione podejrzenie, że ojcem jest Sylwester W., co „uzasadniałoby motywy ich działania”. Brak analizy i oceny obrażeń ciała: czy mogły powstać w wyniku działania osób trzecich. Nieustalenie torebki czy fiolki, w których cyjanek mógł być transportowany: wiadomo, że po jego zażyciu Małgorzata nie byłaby w stanie samodzielnie ukryć opakowania po substancji. Pominięcie wniosków co do zgodnej odmowy badania wariografem rodziny W. i Agnieszki S.

Przez następne lata rodzina bezskutecznie próbuje wyjaśnić zagadkową śmierć Małgorzaty. Kiedy spotykam się w 2016 roku z Kazimierzem Śniegułą, wciąż jest w ogniu tej wykańczającej psychicznie walki. Każda niewyjaśniona śmierć staje się dla członków rodzin ofiar przekleństwem na długie lata. Dla niektórych ostatnim ratunkiem jest praca policjantów z Archiwum X. Sprawca musi wiedzieć, że za jakiś czas ktoś do niego zapuka. Łódzkie Archiwum po analizie akt oddało sprawę policjantom ze Skierniewic. O tym, który wziął sprawę, biegła od wariografu powie rodzinie Małgorzaty: „To nie jest policjant, to prawdziwy pies”.

Spotyka się ze mną w swoim pokoju na skierniewickiej komendzie. Ponieważ wykonuje pracę niejawną, operacyjną, nie podam jego nazwiska. Powiedzmy, że ma na imię Janek. Miody, skupiony, przywalony nadmiarem pracy.

– Ojciec Sylwestra W. zmarł w 2015 roku. Miał odjęte jedno oko – mówi, skanując mnie od góry do dołu. Nie powinien o tej sprawie rozmawiać, ale zależy mu na jej wyjaśnieniu. – Niestety, nie da się nadrobić oględzin miejsca śmierci Małgorzaty. Oględziny często decydują o sukcesie śledztwa, a tutaj kaplica. Jeśli polska policja żyje na statystykach (im więcej wykrytych przestępstw, tym częściej premia), to z czym ja tu walczę? Dziś nawet bilingowanie zawężono do roku czasu. Tylko tyle operator ma obowiązek przechowywać dane. Historia połączeń telefonicznych, internetowych czy logowań do stacji przekaźnikowych jest więc dla tej sprawy już niemożliwa do odtworzenia. To prawdziwe ułatwienie dla przestępców.

A szkoda, bo w 2010 roku powstał w Polsce Analizator Związków i Faktów – Billingi (AFIZ). Program komputerowy, który napisali naukowcy z Politechniki Poznańskiej we współpracy z policjantami. Analizuje błyskawicznie telefoniczne bil-

lingi, a te dla policji są ogromnym źródłem wiedzy o przestępcach. Dzięki programowi śledczy mogą dowiedzieć się nie tylko, do kogo i kiedy dzwonił sprawca, ale także, z jakiego miejsca. Do tej pory musieli billingi sprawdzać na piechotę, przeglądając kartkę za kartką. AFIZ wykonuje tę pracę kilkadziesiąt razy szybciej i dokładniej.

Janek rozpatruje wszystkie wątki, zarówno zabójstwa, jak i samobójstwa, choć za tym ostatnim przemawia mniej faktów.

– Przesłuchiwałem jakiś czas temu koleżanki Agnieszki S. I jedna z nich powiedziała, że pojechała na jej prośbę do kościoła, żeby nagrać moment małżeńskiej przysięgi. Agnieszka S. chciała wiedzieć, czy Sylwester się zawaha.

Rodzina W. unika mediów. Czują się zaszczuci, choć wystarczyłaby ich zgoda na wariograf.

Sylwester W. na początku 2016 roku wystąpi w programie Polsatu „Państwo w państwie”. Odcinek tego programu nie trafi jednak do internetu.

„Drodzy widzowie, informujemy, że odcinek z ostatniej niedzieli nie będzie umieszczony w internecie, a także nie będzie powtarzany na antenie. Były mąż kobiety, o śmierci której była sprawa omawiana w programie, wyraził zgodę na emisję swojej wypowiedzi jedynie w programie na żywo dnia 3.01.2016. Jako redakcja nie możemy dokonać zmian polegających na wycięciu jego wypowiedzi, gdyż wtedy program zatraciłby walor rzetelności i obiektywności dziennikarskiej. Stanowisko byłego męża zmarłej Małgorzaty Śnieguły jest nieodłącznym elementem tego odcinka programu”.

Oglądam nagranie na płycie. Sylwester nie pokazuje twarzy. Na ekranie biała koszula, fragment włosów i ucha. Na pytanie dziennikarki, czy wierzy w to, że jego żona zmarła śmiercią sa-

mobójcą, odpowiada:

– Po zapoznaniu się z portretem psychologicznym, który był sporządzony przez biegłego z Krakowa, biorę pod uwagę, że mogła popełnić samobójstwo.

Jest też zadowolony z pracy organów ścigania: „Moim zdaniem prokuratura zabezpieczyła wszystkie ślady na miejscu zdarzenia, ponieważ bardzo szczegółowo prowadzili całe śledztwo”.

Grudzień 2016. Z Departamentu Postępowania Przygotowawczego Prokuratury Krajowej w Warszawie przychodzi pismo do Kazimierza Śnieguły. Zastępca dyrektora Departamentu Sebastian Chmielewski pisze, że Departament po raz kolejny podjął się badania akt głównych i podręcznych prokuratora, dotyczących niewyjaśnionej sprawy śmierci Małgorzaty. Czytamy między innymi:

„Przeprowadzona po raz trzeci analiza akt śledztwa prowadzi do wniosku, że istotnie nie dołożono należytej staranności na początkowym okresie postępowania, to jest przy wykonywaniu czynności oględzin miejsca ujawnienia zwłok (mieszkania) i oględzin samych zwłok w miejscu ich odnalezienia, w konsekwencji czego zabezpieczono niewielką ilość śladów biologicznych i dowodów, bezzasadnie zaniechano zabezpieczenia do dalszych oględzin i badań odzieży zmarłej, zabezpieczono także w sposób niewystarczający materiał biologiczny podczas sekcji zwłok, a ten, który zabezpieczono, nie został w sposób wystarczający wykorzystany”.

Następnie tłumaczy zrozpaczonemu ojcu, że zaniechań tych naprawić już się nie da, a prokurator w chwili odnalezienia ciała Małgosi nie dysponował wiedzą o zatruciu cyjankiem. Natomiast:

„Jednocześnie wyjaśniam, że stwierdzone uchybienia, nawet przy przyjęciu ich istotności i rażącego charakteru, z uwagi na upływ czasu nie mogą aktualnie podlegać ocenie w kategoriach deliktu dyscyplinarnego”. Innymi słowy prokurator za uchybienia ukarany nie był i już nie będzie.

Przeprowadzone przez Departament badanie nie kwestionuje też zasadności umorzenia postępowania w 2012 roku, jak i nie daje podstaw do jego podjęcia i kontynuowania.

Wiek trumny zamknęło się.

*

Po około sześciu tygodniach od śmierci Małgosi ktoś zniszczył jej nagrobek, i obok grobu wyrył w ziemi napis „Wiśła Pany”. Po drugiej zaś stronie płyty pojawiły się, narysowane być może pacykiem, cztery groby z krzyżami. Dwa duże i dwa małe. Śniegowie pomyśleli, że to dla nich i pozostałych dwóch córek.

W sprawie Małgorzaty Śnieguły. choć już umorzona, toczą się wciąż działania operacyjne policji. Janek, policjant ze Skiernewic, nie odkłada broni. Wciąż Uczy, że znajdzie się ktoś, kogo ruszy sumienie, co pozwoli dotrzeć do tajemnicy tej śmierci. Ale rodzice są już potwornie zmęczeni.

– Nie wierzę już w państwo, w prokuraturę, policję – powie mi na koniec rozmowy Irena Śnieguła. – Nie wierzę już w nic.

Rozdział ósmy

MIĘDZY OCZY

Bez przerwy się uśmiecha, co w przypadku policjanta z Archiwum X należy do rzadkości. W twarzy śmieje mu się dosłownie wszystko. Pracuje w policji od 23 lat, dziś w stopniu nadkomisarsza. Pion operacyjny, nadam mu więc fikcyjne imię. Niech będzie Maciek.

Ma 46 lat i opinię łębskiego. Dajcie mu jakąś „enkę” (w policyjnym żargonie to nierozwiązana sprawa), a on ją wyjaśni. Kiedyś chciał pracować na roli, bo miasto go męczy. Ale skończył resocjalizację na Uniwersytecie Zielonogórskim i wylądował w policji. Teraz w jego telefonie odzywa się muzyka z amerykańskiego serialu *Z Archiwum X*. Maciek puszcza do mnie oko. Bardzo lubi filmy o szpiegach z czasów zimnej wojny. Rozmawiamy na komendzie we Wrocławiu. Tutejsze Archiwum powstało w 2010 roku. Mają do rozwiązania około 80 niewykrytych spraw. – Jaki jest sens grzebać w przeszłości, skoro statystyki lecą! – słyszy często od kolegów po fachu, którzy mają z niego bekę. – Lepiej zrobiłbyś coś bieżącego.

„Archiwiści” funkcjonują w ramach sekcji pierwszej wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji. Sekcja ta odpowiada za zdrowie, życie i mienie znacznych rozmiarów. Nie zajmują się więc tylko starymi sprawami, ale też gonią bieżącą. Dzień przed naszym spotkaniem był w Rynku napad na bank. Maciek zaplanował sobie wcześniej pracę nad sprawą, w której grzebie już szósty rok. Ale musiał wszystko odwołać i stawić się pod bankiem. Takie życie. Tymczasem sprawa nie może już dłużej leżeć. – Przecież wiecznie żył nie będę. – Uśmiech nie schodzi mu z twarzy. – A ci rodzice czekają na wyjaśnienie zagadki już równe 20 lat.

Chodzi o rodziców Anny Kembrowskiej (22 lata) i Roberta Odźgi (25 lat), dwojga studentów zamordowanych w Górach Stołowych, w pobliżu skały Narożnik, w 1997 roku.

Prokuratorskie akta tego postępowania przygotowawczego zalegają w Prokuraturze Okręgowej w Świdnicy. Osiemnaście tomów. Na kilku stronach wyjaśnienia zastępca prokuratora okręgowego Zbigniew Kata odmawia mi jednak wglądu do całości. Zwracam się więc z wnioskiem o udostępnienie poszczególnych dokumentów: zeznań świadków, protokołów oględzin miejsca ujawnienia zwłok, protokołów z sekcji, notatek urzędowych (policyjnych), wywiadów środowiskowych. Prokuratura zapobiegawczo kseruje mi wybrane dokumenty, przy okazji anonimizując całość. Wymazane czarnym flamastrem są dane osobowe świadków, adresy, telefony. Dopisuję więc do wniosku prośbę o obejrzenie zdjęć z miejsca zbrodni.

Prokurator referent, Tomasz Orepuk: – Musiałaby pani formalnie złożyć wniosek i czekać dwa tygodnie na rozpatrzenie, no ale ja pani pozwolę – zwraca się do mnie głosem jakby zanurzonym w formalinie. – Tylko bez żadnych zdjęć, nie chciałbym, żeby gdzieś krążyły po sieci.

– A dlaczego akta mają usunięte dane osobowe, przecież ta sprawa ma 20 lat, a ustawa o anonimizacji obejmuje tylko postępowania wszczęte przed kwietniem 2015 roku – dopytuję, co rozjusza prokuratora.

– Jeśli się pani nie podoba sposób udostępniania akt, to tak nie porozmawiamy. Irytują mnie pani pytania. W takim razie proszę złożyć wniosek formalny i czekać dwa tygodnie. Proszę tej pani niczego nie udostępniać – warczy do sekretarek i zamasyście wychodzi.

*

Jest 26 sierpnia 1997 roku. Miesiąc po powodzi tysiąclecia, w czasie której woda zalała południową Polskę, w tym Opole i Wrocław. Wyjątkowo upalne lato. Około godziny 17.00 Andrzej Wołoszka, policjant z komisariatu w Szczytnej, malej wsi u podnóża Gór Stołowych, odbiera telefon z Komisariatu Rejonowego Policji w Kłodzku. Na terenie Górnych Łężyc znaleziono zwłoki nieznanego mężczyzny. Policjant natychmiast wsiada w radiowóz i jedzie do zniszczonego przez powódź Kłodzka, żeby po drodze zabrać ze sobą technika kryminalistyki. Tam dyżurny informuje go, że ratownicy GOPR wraz z psami odnaleźli jeszcze jedno ciało. Zwłoki są na etapie zaawansowanego rozkładu. Twarzy nie da się rozpoznać.

Policjanci lustrują teren. Wołoszka ocenia, że ofiary leżą około 20 metrów w dół od niebieskiego szlaku. Przełęcz, która idzie górą, to tak zwana Przełęcz Lisia. Szlak prowadzi szczytem góry do skały Narożnik i dalej w kierunku Dusznik-Zdroju.

Mężczyzna leży na wznak, bliżej szlaku, głową w dół stoku. Jest obnażony. Lewa ręka zawisła na wysokości bioder, prawa noga lekko zgięta w kolanie, odrzucona na bok. Granatowe spodenki i białe slipy, ściągnięte do ud, na stopach białe skarpe-

ty. Niezabrudzone od spodu ziemią ani igliwiem. To znaczy, że sprawca zdjął mu buty już po śmierci. Skórzane trampy koloru brązowego policjanci znajdują kilka metrów dalej, wciśnięte w szczelinę pod głazem. Ponieważ skala była wysoka na 2,5 metra, zwłok zza niej ze szlaku nie dało się dostrzec.

Poniżej (około 10 metrów), w naturalnym zagłębieniu terenu, znajdują się niemal całkowicie rozebrane zwłoki kobiety. Czarny podkoszulek, podciągnięty na wysokość pasa, legginsy zrolowane do kostek. Na nogach zielone grube skarpety. Ojciec rozpozna córkę właśnie po tych skarpetach, które podarował jej brat, oficer wojska.

Ale najpierw oboje zidentyfikuje nauczyciel akademicki, Cezary K. Akurat tamtego 26 sierpnia wędrował Lisią Przełęczą koło skały Narożnik. Tam zauważył policjantów, więc podszedł. Śledczy mówią nauczycielowi, że znaleźli dwa ciała: chłopaka i dziewczyny. Osiem dni wcześniej, 18 sierpnia, w budynku Parku Narodowego Gór Stołowych w Karłowiu, tak zwanej Gwoździówce, rozpoczął się obóz naukowy studentów Akademii Rolniczej z Wrocławia. Dwoje z nich nie pojawiło się na zlocie. Cezary K., który jest jednym z opiekunów obozu, zgadza się obejrzeć zwłoki, choć są już trudne do rozpoznania.

– To Ania i Robert – mówi wstrząśnięty do policjantów. – Ania Kembrowska i Robert Odzga. Moi studenci. Poznaję po budowie i włosach. To ich ciała.

A włosy oboje mieli długie. Ania gęste blond, Robert ciemniejsze, związane w kucyk. 18 sierpnia mieli dotrzeć pieszo do Karłowa. Dzień wcześniej Ania zadzwoniła do rodziców, że doszli do Dusznik-Zdroju i wędrują dalej. Planowali spędzić dwie noce pod namiotem. Przełożeni Roberta prowadzili w tamtym czasie pomiary geodezyjne w masywie Śnieżnika, a to go bardzo interesowało. Opiekun obozu pomyślał więc, że oboje zrezygno-

wali ze studenckiego wyjazdu. Reszcie znajomych też nie przyszło do głowy, żeby ich szukać. Jak powie jeden z kolegów Ani, „najpierw na obozie mówiło się, że się spóźnią, bo idą pieszo, a potem, że może się pochorowali”.

Tylko Beata S., która przyjaźniła się z Anią, zaczyna się zastanawiać nad ich nieobecnością. W środę, 20 sierpnia, korzystając z pobytu w Kudowie, dzwoni do domu z pytaniem, czy Ania nie zostawiła dla niej jakiejś wiadomości (sama nie miała na obozie numeru do jej rodziców). Mama Beaty, która знаła ich oboje, mówi, że żadnej wiadomości nie ma. – Zaczęła mnie ta nieobecność niepokoić – powie później śledczym. – Bo po co Kembrowska kilka dni przed obozem dzwoniłaby do mnie potwierdzić, że będą w Karłowie?

W niedzielę, 24 sierpnia, jeden z uczestników obozu, Krzysztof Ż., jedzie z Karłowa do Rawicza na pogrzeb swojej babci. Wtedy dzwoni do rodziców Ani, mieszkających w Jastrzębiu-Zdroju na Górnym Śląsku z pytaniem, czemu Ania nie dotarła do Karłowa. A ci nie mogą wyjść ze zdumienia, że ich córki nie ma na obozie.

Robert do domu nie dzwonił. Rodzice w Międzyzlesiu na granicy z Czechami, gdzie mieszkali, nie mieli telefonu. Przesyłał więc kartki pocztowe, które najczęściej przychodziły po tygodniu od jego wyjazdu. A na to było jeszcze za wcześnie. 24 sierpnia to ojciec Ani dzwoni do sąsiadki Odźgów i prosi do telefonu matkę Roberta. Ona pierwsza słyszy, że Ania nie dotarła na obóz, choć dzwoniła do domu 17 sierpnia około 10.00. „Mamo, jesteśmy w Dusznikach, napiliśmy się wody zdrojowej, a teraz idziemy do Karłowa” – powiedziała. I to był jej ostatni kontakt. A z Dusznik tam przecież tylko cztery godziny wędrówki.

Telefon ojca Ani zaniepokoił Odźgów na dobre.

Ostatni widział ich ojciec Roberta.

Rzeczywiście z Międzyzlesia mieli iść pieszo do Karłowa niebieskim szlakiem. 15 sierpnia o 13.30, po deszczu, zaproponował im podwózkę do wsi Różanka, 5 kilometrów od Międzyzlesia. Zgodzili się. Na końcu wioski wysiedli z samochodu, założyli plecaki, pożegnali się i poszli w kierunku Jamy Solnej, w stronę schroniska Spalona. Tam mieli spędzić pierwszą noc.

– To był ostatni raz, kiedy widziałem ich żywych – powie ojciec.

Rodzice postanawiają natychmiast zawiadomić policję w Międzyzlesiu i zgłosić zaginięcie pary. Było już jednak po 22.00, posterunek zamknięty. Kembrowscy z kolei zadzwonili do oficera dyżurnego w Dusznikach-Zdroju, ale policjant nawet nie sporządził notatki. O zaginięciu nie wiedziały więc ani jednostki w Kłodzku, ani w Wałbrzychu.

Matka Roberta bierze zdjęcia dzieci i jedzie do Dusznik-Zdroju. Stamtąd, podejrzewając, że mogli gdzieś w pobliżu spać na polu namiotowym, zaczyna szukać. Dociera na to pole. Pokazuje kobiecie z portierni fotografie syna i jego dziewczyny.

– A mieli mały brązowy namiocik?

– Potwierdziłam, że mieli – powie policjantom zrozpaczona matka. – Ale ona nie powiedziała mi wprost, czy byli tam, czy nie.

Kobieta wyczuwa, że tamta coś ukrywa, wraca więc na pole namiotowe raz jeszcze i znów, z błaganem w oczach, pokazuje zdjęcia. Portierka spogląda po raz drugi.

– Spali na polu namiotowym – mówi w końcu. – Ale ich nie zameldowałam, bo od studentów biorę taniej i nie wpisuję do książki meldunkowej.

Maciek z Archiwum X powie mi po latach, że to była właści-

cielka pola.

Wiadomo, że Ania i Robert dotarli na stację benzynową w Dusznikach-Zdroju. Parę młodych ludzi rozpoznała właścicielka stacji, mówiąc policjantom, że zakupili kartę telefoniczną, a dziewczyna poszła zadzwonić z aparatu, który jest 20 metrów dalej. Byli tam przed godziną 13.00. Nikt z nimi nie szedł. Po wykonaniu telefonu założyli plecaki i poszli w stronę Karłowa.

Ponieważ policja lekceważy problem, tłumacząc rodzinom, że młodzi zmienili zdanie i poszli sobie na czeską stronę, rodzice postanawiają poprosić o pomoc Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Na poszukiwanie wyrusza trzyosobowa grupa ratowników i pies. Dwa dni po telefonie kolegi Ani do Jastrzębia-Zdroju GOPR-owcy znajdują ciała.

Jest więc 26 sierpnia 1997. Bardzo ciepło, około 25 stopni Celsjusza. Przed 19.00 policjanci i technik kryminalistyki rozpoczynają oględziny. Dobra widoczność, choć ze względu na zapadające ciemności (w górach szybciej nadchodzi noc) policja kończy o 21.00 i pozostawia zwłoki na miejscu. Do prosektorium Szpitala Rejonowego w Kłodzku trafiają dopiero dzień później.

Oględziny wznawiają rano. Tam gdzie leżała głowa mężczyzny, widnieje ciemna plama zaschniętej krwi, ale pod spodem nic. Żadnych śladów. Żadnych przedmiotów. Tak samo z miejscem, gdzie leżała kobieta.

Janusz Bartkiewicz, dziś emerytowany policjant, a wówczas naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej w Wałbrzychu i szef specjalnej grupy pościgowej, był na miejscu zbrodni już następnego dnia. Na miejscu zastał tylko wgłębienia w trawie ze śladami krwi. Gdzie więc podziały się pociski i łuski?

– W tamtych latach zawsze się śmialiśmy, że naszym sprzętem do wykrywania metali to znajdziemy co najwyżej czołg, zakopany nie więcej jak pół metra pod ziemią. – Bartkiewicz popija bezalkoholowe piwo, bo właśnie odebrał ze szkoły wnuczkę. Rozmawiamy w jednej z wałbrzyskich osiedlowych knajp. Wysoki, wąsaty, dość niewyraźnie mówiący, ma na punkcie tej sprawy niemal obsesję. Od lat drąży i próbuje wyjaśnić zagadkę tej śmierci, jakby nie mógł się pozbyć poczucia winy, że nikt nie poniósł za nią kary.

– Kolega z Nowej Rudy, który był w naszej grupie, powiedział, że ma znajomego eksplorera. Facet poszukuje różnych skarbów i ma profesjonalny sprzęt. Zgodził się nam pomóc, ale pod warunkiem, że sam będzie go obsługiwał. Przyjechał więc i na Narożniku szukaliśmy razem.

Poszukiwanie wykrywaczem metali sprawia, że pod głową Ani śledczy znajdują pocisk o średnicy 9 milimetrów, a potem łuskę. Pod głową Roberta też był pocisk z broni tego samego kalibru.

Bartkiewicz zapamiętał, że pocisk przeznaczony dla Ani uderzył w kamienie i tak się spłaszczył, że w ogóle nie nadawał się do badań.

– Prześledziliśmy trajektorię lotu i znaleźliśmy w lesie trzeci pocisk, ale tylko jedną łuskę.

Robert musiał stać tyłem do zabójcy, bo dostał kulę w podstawę czaszki. Kuła wyszła oczodołem, analizowali policjanci. Krew trysnęła na górną część plecaka. Potem drugi strzał – między oczy, kiedy już leżał na wznak. Między pierwszym a trzecim strzałem, od którego zginęła Ania, upłynęło jakieś osiem sekund.

– Łuski od drugiego strzału nie udało nam się odnaleźć -

wspomina Bartkiewicz. – Ani ktoś strzelił praktycznie między oczy. Ponieważ łuski nie było, doszliśmy do wniosku, że mogła być zabita z innego pistoletu. Że był drugi sprawca. To mógł być rewolwer, w rewolwerach łuska zostaje w bębnie. Amunicja była tak stara i skorodowana, że na tym pocisku, który myśmy znaleźli, nie odwzorowały się nawet ślady przewodu lufy. Pocisk w lufie obraca się i pozostają na nim ślady bruzd. I one są jak odciski palców. Każda lufa zostawia na pocisku inne ślady. Wtedy można znaleźć właściciela broni.

Ekspertyza, która później przyjdzie z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego w Warszawie, powie, że odnaleziona łuska pochodzi z pistoletu CZ, wzór 28, produkowanego od 1928 roku w Czechosłowacji, przeznaczonego głównie dla Straży Granicznej. W kolejnej ekspertyzie biegli wytypują jeszcze około pięciu innych typów broni o kalibrze 9 milimetrów. Jeden nich, waiter PPK, był pistoletem niemieckiej policji kryminalnej.

Ekspertyza broni jednak nie naprowadzi śledczych na żaden trop.

*

28 sierpnia od rana trwa przeszukiwanie wzgórza, na którym znaleziono ciała studentów. Żołnierze sudeckiego oddziału straży granicznej znajdują najpierw szpulkę szarych nici, parę butów turystycznych związanych ze sobą sznurówkami, mały żelowy długopis. Około dwóch kilometrów od miejsca zbrodni, w młodniku porośniętym trawą i krzewami, leżą dwa rozcięte plecaki. Jeden na górnej klapie i od strony pleców jest pokryty brunatno-czerwonymi plamami. Obok śpiwór w fioletowym pokrowcu, trzy swetry, krótkie džinsowe spodnie, czarna ortalionowa kurtka, niebieskie dresy, para tenisówek, pocięty i wybebeszony chlebak. Drugi plecak jest podobnie rozcięty. Obok wa-

lają się bawełniane koszulki, damskie majtki, nie wiedzieć czemu rozerwane po obu stronach, skarpetki, czarny jednoczęściowy strój kąpielowy, dżinsy, apaszka w żółto-brązowe wzory, dresy, plastry, podpaski, torebki z herbatą, namiot, ręczniki frote, trochę kosmetyków. Na pobliskim krzaku, na wysokości pół metra od ziemi, wiszą przeciwsłoneczne okulary. Obok leży etui w kolorze fioletowym, mleczko do opalania i metalowa łyżka. Wszystko to wygląda tak, jakby ktoś dokładnie wybierał sobie, co konkretnie chce zabrać. Segregował fanty. 4 września policjanci z Wydziału Kryminalnego KWP w Wałbrzychu, po przesłuchaniu rodziców, ustalają rzeczy, których nie odnaleziono wraz z plecakami ich dzieci. Wśród rzeczy Ani nie było: ręcznego zegarka (podarowanego przez matkę, z tyłu miał wygrawerowane: 25 lat pracy w ZNP), aparatu fotograficznego Zenith, śpiwora, kuferkowej kosmetyczki w różowe kwiatki, maciupieńkiego breloczka z termometrem, który nosiła przyczepiony do plecaka, zielonych dresowych spodni i pomarańczowej bluzy. U Roberta: czarnego płaszcza przeciwdeszczowego, saszetki na pieniądze, rzemyka ze srebrnym krzyżykiem, który nosił na szyi, zeszytu-kroniki, gdzie zapisywali historię swojej znajomości, i okularów w rogowych oprawkach. Robert miał dość znaczną wadę wzroku. Pieniądze (około 300 złotych) i dokumenty, w tym legitymacje strażników ochrony przyrody, też zmieniły właściciela. Co ciekawe – ktoś zabrał dziennik Ani, który prowadziła, opisując w nim wszystkie ich piesze wędrówki. A bardzo kochali góry.

Poznali się podczas studiów. Ania uczyła się na Wydziale Ochrony Środowiska Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Była po trzecim roku. Robert właśnie skończył czwarty rok geodezji i kartografii na tej samej uczelni. Od 3 lat byli parą. Wspólnie spędzali wakacje i międzysemestralne przerwy. Mieli tę samą

pasję: turystykę górską. W tym samym czasie zrobili uprawnienia strażników ochrony przyrody. Z czasem przyjaźń przerodziła się w miłość. Zamierzali się pobrać.

– Córka była celującą studentką – powie śledczym ojciec Ani. – Prawie co semestr dostawała wysokie oceny z egzaminów, nie sprawiała żadnych kłopotów wychowawczych. Była ekologiem. Pasjonowała ją fotografia, robiła wiele zdjęć, zwłaszcza przyrody. Od kilku lat miała swój aparat fotograficzny i na wakacjach się z nim praktycznie nie rozstawała.

Ojciec opisze zenitha w czarnym etui wyłożonym zielonym sukmem. W przeszłości zajmował się znakowaniem pojazdów. Znaki te można było zobaczyć tylko przy lampie UV. Swojej córce na obudowie aparatu napisał więc imię „Ania”. Oznaczenie nieścieralne i gołym okiem niewidoczne. Ale zabójca aparatu nikomu nie sprzeda. Mimo starań policjantów, sprawdzania lombardów i komisów, nie uda się go odnaleźć.

Ojciec Roberta z kolei przyzna, że nigdy, jako rodzice, nie mieli nieporozumień z synem ani z jego narzeczoną. Robert nie palił papierosów, czasem wypił piwo albo wino własnej roboty. Nie brał narkotyków. Jego hobby, oprócz turystyki, była muzyka. Skończył Szkołę Muzyczną I stopnia w Bystrzycy Kłodzkiej, w klasie gitary. Interesował się jazzem, bluesem, jeździł na koncerty do katowickiego Spodka czy do Wrocławia. Lubił też informatykę, dlatego rodzice kupili mu komputer, co było wielkim luksusem na tamte czasy.

W Międzyzlesiu Robert z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Czasem tylko odwiedzali go koledzy. Nic nie wskazywało, żeby miał jakieś kłopoty. Zeszłoroczne wakacje spędzał z Anną. Przeszli góry od Beskidu Żywieckiego aż do Bieszczad.

– Załatwiliśmy Annie praktykę u jednego z gospodarzy. – Ojcu Roberta to, co się stało, nie mieści się w głowie. – Doiła

krowy, przewracała siano, robiła wszystko, co się robi na gospodarce. Nie zarabiała żadnych pieniędzy. Pracowała tam dzień po dniu, a mieszkała u nas. Żyli zgodnie, aż miło było popatrzeć.

30 sierpnia policja zdejmuje odciski palców od rodziny Roberta i przetrząsa jego pokój. Ściąga odciski ze strun od gitary, zabezpiecza torebkę Anny, tubę z mapami, ich listy. Tam spróbuje poszukać motywu, który mógł kierować sprawcą, że posunął się aż do egzekucji.

W wyniku sekcji zwłok Anny stwierdzono między innymi sińce po wewnętrznej stronie obu ud, w części górnej krwawo podbiegnięte. Powstały jeszcze za życia dziewczyny, co mogłoby wskazywać na prawdopodobny gwałt. Ale ze względu na stan, w jakim znajdowało się ciało, nie udało się tego potwierdzić w stu procentach. Być może sprawca usiłował zgwałcić Anię, lecz spotkał się z jej rozpaczliwym oporem. W końcu strzelił jej między oczy.

Z eksperymentu przeprowadzonego przez policję wynika, że zabił swoje ofiary w odstępie ośmiu sekund. Są też przesłanki, że najpierw zastrzelił Roberta. Jeżeli przyjąć, że zgwałcił Anię – lub próbował to zrobić między zabójstwem chłopaka a jej zastrzeleniem – to trwało to kilka minut. Kilkanaście mogło mu zająć ściąganie ofiarom butów, obnażanie ciał, przecinanie plecaków, a do miejsca, gdzie rzeczy potem znaleziono, mógł iść nie mniej niż 45 minut. Potem wysypywanie, przeszukiwanie, rozrywanie – około pół godziny. Całość – co najmniej półtorej godziny.

Zabójca napadł na mężczyznę, który mógł się przecież bronić, i użył pistoletu słyszalnego z dużej odległości. Nie można było w tym czasie wykluczyć pojawienia się przypadkowych ludzi. Działał więc w sytuacji wysokiego ryzyka. Czy zatem sprawców mogło być dwóch?

Łatwiej byłoby odpowiedzieć na to pytanie, gdyby ciała odnaleziono wcześniej. Leśniczy Marek J. już 21 sierpnia przechodzi polną drogą poniżej miejsca tragedii i spotyka Genowefę S. Kobieta informuje, że w lesie mocno czuć padlinę, ale leśniczy to lekceważy. Jest okres grzybobrania. Niektóre niejadalne grzyby po zerwaniu wydzielają taką woń. Dom Genowefy stoi 500 metrów od niebieskiego szlaku, naprzeciwko skały Narożnik. Mimo swoich 70 lat kobieta wciąż chodzi na spacer po górach. Nieprzyjemny zapach koło Narożnika ją intryguje, w końcu myśli, że padło jakieś zwierzę. Niedługo potem dzwoni do niej dyrektor Parku Narodowego Gór Stołowych, pytając, czy nie widziała, nie słyszała czegoś niepokojącego, bo w górach zaginęło dwoje studentów.

– Powiedziałałam mu, że moją uwagę zwrócił smród obok skały Narożnik – zeznaje kobieta.

– Potem przyszedł jakiś mężczyzna z policji czy GOPR i pokazałam mu, skąd dochodzi ten fetor. Z telewizji dowiedziałam się, że studentów zastrzelono 17 sierpnia, zaczęłam więc przypominać sobie, że tamtego dnia faktycznie słyszałam trzy strzały. Jestem na nie uczulona, bo zastrzelono mi psa. Odgłos strzałów dochodził od strony Narożnika. To było po południu. Najpierw padły dwa strzały, jeden po drugim, a trzeci nieco później. Nawet się zdziwiłam, że dochodzą z tamtej strony, bo w tamtym rejonie się nie poluje. Pomyślałam, że to jakiś kłusownik.

Strzały słyszy też Artur W., który z kolegą i swoją żoną idzie 17 sierpnia na Narożnik. Wychodzą koło 17.00 z parkingu przy wejściu na szlak. Widzą dwoje ludzi przy grillu i kilka samochodów, w tym trabanta przygotowanego do malowania. Po przejściu kilkudziesięciu metrów od parkingu W. słyszy strzał z pistoletu („byłem w wojsku, rozpoznaję”) – i głośno stwierdza, że

jakiś wariat poluje na szlaku turystycznym. Wkrótce potem słyszy krzyk dziewczyny, ale słaby, nie przeraźliwy. Inaczej podejrzewa, że „by tam pobiegli”. Kiedy padają kolejne strzały, przestraszony Artur W. pyta kolegę, czy ma chociaż finkę. Kiedy dochodzą na Narożnik, wokół panuje już cisza. Powietrze, lepkie od słońca, nie odsłania żadnej tajemnicy. Turyści siedzą więc na skałach około godziny, robiąc zdjęcia. Kilkaset metrów dalej – na skale nazywanej Kopą Śmierci – dostrzegają dwie osoby. Nikogo nie mijając po drodze, schodzą z powrotem.

Trzynastolatek, syn lekarza, który od 8 lat przyjeżdża pod namiot do gospodarza w Łężycach (Narożnik widać z miejsca ich biwaku), dokładnie opisuje tamten moment:

– Między 14.00 a 15.00 usłyszałem dochodzący od strony góry pojedynczy strzał, zaraz po nim krzyk kobiety, i po chwili kolejny strzał. Potem około 30 sekund trwający krzyk kobiety. Kiedy padł trzeci strzał, wszystko ucichło. Ten krzyk nie był wołaniem o pomoc. To był krzyk przerażenia.

Komendant komisariatu w Szczytnej uzyskuje informację, że 16 sierpnia studenci byli widziani w hotelu Traper w Dusznikach-Zdroju. Przebywali w towarzystwie mężczyzny o blond włosach, ubranego w kraciatą koszulę (tego mężczyznę będą potem widywali świadkowie).

Halina S., logopeda z Oleśnicy: – 16 sierpnia między 10.00 a 13.00 (daty jestem pewna, bo 17 sierpnia moi rodzice mają rocznicę ślubu i dzień później dzwoniłam do nich z życzeniami) siedziałam z mężem przed wejściem do Trapera. Podeszło do nas troje młodych ludzi. Dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli w podobnym wieku, 20–25 lat, z plecakami. Zapytali nas, czy są wolne noclegi (myśleli, że my tu zarządzamy). Kiedy właściciel ich oprowadził, jeden z mężczyzn, chyba blondyn, zdawał się być jakby przewodnikiem tej grupy, powiedział, że to dla

nich za drogo i pójda poszukać miejsc gdzie indziej. Szczególną uwagę zwrócił na niego mój mąż, bo wydawało mu się, że widzi syna kolegi. Chłopak miał długie, ciemne, lekko kręcone włosy, związane z tyłu w kitkę. I okulary. Szczupły. A ten blondyn miał na sobie flanelową koszulę koloru czerwono-czarnego w kratę, włosy z grzywką, dłuższe z tyłu. Dziewczyny nie pamiętam, ale odniosłam wrażenie, że jest zmęczona. 16 sierpnia było bardzo ciepło.

Marek S. zapamiętał, że blondyn był wyższy od długowłosego szatyna. Jego włosy sprawiały wrażenie, że są jednakowej długości: i grzywka, i te z tyłu. Czerwienił się z nieśmiałości albo zmęczenia. Na stopach miał trampy. Plecak, nieco wyższy niż szatyna, starego typu, z brezentu.

Sprawa zaginięcia nie była aż tak istotna dla małżeństwa z Oleśnicy, „bo z młodymi ludźmi to różnie bywa”, mogli „urwać się z grupy”. Dopiero informacja o zabójstwie sprowokowała ich do pójścia na policję. Na okazanych zdjęciach rozpoznali Anię i Roberta.

Informacja w mediach prowokuje też do zgłoszenia się na policję Pawła P. 28 sierpnia dzwoni na komisariat Wrocław-Śródmieście. W okolicy Karłowa, na niebieskim szlaku koło Naroznika, znalazł 18 sierpnia plamę krwi o wielkości 30–40 centymetrów. Był z żoną na wczasach. Szli z psem od Skał Puchacza do Lisiej Przełęczy. Paweł P. zauważył krople krwi na liściach i trawie. Po odgarnięciu trawy dostrzegł większą plamę krwi. Jest lekarzem. Oceniał, że krew jest stosunkowo świeża. Mogła mieć od 6 do 12 godzin.

Czy w tamtym miejscu Robert dostał pierwszy strzał, który nie zdążył go zabić, a tylko okaleczył?

Policjanci docierają do Danuty L. z Janowca Wielkopolskiego, która w tamtym okresie była na wczasach z koleżanką. Na

zdjęciu rozpoznała Anię. Widziała ją na niebieskim szlaku, prowadzącym z Dusznik do Karłowa. Zapamiętała, bo dziewczyna miała na włosach wianek z polnych kwiatów. Kwiatami też ozdobiła plecak. Chłopak miał do plecaka przytroczoną matę, na głowie czapkę i okulary. Turystki były zdziwione, że para, mijając je, powiedziała „cześć”, co na szlaku turystycznym jest powszechne. Musiały więc być w górach pierwszy raz. Zauważyły też, że szlaki były wyjątkowo wyludnione. Pewnie dlatego, że powódź odcięła Góry Stołowe od reszty kraju. Mimo pięknej pogody niewiele osób poszło w góry.

Policjanci jadą na Akademię Rolniczą i z rektorem ustalają spotkanie ze wszystkimi studentami, z udziałem wykładowców, chcąc uzyskać więcej informacji o Ani i Robercie. W tamtych latach modny wśród studentów był obrót amfetaminą. Śledczy będą chcieli potwierdzić albo wyeliminować z prawdopodobnego motywu wątek przemytu narkotyków.

Para mieszkała w wynajmowanym mieszkaniu we Wrocławiu i żyła bardzo skromnie. Nie mieli poza stypendium żadnych innych środków finansowych. Nawet mebli. Tylko kartony, w których przechowywali ubrania. W środowisku studenckim cieszyli się bardzo dobrą opinią. Koleżeńscy i odpowiedzialni.

Tomasz S., który studiował z Anią, mówi, że była energiczna, roztrzepana, bardzo lubiana. Mając legitymacje strażników ochrony przyrody, oboje raczej liczyli na zniżki, ulgi w parkach narodowych, noclegi, ale na pewno nie chcieli nikogo ścigać za naruszanie przepisów. Tego typu konflikt na szlaku, jego zdaniem, nie wchodził w rachubę.

Beata S., przyjaciółka Ani, zwróci uwagę, że dziewczyna lubiła rządzić, decydować za wszystkich, lecz robiła to z wdziękiem. Potrafiła przekonać do swojego zdania. Była zresztą organizatorką tego obozu. – Nawet rządziła Robertem, a on się go-

dził, bo był bardzo spokojny, zrównoważony, mądry – powie. – Przed wigilią, w grudniu 1996 roku, zdradziła mi, że jeszcze z nim nie współżyła. Że zostawiają to sobie na po ślubie.

Jedna z koleżanek, która znała Anię od dziecka, zezna, że mieli się pobrać po studiach. Skończyli już nawet nauki przedmażeńskie we Wrocławiu. Prawdopodobnie w kościele Redemptorystów przy ulicy Wittiga.

Poza tym, mówią znajomi, Ania i Robert byli studentami jak inni. Pili alkohol, czasem się nawet wstawiali, ale „jedno pilnowało drugiego”. Na pewno nie brali narkotyków.

Anna W., koleżanka Roberta z akademika: – Wszyscy nazywali go Albertem. Żył bardzo skromnie i jakby w swoim świecie. Uwielbiał góry, często tam wyjeżdżał. Oszczędzał ze stypendium nawet na jedzeniu, żeby pojechać w góry. Na wskroś spokojny, typ naukowca, serdeczny i koleżeński, a przede wszystkim bezkonfliktowy. Nie miał wrogów. Z nikim żadnych zatargów.

Policjanci pytają studentów, czy Robert interesował się bronią albo czy oboje mogli należeć do jakiejś religijnej sekty. No nie. Nie mogli.

Najbliższy kolega Alberta, Ireneusz P., który spędził z nim 2 lata w jednym pokoju, zeznaje, że Robert był bardzo dobrym studentem. Dostawał stypendium naukowe, dawał też korepetycje z matematyki i angielskiego. Obóz, na który szli, miał być naukowo-szkoleniowy.

– Mieliśmy ocenić stan wód i przeprowadzić badania natężenia ruchu drogowego w tym rejonie – mówił przygnębiony Ireneusz. – Tematem obozu było też określenie rodzaju gleby występującej na tym obszarze.

Śledczy docierają też do brata Ani, Sebastiana, a ten w ze-

znaniach obarcza podejrzeniem o zabójstwo siostry i jej chłopaka swojego podwładnego z wojska, któremu musiał wystawić fatalną opinię.

Mariusz M., żołnierz służby czynnej w Jednostce Wojskowej w Giżycku, od sierpnia 1996 do lutego 1997 od początku źle się zachowywał. Sebastian był dowódcą baterii. Mariusz M. w cywilu karany za włamania, zdemolowanie mienia i paserstwo, dostał półtora roku w zawiasach na pięć. W wojsku odurzał się butaprenem, pił alkohol, był krnąbrny i za wszelką cenę chciał podporządkować sobie żołnierzy, z którymi służył. Mieszkał w miejscowości Nurzec Stacja. Ania i Robert mogli go spotkać, kiedy w lipcu 1997 roku byli u babci Roberta w Leśnej Podlaskiej (30 kilometrów od Nurzca).

– Pamiętam, że M., kiedy wychodził na przepustki, a potem do cywila, zakładał flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, charakterystyczne czerwone szelki, džinsy i wysokie głany – po wie brat Ani. – Świetnie strzelał. Wszystkie najlepsze oceny zgarniał za umiejętność posługiwania się bronią.

Niespodziewanie Bożena A., mieszkanka Kudowy, na wódce opowiada koleżankom, że wie, kto zabił studentów. Byli wtedy z mężem na jagodach. Widziała mężczyznę, około 48 lat, w stroju myśliwego. Słyszała strzały i ukryła się za krzakami. Nie powiadziała policji ze strachu. Ale jedna z koleżanek zwierza się policjantom. Bożena potwierdzi, że mężczyznę widziała na tydzień przed ujawnieniem zwłok studentów, tylko że nikt nie strzelał, a on ostrzegał ją jedynie przed żmijami.

Nie wiadomo, ile kobieta mówi prawdy, a ile zmyśla.

Po mediach krąży też portret „Blondyna”. Żona ornitologa, zatrudnionego w Parku Narodowym Gór Stołowych, zeznaje, że ten portret pamięciowy może przedstawiać jej męża, który w spodniach moro, z dużym plecakiem i w traperach obserwuje,

obrączkuje i ewidencjonuje ptaki. W okolicy Narożnika znajdują się miejsca lęgowe pustulek i krogulców.

Policja przesłuchuje pracowników Parku, bo ktoś zauważył, że Robert Odzga był tam zatrudniony. Nie był. W 1996 roku, na rok przed śmiercią, odbywał tylko praktyki w Parku Narodowym, skąd zapamiętało go kilku pracowników.

Matka Ani powie policjantom, że jej córka, nim spotkała Roberta, jeszcze w szkole średniej poznała Macieja K., leśniczego spod Warszawy: – Była w tym wieku, że szukała u ludzi akceptacji i miłości, zaczęli ze sobą utrzymywać kontakty listowne. Prawdę mówiąc, byłam tym faktem zaniepokojona i rozmawiałam na ten temat z Anią, a dodatkowo dyskretnie kontrolowałam jej korespondencję. Z przeczytanych listów mogę jedynie stwierdzić, że K. udzielał Ani wielu życiowych rad, a ponadto oboje byli zafascynowani przyrodą. Z tych listów dowiedziałam się, że K. był w przeszłości nałogowym alkoholikiem, ale od dłuższego czasu nie pił.

Śledczy docierają do Macieja K. Poznał Anię na Mazurach. Zaczęli (ona z koleżanką i kolegą) obok jachtu K. i jego kumpla. Zaprzyjaźnili się, pisali czasem listy. Z jego zeznań wynika, że Ania poznała Roberta podczas sylwestra w górach i potem do Warszawy, do Macieja, przyjechali już razem. Od 2 lat kontakt im się nieco urwał. Nieoczekiwanie dostał od niej wido-kówkę ze spływu Czarną Hańczą. Wyjąłem ją, powiedział, że skrzynki pod koniec sierpnia 1997, kiedy wróciłem z urlopu. Napisała: „Pozdrowienia ze spływu, Ania i Albert”.

Kilka dni później zadzwonił do niego kolega i poinformował, że w telewizji podano, jakoby Ania i Robert zostali zamordowani w Górach Stołowych. – Wydaje mi się, powiedział, że to ta Anka, którą poznaliśmy w 1993 na Mazurach – relacjonuje Maciej K. policjantom. – Początkowo nie uwierzyłem, myślałem, że

kolega się pomylił. Bo to byli spokojni, wartościowi młodzi ludzie, nieprowadzący żadnych interesów.

Kiedy ją poznałem, była jeszcze dziewczicą. Nie doszło między nami do zbliżenia, bo ja to postanowiłem uszanować. Imponowało mi, że taka dziewczyna zainteresowała się mną, a byłem prawie dwa razy starszy od niej. Łączyły nas sprawy duchowe, nie cielesne. Dość intensywnie do mnie pisała. Z jej pierwszych listów wynikało, że jest we mnie zakochana, bardzo mi to pochlebiało. Jakoś w okresie sylwestra i jej studniówki ta intensywna korespondencja osłabła. Między wierszami zorientowałem się, że poznała kogoś, nieśmiało zaczęła mi o tym pisać.

Przyjechali do mnie znienacka w 1994 roku. Anka pytała, czy może opowiedzieć Albertowi o naszej znajomości. Stwierdziłem, że robi, co uzna za zasadne. Potem po dwóch dniach wyjechali i czasem dostawałem od nich kartki. Nie miałem złudzeń co do Anki, wiedziałem, że prędzej czy później pozna kogoś w swoim wieku. Od 1994 roku więcej ich nie widziałem.

Na pogrzebie nie byłem, nie chciałem dzwonić do niej do domu. Anka była szczerą, otwartą na ludzi, ciekawą świata, i wydaje mi się, że odpowiedzialna.

Matka Roberta zauważyła, że na pogrzebie jej syna był młody chłopak, blondyn, ale nie ze środowiska studentów. Rodzice go nie znali. Tamtego dnia padał deszcz i kiedy wszyscy poszli do szkoły na herbatę, chłopak został na cmentarzu. – Podeszłam do niego i zaprosiłam na herbatę, ale odmówił. Kiedy wszyscy odeszli już od grobu, został przy nim sam. Nie byłabym go w stanie rozpoznać – powie śledczym.

A ci chcą się dowiedzieć, jak wygląda profil sprawcy zabójstwa Ani i Roberta. Opinię, opracowaną przez biegłych psychologów – profilerów: Madeja Szaszkiwicza i Ewę Wach, wydaje Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krako-

wie. Biegli analizują akta, materiały z oględzin miejsca zbrodni i nagranego eksperymentu procesowego. Rozmawiają też z policjantami.

Ustalają na tej podstawie, że dobór ofiar był przypadkowy, a sprawca nie planował zabójstwa, lecz zgwałcenie i rabunek, przy czym liczył się z ewentualnym zabiciem studentów.

Ania i Robert, zdaniem psychologów, nie sprowokowali sprawcy do działania, co wynika z ich charakterów, natomiast zabójca poruszał się bezpośrednio przed zdarzeniem i już po - w terenie często odwiedzanym przez wielu turystów. Gdyby wyglądem i strojem nie sprawiał wrażenia turysty, to możliwość zapamiętania go byłaby większa.

Ale hipoteza, że był to jedynie napad rabunkowy, wydaje się mało prawdopodobna. Para ludzi ze sprzętem do turystyki pieszej nie gwarantuje przecież wielkich zysków. Raczej kryterium doboru ofiary była płeć – kobietę chciał zgwałcić. Ponieważ zwłoki Roberta obnażył, można założyć, że obie ofiary były obiektem seksualnym.

Gdyby jednak przyjąć motywację emocjonalną – zabranie dokumentów, zapisków – motyw może wskazywać na zemstę, zazdrość, zawód miłosny albo zawiść.

„Sprawca podjął też dodatkowe czynności, które wskazują na przejaw tak zwanej personalizacji, czyli zachowań wykraczających poza działanie zmierzające do zabicia. Ślady obrażeń na prawych kolanach ofiar wskazują, że mógł zmuszać ich do podporządkowania się jego woli” – piszą psychologowie.

Analiza załączonej do akt taśmy wideo z oględzin miejsca zbrodni ukazuje jeszcze jeden szczegół. Otóż obok zwłok Roberta znajdowały się ludzkie odchody i kawałki zużytego papieru. Z psychologicznego punktu widzenia wydaje się nieprawdopo-

dobne, by zrobił to po zdarzeniu ktoś, kto znalazł się tam przypadkowo. Może być, że odchody były tam, nim doszło do zabójstwa, albo pozostawił je sprawca albo któraś z ofiar? Hipoteza, że sprawca wypróżniał się po zabójstwach, wskazywałaby na poważne zaburzenia emocjonalno-wegetatywne. Charakterystyczne jest też poprzecinanie nożem plecaków, chlebaka, pokrowca na namiot i namiotu – które było wynikiem ściśle osobistych motywów sprawcy.

W pierwszej wersji, zakładanej przez psychologów, sprawca atakuje Anię i Roberta na szlaku, terroryzuje bronią i zmusza do zejścia w dół zbocza (studenci przeszli przecież w dół z plecakami). Potem strzela do Roberta, a następnie gwałci i zabija Anię.

W drugiej wersji kobieta idzie za potrzebą, Robert czeka na szlaku. Tam Ania zostaje napadnięta, a chłopak rusza jej na pomoc, gdzie zaskoczony napastnik do niego strzela. Potem zabiera rzeczy, idzie leśnym terenem, wyboistym, pokrytym skałkami, równoległe do szlaku i pasa wyciętych drzew między nimi. w kierunku przeciwnym do drogi ofiar. Jest możliwe, że ktoś inny mógł splądrować rzeczy, ale za tym, że zrobił to sam sprawca, przemawiają plamy krwi na wewnętrznej stronie chlebaka i na tenisówkach, które były w worku foliowym (studenci mieli wszystko popakowane w workach, co przeważnie się robi na wypadek ulewy, by nie zamokły w plecaku).

Prawdopodobna wydaje się hipoteza, że sprawca zaatakował z pobudek seksualnych. Ania doznała obrażeń na wewnętrznej stronie ud, gdy jeszcze żyła. Takie obrażenia są typowe dla broniących się ofiar gwałtu i powstają wskutek oporu. Poza tym ciała były obnażone w okolicach narządów płciowych. Psychologowie wnioskujeją więc, że albo oboje byli celem, albo dało Roberta w agresji sprawca obnażył po śmierci. Charakterystyczne dla sprawcy jest, że te dodatkowe zabiegi też mają sek-

sualny wydzźwięk.

Hipotezę rabunkową też należy brać pod uwagę. Zabójca bowiem wyniósł plecaki ofiar, po czym zabrał różne przedmioty.

Jednak, zdaniem psychologów, więcej przemawia za motywacją seksualną sprawcy.

Wybrał do tego niewygodną drogę ucieczki, żeby nie zwracać na siebie uwagi ewentualnie napotkanych na szlaku turystów, gdy niósł poplamione krwią plecaki. Unikał otwartej przestrzeni, a jednocześnie trzymał się kierunku zgodnego ze szlakiem, nie kierując się oznaczeniami. A to oznacza, że dobrze znał teren.

Psychologowie rozważają, że skoro niósł plecaki tak daleko, a zabrał jedynie parę drobnych przedmiotów, świadczy to o tym, że sprawca mógł się czuć rozczarowany zawartością plecaków. Natomiast zabranie zdjęć czy pamiątnika Anny jest już chęcią zachowania dla siebie pamiątek z tego wydarzenia. Sprawca nie działał chaotycznie. Miał sporą dozę samokontroli. Jest chłodny emocjonalnie, zważywszy na to, że roznegliżował krwawiące mocno zwłoki. Mógł być w przeszłości skazywany za kradzieże i przestępstwa seksualne.

Profileryzy typują, że to mężczyzna w wieku 30–40 lat, sprawny fizycznie, silny, niezwracający uwagi otoczenia. Miał wprawę w posługiwaniu się bronią, intelekt w granicach normy lub poniżej, znał dobrze teren (tu – znak zapytania) i mieszkał niedaleko (znów znak zapytania). Niewątpliwie to ktoś z zaburzeniami osobowości, kto musiał przejawiać trudności w przystosowaniu się do żyda społecznego, rodzinnego i osobistego. Przeżywał frustracje związane z niemożnością zrealizowania potrzeby seksualnej, zaburzeniami popędu. Może posiadać ukryte drobne przedmioty należące do ofiar.

Ale osiemnaście stron ekspertyzy nie naprowadza śledczych na nikogo konkretnego. Mało tego, panuje ogromny chaos w dochodzeniu, co nie sprzyja koncentracji. Policjanci zamiast niewielką grupą, idą tyralierą. Janusz Bartkiewicz mówi dzisiaj, że powołana wtedy grupa operacyjna liczyła w pewnych momentach od 17 do 27 osób, ale nie miał na to wpływu, bo decyzje zapadały odgórnie: – Według mojej opinii to przyczyniło się do tego, że sprawcy nie wykryliśmy. Za dużo ludzi. Ten tłum automatycznie wyłączał mnie z bezpośrednich czynności. Głównie rozdzielałem zadania. Otrzymywałem notatki, czytałem i ewentualnie kazałem uzupełniać. Zawsze byłem wrogiem tworzenia takich dużych grup operacyjno-dochodzeniowych. Grupa powinna maksymalnie liczyć cztery osoby. To było jedyne postępowanie, którego nie prowadziłem sam.

Przez ten czas policjanci kwaterowali w domu wczasowym Straży Granicznej w Dusznikach-Zdroju. Pod koniec października 1997 roku grupa została rozwiązana, a latem 1998 roku śledztwo zamknięto z powodu niewykrycia sprawców. Przez następny rok wciąż jednak w niej grzebano. Do czasu, gdy 31 grudnia 1998 roku Komenda Wojewódzka Policji w Wałbrzychu przestała istnieć. Po reformie administracyjnej zabójstwo Ani i Roberta naturalnie przeszło do Wydziału Kryminalnego KWP we Wrocławiu. Janusz Bartkiewicz w tamtym czasie zaczął pracę w Wydziale Ochrony Świadka Koronnego Biura CBS Komendy Głównej Policji w Warszawie. W 2000 roku zaproponowano mu powrót do Wydziału Kryminalnego KWP we Wrocławiu, przede wszystkim po to, żeby dokończyć sprawę zabójstwa Anny i Roberta. Zgodził się.

– Gdy w czerwcu 2000 roku zabrałem te materiały, to się okazało, że przeleżały związane sznurkiem w szafie. Nikt do nich nawet nie zajrzał – wspomina dzisiaj. – W grupie było nas

teraz tylko czterech, ponownie zaczęliśmy analizować to zabójstwo. Któryś z policjantów powiedział mi, że w okolicach Dusznik były organizowane zloty neonazistów. Ciekawe, że nie wiedziały o tym ani UOP, ani komenda wojewódzka.

Rzeczywiście. W sierpniu 1999 roku Narodowe Odrodzenie Polski (NOP), neofaszystowska partia polityczna, postanowiło zaprosić niemieckich neonazistów na letni obóz szkoleniowy. Delegacji Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (Nationaldemokratische Partei Deutschlands – NPD), która pojawiła się w Dusznikach-Zdroju, przewodził Alexander von Webenau, członek zarządu partii i lider jej studenckiej przybudówki. Niezależne Centrum Analiz Ruchów Neofaszystowskich i Ksenofobicznych poinformowało, że Webenau ogłosił, jakoby po raz pierwszy od 1936 roku znów polscy i niemieccy nacjonaści zaszli przy jednym stole. NOP jest częścią Międzynarodowej Trzeciej Pozycji i Europejskiego Frontu Narodowego, z takimi partiami jak włoska Forza Nuova i grecki Złoty Świt. Jako symbolu używa falangi oraz dwukolorowego, biało-czerwonego płomienia.

Złotów neonazistów w Dusznikach jeszcze przed zabójstwem Ani i Roberta było prawdopodobnie kilka. Nikt tego nie kontrolował.

Kiedy Janusz Bartkiewicz dowiedział się o kolejnym, postanowił go obserwować. Był sierpień 2000 roku:

– Wprowadziliśmy w to środowisko, które przyjechało, dwie osoby, ale ludzie wystraszyli się zadawania pytań o zabójstwo z 1997 roku. Zdawali sobie sprawę z tego, że to niebezpieczne. Sam to obserwowałem z góry, z widokiem na ośrodek, gdzie mieli prelekcje, puszczały filmy neofaszystowskie. Wychodzili też w teren na ćwiczenia. Ale nie znaleźliśmy żadnych tropów, które by nas naprowadziły na jakąś konkretną osobę.

Po uruchomieniu w 2000 roku systemu APIS Bartkiewicz występuje też do Komendy Głównej z pytaniem, czy nie wgrało się coś, co pasowałoby do śladów pozostawionych na plastikowej butelce znalezionej obok miejsca zbrodni. Bierze z prokuratury folie daktyloskopijne i wysyła je do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego w Warszawie. Poczta specjalną, przewożoną przez policyjne opancerzone radiowozy. Ale odpowiedź przychodzi negatywna. – Mało tego – wścieka się Bartkiewicz – zostało mi jedynie pokwitowanie odbioru folii, bo same odciski palców nie wiadomo gdzie zaginęły.

Lidera NOP, Adama Gmurczyka, policjanci prowokują, by sam na siebie złożył do prokuratury w Warszawie doniesienie o sympatie neonazistowskie. Gmurczyk daje się wypuścić, żeby udowodnić, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem.

Janusz Bartkiewicz: – Szukaliśmy sprawców w tamtym środowisku. Nakręciliśmy nawet reportaż, gdzie pokazaliśmy tak zwaną wersję neonazistów. Udawali ich chłopaki z policji filmowani od tyłu. I jest taka scena, jak neonaziści hajlują, a studenci robią im zdjęcie. Leci więc wersja, że dlatego zostali zastrzeleni. To był pic na wodę, żeby dowiedzieć się czegoś nowego.

Reportaż pojawia się w 2001 roku, w programie Michała Fajbusiewicza „997”. Po emisji do Bartkiewicza zgłasza się emerytowany milicjant z Kotliny Kłodzkiej. Ma ośrodek, w którym bazę wypadową po raz kolejny urządzają sobie ludzie o sprecyzowanych neonazistowskich poglądach, zajmujący się poszukiwaniem broni w skrytkach pozostawionych przez Wehrmacht dla grup Wehrwolfu, niemieckiej partyzantki, która miała działać na terenie Gór Stołowych w 1945 roku. Nie mają pojęcia, że ośrodkiem kieruje były milicjant, zawodowo włączający czujność. Ale za to mają stare sztabowe mapy Wehrmachtu, według których szukają.

– Idąc od Radkowa w górę, do Białych Skał, potem w kierunku na Narożnik i Szczeliniec, odnajdowali te skrytki i opróżniali je. Było dużo broni, między innymi broń krótka czy poniemieckie erkaemy – opowiada Bartkiewicz. – Wszystko to widział gospodarz ośrodka. W 2001 roku, przy ostatnim ich pobycie, przyjechało czterech czy pięciu i czekali jeszcze na kogoś w towarzystwie gospodarzy. Jeden z nich, dość młody (bo reszta miała koło pięćdziesiątki), spytał: „Kiedy idziemy w Błędne Skały?”. „Zamknij się” – usłyszał. „Przecież wiesz, że to dla nas teren zakazany”. To był dobry milicjant, nie miałem prawa mu nie wierzyć. Tak relacjonował. Okazało się, że ci ludzie w 1997 roku też tam byli. Co dziwne, rok później już nie przyjechali, pojawili się dopiero w 2001 roku, a potem już nigdy więcej. Były milicjant skojarzył fakty po obejrzeniu programu „997”.

25 lutego 2002 roku Bartkiewicz przesłuchuje Wiolettę C. (imię świadka i pierwszą literę nazwiska zmieniam), która ma firmę organizującą obozy survivalowe. Mówi o Centrum Szkolenia Survivalowego Wolf z Wejherowa, które organizowało takie obozy w Kotlinie Kłodzkiej:

– Wolf ma zabarwienie faszystowskie. Prowadzi go Błażej K., a organizacja ma siedzibę we Wrocławiu. Podczas zajęć w grupie, z tego co wiem, prowadzący mówili o czystości rasy, nosili się i zachowywali jak faszyci.

Podobnie zeznaje były żołnierz, Wojciech T. (dane zmienione).

– Na temat działalności grupy survivalowej Wolf wiem, że prowadzą oni szkolenia typowo o charakterze faszystowskim. Ich symbolem jest głowa wilka. Ale w środowisku survivalowców nic nie słyszałem na temat zabójstwa studentów.

W aktach sprawy zabójstwa Ani i Roberta pojawiają się więc zeznania dwóch osób świadczące o tym, że jednak Wolf nie bez

powodu jest niemiecką nazwą oznaczającą „wilka”.

Grupa Wolf, jak zauważył Bartkiewicz, ma pewną białą plamę w działaniu. Policjant przegląda ich stronę internetową i okazuje się, że nie ma na niej historii z działalności grupy w latach dziewięćdziesiątych.

Na ich stronę wchodziłem dwa razy. Raz w 2016 roku i kolejny – rok później. Grupa powiększa się w składzie instruktorów ponaddwukrotnie. Ale ani śladu sympatii czy jakichkolwiek symboli neonazystowskich.

Szukam więc informacji o Błażeju K. Dość skąpe. Przeszkolony z zakresu ratownictwa medycznego, ratownictwa wysokościowego, technik klasycznych i jaskiniowych. Ratownik WOPR. Tatarnik jaskiniowy, alpinista zrzeszony w Polskim Związku Alpinizmu, instruktor wspinaczki, nurek zawodowy, specjalista sztuki przetrwania w lesie, na wodzie i w mieście, instruktor survivalu, trener team building, integracji i komunikacji. Starszy sternik motorowodny. Raz wypowiedział się w dzienniku „Fakt”, jako ekspert od survivalu.

Janusz Bartkiewicz, zastanawiając się nad motywem działania sprawców, snuje wersję neonazystowską. 17 sierpnia, dzień, w którym zginęli studenci, jest jednocześnie dniem śmierci jednego z najbardziej znanych ludzi Hitlera – Rudolfa Messa. Hess po swojej samobójczej śmierci (powiesił się w 1987 w wieku 93 lat na kablu elektrycznym w altance ogrodu więzienia Spandau w Berlinie Zachodnim) stał się obiektem kultu neonazystów. Do tego stopnia, że władze miasteczka Wunsiedel w Bawarii, gdzie został pochowany w rodzinnym grobie, zdecydowały się w nocy z 19 na 20 lipca 2011 roku zlikwidować jego grób.

– Może zabójstwo Ani i Roberta to na cześć Hessa? – zastanawia się Bartkiewicz.

Ale w marcu 2003 roku, na życzenie swojego ówczesnego naczelnika, jest zmuszony sprawę zamknąć. Mówi, że nikt nie dał wiary w jego neonazistowską wersję, choć już zaczął ustalać nazwiska uczestników tamtej wyprawy. Zabójstwo łąduje w archiwum.

*

10 grudnia 2009 pojawia się pierwsza notatka służbowa Maćka z Archiwum X. Z policjantem z Komendy Powiatowej Policji w Nowej Rudzie poszli niebieskim szlakiem na Narożnik. Policjant pokazał mu miejsce, gdzie dokonywał oględzin plamy krwi miesiąc po ujawnieniu zwłok. Maciek robi zdjęcia tej plamy, by ustalić jej położenie w stosunku do miejsca, gdzie znaleziono ciała Roberta i Ani. Poniżej plamy na szlaku, prostopadłe w dół, w odległości 33 metrów znajduje się krawędź skały, przy której leżało ciało Roberta. Z krawędzi tej skały policjant robi również zdjęcie w kierunku miejsca znalezienia plamy na szlaku. W ten sposób zaczyna ponownie analizować działanie sprawcy. „Stwierdziłem, pisze, że sprawca, bądź sprawcy, przeciągnęli ich zwłoki w miejsce ich znalezienia za ręce, o czym mogą świadczyć ściągnięte spodenki i majtki, a nie podwinięte koszulki. Ponadto ułożenie zwłok Anny Kembrowskiej głową w dół do wzniesienia może świadczyć o przeciąganiu ofiary z góry w dół. Plama krwi na szlaku, którą lekarz turysta z żoną określa na około 40 centymetrów w dniu 18 sierpnia, ze stężeniem od 6 do 12 godzin, mogła pochodzić od jednej z ofiar, która została zaciągnięta z tego miejsca”.

Rozważa też zeznania Piotra K., odsiadującego karę więzienia za zabójstwo. K. zeznał, że poznał kobietę, której syn wraz z kolegą „odpalili z pistoletu dwoje młodych ludzi” w górach. A jeździli tam, bo zajmowali się kradzieżą samochodów i przemy-

tem ich na wschód. Kontrolowali też lokalne burdele.

Ale rozwiązania zagadki wciąż nie widać. Maciek od kilku lat zastanawia się, co w tych górach mogło się wydarzyć? Ma kilka wersji, przyjmuje różne scenariusze. Nie o wszystkim może mówić. – Nie wiemy – przyznaje – czy na miejscu zbrodni była jedna, czy dwie osoby. Nie wiemy też, jak studenci mogli się zachować. Według mnie najpierw zaatakowany został Robert, z uwagi na to, że dostał pierwszy niecelny strzał. Szli szlakiem, ktoś ich zaczepił. Strzał mógł paść z bliskiej odległości, zresztą była to broń krótka. Możliwe, że sprawca przykładał chłopakowi broń do czoła, a Robert się szarpnął, więc broń wystrzeliła. Sprawca przestraszył się, że student mógłby być dla niego groźny, i dobił go strzałem w czoło.

Po miesiącu czasu na szlaku znaleziono plamę krwi. Wcześniej przez przeoczenie chyba nikt nie powiązał jej z miejscem znalezienia ciała. Pomyślałem więc, że Robert dostaje strzał, przewraca się na szlaku, krew wsiąka w podłoże. Po już dłuższym przecież czasie ta substancja wzięta do zbadania faktycznie zawierała ludzkie białko, więc to nie mógł być zwierzak. W tamtych latach jednak nie dało się wygenerować grupy krwi. Teraz nie możemy już porównać, czy to była krew Roberta.

Analizując dalej: dziewczyna prawdopodobnie stoi obok. Strach paraliżuje kogoś, kto nigdy nie miał do czynienia z wystrzałami z broni, aie ona zaczyna krzyczeć. Widząc, że sprawca kieruje się w jej stronę, mogła zacząć uciekać. On ją przewraca, dziewczyna znów krzyczy, zaciąga ją w miejsce śmierci, za skały. Dobija. Wraca po chłopaka, zaciąga za skały. Dobija. Mogło być ich dwóch. Jeden zajął się Robertem, drugi pobiegł za dziewczyną. Już samo to, że plecaki zostały zniesione 800 metrów niżej, a sprawca nie schodził szlakiem, lecz poruszał się z boczem góry, może świadczyć o tym, że było ich więcej niż je-

den. To najbardziej zagadkowa zbrodnia, z jaką się spotkałem. Analizując ją, zwróciłem uwagę na sprawę ze Szczytnej, gdzie ojciec i syn zginęli od strzałów w czoło. Czytałem tamtą sprawę i wyniosłem pewne podobieństwo – zaczynam ten wątek też rozpatrywać.

Z czytaniem akt, uważa Maciek, jest tak jak z chodzeniem na grzyby: idzie dziesięciu grzybiarzy, a ten ostatni jeszcze coś po nich zbiera, czego tamci nie zauważą. W Szczytnej grupa handlarzy sprowadzała z zagranicy auta za tak zwaną przedpłatę. Jeśli ktoś był zainteresowany, dawał pieniądze, a oni oferowali samochody, które ściągali. Pewien mężczyzna wpłacił taką zaliczkę, grupa skontaktowała się, jakie auto sprowadzić. Zadzwonili, że auto już jedzie, i jak klient chce odebrać wcześniej, to może przyjechać z resztą pieniędzy do Szczytnej. Tam umawiają się z nim na jednym z parkingów, przy wylocie na Kłodzko. Ale mężczyzna przyjeżdża z synem, żeby odprowadził zakupiony samochód. Sprawcy mówią im, że muszą wsiąść z nimi do ich samochodów, bo droga fatalna i sami nie dojadą na miejsce, a tam jest stromo. Wsiedli. Jadą w leśną drogę niedaleko parkingu. Tam napastnicy kazały im wsiąść i oddać pieniądze. Ojciec protestuje, bandyci przewracają obu na ziemię i zabijają strzałem między oczy.

Modus operandi ten sam, co w przypadku studentów. Do zabójstwa doszło w maju 1998 roku.

– Proszę się niczym nie sugerować – uśmiecha się do mnie Maciek – to może nie mieć żadnego związku ze sobą, ale daje dużo do myślenia. A ja zajmuję się myśleniem.

Sprawa ze Szczytna została już wyjaśniona, zapadły wyroki. Dwóch sprawców już wyszło, dwóch jeszcze siedzi. Maciek przerzuca internet, czyta komentarze, analizuje wpisy różnych osób, być może mających związek ze sprawą. Sprawdza, czy

ktoś wyczytał informacje z artykułów prasowych, czy też ma jakąś dodatkową wiedzę.

Walczy nie tylko z czasem, który upływa, ale i z tym, który mu pozostał.

– Pracuję nad tą sprawą naprawdę długo. Dzwoniło do mnie mnóstwo ludzi, od jasnovidzów po ufologów. Ale nikogo nie lekceważę. To ostatnia sprawa, którą chciałbym wykryć. Obszerność materiału i zgromadzenie tego w głowie to praca na kilka lat. Wiedza, którą mam, bardzo mnie obciąża. Wszystko w mojej głowie zostaje, ja bez przerwy coś analizuję. Z rodzicami Roberta, nauczycielami z podstawówki z Międzyzlesia, rozmawiałem kilka razy. Bardzo spokojni ludzie. Chcieliby się przed śmiercią dowiedzieć, kto zabił im syna.

*

Lipiec 2016. Idę z Karłowa niebieskim szlakiem na Narożnik. Droga trwa nie dłużej niż 20 minut. Wszędzie ciągną się dywany czarnych jagód. Takie jagody musiały tam być wtedy, kiedy tą samą drogą szli Ania i Robert. Na szczycie, do skały Narożnika, przymocowana jest tablica pamiątkowa. Wrytyto na niej napis: „W tym miejscu, w dniu 17 sierpnia 1997 roku, zostali zamordowani studenci Akademii Rolniczej we Wrocławiu, Anna Kembrowska i Robert Odźga”. Podpisano: Pracownicy i studenci. Ktoś zatknął za płytę małą białą-czerwoną flagę z polskim godłem.

Rozglądam się wokoło i zaczynam rozumieć, na czym polegał spryt zabójcy. Żeby zobaczyć miejsce, w którym znaleziono ciała studentów, trzeba zejść ze szlaku jakieś 20 metrów w dół stromym, skalistym zboczem. Schodzę. Stoi tam mała drewniana kapliczka z Matką Boską za szkłem. Figurka patrzy na rozciągającą się przed nią panoramę gór, jakby chciała się wsłuchać w

ciszę martwych świerków. Musiał to być ostatni widok, jaki mieli przed oczami Ania i Robert. Przed kapliczką stoją wbite w ziemię dwa białe krzyże połączone łańcuchem. Wisi na nim tabliczka: „Byli młodzi, wrażliwi, pełni radości życia. Zginęli od kuli zabójcy na turystycznym szlaku w górach, które tak ukochali. Pokój ich duszy”.

EPILOG

Policjanci z gdańskiej komórki Archiwum X właśnie rozwiązali kolejną sprawę. To zaginięcie kobiety, które przed laty zgłosił jej mąż. Ciało znaleźli zakopane w ogrodzie pod jej własnym domem. Paweł Mrozowski i Jacek Gilewski opowiadają o tej sprawie podczas konferencji „Polskie Archiwa X”, zorganizowanej już po raz drugi na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie się spotykamy 15 grudnia 2016 roku.

– Po tygodniu inni wywiesiliby białą flagę, ale myśmy się nie poddali – mówi Paweł, któremu kobieta śniła się już po nocach.
– Psychiatra się kłania – żartuje, choć z konferencji płynie krótki morał, że polskie Archiwum X to sukces zbudowany na porażce. Bo wcześniej albo zawiedli ludzie, którzy powinni uprawiać swój zawód z najwyższą rzetelnością: policjanci, prokuratorzy, sędziowie, i całe sztaby ludzi im towarzyszących. Albo ofiary ginęły w czasach, gdy kryminalistyka nie zdołała jeszcze osiągnąć takiego rozwoju, który pozwoliłby na lepszą pracę organów ścigania.

– Przez te lata niejednokrotnie słyszałem, że wobec braku sukcesów zostaniemy rozwiązani – w głosie Pawia pobrzmiwa

rozczarowanie. – Miarą „sukcesu” nie było przeanalizowanie wielu postępowań, z których już nic nie udało się wycisnąć. Nie było tym również ustalenie profili genetycznych sprawców, które dzięki tej pracy trafiły do bazy GENOM i być może kiedyś przestaną być opisywane jako „*non notas*”, czyli nieznanne, i przysłużą się do pozytywnego zakończenia niektórych śledstw. Nieważne, że docieraliśmy do ludzi, do których wcześniej nikt nie dotarł, i zostawiliśmy informacje o tym swoim następcom. W 2016 roku przeniesiono nasz już tylko dwuosobowy zespół do struktur jednej z sekcji w ramach wydziału, więc musimy zajmować się również bieżącą. Mimo tego w ciągu roku doprowadziliśmy do przedstawienia zarzutów w trzech „archiwalnych” sprawach. Dwie z nich figurowały uprzednio w policyjnych statystykach jako sprawy poszukiwawcze (dotyczyły zaginięcia osób). Myślę, że lata posuchy, zbierania doświadczeń, rozwijania się, w końcu zaowocowały.

Maciek (któremu dałam fikcyjne imię) wciąż grzebie w sprawie studentów zamordowanych w Górach Stołowych. Ma do pomocy dwóch chłopaków z Centralnego Biura Śledczego. Z jednym z nich, powiedzmy, że ma na imię Marcin, dość często rozmawiamy. Pasjonat i nieustępliwy glina. Szukają właśnie ostatniego sprawcy (a było ich trzech), który brał udział w zabójstwie 15-letniej Małgosi w podwrocławskich Miłoszycach. Marcin pisze mi: „choćby już nie żył, to go wykopujemy”. Narzeka, że Archiwa X to w Polsce wciąż fikcja. Policjanci zajmujący się takimi sprawami nieustannie są delegowani do mnóstwa codziennych, bieżących spraw. To tak, jakby pracowali na kilku etatach.

„Rzecznicy prasowi pompują balon, jak coś się uda rozwiązać, ale przełożonym nie pasuje, żeby coś takiego formalnie powstało. I tak jest w całej Polsce poza Krakowem, bo wydział, który zajmuje się zbrodniami sprzed lat, generuje koszty”. Mar-

cin chciałby, żeby ktoś w końcu docenił ich pracę bez oglądania się na słupki wykrywalności i faktur do zapłacenia.

Andrzej Michalewicz, emerytowany policjant śląskiego Archiwum X (w stopniu nadkomisarza), 1 stycznia 2017 roku otrzymał wypowiedzenie z pracy. Podobnie jak inny, aspirant w stanie spoczynku, Jerzy Prucia (obaj analizowali akta). W ten sposób katowicka komórka właściwie przestała istnieć. – Wszystkie akta, niemal 50 spraw, odesłano do prokuratur, i nikt się tym już nie zajmuje – mówi Michalewicz, kiedy dzwonię do niego w listopadzie 2017.

Karol Suder, założyciel Archiwum, powie mi po latach, że program „Bez przedawnienia”, który powstał przy okazji sprawy Hakowego był prowokacją. Taki łabędzi śpiew śledczych, którzy nie mając żadnych śladów, nie potrafili już wpaść na właściwy trop. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, odchodząc w 2004 roku na emeryturę, była wizyta w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym, gdzie sprawdził, czy niezidentyfikowane ślady daktyloskopijne, jakie zostały ujawnione do sprawy Inkasenta, są już w bazie APIS.

– Czyli, czy jest możliwość, że jak sprawcy ktoś przypadkowo zdejmie odciski palców, to system porówna je z tymi śladami. I jak odchodziłem, to te paluchy były. Wciąż jest więc szansa, że on kiedyś wpadnie.

Suder wykładał w Towarzystwie Biblioteki Słuchaczy Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, w sekcji kryminalistyki. Ale krótko.

– Co pan robi na emeryturze? – pytam go podczas ostatniego spotkania w Krakowie.

– Nic.

– To jak: codziennie pan wstaje, je potężne śniadanie i co?

– Mam działkę, jeżdżę na ryby, na rowerze. Nie prowadzę prywatnej praktyki detektywistycznej.

– Dlaczego?

– Podobno nie jest to interes zbyt dochodowy, dopóki nie wejdzie się w sferę ochroniarską. Ale ja nie mam potrzeby gonięcia pieniędzy. Nigdy nie byłem zachłanny na życie na wysokim poziomie. To, co dostaję po trzydziestu latach, całkowicie mi wystarczy.

– Nie odczuwa pan braku zawodu?

– Straszny! Jak zrezygnowali ze współpracy ze mną na UJ, to czułem potworny zawód. Czekałem: może ktoś jeszcze zadzwoni. A nie wiem, czemu zrezygnowali. Może zrobiłem się mało atrakcyjny z uwagi na wiek? Żartuję. Tego tempa brakowało mi przez pierwsze dwa lata emerytury: wstaję i nie mam co ze sobą zrobić. To czytam kryminały. Cały świat wie, jak wykorzystać takich ludzi jak ja. W USA policjanci kończą robotę i dostają zatrudnienie jako kadra uczelniana. Mam dużą wiedzę na temat pożarów, wybuchów i materiałów wybuchowych. Amerykanie kogoś takiego na pewno by wykorzystali, żeby nie musiał przechodzić na drugą stronę.

Oczywiście, że śledzi najnowsze doniesienia w sprawie Skóry. I kiedy go o to pytam, odzywa się w nim dawny glina, sklecony między innymi z niepewności: – Na razie wszystko, o czym czytamy, to poszlaki. A mój pryncypał mawiał: „Nie każdy, kto nosi narzędzie gwałtu, jest gwałcicielem”.

Bogdana Michalca, kiedy spotkaliśmy się w 2015 roku, martwiła właśnie nowelizacja kodeksu karnego i wprowadzenie do niego tak zwanego procesu kontradyktoryjności.

Niepokoił się: – Teraz celem postępowania, według tej ustawy, nie będzie ustalenie, czy osoba jest winna, czy nie, tylko

zgrupowanie dowodów, na których podstawie można tę winę uzyskać. Do tej pory prawo funkcjonowało w ten sposób, że była furta dla takich zapaleńców jak my, odwoływania się do jakichś wyższych wartości, intuicji. Teraz pozostaje tylko pewny ślad kryminalistyczny, i to jest rozumiane bardzo wąsko. Mogą na przykład być spreparowane dowody, a to niebezpieczna pułapka.

Ustawa nie dopuszczała też przeprowadzenia i wykorzystania dowodu zdobytego do celów postępowania karnego z naruszeniem przepisów, tak zwanych owoców zatrutego drzewa: nielegalnie zakładanych podsłuchów, nagrań. Zmiany te stawiały w uprzywilejowanej pozycji osoby zamożne, które stać było na wynajęcie prawników, ekspertów czy biur detektywistycznych.

Na szczęście rok później, w 2016, rząd w kolejnej nowelizacji (choć też nie pozbawionej wad) odszedł od modelu kontradyktoryjnego. W ten sposób znów pojawiła się szansa na rozwiązywanie spraw z pozoru beznadziejnych. A takich tylko krakowskie Archiwum X rozwiązało już ponad trzydzieści.

Bogdan Michalec: – Zawsze powtarzam studentom: matematyka w kryminalistyce powinna się kończyć na numeracji stron, a prawo to jest przede wszystkim ludzkie prawo. Mówił już o tym Sofokles w *Antygonie*. Prawo to wiara w sprawiedliwość. Ale i w miłosierdzie.

CDN.

PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczna wszystkim ludziom dobrej woli, dzięki którym powstała ta książka. Zwłaszcza policjantom, prokuratorom i biegłym, za ich życzliwość, cierpliwość i czas, który dla mnie wydarli, choć mają go niewiele. Gdyby więcej osób pracujących w organach ścigania miało Waszą determinację, pasję i dociekliwość, ten kraj wyglądałaby zupełnie inaczej.

Sekretarkom w czytelnich akt kłaniam się w pas.

Dziękuję rodzinom ofiar, które rozdrapały nie do końca za-
bliznione rany, przyjmując mnie pod swój dach.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom. Za Wasze wsparcie, miłość i akceptację. Zwłaszcza Tobie, Jerzy.

Damianowi Strączkowi: to dzięki jego odważnej decyzji mogłam pracować nad tą książką.

Dziękuję mojemu redaktorowi, Danielowi Lisowi, i prawnicze Agacie Paszek. To była ciężka walka, bez Was nie dałabym rady.

Bardzo proszę każdego, kto posiada informacje na temat którejkolwiek z opisywanych przeze mnie lub media spraw (nawet tej, o której jeszcze nie wiem) o kontakt przez moją stronę

www.izamichalewicz.pl lub konto na fejsbuku. Nie umiem policzyć rodzin, które wciąż czekają na sprawiedliwość. ale Wasza pomoc nie ma sobie równej. Nie zastąpi jej najnowsza technika kryminalistyczna. To dzięki Waszej odwadze i wrażliwości policjanci, i my – reporterzy – docieramy do prawdy.

BIBLIOGRAFIA

- Bogusz Iwona, Bogusz Marek, *Technika kryminalistyczna. Ślady biologiczne*, Centrum Szkolenia Policji, Legionowo 2013
- Britton Paul, *Profil mordercy*. Znak, Kraków 2010
- Felis Paweł T., *Sean Penn się wkurza*, „Gazeta Wyborcza”, 28 marca 2015.
- Grzybowska Alicja, Jaroszewicz Andrzej, *Czerwony książę*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2016
- Hicks Scotia J., Sales Bruce D., *Profilowanie kryminalne*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2015
- <https://krakow.onet.pl/19-lat-temu-oskorowal-studentke-podejrzany-o-morderstwo-zostal-zatrzymany-ujawniamy/vj5rq2e> (dostęp: 15.01.2018)
- Klimuszko Czesław Andrzej, *Moje widzenie świata*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1992
- Kopp Volker, *Werwolf. Ostatni zaciąg Himmlera*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2016
- Mafia w Polsce*, zespół, reporterów Delta, Polrend, Kraków 1993
- Michalewicz Iza, *Andrzej Jaroszewicz. Czerwony książę rzuca*

- cień. Duży Format „Gazety Wyborczej”, 14 kwietnia 2016
- Pleskot Patryk, *Zabić. Mordy polityczne w PRL*, Znak Horyzont, Kraków 2016
- Bohdan Roliński, *Widziane z Kremla. Moskwa-Warszawa. Gra o Polskę*, Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992
- Siwak Albin, *Trwale ślady*, Wydawnictwo „Żywe Kamienie”, Toruń 2002
- Słomczyński Tomasz, *Miejsca przeklęte*, Polskapresse, Gdańsk 2015
- Świątkowska Katarzyna, Jackowski Krzysztof, *Zmarli mówią. Autobiografia Krzysztofa Jackowskiego*, Polskapresse, Gdańsk 2012
- Zespół reporterów „Delta”, *Mafia w Polsce*, Polrend, Kraków 1993
- Zmarli mówią. Autobiografia jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego*, Biblioteka „Dziennika Bałtyckiego”, t. 2, Polskapresse, 2012